

TA PODRÓŻ NIE DA O SOBIE ZAPOMNIEĆ

ZŁO
PÓJDZIE
ZABĄ
TOBĄ



M A R K

E D W A R D S

M A R K
E D W A R D S
Z Ł O
P Ó J D Z I E
Z A
T O B A

Przełożył Andrzej Goździkowski



MUZA

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału: ***Follow You Home***

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*

Redakcja: *Marta Stochmiątek*

Redaktor prowadzący: *Mariola Hajnus*

Redakcja techniczna: *Grzegorz Włodek/MAGIK*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Beata Koziół, Justyna Techmańska*

Słowo od autora

Akcja tej książki częściowo rozgrywa się na terenie Rumunii. Pozwoliłem sobie jednak dość swobodnie potraktować geografię tego kraju, czego dowodem jest choćby trasa nocnego kursu kolejowego z Budapesztu do Sighișoary. Fikcyjne są również miasto Breva, a także most Thornberry w Londynie.

Fotografia na okładce © kuzmaphoto/Shutterstock

Text copyright © 2021 by Mark Edwards. All rights reserved.

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2022

© for the Polish translation by Andrzej Goździkowski

ISBN 978-83-287-2451-8

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2022

Pamięci Philipa Daviesa, 1971–1990

SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

CZĘŚĆ CZWARTA

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40

ROZDZIAŁ 41

CZĘŚĆ PIĄTA

ROZDZIAŁ 42

ROZDZIAŁ 43

ROZDZIAŁ 44

ROZDZIAŁ 45

ROZDZIAŁ 46

ROZDZIAŁ 47

ROZDZIAŁ 48

ROZDZIAŁ 49

CZĘŚĆ SZÓSTA

ROZDZIAŁ 50

ROZDZIAŁ 51

ROZDZIAŁ 52

ROZDZIAŁ 53

ROZDZIAŁ 54

ROZDZIAŁ 55

ROZDZIAŁ 56

ROZDZIAŁ 57

ROZDZIAŁ 58

ROZDZIAŁ 59

ROZDZIAŁ 60

ROZDZIAŁ 61

ROZDZIAŁ 62

CZĘŚĆ SIÓDMA

ROZDZIAŁ 63

ROZDZIAŁ 64

EPILOG

LIST OD AUTORA

PODZIĘKOWANIA

CZĘŚĆ PIERWSZA

WĘGRY, RUMUNIA

SIERPIEŃ 2013

ROZDZIAŁ 1

Nocny pociąg do Sighișoary, planowo odjeżdżający z Budapesztu o dwudziestej trzeciej, miał opóźnienie. Dworzec, pusty o tej porze, sprawiał dość odpychające wrażenie. Bary i sklepy pozamykano już na noc, w cieniu pod ścianami stali jacyś ludzie. My siedzieliśmy na twardej posadzce, całodzienna włóczęga z plecakami po mieście w letnim upale dała nam w kość. Nieopodal nas zatrzymała się grupka nastolatków. Pokrzykiwali, robili wokół siebie dużo zamieszania, zaczepiali przechodniów, żebrząc o papierosy. W pewnym momencie podszedł do nas facet w średnim wieku i spytał, czy jesteśmy głodni i czy szukamy noclegu. Do twarzy przyklejony miał sztuczny, dobrotliwy uśmiezek, który spełzł, gdy kazaliśmy mu spadać. Uzbrojeni po zęby policjanci w parach patrolowali teren dworca. Kiedy nas mijali, przyglądali się nam podejrzliwie.

Kiedy w końcu pociąg wtoczył się na peron, odetchnęliśmy z ulgą. Oczekujących było mniej, niż się spodziewałem, ale ci, którzy wybierali się z nami do Sighișoary, zjawili się nagle na peronie, jakby wyrosli spod ziemi.

Zanim wsiedliśmy, przyciągnąłem do siebie Laurę.

– Kocham cię – powiedziałem.

Pocałowała mnie w usta i odrzekła:

– Ja ciebie też, Danielu. Mimo że straszny z ciebie nudziarz.

– Ejże... – zacząłem, ale ona już się odwracała. Wrzuciła plecak do wagonu. Kiedy spojrzała przez ramię i posłała mi uśmiech, wiedziałem, że tak naprawdę nie jest na mnie wkurzona. Ruszyłem za nią.

Mijając przedziały sypialne, zachodziłem w głowę, czy przypadkiem nie popełniłem błędu. Dzisiaj była moja kolej, by zapłacić za bilety. Ale zamiast zarezerwować dwuosobowy przedział z kuszetkami, w ostatniej chwili coś mi strzeliło do głowy, żeby kupić zwykłe, połowę tańsze, miejsca siedzące.

Laura, widząc, jak tęsknie przypatruję się przedziałom sypialnym, podeszła do mnie.

– Wielka szkoda – zagaiła.

– To znaczy?

– Myślałam, że będziemy uprawiać seks w pociągu. Nigdy jeszcze tego nie robiłam.

Pacnąłem się otwartą dłonią w czoło.

– Myślisz, że da się jeszcze zmienić bilety?

Zbyła moje pytanie śmiechem. Klamka zapadła, zamiast w wygodnym przedziale sypialnym spędzimy tę podróż na siedząco. Laura znalazła pusty wagon i wybrała miejsca na samym jego końcu. Z torby wyciągnęła czytnik Kindle i butelkę wody, po czym rozsiadła się wygodnie w podwójnym fotelu, obciągniętym mocno już sfatygowanym szarym aksamitem. Ja zająłem miejsce przy oknie. Liczyłem na silną klimatyzację, która poradzi sobie z zaduchem letniej nocy. Zsunąłem na chwilę okulary, żeby obetrzeć spoconą twarz. A kiedy założyłem je ponownie, akurat dwoje spóźnialskich młodych ludzi wbiegło na peron. Zdążyli wskoczyć do wagonu dosłownie w ostatniej chwili. Pociąg szarpnął gwałtownie, z głośników rozbrzmiał głos konduktora. Ruszyliśmy.

Para, którą widziałem przez okno, wpadła do naszego wagonu. Oboje byli zdyszani, facet zanosił się śmiechem, natomiast jego towarzysza wyglądała na nieźle wkurzoną. Niewielkie torby podróżne wrzucili na półkę bagażową, po czym usiedli obok nas, po drugiej stronie przejścia. Uśmiechnąłem się do nich, a potem odwróciłem głowę. Podczas naszej podróży po Europie poznaliśmy już kilka par. Były to przelotne znajomości, wymieniliśmy się mailami, nickami na Twitterze. Zawsze jednak przed zagajeniem rozmowy wołałem poobserwować nieznajomych, żeby upewnić się, że nie są żadnymi świrami.

Sądząc po wyglądzie, stanowili kiepsko dobraną parę. Oboje mieli po dwadzieścia parę lat, jednak nigdy bym nie pomyślał, że może ich ze sobą coś łączyć. Facet, niski i krępy, miał krótko ścięte blond włosy. Ubrany był w T-shirt w kolorze khaki i spodnie bojówki. Wyglądał dość pospolicie – zwyczajny koleś, który sporo czasu spędza na siłowni. Jego towarzyszka ubrana była od stóp do głów na czarno. Na koszulkę z nadrukiem The Stranglers narzuconą miała skórzaną kurtkę, do tego obcisłe jeansy i buty bikery. Włosy również czarne, choć z karmazynowymi pasemkami. Spod mocno podmalowanych powiek błyszcząły oczy w kolorze *café noir*, tylko odrobinę jaśniejszym od czarnego. Mogła mieć około metra osiemdziesięciu wzrostu; kiedy stali, górowała nad nim. Kojarzyli mi się z parą postaci z kreskówki: Popeye’em i jego ukochaną, Oliwką Olejek.

Komunikowali się w swoim języku. Ewidentnie wschodnioeuropejskim, lecz nie potrafiłem stwierdzić, czy pochodzą z Węgier, Rumunii, a może jeszcze innego zakątka tej krainy obejmującej pół kontynentu.

Po jakimś czasie w naszym wagonie zjawił się jeszcze jeden pasażer. Był około czterdziestki, miał krótko przystrzyżone włosy i dziobatą twarz. Zauważyłem, że nie wniósł ze sobą żadnego bagażu. Mimo że wagon był niemal pusty, usadowił się niedaleko – tuż przy naszych fotelach, ale po skosie, tak że mógł nas widzieć. Przez chwilę przypatrywał się nam, nie kryjąc swojej dezaprobaty, wreszcie przymknął oczy i zaczął wachlować się gazetą.

Za oknem przesuwały się migoczące w ciemności zabudowania Budapesztu.

– Muszę się napić – odezwałem się. – Gdzieś w składzie powinien być wagon restauracyjny.

– Dopiero za granicą.

Zdziwiony uniosłem wzrok.

– Wagon restauracyjny otwierają, dopiero gdy przekroczymy granicę Rumunii – wyjaśnił Popeye, wzruszając ramionami. Zerknąwszy na zegarek, dodał: – Czyli za jakieś dwie i pół godziny.

– Trzeba było kupić coś do zarcia przed odjazdem – mruknąłem.

– Nic się nie martw – rzucił facet, zrywając się na równe nogi. – Jesteśmy przygotowani.

Z półki bagażowej ściągnął reklamówkę i dosiadł się do nas. Po chwili dołączyła też jego dziewczyna. Zajęła miejsce obok niego i założyła nogę na nogę. Nim zdążyliśmy zaprotestować, facet otworzył dwie puszkę węgierskiego jasnego piwa i poczęstował nas.

– Jestem Ion – przedstawił się, otwierając kolejne dwa piwa. Upił łyk i powiedział: – A to Alina.

ROZDZIAŁ 2

Za oknami pociągu rozciągała się atramentowa czerní, maćona jedynie przez pojedyncze rozblyski jakichś odleglych swiateł. Szyba miała skazę, moja odbita w niej twarz zdawała się dziwnie rozciągnięta, jak coś wykonanego z roztopionego plastiku. Wyglądało to dość koszmarnie. Odwróciłem się i skupiłem na naszych nowych znajomych.

Ion trzymał rękę na kolanie Aliny, głaszcząc je. A więc jednak *byli* parą.

– Co was sprowadza do Rumunii? – zainteresował się, szczerząc zęby w uśmiechu. Siedząca obok Alina też się uśmiechała, ale mniej entuzjastycznie. Sprawiała wrażenie znudzonej.

Otwierałem już usta, ale Laura mnie ubiegła:

– Podróżujemy po Europie. Ostatnie parę tygodni spędziliśmy, wylegając się na plażach...

– Fajnie.

– ...ale chcieliśmy też odwiedzić Europę Wschodnią, liznąć trochę kultury.

– Świetny wybór – przytaknął ochoczo Ion. – Rumunia jest piękna. Oczywiście, jak wszędzie nie brakuje problemów: kraj zmaga się z biedą, rumuńscy cyganie bywają uciążliwi. – Machnął ręką, jakby temat go nudził. – Ale to właśnie tutaj jest prawdziwa Europa. To znacznie ciekawsze od hiszpańskich plaż.

Alina, niemal niedostrzegalnie, przewróciła oczami.

– Wy pochodzicie z Rumunii? – zagadnęła dziewczynę Laura.

– Tak.

Laura czekała, aż dziewczyna rozwinie swoją wypowiedź. Na próżno.

– Alina jest z Sybina – wyjaśnił Ion. – Tam właśnie się wybieramy, w odwiedziny do jej bliskich. Ciekawe, czy matka Aliny jest tak samo seksowna jak córka.

– Świetnie mówisz po angielsku – pochwaliłem go z uśmiechem. – Mam nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt protekcyjnie...

– Ależ skąd... Alina i ja poznaliśmy się na kursie angielskiego. – Dłoń faceta powędrowała w górę jej uda. Dziewczyna zachowywała jednak kamienną twarz. – No to opowiadajcie: jakie zakątki Europy udało wam się odwiedzić? – spytał, popatrując to na Laurę, to na mnie.

– Zaczęliśmy od Brukseli. Potem była Francja, Hiszpania. Spędziliśmy tydzień na Ibizie. Następnie Włochy: Rzym i Wybrzeże Amalfitańskie. Dalej Grecja, Chorwacja, Węgry.

I tyle. Dwa zapierające dech w piersi miesiące skondensowane jak lista zakupów. Tym, na czym najbardziej zależało Laurze i mnie, były szczegóły, wspomnienia. Nasza podróż, nasz Grand Tour, jak ochrzciliśmy ją w żartach, zmieniła nas. Po trudnym okresie w domu wybawieniem było dla nas wejście w rolę zwyczajnych turystów podziwiających wieżę Eiffla czy Luwr. Mogliśmy do woli obserwować krążących wokół ludzi, czując, jak z wolna rozluźniają się nasze pospinane ciała. W Hiszpanii ostro zabalowaliśmy – szaleliśmy na festiwalu muzycznym w Benicàssim, na Ibizie całymi nocami imprezowaliśmy, a dni przesypialiśmy, zbierając siły przed kolejną balangą. W Rzymie oddawaliśmy się szaleństwu zakupów, krążyliśmy po mieście na skuterach, a wieczorami znowu ruszaliśmy w rajd po sklepach. Na Wybrzeżu Amalfitańskim uprawialiśmy seks na plaży, a potem pod gwiazdami marzyliśmy o dzieciach, jakie sobie zrobimy po powrocie do Anglii. U wybrzeży Santorini nurkowaliśmy z rurką, wśród ławic tęczyowych rybek. W chorwackim Parku Narodowym Jezior Plitwickich narobiliśmy tyle selfiaków, że miałem wrażenie, jak gdyby ktoś skradł mi duszę.

To było prawdziwe życie, doświadczane w taki sposób, na jaki zawsze zasługiwało – magiczny czas, który miał wrócić do nas na mgnienie oka w chwili śmierci. A ponieważ mogliśmy go przeżyć razem, Laura i ja czuliśmy się teraz bardziej związani niż kiedykolwiek wcześniej.

Ta wymiana zdań z Ionem i Aliną, w trakcie której zaprezentowaliśmy im okrojoną wersję naszej wyprawy, sprawiła, że zatęskniłem za moim najlepszym przyjacielem Jakiem. Był jedynym człowiekiem, obok Laury, z którym byłem całkowicie szczery. Kiedy tylko mogłem, wysyłałem mu długie maile z opisami naszych przygód, zupełnie jakbym udostępniał mu strony swojego dziennika z podróży. Jake rewanzował się, opisując fascynujące perypetie muzyka szukającego dla siebie miejsca na londyńskich scenach.

Zamilkłem. Nie byłem pewny, czym jeszcze powinienem się podzielić z poznanymi w pociągu nieznajomymi. Wolałem nie wspominać o wydarzeniach ostatnich paru dni, które spędzaliśmy w Dubrowniku i Budapeszcie, gdy dopadło nas znużenie. Trudno powiedzieć, skąd brał się ten spadek energii – może, mimo fantastycznych przygód, po prostu zatęskniliśmy za domem, a może do głosu doszła typowo ludzka potrzeba zatrzymania się, spędzenia dłuższego czasu w jednym miejscu. W każdym razie podczas zwiedzania tych dwóch fascynujących miast czuliśmy, że nogi mamy dziwnie ociężałe i coraz trudniej nam wykrzesać entuzjazm. Laura zaproponowała, żebyśmy wrócili do Włoch albo Hiszpanii, wynajęli tam mieszkanie i podładowali baterie. Ja jednak uparłem się, że powinniśmy kontynuować podróż. Zależało mi na tym, by trzymać się planu. Po odwiedzeniu Rumunii zamierzaliśmy znów udać się na północ: czekały na nas Rosja, Niemcy i Skandynawia. Plan przewidywał, że zakończymy naszą włóczęgę w Sztokholmie, w dniu moich trzydziestych piątych urodzin. Stamtąd mieliśmy wrócić do Londynu.

Wziąć ślub. Założyć rodzinę. Niekoniecznie w tej kolejności. Najlepsza przyjaciółka Laury, Erin, była w ciąży. Domyślałem się, że kiedy Laura zobaczy malucha, też zapragnie dziecka. W sumie to nie miałem nic przeciwko.

- Podróżujecie tylko we dwoje? – zainteresował się Ion.
- Owszem.
- Pewnie świetnie się bawiliście.
- To prawda...
- Żadne słowa tego nie oddadzą, co?
- Właśnie.

Nie zdążyłem powiedzieć nic więcej, bo nagle zauważyłem, że Ion marszczy ze zdziwieniem brwi, spoglądając na Laurę. Zerknąłem szybko na moją dziewczynę. Minę miała nietęgą.

– Słuchajcie, przepraszam, jeśli się narzucamy – odezwał się Ion. – Jeśli wolicie, możemy się przesiąść z powrotem na nasze miejsca...

– Nie, nie chodzi o was – zapewniła Laura, nachylając się. Ja i Ion zrobiliśmy to samo, wyglądaliśmy, jakbyśmy się naradzali. Alina nadal siedziała sztywno, jakby kij połknęła.

– Nie patrzcie tam – uprzedziła Laura. – Ale ten gość, który tam siedzi, nie spuszcza mnie z oczu.

Nie umiałem się powstrzymać, musiałem zerknąć. Tamten facet o krótko ściętych włosach, który wszedł do wagonu po Ionie i Alinie, nie drzemał już – czytał gazetę.

– Jesteś pewna? – spytałem.

– Tak – syknęła Laura. – Gapił się na moje nogi. Znowu to robi...

Uniosłem wzrok. Nasze spojrzenia się skrzyżowały. Nie umiałem niczego wyczytać z jego wyrazu twarzy, ale facet wytrzymał moje spojrzenie, nie uciekł wzrokiem w bok. W Anglii było to niemal nie do pomyślenia. Po długiej chwili z cierpkim uśmiechem powrócił do lektury.

– Zamieńmy się miejscami – zaproponowałem, zwracając się do Laury.

Teraz to ona usiadła przy oknie, gdzie była niewidoczna dla tego typka. W sumie to niezbyt mu się dziwiłem, Laura mogła się podobać: jasnorude włosy, błękitne oczy i superzgrabne nogi, będące istnym ósmym cudem świata. No a dzisiaj dodatkowo założyła szorty, chociaż nie dlatego, że lubiła zwracać na siebie uwagę. Po prostu panował straszny upał.

Wiedziałem, że ta dziewczyna to nie moja liga. Na szczęście tak się złożyło, że miała słabość do wysokich koleś w okularach w typie kujona. Moje włosy są w nijakim, kasztanowym kolorze, jestem za chudy. Przypominam postać ze starych reklam, człowiczka, któremu zawsze ktoś sypie w oczy piachem. Na szczęście zdarzają się na świecie kobiety, które lecą na takie oferty jak ja, a nie gości, którzy się nad nimi pastwią.

Kiedy Laura się przesiadła, Alina odwróciła się i gapiła się na faceta, który znów taksował nas wszystkich wzrokiem. Po chwili skierował

spojrzenie gdzie indziej, krzywiąc usta w szyderczym uśmiešku.

– Sporo jest takich typów, którym wydaje się, że mogą gapić się na kobietę, jak gdyby była manekinem w witrynie sklepowej – powiedział Ion.
– Alina ciągle ma z nimi problemy.

Dziewczyna potwierdziła skinieniem głowy.

Chwyciłem Laurę za rękę i lekko ścisnąłem. Domyślałem się, że cała ta sytuacja jest dla niej krępująca, dlatego zaproponowałem:

– Porozmawiajmy o czymś innym.

– Świetny pomysł – przystał chętnie Ion. – Czym się zajmujecie na co dzień?

– Laura pracuje w dziale marketingu – wyjaśniłem. – W organizacji dobroczynnej pomagającej dzieciom.

– Ciekawe.

– Wręcz przeciwnie – wtrąciła się Laura.

– Ale przynajmniej wykonujesz pracę, która ma szczytny cel.

Laura sączyła piwo. Nigdy nie spotkałem nikogo, kto miałby równie słabą głowę co ona. Wiedziałem, że nim skończy tę puszkę, będzie już zawiana.

– Ale lepsze to niż sprzedawanie coki – przyznała.

Ion wytrzeszczył oczy.

– Chodzi mi o coca-colę.

W tym momencie cała nasza trójka wybuchła śmiechem. Alina tymczasem nie przestawała groźnie zerkać na faceta siedzącego nieopodal.

– Chyba nie macie dzieci, co? – zainteresował się Ion.

– Nie – odparła Laura.

A dokładnie w tym samym momencie ja powiedziałem:

– Jeszcze nie.

Facet przyjrzał nam się z zaciekawieniem.

– To nasza ostatnia duża podróż, zanim założymy rodzinę – wyjaśniłem.

– Zanim *spróbujemy* założyć rodzinę – doprecyzowała Laura. – W tych sprawach nic nie jest pewne, zwłaszcza w moim wieku.

– Masz tylko trzydzieści cztery lata.

To temat, który przerabialiśmy już wiele razy. Zresztą między innymi dlatego wybraliśmy się w objazd po Europie – zegar biologiczny Laury przypominał o sobie, coraz głośniejszy tykając. Żartowała, że czuje się jak krokodyl z *Piotrusia Pana*, z którego brzucha dobywało się tykanie zegarka. Ja też czułem, że pora się ustatkować. Widząc jednak, jak nasi znajomi męczą się na wakacjach ze swoimi pociechami, zaproponowałem Laurze, żebyśmy przed założeniem rodzinnego gniazda wyruszyli w ostatnią wielką wyprawę. Łut szczęścia, czy może raczej długie lata ciężkiej pracy, w zależności od punktu widzenia, zdecydowały, że mogliśmy sobie pozwolić na taką ekstrawagancję.

– A ty czym się zajmujesz? – zagadnął mnie Ion.

– Jestem programistą. Stworzyłem aplikację na iPhone’y oraz iPady, po czym sprzedałem ją dużej firmie zajmującej się nowymi technologiami.

Jak zawsze, gdy rozmowa schodziła na ten temat, pilnowałem się – starałem się być skromny, nie przechwalać się.

– I dzięki temu było nas stać na tę podróż – skwitowała Laura.

– Która firma dała się skusić? – spytał Ion. – Niech zgadnę. Google? Facebook?

– Nie, Skittle.

Skittle to jedna z najprężniej się rozwijających młodych firm technologicznych, jakie zalały rynek w ostatnich latach, specjalizująca się w aplikacjach na urządzenia mobilne.

– O rany, fantastycznie. Alina, słyszałaś?

Oderwała spojrzenie od okna i zerknęła na mnie.

– Super.

– Jesteś sławny w Anglii? – dopytywał Ion. Oczy mu rozblęły.

– Nie! Nawet w moim mieszkaniu mało kto mnie rozpoznaje – odparłem. – A wy co porabiacie na co dzień?

Skittle wymógł na mnie, abym do momentu oficjalnego ogłoszenia nabycia aplikacji przez ich firmę powstrzymał się od omawiania transakcji. Podpisałem klauzulę poufności. Teraz zwracałem się bezpośrednio do Aliny, której małomówność zaczynała działać mi na nerwy.

– Alina jest ilustratorką – pospieszył z odpowiedzią Ion, nie dając dojść do słowa swojej partnerce.

– Serio? A co rysujesz?

– Komiksy – odparła kobieta, spoglądając mi w oczy. Po raz pierwszy dojrzałem w jej spojrzeniu coś niebędącego nudą: dumę, ale też zawziętość, jakby oczekiwała, że będziemy się z niej naśmiewać.

– Super – pochwaliłem. Naprawdę byłem pod wrażeniem.

– No – zgodził się Ion. Pogładził Alinę po kolanie i dodał: – Stworzymy coś razem, co nie?

– Jesteś scenarzystą komiksowym? – zainteresowałem się.

Tym razem to Alina nie dała dojść do głosu swojemu partnerowi.

– On niczym się nie zajmuje – wypaliła.

– To nie w porządku – bąknął Ion. Mina mu zrzędła.

I nagle, w mgnieniu oka, napięcie między nimi stało się widoczne. Ciekawe.

Po chwili na ustach Iona znów pojawił się promienny uśmiech. Teraz już jednak nie pieścił nogi Aliny.

– Obecnie szukam pracy. Ale przez cały czas piszę książkę. A oprócz tego pracuję nad tym, no wiecie, nad tym projektem z Aliną.

– A o czym jest ta książka?

– Wykład mojej prywatnej filozofii. A takie tam moje przemyślenia na różne tematy...

Laura wcześniej wyszła do toalety. Pomyślałem, że muszę jej powiedzieć o książce Iona, kiedy wróci. Na pewno uzna, że to zabawne.

Ion szykował się właśnie do wprowadzenia nas w zawiloci swojego systemu filozoficznego, gdy pociąg wtoczył się na stację. Peron był niemal pusty, wypatrzyłem tylko mężczyznę po sześćdziesiątce taszczącego gigantyczną kanciąstą walizę.

Ku mojemu zdziwieniu Alina poderwała się z fotela i pobiegła do drzwi. Po chwili zobaczyłem, jak pomaga starszemu mężczyźnie wsiąść, wnosząc jego bagaż. Facet, który z bliska sprawiał wrażenie dość krzepkiego, by samodzielnie poradzić sobie z walizką, podziękował jej za pomoc w miejscowym języku, po czym zajął miejsce w drugiej części wagonu.



Przegadaliśmy we czwórkę następną godzinę. Ion okazywał zainteresowanie moją aplikacją, dlatego rozmowa zeszła na jej temat. Tymczasem Laura i Alina, którą krótka interakcja ze starszym mężczyzną na peronie wyraźnie pobudziła, gawędziły o podróżach. Przywykłem już, że moi znajomi ziewali z nudów, ilekroć poruszałem temat swojej pracy, dlatego zainteresowanie i podziw Iona mi schlebiały. W rezultacie przestałem zwracać uwagę na wymogi klauzuli poufności.

W pewnym momencie do wagonu weszli funkcjonariusze węgierskiej straży granicznej, ubrani w granatowe mundury i żółte kamizelki odblaskowe. Podczas sprawdzania paszportów dłuższy czas studiowali dokument Aliny. Zwróciłem uwagę, że są uzbrojeni, podobnie jak gliniarze na dworcu.

Kiedy pogranicznicy poszli dalej, schowałem nasze paszporty do plecaka. Laura szepnęła mi wtedy do ucha:

- Ten gostek znowu się na mnie gapił.
- Serio?
- Teraz obserwuje moje odbicie w oknie.
- Może tylko ci się wydaje, co?
- Możliwe, sama nie wiem. – Przeciągnęła się, schyliła głowę, żeby rozruszać obolały kark. – Padam na twarz ze zmęczenia.
- Ja też – przyznałem, ziewając.
- Ale ten fotel jest zbyt niewygodny, żeby dało się na nim przespać. – Ion, który właśnie wrócił z toalety, podsłuchał chyba naszą wymianę zdań.
- Słuchajcie, niedaleko jest pusty przedział sypialny. Możecie przenieść się tam i zdrzemnąć, co wy na to? – zaproponował, zniżając głos do szeptu. –

Rumuńscy pogranicznicy zjawiają się dopiero za kilka godzin. Kiedy miniemy granicę, obudzimy was.

– No nie wiem... – powiedziała z wahaniem Laura.

– Nic wam nie grozi – zapewnił Ion.

– Podoba mi się ten pomysł – zwróciłem się do Laury.

Zrobiła niezadowoloną minę. Walczyła w niej chęć przespania się i niezgoda na łamanie przepisów.

– Śmiało, Lauro – zachęciła Alina. – Obudzimy was w porę, słowo honoru.

– Nie wiem...

– Zróbmy tak – powiedziałem. – Na wszelki wypadek ustawię alarm w telefonie. O której godzinie mamy dojechać do granicy?

Ion zerknął na zegarek.

– Z Budapesztu wyjechaliśmy z czterdziestominutowym opóźnieniem. Do granicy powinniśmy dotrzeć dziesięć po trzeciej. Macie niecałe dwie godziny snu.

Laura się rozejrzała. Po chwili stało się dla mnie jasne, co ostatecznie przekonało ją do tego pomysłu: tamten oblech dalej wywalał na nią gały. Z ust wysunął koniuszek języka, poruszał nerwowo jedną nogą w górę i w dół. Zanim odwróciłem głowę, zdążyłem zauważyć, że w kąciu jego ust czaił się wredny uśmiezek.

ROZDZIAŁ 3

Przedział sypialny okazał się maleńki. Mieścił dwa miejsca do spania, a między nimi było około metra wolnej przestrzeni. Za oknem czerń. Toczyliśmy się teraz przez węgierską prowincję. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak wygląda krajobraz za oknem. Jakież lasy? A może pola? Zbliżyłem twarz do szyby. Ciemności nie rozpraszał nawet blask jakichkolwiek gwiazd. Gdyby od czasu do czasu w tym atramentowym mroku nie migotały światła jakiegoś pojedynczego domu, byłbym gotów uwierzyć, że jesteśmy w kosmosie. Mogliśmy być gdziekolwiek, choćby na końcu świata.

Laura zrzuciła buty ze stóp i klapnęła na jedno z pościeli. Ja usiadłem na drugim, z kieszeni plecaka wyciągnąłem telefon. Bateria prawie już padła – jak zresztą zawsze – ale i tak nastawiłem budzik, licząc, że zdąży zadzwonić, nim aparat się wyłączy.

– Co myślisz o naszych nowych znajomych? – zagadnąłem.

– Sama nie wiem. Ten cały Ion robi na mnie wrażenie egocentryka. Całe szczęście, że nie zadręcza nas opowieściami o swoim wiekopomnym dziele.

– Laura przewróciła oczami. – Ale powieść graficzna, nad którą pracuje Alina, może być ciekawa. Jej tematem jest, jak sama twierdzi, siła kobiet. To typowa historia o superbohaterze, ale z feministycznymi podtekstami. Obiecała, że podeśle mi egzemplarz.

– Fajnie. – Przesiadłem się na jej łóżko. Nachyliłem się, licząc na buziaka. – Wspomniałaś, że zawsze marzyłaś o seksie w pociągu.

– Jesteś niesamowity. Gdybyś zarezerwował taki przedziałik na całą noc, może coś by z tego wyszło. A teraz jesteśmy tu tylko po to, żeby się przekimać.

– Zgódź się, będzie super. – Nachyliłem się jeszcze bardziej, szukając jej ust. – Dasz się namówić?

– Mmm. Może. – Odwzajemniła mój pocałunek.

W miarę jak moja dłoń sunęła w górę jej uda, jej oddech stawał się coraz szybszy. Czułem szybkie bicie jej serca.

– Zamknij drzwi na zamek – poleciała, odrywając się na chwilę ode mnie. Skóra na wysokości jej obojczyka była zaczerwieniona.

Wstałem i przez chwilę mocowałem się z zamkiem.

– Noże kurwa mać. Jest zepsuty. Nie działa.

Pewnie dlatego ten przedział był wolny.

– W takim razie pozostaje ci zimny prysznic.

Posłała mi jeden z tych swoich niewinnych uśmiezków, które tak uwielbiałem, po czym odwróciła się twarzą do ściany. Parsknąłem śmiechem – szyki pomieszał mi przekłety popsuty zamek. Ułożyłem się na sąsiedniej pryczy i przyglądałem Laurze. Po paru minutach jej oddech uspokoił się i odleciała.

Żeby nie zasnąć, sięgnąłem po telefon. Zamierzałem w coś pograć, mimo że oznaczało to szybsze zużycie baterii. Teoretycznie mógłbym spróbować podładować aparat, ale wtyczka-przejsciówka była zagrzebana w bagażu, a nie miałem siły zwlekać się z pryczy i jej szukać. Ale w sumie nawet jeśli bateria padnie ostatecznie, trudno – i tak zamierzałem pozostać przytomny, na wypadek gdyby do przedziału zajrzeli jacyś nieproszeni goście. Postanowiłem, że telefon podładuję, zanim dotrzemy do celu. O ile oczywiście znajdę jakieś działające gniazdko.

Podczas naszego pobytu we Włoszech upuściłem telefon na ziemię, więc teraz zmuszony byłem wpatrywać się w wyświetlacz, który pokrywała pajęczyna pęknięć. Oczy mi się same zamykały. Obiecałem sobie, że pogram jeszcze chwilę, a potem wstanę, żeby rozprostować kości i napić się wody. Stukot kół na torach i miarowe kołysanie pociągu działały usypiająco. Powtarzałem sobie, że nie wolno mi zasnąć.

W końcu jednak pozwoliłem, by powieki mi opadły. Tylko na chwilę.



Zerwałem się i usiadłem na pryczy wyprostowany jak struna. Byłem zziębnięty, a równocześnie mokry od potu. W ustach czułem jakiś paskudny smak. Telefon zsunął się na podłogę. Śniło mi się, że jestem zamknięty w trumnie i ktoś wali w jej wieko.

ŁUP, ŁUP, ŁUP.

Laura przewróciła się na drugi bok, uchyliła powieki. W tej samej chwili drzwi otworzyły się na oścież i męski głos z wyraźnym miejscowym akcentem zażądał paszportów.

ROZDZIAŁ 4

Mrugałem, wpatrując się w pograniczników. Mój zaspany mózg nie nadążał za tym, co się dzieje.

Mundurowy stojący na przedzie wyciągnął rękę.

– Paszporty do kontroli.

Laura otrzeźwiała pierwsza. Zerwała się z posłania, ukucnęła na podłodze i rozpięła kieszeń w moim plecaku.

Pogranicznicy przyglądali się jej wysiłkom. Ten stojący bliżej nas, trzydziestoparoletni, z nadwagą, miał łysą głowę i rzadki kilkudniowy zarost na brodzie. Jego kolega był trochę młodszy, miał starannie przystrzyżoną bródkę i błękitne oczy o przenikliwym spojrzeniu. Obaj sprawiali wrażenie równie zniecierpliwionych i z jakiegoś tajemniczego powodu wkurzonych, jak gdyby właśnie się dowiedzieli, że dostaną mniejszą wypłatę. W przewodniku czytaliśmy, że rumuńscy pogranicznicy są przyjaźnie nastawieni i serdeczni. Mając to w pamięci, uśmiechnąłem się do nich. Zero reakcji.

– Nie ma ich tutaj – poinformowała mnie Laura.

– Co takiego?

Mężczyźni w mundurach patrzyli, jak kucam przy niej i zanurzam dłoń we frontowej kieszeni plecaka, gdzie zawsze trzymałem paszporty, bilety i pieniądze.

– Przecież były tu – odezwałem się cicho. – Na sto procent. Schowałem je tutaj po tym, jak skontrolowała nas węgierska straż graniczna.

– Jesteś pewien? – syknęła Laura.

– No jasne. – Byłem świadomy, że głos mi lekko drży. – Nie widziałaś, jak je tu wkładałem?

– Nie pamiętam. – Wytrzeszczała oczy, ogarniała ją panika. – Nie przyglądałam się.

– Szybciej – warknął ten łysy.

– Chwileczkę – powiedziałem, unosząc rękę.

Łysy zaczął niecierpliwie stukać nogą. Podeszwa opadała na posadzkę z głuchym dźwiękiem, który rozbrzmiewał niepokojąco. Ja tymczasem przystąpiłem do przeszukiwania wszystkich kieszeni plecaka. Znalazłem tam jedynie gumę do żucia, jakieś zmięte paragony i ulotki. Podczas gdy Laura zaczęła przeszukiwać swój plecak, ja zanurzyłem rękę w głównej komorze mojego. Nagle wymacałem coś, co w pierwszej chwili wziąłem za paszport. Z nadzieją wyciągnąłem książeczkę – okazało się jednak, że to tylko broszura promocyjna zabrana z barcelońskiego muzeum.

Spróbowałem zebrać myśli. Czy na pewno wsadziłem paszporty z powrotem do kieszeni w plecaku? A może przez roztargnienie położyłem je na fotelu, tam gdzie siedzieliśmy z Aliną i Ionem? Nie. Dokładnie pamiętałem ten moment, w którym zapinałem zamek błyskawiczny kieszeni. Zamek się zaciął i przez chwilę się z nim mocowałem. Nie było co do tego wątpliwości – włożyłem paszporty do kieszeni.

Stukot obutej stopy pogranicznika nie ustawał. Zerknąłem na Laurę. Była blada jak ściana.

– Zniknęły – wydusiłem z siebie.

Łysol odezwał się w miejscowym języku do kolegi. Głos miał niski, brzmiał poważnie.

Wyprostowałem się i powiedziałem:

– Nasze paszporty i bilety... Nie mamy ich, ktoś je nam ukradł.

Funkcjonariusz straży granicznej rzucił mi gniewne spojrzenie. Po chwili przeniósł je na stojącą obok mnie Laurę. Poszukałem jej dłoni, ścisnąłem mocno. Łysol zauważył ten gest, a jego usta wykrzywił drwiący uśmiezek.

– Jesteśmy Brytyjczykami – poinformowałem, jak gdyby cokolwiek mogło to zmienić w naszej sytuacji.

Teraz już obaj mundurowi przyglądali nam się z pogardą. Przez chwilę chciałem obrócić swój dość absurdalny komentarz w żarcik: mógłbym wspomnieć królową, Harry'ego Pottera, Manchester United. Ale na szczęście ugryzłem się w język.

– Nazwiska – warknął Łysy.

Powiedzieliśmy, jak się nazywamy – Daniel Sullivan, Laura Mackenzie.

Byłem pewien, że to tylko nieporozumienie, z którego z łatwością wybrniemy. Moje rozumowanie wyglądało następująco: pogranicznicy ujmą się za nami, w końcu byliśmy ofiarami przestępstwa, a złodziej na pewno nadal przebywa na terenie pociągu. A może skład zatrzymał się na chwilę, żeby wpuścić pograniczników? Nie zarejestrowałem, kiedy pociąg mógł stanąć. Tak czy inaczej, padliśmy ofiarą kradzieży, a ci dwaj, reprezentujący w końcu władzę, na pewno będą chcieli nam pomóc. Jasne, nie mieliśmy prawa wchodzić do przedziału sypialnego, ale przecież był pusty. W Anglii wygląda to tak, że jeśli podróżujesz w części pociągu, w której nie powinno cię być, albo jedziesz bez biletu, konduktor poprosi cię o uregulowanie różnicy w cenie albo wlepi ci mandat. Nic wielkiego.

– Ktoś zakradł się do przedziału, kiedy spaliśmy, i nas okradł – wyjaśniłem.

Nie miałem pojęcia, czy pogranicznicy w ogóle mnie rozumieją. Wpatrywali się we mnie obojętnie. W końcu Łysy, stojący chyba wyżej w hierarchii służbowej, powiedział coś do kolegi. Ten ostatni wyszedł z przedziału i ruszył korytarzem.

Łysy tymczasem podniósł mój plecak i zaczął bezceremonialnie go wybebeszać. Wyciągnął moje czyste T-shirty, przewodnik Pociągiem przez Europę, okulary przeciwsłoneczne. Na dnie plecaka trzymałem reklamówkę z brudnymi ciuchami. Patrzyłem, jak Łysy wyciąga ją i otwiera. Po chwili na jego twarzy pojawił się grymas obrzydzenia, po czym mężczyzna się wzdrygnął. Rzucił torbę na posłanie, gdzie leżały już pozostałe rzeczy. Mruknął coś gniewnie, a następnie zabrał się do patroszenia plecaka Laury. Rozpiął zamek błyskawiczny, zerknął do środka i rzucił na podłogę jej kosmetyczkę.

– Ejże. Tak nie wolno – próbowałem protestować.

Typ jednak zupełnie mnie zignorował. Dalej przetrząsał plecak Laury. W pewnym momencie wyciągnął jej reklamówkę z odzieżą do prania, ale szybko schował z powrotem. Następnie w jego dłoni znalazł się czysty czarno-różowy stanik. Uniósł go w wyciągniętej ręce, po czym bezceremonialnie omiótł wzrokiem biust Laury. Zasłoniłem ją swoim ciałem, wtedy parsknął śmiechem i rzucił stanik na niewielką stertę jej rzeczy. Upuszczony przez niego plecak upadł niedaleko miejsca, w którym stałem.

Laura usiadła na łóżku i zajęła się chowaniem wywleczonych przez niego rzeczy z powrotem do dwóch plecaków. Widziałem, że się trzęsie. Chciałem ją pocieszyć, przytulić.

Poczułem, że muszę coś powiedzieć, wpłynąć jakoś na Łysola, sprawić, żeby zrozumiał naszą sytuację. Zanim znalazłem odpowiednie słowa, wrócił jego kolega z bródką. Towarzyszył mu jakiś trzeci – wysoki, szczupły, blady. Ten nowy miał na sobie mundur kolejarza, w ręce trzymał kartkę, na której – jak się domyślałem – miał wypisane wszystkie rezerwacje. Przejechał palcem w dół listy, na koniec pokręcił głową.

Kolejarz i dwaj pogranicznicy wymienili krótkie zdania w języku rumuńskim.

Łysol wskazał mnie, zbierał się chyba, żeby coś powiedzieć. Pewnie łamał sobie głowę nad paroma angielskimi słowami, które kiedyś sobie przyswoił. I właśnie w tej chwili do przedziału zajrzała Alina.

– Dzięki Bogu – westchnąłem.

Ona będzie mogła się z nimi dogadać w ich ojczystym języku. Wytłumaczy im wszystko. Nigdy dotąd nie cieszyłem się tak na widok drugiego człowieka.

– Alina, słuchaj. Ktoś ukradł nam paszporty. Zniknęły też bilety i wszystkie pieniądze, jakie mieliśmy. Wytłumaczysz tym panom, co się stało? My już próbowaliśmy, ale chyba nie rozumiemy.

Chciałem, żeby sprawiała wrażenie poważnej, zrównoważonej osoby. Ona jednak – jak na złość – wydawała się zdenerwowana, roztrzęsiona. Przez chwilę tłumaczyła coś mężczyznom, wyrzucając z siebie szybko słowa.

Łysol pokręcił głową. Wskazał nas, a potem listę przyniesioną przez konduktora.

– Mówią, że nie powinno was tu być – wyjaśniła Alina. – Ten przedział powinien być pusty.

Miałem ochotę powiedzieć: Może z łaski swojej wspomnisz im, że to był pomysł twojego faceta? Ale szybko się opamiętałem, bo co właściwie bym zyskał?

Konduktor się odezwał. Mówił cicho, jak człowiek chory na rozedmę płuc.

– Mówią, że jesteście... – zawiesiła głos, szukając odpowiedniego słowa.

– Pasażerami na gapę – domyśliłem się. – Ale przecież mieliśmy bilety. Tylko że nam je skradziono. Powiedz im, że bardzo nam przykro; że zdajemy sobie sprawę, że skorzystanie z przedziału sypialnego było błędem. Ale kupiliśmy bilety na przejazd. Padliśmy ofiarą przestępstwa.

Alina skinęła głową. Zaczęła coś mówić do mężczyzn. Zakładałem, że powtarza im moje słowa.

Łysol wyrzucił z siebie triumfalnym tonem słowo zrozumiałe w każdym języku:

– Ha!

Alina znów zaczęła mu coś tłumaczyć lekko podniesionym głosem. Jej zdenerwowanie z wolna obracało się w gniew. Mężczyźni obrzucali jej skórzaną kurtkę, buty, fryzurę i makijaż coraz bardziej niechętnymi spojrzeniami. Było jasne, że widzą w niej jakieś dziwadło. Gdyby jej ubiór był bardziej stonowany, gdyby była starsza i miała bardziej tradycyjny image, prawdopodobnie wszystko ułożyłoby się po naszej myśli. Może zresztą chodziło nie tyle o jej wygląd, co raczej sposób bycia. Szybko stało się jasne, że Alina kiepsko się sprawdza w roli mediatora. Po chwili między nią a Łysolem wywiązała się sprzeczka – oboje mówili podniesionymi głosami, przekrzykując się i nie słuchając, co ma do powiedzenia druga strona.

W pewnym momencie z sąsiedniego przedziału wyrzał jakiś mężczyzna. Pogranicznik z bródką warknął coś do niego i pasażer

błyskawicznie wycofał się, zamykając za sobą drzwi.

Sprzeczką Aliny z Łysolem przybierała tymczasem na sile: oboje obrzucali się już wyzwiskami. Wtem mężczyzna uniósł rękę i wyrzucił z siebie pojedyncze, jednosylabowe słowo – „stop” albo „dość”. Powiedział coś do konduktora, który skinął głową i się oddalił.

Łysol, wskazując Laure i mnie, mruknął:

– Idziemy.

Alina próbowała protestować, ale mężczyzna miał już dość dyskusji. Zaczął popychać ją w głąb korytarza. Chciała się odwrócić, nadal wyrzucała z siebie potoki słów. Łysol jednak położył dłoń na jej plecach na wysokości łopatek i ją pchnął.

– Co się dzieje? – spytałem, ruszając za nimi. – Alina?

Nie doczekałem się odpowiedzi. Dziewczyna bez przerwy mówiła po rumuńsku.

– Pociąg zwalnia – zauważyła cicho Laura.

Rzeczywiście. Zwalnialiśmy, jakbyśmy zbliżali się do stacji. Rozległ się pisk hamulców. Pogranicznik silnym pociągnięciem otworzył drzwi wiodące do części między dwoma wagonami. Wepchnąwszy tam Laure, ponaglił nas:

– Idziemy, idziemy.

W miarę jak pociąg zwalniał, zacząłem dostrzegać za oknami majaczące punkciki światła. Wreszcie, z ogłuszającym wizgiem hamulców, pociąg znieruchomiał. Zatoczyłem się, uderzając barkiem w ścianę. Drzwi otworzyły się z sykiem. Zerknąłem w tamtą stronę ponad ramionami Łysoła i Aliny. Staliśmy na jakiejś małej stacyjce, płyta peronu umiejscowiona była jakieś trzydzieści centymetrów niżej.

I nagle dotarło do mnie, co się dzieje.

– Nie, nie – powtarzałem, ale pogranicznik nic sobie nie robił z moich protestów.

Wypchnął Alinę z pociągu. Dziewczyna wylądowała na ciemnym peronie, upadła na kolana. Następnie mężczyzna chwycił Laure za ramię i ją również pchnął na zewnątrz. Udało jej się utrzymać równowagę i nie

upaść. Na deser Łysol zostawił sobie mnie. Kiedy chwiejnie wylądowałem na ziemi, odwróciłem się, żeby na niego nawrzeszczyć. Zobaczyłem wtedy, że lecą na nas nasze plecaki. Upadły na ziemię z głuchym łomotem.

– Tak nie można! – zawołałem.

Ale Łysol po prostu stał w drzwiach, zagradzając przejście, i mierzył nas obojętnym wzrokiem. Po chwili drzwi zamknęły się z sykiem, a pociąg ruszył. My zaś zostaliśmy na peronie, osłupiali. W pewnym momencie w jednym z okien, w części wagonu, gdzie wcześniej siedzieliśmy, zamajaczyła jakaś postać: Ion z szokiem wymalowanym na twarzy.

Pociąg, z każdą chwilą nabierający szybkości, oddalał się od stacji. Widziałem, jak połyka go ciemność. Zostaliśmy sami na stacyjce na końcu świata.

ROZDZIAŁ 5

Musiała upłynąć chwila, nim dotarło do mnie, co się właśnie stało. Wpatrywałem się w mrok, gdzie zniknął pociąg. Nie słyszałem już nawet huku, jaki wydawał. Na niebie wisiał księżyc w pełni, stacja była skąpana w jego nikłym blasku. Gdzieś na niebie błyszczały gwiazdy. Pociąg się oddalił i świat wokół nas pogrążył się w niezmaconej ciszy. Nie było nawet słycać świerszczy. Nie warczały silniki żadnych samochodów. Jedyne, co słyszałem, to mój własny przyspieszony oddech.

Powoli przyzwyczaiłem się do mroku. Podejrzewałem, że nie oddaliliśmy się za bardzo od granicy rumuńskiej. Ale oczywiście nie wiedzieliśmy, ile kilometrów zdążyliśmy pokonać, nim pogranicznicy wyrzucili nas z pociągu. Zupełnie nie znałem geografii Rumunii. Wiedziałem tylko, że znaleźliśmy się w całkowicie obcej krainie i że jesteśmy daleko od domu.

Po mojej lewej stronie (nie miałem kompasu, więc trudno mi było rozeznac się w stronach świata) teren się wznosił – były tam pofalowane wzgórza, doliny, strome stoki z uczepionymi nich drzewami. W oddali w blasku księżyca połyskiwała woda – rzeka albo jezioro. Na horyzoncie wznosiły się wysokie złowrogie góry o poszarpanych graniach. Wzgórza wyglądały przy nich jak dzieci, nad którymi wysokie szczyty trzymały pieczę. Widok odległych gór kojarzył mi się z książkami Tolkiena, w których zaczytywałem się jako nastolatek. Odżyły wspomnienia o hobbitach wyruszających w niebezpieczną podróż w poszukiwaniu Pierścienia.

Po przeciwnej stronie rozciągała się porośnięta lasem równina, którą też na horyzoncie zamykała ściana gór. Widziałem, jak z drzew na skraju lasu wzbilo się w powietrze stado ptaków, cichych i czarnych w słabym świetle.

Zatoczyły krąg na niebie i znów gdzieś przepadły. Za dnia, w świetle słońca, pewnie byłby to piękny widok. Ale nie teraz, nie takiej nocy jak ta.

Stacja była maleńka – dwa perony połączone kładką dla pieszych. Nigdzie nie widziałem żadnej sygnalizacji świetlnej, więc chyba stacyjka była nieużywana. Nieopodal stał mały drewniany budynek, zapewne niegdyś pełniący funkcję kasy biletowej. Z jego ścian odłaziła płatami farba. Rozejrzałem się niespiesznie dookoła. Po chwili wypatrzyłem inne zabudowania. Wszystkie sprawiały wrażenie opuszczonych. Wyglądało to na wioskę, małą osadę, którą w nieodległej przeszłości porzucili wszyscy mieszkańcy.

– Danielu?

Odwróciłem się powoli do Laury. Stała z założonymi rękami na słabo oświetlonym peronie.

– Danielu – powtórzyła, jakby bardziej ponagłajaco.

Podszedłem do mojej dziewczyny i przygarnąłem ją do siebie. Jej miękkie włosy załaskotały mnie w twarz. Noc zrobiła się chłodna, Laura, ubrana w szorty i koszulkę, drżała z zimna. Na ramionach miała gęsią skórę, szczekała zębami. Rozejrzałem się za swoim plecakiem, leżał na betonowej płycie peronu. Jego zawartość częściowo wysypała się na ziemię, niczym wnętrzości z rozplatanego brzucha. Wyszukałem pośród nich bluzę z kapturem i podałem Laurze. Przyglądała się jej, jakby nie wiedziała, do czego służy.

– Szybko, kochanie – zachęcałem. – Załóż ją.

Przez chwilę przypatrywała mi się szeroko otwartymi oczami. Wtem nad naszymi głowami dało się słyszeć jakieś poruszenie. Laura błyskawicznie zadarła głowę i wpatrzyła się w drzewo: skakał po nim jakiś ptaszek, ledwie widoczny na tle czarnych gałęzi.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałem. Zabrzmiało to tak, jakbym próbował pocieszać siebie, a nie ją.

Jak się okazało, Laura szybciej ode mnie otrząsnęła się z szoku. Zdobyła się nawet na dowcip:

– Zależało mi na przygodzie z dala od cywilizacji. Ale to lekka przesada.

Alina, stojąca parę kroków dalej, spoglądała w dal, tam gdzie w mroku ginęły tory. Wydawało się, że jest w transie.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – spytałem.

Żadnej odpowiedzi.

– Alina?

Podszedłem do niej i dopiero wtedy się ocknęła. Powtórzyłem pytanie.

Dziewczyna rozejrzała się wokół i pokręciła głową.

– Możesz mi wytłumaczyć, co to wszystko ma znaczyć? Gdzie zniknął Ion? I dlaczego nas nie obudziliście, jak się umawialiśmy?

Potała oczy, potrząsnęła głową, jakby chciała odgonić senność.

– Zaspałam.

– A Ion?

– Poszedł do wagonu restauracyjnego, żeby kupić coś do żarcia. Chyba... Zasnąłam tylko na pięć, może dziesięć minut, tak mi się wydaje. Kiedy zobaczyłam, że idą do was pogranicznik z konduktorem, od razu pobiegłam, żeby wam pomóc.

– No i pomogłaś...

– Przepraszam – bąknęła, zwieszając ponuro głowę. Ale już po chwili oczy jej rozbłysły. – Ale skurwiel z tego pogranicznika. Jeśli kiedyś go spotkam, skopię mu tyłek.

– Zimno mi.

Oboje odwróciliśmy się do Laury, która nadal stała z założonymi rękami. Jej wytrzeszczone oczy były wielkie niczym słońce, które prażyło nas w pierwszej części wyprawy. Teraz włoskie i hiszpańskie plaże wydawały się odległym snem.

Chciałem znów ją przytulić, ale tym razem wzdrygnęła się, gdy jej dotknąłem.

– Gdybyś kupił bilety na przedział sypialny, uniknęlibyśmy całego tego cyrku.

– I tak ktoś mógłby nas okraść – zaprotestowałem.

– Nie, nic takiego by się nie wydarzyło. – Laura przeczesła dłonią włosy i westchnęła. – Źle zrobiłam, godząc się na przejście do tego niezajętego przedziału sypialnego. Od początku czułam, że to zły pomysł.

– A mnie się wydawało, że wszystko będzie dobrze – powiedziałem zamyślony. – Przepraszam.

Alina odwróciła się, żeby nam nie przeszkadzać, i wyciągnęła z kieszeni zmiętą paczkę papierosów. Zapaliła jednego i mocno się zaciągnęła.

– Przynajmniej macie swoje bagaże – stwierdziła, oglądając się przez ramię. – Moje rzeczy zostały w tym cholernym pociągu.

– Masz telefon? – spytałem.

Zaczęła szperać w kieszeniach jeansów. Przez chwilę przyglądała się znalezionemu paszportowi.

– Nie, został w mojej torbie – westchnęła.

– A mój się wyłączył – oznajmiłem. Pewnie bateria padła, kiedy spałem.
– Lauro, a twoja komórka?

– Jest w plecaku.

Uklękła i zaczęła przetrząsać zawartość plecaka.

– Nie ma. Ukradli ją razem z resztą naszych rzeczy.

Przekląłem głośno.

– Pewnie złodziej zajrzał do przedziału, zobaczył, że śpimy, i postanowił zaryzykować. – Nagle coś mnie tknęło. – Ej, a może to był ten gostek, który się na ciebie gapił? Alina, widziałaś go potem? Wysiadł z pociągu?

– Nie wiem, nie widziałam go – powiedziała, zaciągając się papierosowym dymem.

– To już i tak bez znaczenia – rzekła Laura. – Nasze rzeczy przepadły. Nigdy się nie dowiemy, kto je zabrał. – Rozejrzała się wkoło i powiedziała:
– Nie podoba mi się to miejsce. Wydaje się... nawiedzone.

– Nawiedzone? – Alina zerknęła na nią, unosząc brew. – Wierzysz w duchy?

– Owszem.

Odetchnąłem z ulgą, widząc, że Laura nie zamierza ciągnąć tematu. Dawno już pogodziłem się z tym, że moja dziewczyna wierzy w zjawiska nadprzyrodzone. Ale ilekroć wspominała o tym w rozmowie z innymi ludźmi, czułem się lekko zażenowany. Poza tym nie miałem teraz najmniejszej ochoty na rozmowy o duchach.

Alina chyba zauważyła, że wgapiam się w jej papierosa, bo spytała:

– Chcesz fajkę?

– Nie, dzięki.

Wzruszywszy ramionami, skierowała się do kasy biletowej. Nachyliła się do okna i próbowała zajrzeć do środka przez brudną szybę.

– Tam jest mapa – powiedziała.

Podszedłem do okna. Po chwili dołączyła do nas Laura. Rzeczywiście, na ścianie naprzeciw okna wisiała stara mapa w formacie A2, przedstawiająca chyba okolice. W półmroku dało się dostrzec czerwoną strzałkę, która zapewne wskazywała miejsce, gdzie aktualnie się znajdowaliśmy. Było jednak za ciemno, by cokolwiek przeczytać.

– Jesteś w stanie się rozeznąć w tej mapie? – zagadnąłem Alinę.

– Chyba tak... Wydaje mi się, że ta zielona plama to Góry Zachodniorumuńskie. My jesteśmy tutaj, w lesie poniżej.

Przez chwilę studiowała mapę, mrużąc oczy.

– Jest tu jakieś miasto, całkiem niedaleko.

Przyjrzałem się czarnej kropce, o której mówiła. Obok niej znajdowała się jakaś krótka nazwa, ale niestety nie dało się jej odczytać. Ale w sumie nie miało to znaczenia. Najważniejsze, że nieopodal było miasto. Ludzie. Cywilizacja.

– Zwróciłaś uwagę, czy przejeżdżaliśmy przez jakąś miejscowość? – zainteresowałem się.

– Chyba tak. Tak mi się wydaje.

Wszyscy skierowaliśmy spojrzenia ku torom ciągnącym się w kierunku, z którego przyjechaliśmy. By położyć tory, wykarczowano szeroki pas lasu, a tym samym podzielono go na dwie części. Mieściły się w nim dwa tory,

każdy z dwumetrowym poboczem. Z miejsca, w którym staliśmy, dostrzegaliśmy tylko kilka metrów torowiska, reszta ginęła w mroku.

– Jak myślisz, jak daleko stąd do miasta?

– Sama nie wiem. Dziewięć, może dziesięć kilometrów.

– Czyli jakieś sześć, siedem mil?

Poczułem, jak Laura kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Chyba nie chcesz pokonać tej drogi pieszo? Nie lepiej zostawić tory i poszukać jakiejś drogi?

– No nie wiem – odparła Alina. – Spójrzcie na mapę, wyraźnie widać, że tor biegnie prosto do miasta. Droga też wiedzie przez las, ale jest znacznie dłuższa.

Nagle z drugiego końca peronu dobiegł jakiś hałas. Laura ścisnęła mnie mocniej za ramię. Czuję, jak jej palce wpijają mi się w skórę.

– Co to było, do cholery? – spytała nienaturalnie piskliwym głosem.

I wtedy znów to usłyszeliśmy: warczenie.

Alina zrobiła kilka ostrożnych kroków w tamtą stronę.

– To pies – wyjaśniła cicho.

Znowu rozległo się warknięcie i po chwili rzeczywiście zobaczyliśmy psa. Stał po naszej lewej stronie, mając za sobą góry. Kiedy Alina zaczęła się cofać, pokazał się następny. Dwa psy o czarnym umaszczeniu. Przypominały nieco dobermanów, ale trochę mniejsze i zupełnie czarne. Ucichły i przypatrywały się nam, szczerząc ostre żółte kły.

Laura stanęła za mną. Ona zawsze panicznie bała się psów. Moi rodzice mieli czarnego labradora, niegroźnego, ale hałaśliwego psiaka. Ilekroć wpadaliśmy do nich z wizytą, trzeba było zamykać go w kuchni, bo moja dziewczyna była przerażona. Ten strach to coś, co odziedziczyła po swojej matce, którą w dzieciństwie zaatakował pies, a która potem przekazała swoje lęki dziecku.

Alina powoli wróciła do miejsca przy oknie. Laura nadal kurczowo zaciskała palce na moim ramieniu. Byłem pewien, że nazajutrz będę miał siniaki.

Jeden z psów zrobił krok w naszą stronę. Z jego pyska dobyło się niskie, złowrogie warknięcie. W moim umyśle nagle pojawiło się słowo „wścieklizna”. A wraz z nim obrazy toczony z pyska piany, wstrząsanych konwulsjami ciał, gorączki, bólu, śmierci.

– Wiecie co – szepnęła Alina – zdecydowanie wolę przejść się do najbliższego miasta, niż zostać tu z tymi dwoma. Jeśli będziemy się posuwać wzdłuż torów, powinniśmy dotrzeć na śniadanie.

– Która godzina? – zainteresowała się Laura.

Zerknąłem na zegarek.

– Parę minut po trzeciej.

– Faktycznie, zdążymy na śniadanie – oświadczyła Alina.

Skinąłem głową.

– Lauro, zgadzasz się?

Spojrzała na psy. Potem podążyła wzrokiem wzdłuż torów.

– Jest za ciemno. Niby jak mamy znaleźć drogę?

– To tory kolejowe. Wystarczy, że będziemy się ich trzymać. Poza tym mam latarkę, pamiętasz?

Podczas pakowania w ostatniej chwili coś mnie tknęło i wsunąłem do plecaka latarkę. Szczyryka nie spakowałem, bo nie miałem.

Laura popatrzyła na psy, a następnie przeniosła spojrzenie na tory. Znowu zerknęła na zwierzęta, które z obnażonymi zębami zbliżyły się o kolejny krok.

– No dobra – odezwała się w końcu. Jej głos niemal utonął wśród warknięć czarnych bestii.

Zaczęliśmy się powoli wycofywać, uważając, żeby nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Schyliłem się i podniosłem z ziemi dwa plecaki, jeden podałem Laurze. Z drugiego wyciągnąłem latarkę i sprawdziłem, czy działa. Na szczęście świeciła. Po chwili oboje zarzuciliśmy sobie plecaki na plecy i ruszyliśmy na koniec peronu. Przeszliśmy pod kładką. Ktoś namazał tu farbą w spreju postać mężczyzny z wielkimi genitaliami. Jego penis wycelowany był w mniejszą kobietę

postać. Tuż obok widniał rysunek diabła, jego twarz wykrzywiał grymas, wydawało się, że krzyczy.

Odwróciłem wzrok. Miałem nadzieję, że moja dziewczyna nie zauważyła graffiti. Ruszyłem za Aliną wzdłuż torów, uważając przy tym, by nie stawać na szynach, na wypadek gdyby płynął nimi prąd. Chwyciłem Laurę za rękę i zaczęliśmy się zagłębiać w las.

ROZDZIAŁ 6

Posuwaliśmy się wzdłuż torów, las mając po lewej stronie, szyny po prawej. Przez cały czas towarzyszył nam mur drzew, nieruchomych niczym żołnierze trzymający wartę. Miejscami wyższe drzewa nachylały się nad torami, stykając się wierzchołkami z drzewami rosnącymi po drugiej stronie torowiska, co tworzyło ażurowy tunel. Wyciągały do siebie konary, jak gdyby chciały uleczyć ranę, jaką pozostawiła po sobie w lesie działalność człowieka. Starłem się nie zwracać na nie uwagi, patrzeć zamiast tego pod nogi i na te parę metrów przed nami, jakie z mroku wykrawał snop latarki. Płaska przestrzeń między ścianą lasu i torowiskiem zasłana była wyschniętymi liśćmi i częściami roślin. Czasami natrafialiśmy też na ślady obecności człowieka w postaci zardzewiałej puszki po piwie czy paczki po chipsach, wyrzuconych z okna przejeżdżającego pociągu. Alina wzięła następnego papierosa. Kiedy wypaliła całego, przystanęła, rzuciła peta na ziemię i zdeptała.

Panowała cisza, więc zaraz po opuszczeniu stacyjki zacząłem gadać jak nakręcony.

– Umieram z głodu – stwierdziłem. – Ciekawe, co zjemy na śniadanie, jak dotrzemy do miasta.

– Nie mamy kasy – przypomniała Laura.

Przebrała się w długie spodnie, dzięki czemu nie dygotała już z zimna.

– Ja mam trochę w kieszeni – oznajmiłem.

– Może znajdzie się tam też butelka ginu?

– Nie, ale w plecaku mam wodę. Chwileczkę.

Odszukałem opróżnioną do połowy butelkę wody mineralnej i podałem dziewczynie. Napiała się i poczęstowała Alinę. Ta jednak machnęła ręką na

znak, że nie chce.

I znowu poczułem, że muszę coś powiedzieć.

– To trochę jak w tym filmie. No wiesz, tym z Riverem Phoenixem. Grupka chłopaków wędruje przez las wzdłuż torów.

– Stań przy mnie – domyśliła się Laura. – A na końcu znajdują zwłoki.

– Zmieniam zdanie, to zupełnie nie przypomina tego filmu z Riverem Phoenixem.

Laura się roześmiała. Zauważyłem, że nastrój jej się trochę poprawił. Niebo rozchmurzyło się odrobinę i znów ukazał się księżyc. Świecił na tyle jasno, że mogłem wyłączyć latarkę. Ścisnąłem mocniej dłoń Laury, a ona zrewanżowała mi się tym samym.

– Pewnie Ion był w szoku, kiedy zorientował się, że straż wyrzuciła cię z pociągu – zagadnąłem Alinę.

– Raczej się ucieszył.

– Czemu tak mówisz?

Dziewczyna uciekła spojrzeniem w bok.

– Pokłóciliśmy się. To dlatego poszedł do wagonu restauracyjnego. Uciekł.

– Od dawna jesteście parą? – zainteresowała się moja dziewczyna.

– Hmm.

Spojrzelśmy po sobie z Laurą. Czekaliśmy, aż rozwinie temat, ale na próżno.

– Byłaś kiedyś w Anglii? – spytałem, żeby podtrzymać rozmowę. Za każdym razem, gdy milkłem, odzywał się las: szelesty, szuranie, dźwięki wydawane przez kryjące się w mroku stworzenia.

– Nie.

– Powinnaś kiedyś przyjechać. Londyn na pewno przypadnie ci do gustu. Jesteś artystką. Mój najlepszy kumpel jest muzykiem, wokalistą. Jego zdaniem Londyn to największa w Europie mekka artystów.

Ciekawe, jak zareaguje Jake, gdy opowiem mu o naszych przygodach. Pewnie niewesołe wydarzenia ostatnich godzin posłużą za materiał do

zabawnej anegdotki. Było jasne, że Jake powtórzy ją wszystkim naszym znajomym.

– O ile się nie mylę, od przyszłego roku Rumuni będą mogli swobodnie przyjeżdżać do Wielkiej Brytanii i tam pracować – ciągnąłem. – Prawicowcy robią z tego wielką aferę, jak gdyby groził nam co najmniej najazd.

Alina wydała z siebie nieartykułowany dźwięk.

– I co, jak wam się podoba w Rumunii? – spytała po chwili.

Laura i ja parsknęliśmy śmiechem.

– Na pewno namówię wszystkich moich znajomych na przyjazd tutaj – stwierdziła Laura. – Najbardziej podobają mi się tutejsze lasy. I oczywiście pogranicznicy, są tacy szarmanccy. Niesamowicie przyjacielscy.

Nie widziałem twarzy Aliny, nie byłem nawet pewien, w jakim tonie zadała to pytanie: sarkastycznym czy serio. Pewnie to pierwsze, ale wolałem nie ryzykować, że ją urażę.

– Jestem pewien, że kiedy już wszystko się ułoży i wrócimy do cywilizacji, pokochamy ten kraj.

– Na waszym miejscu wyniosłabym się stąd pierwszym samolotem – stwierdziła Alina.

Zamierzałem wspomnieć o tym, jak marzyłem o zwiedzeniu Sighișoary, gdy Laura chwyciła mnie za rękę.

– Słyszałeś?

– Ale co? – spytałem, nieruchomiejąc.

– Stukot, jakby pazury jakiegoś zwierzęcia – wyjaśniła, poruszając palcami niczym pająk.

– O Boże – jęknąłem. – A co, jeśli te psy leżą za nami?

Szybko włączyłem latarkę i poświeciłem do tyłu. Nic, tylko ginące w ciemności szyny. Przeszedłem kilka kroków w tamtą stronę. Pusto, żadnych psów.

– Spokojnie – odezwała się Alina, kiedy wróciłem do dziewczyn. – Ten dźwięk to pewnie gałęzie trące o pień drzewa. W takich miejscach niewiele

trzeba, żeby napędzić człowiekowi strachu, to zupełnie naturalne. Idźmy gęsiego, dobra?

– W porządku – zgodziłem się.

Laura milczała.

– Wszystko gra? – spytałem łagodnym głosem.

Ona jednak patrzyła na Alinę.

– Czy w tych lasach żyją jakieś zwierzęta?

– No jasne...

– Ale jakie? – dopytywała Laura. Jej oczy stały się wielkie jak spodki. – Wilki? Niedźwiedzie?

– Nie wiem.

– Czytałem w przewodniku, że wilki i niedźwiedzie wyginęły w tych okolicach – wtrąciłem szybko.

Laura obdarowała mnie spojrzeniem, które zdawało się mówić, że zupełnie nie umiem kłamać.

– Chcę jak najszybciej się stąd wydostać – wyrzuciła z siebie. Kiedy wypowiadała ostatnie słowo, głos jej się załamał.

– Niedługo dotrzemy do miasta – próbowałem ją pocieszać. – Zjemy śniadanie. A kiedy to wszystko się skończy i będziemy wspominać tę noc...

Laura, nie czekając, aż skończę, podjęła marsz. Szła energicznie, jakby wstąpiły w nią nowe siły. Obserwując ją, można by pomyśleć, że jej plecak nic nie waży. Ja tymczasem popatrzyłem z obawą na otaczający nas las. Skłamałem na temat niedźwiedzi. O ile wiedziałem, w tej części Rumunii nadal spotykało się niedźwiedzie brunatne. Inna sprawa, że moich myśli nie zaprzętały dzikie zwierzęta, a raczej moja dziewczyna. Czy naprawdę winiła mnie za to, co się stało? Nie ulegało wątpliwości, że gdybym wykupił bilety na przedział sypialny, spędzilibyśmy tę noc bezpiecznie w łózkach i za zamkniętymi na zamek drzwiami. Nikt wówczas nie skradłby naszych dokumentów i pieniędzy. Nie spotkalibyśmy Aliny, nie zostalibyśmy wyrzuceni z pociągu. Wszystko byłoby w porządku.

Niezależnie od tego, czy Laura mnie obwiniła, czy też nie, żałowałem swojej decyzji. Gdybym mógł cofnąć czas... Niestety, w prawdziwym

życiu nie da się tak po prostu wymazać tego, co już się wydarzyło. Co się stało, to się nie odstanie; i nie mogłem nic na to poradzić. Teraz po prostu musieliśmy się stąd wydostać. A potem będziemy się śmiać z tej przygody. Szczerze w to wierzyłem.

Przyspieszyłem kroku, żeby dogonić Laurę. Alina ruszyła za mną.

Mimo że ta cisza mnie dobijała, czekałem cierpliwie, aż Laura się odezwie.

– Marzyła mi się przygoda, no to teraz mam, czego chciałam.

– Lauro, przykro mi, że nie wykupiłem kuszetek. Gdybym wiedział...

Uciszyła mnie uniesieniem ręki.

– Danielu, wszystko gra. Nie obwiniam cię. Nie wiedziałeś, co się stanie, to oczywiste. Znasz mnie, wiesz, że dąsanie się albo żywienie do kogoś urazy nie jest w moim stylu. Po prostu jestem zmarznięta, zmęczona, głodna i przestraszona. I chcę się stąd jak najszybciej wydostać. Jasne?

– Rozumiem.

Przez pół godziny maszerowaliśmy niemal w całkowitym milczeniu, ze wzrokiem skierowanym przed siebie, koncentrując się tylko na stawianych krokach.

– Wiecie co? – odezwała się nagle Alina. – Muszę się załatwić.

– No jasne. Odwrócimy się – zaproponowałem.

– Schowam się za drzewa. Nie lubię... nie lubię, kiedy ktoś na mnie wtedy patrzy...

Dziwnie było obserwować przemianę pewnej siebie, zbuntowanej kobiety w nieśmiałą dziewczynkę. Podeszedłem, żeby podać jej latarkę, ale Alina powiedziała:

– Nie trzeba. Nie odejdę daleko.

Ruszyła ku ścianie lasu, a po chwili weszła między dwa grube pnie i zniknęła mi z oczu. Popatrzyłem w niebo, potem zerknąłem na zegarek – dochodziła czwarta nad ranem. Do świtu zostało już niewiele, pomyślałem.

– Jak się czujesz? – spytałem Laurę, biorąc ją w ramiona. Od razu wyczułem, jaka jest spięta, jak naprężone są jej ramiona. Próbowałem je rozmasować przez materiał bluzy z kapturem, którą jej dałem.

– Nie chcę dramatyzować... – powiedziała, a z oczu popłynęły jej łzy. – Ale wszystko się spieszyło, prawda? To koniec naszej niezapomnianej wyprawy. Jak sobie poradzimy bez paszportów? Skąd weźmiemy forszę?

– Wszystko się ułoży. Musimy tylko dotrzeć do miasta, a tam będziemy mogli załatwić formalności.

– Nie byłabym taka pewna. Moja koleżanka z pracy zgubiła kiedyś paszport za granicą. Żeby zdobyć nowy, musiała wrócić do Anglii. Bez paszportu nie mogła przekroczyć żadnej granicy. Konsulat brytyjski wydał jej zaświadczenie, dzięki któremu mogła wrócić do ojczyzny, ale na tym ich pomoc się kończyła. Czeka nas powrót do Anglii.

– Może to wcale nie taki zły pomysł? – Uśmiechnąłem się niepewnie.

– Ale przecież od tak dawna planowaliśmy tę podróż. Mieliśmy zwiedzić jeszcze tyle ciekawych miejsc.

– Może w takim razie wrócimy do Anglii, załatwimy paszporty i przylecimy jeszcze raz?

– Ale nie do Rumunii – zaznaczyła szybko.

– Cóż, nie wydaje mi się, żeby...

– Daniel!

– No dobra, nie do Rumunii. – Przytuliłem ją jeszcze raz. – Mimo że to taki miły zakątek świata.

Laura nie roześmiała się.

– Daniel, błagam, nie pisz o tym, co się stało, na Facebooku. Nie próbuj obrócić tego w zabawną historyjkę.

– Nie mam zamiaru – zapewniłem, cofając się. Ale tak naprawdę dosłownie parę minut wcześniej dokładnie o tym samym pomyślałem: że fajnie byłoby wrzucić jakiś zabawny wpis na walla.

– To nie jest zabawne – dodała Laura. – Nie chcę, żeby cokolwiek przypominało mi o tym, co tu się wydarzyło. I nie chcę, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli. Proszę, obiecaj mi, że tego nie zrobisz.

Spełniłem jej prośbę. Starłem się nie dać po sobie poznać, jak bardzo jestem zawiedziony.

– Dziękuję.

Laura popatrzyła w kierunku, w którym poszła Alina.

– Długo nie wraca.

Laura zbliżyła się do ściany lasu. Pod stopami zachręściły jej zgniecione puszki po piwie.

– Alina? – zawołała. – Wszystko w porządku?

Czekaliśmy, aż coś odkrzyknie, ale na próżno. Odpowiedziała nam cisza.

ROZDZIAŁ 7

– Alina? – Teraz to ja zawołałem. Po chwili spróbowałem znowu.

Nic.

Ja i Laura spojrzeliśmy po sobie. Ruszyłem ku ścianie lasu, dłonią oparłem się o chłodną korę drzewa i nachyliłem się ku ziejącej dalej ciemności.

– Alina? – zawołałem. – Wszystko gra?

Laura stała tuż za mną, słyszałem jej przyspieszony oddech. Serce waliło mi w piersi, nagle zrobiło mi się przeraźliwie zimno.

– Gdzie ona, do cholery, polazła? – spytałem. W sumie nie wiedziałem, czy pytanie to kieruję do mojej dziewczyny, czy do otaczającego nas lasu.

Teraz była kolej Laury, by zawołać Alinę. Jej głos odbił się echem od muru drzew. Nikt nie odpowiedział na jej wołanie.

– Niemożliwe, żeby poszła tak daleko się wysikać – mruknąłem.

– A co, jeśli potknęła się, upadła i uderzyła w głowę? – zastanawiała się Laura, wlepiając we mnie wzrok. – Albo... bo ja wiem... wpadła do jakiegoś rowu?

– Musimy się rozejrzeć.

Słyszałem, jak Laura bierze głęboki wdech. Tutaj, przy torowisku, czuliśmy się w miarę bezpiecznie. Ale las... ta czarna otchłań czająca się parę kroków dalej... Na myśl o tym, że miałbym się tam zapuścić, całe moje ciało stężało.

Ale nie mieliśmy innego wyjścia.

Włączyłem latarkę i wkroczyłem między drzewa, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie przed paroma minutami znikła Alina. Laura, nie

puszczając mojej ręki, ruszyła za mną.

Zagłębiliśmy się tylko parę kroków w las, ale to wystarczyło, byśmy znaleźli się w innym świecie. Niskie kolczaste gałęzie drzew groziły wydłubaniem oczu, płożące zarośla czepiały się naszych stóp. W świetle latarki ukazywały się wyłącznie zgaszone barwy: ciemne odcienie zieleni i brązu, i widoczne na ich tle wszechobecne czarne zygzaki gałęzi i pni. Każda plama mroku wydawała się groźna, jakby skrywała coś przerażającego. Tam, gdzie nie radził sobie mój wzrok, natychmiast wślizgiwała się wyobraźnia. Makabrycznych obrazów dostarczały nie tylko wspomnienia niezliczonych filmowych i książkowych horrorów, ale też coś ulokowanego w głębszych pokładach mózgu – sięgający tysiący lat wstecz pierwotny lęk, jaki budzi w człowieku las nocą.

Machałem latarką na wszystkie strony, próbując odepchnąć nacierający mrok – pokonać go światłem. W pewnym momencie, mimo że próbowałem iść dalej, nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Zawróciłem i skierowałem się z powrotem ku torowisku, ciągnąc za sobą Laurę.

– Nie możemy jej tam zostawić. Musimy wrócić i jej poszukać – stwierdziła, kiedy znów stanęliśmy w pobliżu torów.

Choć było chłodno, oblewał mnie pot. Omiotłem spojrzeniem ścianę lasu. Nie chciałem tam wracać. Najstarsza, gadzia część mojego mózgu krzyczała: Uciekaj, nie walcz. Nie idź tam. W nogi!

– A co, jeśli to jednak był niedźwiedź? – szepnąłem. – Może ją dopadł.

– Przecież mówiłeś, że niedźwiedzie tu wyginęły.

– Nie tyle wyginęły, co raczej występują rzadko.

Oboje popatrzyliśmy z obawą na drzewa.

– Ale usłyszeliśmy coś – stwierdziła Laura. – Krzyk, warczenie...

– Skąd wiesz, jakie dźwięki towarzyszą atakowi niedźwiedzia? Ale może to wcale nie był niedźwiedź, tylko...

W moim umyśle pojawiło się słowo „potwór”, ale dokładnie w tym samym momencie zrozumiałem, że nie mogę wypowiedzieć go na głos.

– Tylko co?

Za żadne skarby nie chciałem wracać do tego lasu. Miałem wrażenie, jakbym właśnie doznawał ataku fobii, o której istnieniu nie miałem dotąd pojęcia. Nigdy nie jeździłem pod namiot do lasu. Dzieciństwo spędziłem w mieście, pośród betonu i światła.

Jednak wzrok Laury był jeszcze gorszy od strachu przed lasem. Wyzierało z niego rozczarowanie.

– Powinniśmy iść dalej i wezwać pomoc – zawyrokowałem.

– Pomoc? Przecież minie wiele godzin, nim ktoś się tu zjawi. Musimy działać już teraz.

– No to zaczekajmy, aż się przejaśni.

Laura popatrzyła w niebo. Księżyc wisiał dokładnie nad nami, a jego mlecznobiały blask wlewał otuchę w nasze serca. Wiedziałem jednak, że kiedy tylko przekroczymy granicę lasu, jego światło stanie się tylko wspomnieniem.

– A ile zostało do świtu? Tymczasem ona może leży nieprzytomna w lesie i wymaga pilnej pomocy medycznej. Albo jest unieruchomiona, mogła na przykład skreślić nogę w kostce. A co, jeśli nieopatrznie weszła w myśliwską pułapkę?

Jej wyobrażenia, zupełnie jak moja, podsuwała niezliczone obrazy zapamiętane z filmów.

– Dlaczego zatem nie krzyczy? Nie wzywa pomocy?

– Nie mam pojęcia! Ale musimy jej poszukać. Danielu, jeśli ją tu zostawimy, nigdy sobie tego nie wybaczę. Daj mi to – zażądała, wyrrywając mi latarkę. – Skoro tak się boisz – prychnęła pogardliwie – pójdę sama.

– Lauro, nie.

Jednak ona ruszyła już w stronę drzew.

– Wracaj. – Rzuciłem się w pogoń, a po chwili dogoniłem ją i chwyciłem za ramię. Obróciła się na pięcie. – No dobrze, przepraszam. Pójdziemy razem. Daj mi latarkę.

– A niby dlaczego to ty...

– Po prostu mi ją oddaj, proszę.

Myśl, że nie miałbym kontroli nad światłem, była zbyt przerażająca.

Z latarką w jednej ręce, z dłonią Laury w drugiej mogłem stawić czoło swoim lękom. Zdawałem sobie sprawę, że zachowuję się niemądrze. Za dnia bez wahania zanurzylibym się w tym lesie. Teraz po prostu powinniśmy zachować czujność i patrzeć, gdzie stawiamy kroki. A wtedy wszystko będzie dobrze. Powtarzałem sobie w myślach te słowa. Dobrze, dobrze, dobrze.

– Tu jest ścieżka – odezwała się Laura, gdy przyświecając sobie latarką, minęliśmy pierwsze zarośla.

I rzeczywiście: pośród drzew wiła się wydeptana przez zwierzęta ścieżynka, szeroka na mniej więcej metr. Niewykluczone, że Alina właśnie tędy poszła za potrzebą. Tylko po co miałyby wędrować tak daleko, skoro wystarczyło oddalić się parę metrów od nas? Oczywiście martwiłem się o nią, ale byłem też wściekły – w końcu to ona wpakowała nas w tarapaty. Zastanawiałem się nawet, czy przypadkiem nie schowała się teraz celowo, żeby napędzić nam strachu. Albo uznała, że ma dość naszego towarzystwa, i chciała się nas pozbyć? Mogła przecież przemknąć wzdłuż ściany lasu i wrócić na tory kawałek dalej. Praktycznie nie znaliśmy tej dziewczyny. Kto wie, może nastraszenie nas wydało jej się świetnym pomysłem? A kiedy dotrzemy w końcu do miasta, roześmieje się nam w twarz.

– Jeśli po dziesięciu minutach jej nie znajdziemy, zawrócimy. Oznaczmy to miejsce i sprowadzimy pomoc. Musimy uważać, żeby się tu nie zgubić. Zgoda?

Coś poruszyło się w liściach po naszej lewej ręce. Laura, przerażona, doskoczyła do mnie i ścisnęła kurczowo za ramię. Mało brakowało, a wytrąciłaby mi z ręki latarkę.

– Lauro!

– Zgoda, dziesięć minut.

Poświeciłem na ścieżkę. Widoczność: mniej więcej dziesięć metrów. Dalej rozciągało się nieznane. Oczywiście racjonalna część mojego umysłu przekonywała, że znajdziemy tam po prostu dalszą część ścieżki i więcej lasu. Nic poza tym. Wyobraź sobie, że to letni dzień, powtarzałem w myślach. Przeświecające przez liście złociste promienie słońca, kładące się na ścieżce ruchliwymi plamami cienia. Urocze małe zwierzątka przemykające wśród gałęzi drzew. Piękne kwiatki przy ścieżce. To

zwyczajny las, po prostu duży. Jednak moja autohipnoza na niewiele się zdawała. Zamiast słonecznego światła otaczał mnie przerażający mrok. Zamiast słodziutkich zwierzątek wyobraźnia podsuwała mi obraz żółtych ślepi wygłodniałych drapieżników. Rzekome piękne kwiatuszki, psianki i naparstnice w rzeczywistości były trujące. Gdzieś na ścieżce leżały jakieś jagódki, ale podejrzewałem, że one też są zabójcze.

Wzięłem uspokajający oddech i zagłębiałem się dalej w las.

– Alina! – zawołała Laura.

Ja też wołałem, choć czułem się z tym dość głupio. A ponadto nie opuszczała mnie myśl, że jeśli w tych okolicach są niedźwiedzie, nasze krzyki mogą je przyciągnąć.

Nagle w snopie światła przed nami coś przemknęło w poprzek ścieżki. Oboje podskoczyliśmy ze strachu.

– Jezu – jęknęła Laura.

– To tylko szczur – powiedziałem. – Chyba.

Obejrzałem się do tyłu i poświeciłem latarką. Chciałem zapamiętać miejsce, w którym weszliśmy na ścieżkę. Zadarłem głowę w nadziei, że na niebie ujrzę księżyc albo chociaż nikłą poświatę gwiazd. Jednak korony drzew były tu zbyt gęste. Kiedy posuwaliśmy się naprzód, zewsząd dobiegały ciche dźwięki świadczące o tym, że wokół nas toczy się życie – przemykały małe zwierzęta i ptaki, jakieś stare drzewo trzeszczało od podmuchów wiatru. Dłoń Laury była ciepła i wilgotna, ja jednak marzłem, a na ramionach miałem gęsią skórę. Chciałem coś powiedzieć, ale zaschło mi w ustach. Serce tłukło mi się w piersi, jakby chciało wyskoczyć.

– Wydaje mi się, że chodzimy w kółko – odezwałem się w końcu. – Byliśmy już tutaj.

– Niemożliwe.

Ja jednak byłem pewien, że rozpoznaję to miejsce. Niedaleko powinna być granica lasu. Ogarnęła mnie przemożna chęć, by porzucić te obłąkańcze poszukiwania i uciec. Może Alina się zgubiła, ale potem odnalazła drogę do torów i teraz tam na nas czeka.

Miałem właśnie zasugerować, żebyśmy wracali, gdy usłyszałem szept Laury:

– Spójrz!

Coś leżało na ścieżce przed nami. Niemal od razu rozpoznałem, co to takiego. Schyliłem się, podniosłem przedmiot z ziemi i pokazałem Laurze.

Był to but należący do Aliny. Czarny, skórzany, z rozpiętym do połowy zamkiem błyskawicznym.

– O Boże.

Poświeciłem wokół latarką w nadziei, że gdzieś obok znajdziemy drugi but. Jednak bez skutku. Chciałem zaproponować, żebyśmy wezwali pomoc, gdy Laura chwyciła mnie kurczowo za rękę.

– Słyszałeś?

– Nie...

Ale w tej samej chwili dźwięk się powtórzył – cichy, lecz niedający się pomylić z niczym innym. Był to ludzki krzyk.

– O kurwa – wydyszała Laura.

– Musimy zawrócić...

Ale ona już puściła się biegiem – przed siebie. Wyrwałem się z odrętwienia i ruszyłem za nią. Oboje biegliśmy ile sił w nogach, gdy ciszę znów rozerwał przeraźliwy krzyk, tym razem był bliżej. Kiedy przedzieraliśmy się ku miejscu, z którego dobiegało wołanie, las zdawał się napierać ze wszystkich stron. I nawet teraz, gdy tamte chwile wracają do mnie w koszmarnych snach, widzę wyraźnie, że z drzew spoglądały na nas twarze: kora na pniach układała się w wykrzywione w śmiechu usta i oczy, z których biła nienawiść. Te piekielne oblicza zdawały się drwić i szydzić z naszych wysiłków.

Wtem, bez żadnego ostrzeżenia, ścieżka się urwała i znaleźliśmy się na polanie. Miała ona wielkość boiska piłkarskiego, ziemia była tu płaska, gdzieś rosy pojedyncze drzewa. Ich pnie były jednak zgięte, gałęzie pozbawione liści. Drzewa wydawały się martwe. I wtedy ujrzałem coś, co w pierwszej chwili wziąłem za przywidzenie. Wpatrywałem się w osłupieniu, mrugając szybko oczami. Na środku polany stał dom.

– Co to ma być, do cholery? – mruknąłem.

Popatrzyliśmy po sobie, nic nie rozumiejąc.

Był to trzykondygnacyjny budynek o płaskim dachu. Spoglądał na nas ciemnymi oknami, do środka prowadziły drewniane drzwi. Nie potrafiłem stwierdzić, ile może mieć lat. Jednak kiedy na niego patrzyłem, w moim umyśle pojawiło się słowo „prastary”. Mógł być równie sędziwy jak ten las. Ziemia wokół domu, podobnie jak szerniałe, pokrzywione drzewa rosnące na polanie, zdawała się martwa, jałowa. W nikłym świetle księżycy porastająca ją trawa wyglądała na szarą.

Wtem w oknach dostrzegłem pełgające światło. Świece, domyśliłem się. Spoglądając w te okna, odnosiłem nieprzyjemne wrażenie, że to otwory wycięte w halloweenowej dyni, w których płoną świece.

Dzięki nabytej wiedzy, a także mądrości odziedziczonej po przodkach, wiedziałem, że to miejsce przesycone jest złem. Że powinniśmy czym prędzej, nie zwlekając ani chwili, odwrócić się i wziąć nogi za pas. Że pod żadnym pozorem nie wolno nam zbliżyć się do tego budynku, przekraczać jego progu, wchodzić do środka.

W tej samej chwili ciszę przeciął kolejny krzyk, tym razem dobiegający zza kamiennych murów domu. A kiedy znów zrobiło się cicho, nim się spostrzeegliśmy, Laura i ja szliśmy już w kierunku drzwi, zupełnie jakby nasze nogi poruszały się bez udziału woli.

ROZDZIAŁ 8

Wypadliśmy spomiędzy drzew na ścieżkę. Biegąc, potykaliśmy się w półmroku, niemal przewracaliśmy na ziemię, podtrzymując się nawzajem. Przystanęliśmy tylko na chwilę, żeby porwać z ziemi nasze plecaki czekające na skraju lasu.

A potem pobiegliśmy prosto do miasta.

Przez całą drogę nie odezwaliśmy się ani słowem.

Nie oglądaliśmy się za siebie.

CZĘŚĆ DRUGA

LONDYN

LISTOPAD 2013

ROZDZIAŁ 9

Siedziałem na krześle w kącie pokoju i gapiłem się na puste łóżko. Pomieszczenie wypełniała ohydna mieszanina woni: stęchlizny, spoconego ciała udreżonego wielodniowym pijaństwem i brudnej odzieży wysypującej się z przepelnionego pojemnika. Na stoliku nocnym, obok brudnych kubków, piętrzyły się listki z lekami przeciwbólowymi i nieprzeczytane książki.

Nocami słychać było jakieś dziwne chrobotanie i drapanie w ścianach. Pewnie szczury, zwabione wonią rozkładu panującą w moim pokoju. Zdawałem sobie sprawę, że powinienem tu wywietrzyć. Ale to wymagałoby przejścia na drugi koniec pokoju, poszukania klucza do okna przesuwanego, a potem jeszcze odsunięcia okna. To było ponad moje siły. Zresztą jak wszystko.

Chciałem tylko spać, na nic innego nie miałem ochoty. Byłem wykończony, wiecznie czułem się, jakbym wrócił samolotem z innej strefy czasowej. Miałem piasek w oczach, a moje ruchy cechowała niezdarność właściwa człowiekowi, który jest przemęczony. Bez przerwy potrącałem różne rzeczy, zdarzało mi się upuszczać telefon, tłuc naczynia. Nie spałem, a w każdym razie nie wyspałem się, od trzech miesięcy.

Złożona kołdra na łóżku wyglądała, jakby ktoś pod nią leżał. A właściwie nie ktoś, tylko ona – Laura. Mogłem z łatwością wyobrazić sobie, że słyszę szmer jej oddechu. Gdybym znalazł w sobie siłę, żeby dźwignąć się z tego niewygodnego drewnianego krzesła i wsunąć dłoń pod kołdrę, odnalazłbym tam jej ciepłą skórę, mógłbym pogłaskać ją po włosach.

W rzeczywistości kształt na łóżku wcale nie był Laurą. To tylko kołdra. Widmo.

Ponieważ Laura już tu nie mieszkała.



Odeszła w połowie października, jakieś sześć tygodni temu. Tego dnia miałem spotkanie, którego nie udało mi się odwołać. Nigdy nie zapomnę zdumienia wyczekującego ze spojrzeń Camilli i Damiena, reprezentujących Skittle – patrzyli na mnie tak, jakby podejrzewali, że prawdziwy Daniel padł ofiarą porywaczy ciała, a ten koleś siedzący naprzeciw nich, z poobgryzаныmi paznokciami, nieumiejący sklecić sensownego zdania, to tylko ktoś podszywający się pod niego. Wytłumaczyłem im, że złapałem jakiegoś paskudnego wirusa za granicą i nadal się z nim zmagam – co, nawiasem mówiąc, było pewną spaczoną wersją tego, co naprawdę się wydarzyło. Najchętniej wyznałbym im, że Daniel, którego znali, nie wrócił z Rumunii. A ten, z którym rozmawiają teraz, to jego nowa, zubożała wersja.

Na szczęście nie oczekiwano ode mnie zbyt wiele – miałem po prostu wziąć udział w ich kampanii promocyjnej. Udzieliłem już paru wywiadów dziennikarzom „Wired” oraz innym serwisom internetowym zajmującym się nowymi technologiami. Musiałem odpowiadać na pytania dotyczące stworzonej przeze mnie aplikacji oraz umowy ze Skittle. Premierę aplikacji, o nazwie Heatseeker, przewidziano na wiosnę. Do tego czasu miałem niewiele do roboty. Powtarzałem sobie, że powinienem zacząć pracę nad jakimś nowym projektem, ale jakoś mi się nie chciało. Czekałem chyba na przyływ inspiracji.

Kiedy wróciłem do domu, Laura stała przy czarnej taksówce, a kierowca właśnie pakował do bagażnika jej walizkę.

– Co... co ty wyprawiasz? – spytałem.

Zamruła tylko, po czym bez słowa wsiadła do auta.

– Wszystko w porządku, skarbie? – zagadnął taksówkarz.

Skinęła głową. Facet usiadł za kierownicą.

Nachyliłem się do okna.

– Dokąd się wybierasz?

Wzięła głęboki oddech i powiedziała:

– Do Erin i Roba. Zatrzymam się u nich.

To nasi przyjaciele, mieszkający w dzielnicy Camden.

– Ale dlaczego? – wydusiłem z siebie.

Pokręciła ponuro głową.

– Danielu, dobrze wiesz dlaczego.

Taksówka ruszyła, przyspieszając gwałtownie. Przejechała po kałużach, obryzgując wodą jakąś staruszkę po drugiej stronie ulicy. Po chwili skręciła na rogu i zniknęła.

A ja zostałem na ulicy, sam jak palec. Nie wiem, jak długo tam stałem. Nie zauważyłem nawet, jak zaczął padać deszcz. W końcu lunęło jak z cebra i widziałem już tylko wodę. Oczywiście nie miało to żadnego znaczenia, ale w tych potokach deszczu przynajmniej nie było widać moich łez.



Dźwignąłem się z krzesła i powlokłem się do dużego pokoju. Po drodze potknąłem się o pojemnik na śmieci, który zostawiłem pod drzwiami. Wypełniały go butelki po winie. Potrącone, zadźwięczały. Przypomniałem sobie wtedy, że muszę zrobić w internecie zakupy spożywcze. Zostały mi tylko dwie butelki alkoholu – między innymi litrowa butla anyżowej wódki uzo, którą Jake przywiózł rok temu z wakacji w Grecji. Zmusiłem biednego Jake'a, by przez kilka wieczorów dotrzymywał mi towarzystwa, upijał się i wysłuchiwał, jak oplakuję rozstanie z Laurą. Musiało być to dla niego wyjątkowo frustrujące doświadczenie, ponieważ nie wyjaśniłem mu, co właściwie sprawiło, że nasz związek się rozpadł.

– To bez sensu – powtarzał. – Byliście świetnie dobrani.

– Wiem.

– Poznała kogoś? Chcesz, żebym dla ciebie ukatrupił tego drania? A może mam wspomnieć o nim w piosence?

– Nie spotyka się z nikim.

– W takim razie możliwe jest tylko jedno wytłumaczenie. I ją, i ciebie porąbało. – Nie doczekawszy się żadnej reakcji z mojej strony, dodał: – No

śmiało, możesz mi powiedzieć. Umiem dochować tajemnicy.

– Litości, Jake. Nie znam większego plotkarza od ciebie. Kiedy usłyszysz ciekawą historię, od razu ją wypapłasz.

– Ranisz moje uczucia, Dan. Jeśli powiesz, że mam trzymać gębę na kłódkę, nikt się o niczym nie dowie. – Kładąc rękę na sercu, dodał: – Umiem dochować tajemnicy.

W ostatnich tygodniach spadło tyle deszczu, że nie zdziwiłbym się specjalnie, gdybym za oknem zobaczył płynące ulicą zwłoki. Nie żywię egoistycznych złudzeń, które kazałyby mi wierzyć, że to, jaka jest pogoda, ma związek z moim życiem. Ale nie da się zaprzeczyć, że aura za oknem świetnie współgrała z moim stanem ducha. Przez wiele dni nie wychodziłem z mieszkania. Przypatrywałem się ulewie, ludziom pokonującym biegiem drogę z samochodów do okolicznych budynków, dzieciakom skaczącym beztrąsko po kałużach, podczas gdy ich przemoczeni do suchej nitki rodzice bezskutecznie próbowali zagonić je do domu. Czekałem, aż deszcz wypłucze z mojej głowy wspomnienie tego, co widzieliśmy i co zrobiliśmy. Ale on powodował tylko to, że zaciek na ścianie pod oknem rósł w oczach. Pogoda pod pseem dawała mi przynajmniej pretekst, by nie ruszać się z domu.

Poszedłem do wąskiej kuchni. Jedna z trzech żarówek przepaliła się, a ja nie znalazłem dotąd w sobie siły, żeby ją wymienić. Gdyby pozostałe też wyzionęły ducha, pewnie zadowolilibym się światłem z lodówki.

Sprawdziłem godzinę w telefonie. Do południa został kwadrans. Za wcześnie, by otwierać merlota. Uznałem jednak, że kieliszek do lunchu nie zaszkodzi. Wprawdzie godzina trzynasta byłaby lepszą porą na lunch, ale dwunasta od biedy też ujdzie. Przez piętnaście minut oglądałem w telewizji program na temat kobiety, która była przekonana, że uprawiała seks z duchem. Następnie wróciłem do kuchni. Nie byłem głodny, poza tym chleb pokrył się zieloną pleśnią. Czy powinienem pić wino bez zagrychy? Wiedziałem, że to kiepski pomysł, ale w ustach już niemal czułem smak trunku i nie mogłem się powstrzymać.

Nalałem pół kieliszka, przez chwilę wahałem się, w końcu stanęło na całym kieliszku. Zaniósłem alkohol na sofę. W telewizji leciał program

o sieci parków wakacyjnych Center Parcs, jakaś rodzina przechadzała się po lesie. Wzięłem do ręki pilota i szybko zmieniłem kanał.

Gdyby udało mi się zasnąć, gdybym mógł porządnie przespać choćby jedną noc, od razu poczułbym się lepiej i znów mógłbym normalnie funkcjonować. Zresztą tym usprawiedliwiałem swoje popijanie, ponieważ po wlaniu w siebie dwóch butli wina film mi się urywał. Tylko że dwie godziny później wyrywałem się z pijackiej drzemki, czując się tak, jakby w mojej czaszce eksplodowała bomba nuklearna. Mimo że starałem się nie rozpamiętywać przeszłości, przez resztę nocy miały dręczyć mnie całe serie przywidzeń, częściowo będących wytworem mojego umysłu, a częściowo nawiązujących do rzeczywistych wspomnień.

Oderwane obrazy z przeszłości wracały niczym migawki wyłowione z ciemności przez flesz aparatu.

Błysk. Moja dłoń dotykająca spaczonych drewnianych drzwi.

Błysk. Błada jak ściana twarz, wykrzywiona w udręce.

Błysk. Laura, potykająca się podczas wspinania się po chybotliwych schodach.

Upiłem solidny łyk czerwonego wina. Kiedy trunek spłynął mi do gardła, nagle ukazała mi się moja mama. Potrząsała z dezaprobatą głową i mówiła: „To chyba nie wystarczy, co, Danielu? Nie możesz tego ciągnąć”.

Krzyknąłem i cisnąłem kieliszkiem z całej siły – roztrzaskał się na obudowie kominka. Rozpryski ciemnego płynu na kamieniu wyglądały jak plamy krwi na miejscu zbrodni. Odłamki szkła posypały się na dywan.

Nie możesz tego ciągnąć.

Na myśl o tym, że teraz czeka mnie sprzątanie burdelu, który zrobiłem, ogarnęło mnie przemożne znużenie. Przewyciężając je, zacząłem zwlekać się z sofy – i właśnie wtedy rozdzwonił się mój telefon.

Na wyświetlaczu ukazało się imię LAURA.

Błyskawicznie odebrałem połączenie.

– Halo?

– Danielu, wszystko w porządku? Brzmisz... dziwnie.

– Tak. Po prostu... – roześmiałem się. – Upuściłem szklanę. Z sokiem pomarańczowym.

– Aha. Mam zadzwonić potem?

– Nie! To znaczy możemy porozmawiać teraz. Co słyhać? – Żeby nadać głosowi w miarę normalne brzmienie, musiałem wykorzystać wszystkie swoje zdolności aktorskie.

Zwlekała, jakby się wahała. Czy chciała zakomunikować mi, że pragnie wrócić? Ta myśl wystarczyła, by w moim sercu zapłonęła iskierka nadziei.

– Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć – wyznała w końcu.

– Słucham.

– Lepiej będzie, jeśli porozmawiamy w cztery oczy – dodała łamiącym się głosem.

ROZDZIAŁ 10

Dom Erin i Roba Tranhamów stał w zacisznej zielonej uliczce dzielnicy Camden, jednej z najbardziej ekskluzywnych części północnego Londynu. Były to okolice, w których Laura i ja na początku naszej znajomości spędziliśmy niejedną noc. W tamtym czasie chętnie balowaliśmy na mieście, na noc lądowaliśmy u znajomych, by nazajutrz skacowani i oszołomieni ruszać z powrotem do domu, po drodze zahaczając o tłumne targowisko. Babcia Erin zakupiła ten dom w latach sześćdziesiątych za jakieś śmieszne pieniądze, a po przejściu na emeryturę, gdy przeniosła się do Francji, zapisała go wnuczce.

Zadzwoiłem do drzwi, zachodząc w głowę, czy wyglądam równie paskudnie, jak się czuję. Żeby zabić woń wina, którym raczyłem się w południe, żułem już trzecią gumę.

Rob otworzył drzwi i gestem zaprosił mnie do środka. Zmierzył mnie uważnie wzrokiem od stóp do głów. Starał się to robić dyskretnie, ale i tak zauważyłem. Sam był okazem zdrowia, napompowane tricepsy wyglądały, jakby przed momentem wrócił z siłowni. Po chwili dołączyła do niego Erin. Włosy upięte miała chińskimi pałeczkami. Sama jej poza zdradzała, że jest w zaawansowanej ciąży – stojąc, jedną dłoń położyła sobie na plecach. Utkwiłem wzrok w jej olbrzymim brzuchu, podczas gdy Rob, dumny jak paw, objął swoją żonę ramieniem.

– O rany. Chyba już niedługo masz termin – wydusiłem z trudem.

– Tak, minął już ósmy miesiąc – odparła. – To chłopczyk.

– Miniatura Roba. Moje gratulacje, stary – powiedziałem, ściskając mu dłoń. Nasz uścisk nie trwał długo, Rob szybko zabrał rękę.

Nie potrafiłem rozszyfrować, co kryje się w spojrzeniu Erin: współczucie czy litość?

– Laura jest w kuchni – poinformowała gospodyni. – Zaprowadzę cię.

Doskonale wiedziałem, jak trafić do kuchni – przecież w ramach przygotowań do naszych wspólnych wieczornych wypadów na miasto nieraz gotowałem tu obiad, robiłem koktajle, otwierałem piwa. Mimo to Erin swoim zachowaniem dawała mi teraz do zrozumienia, że jestem, jeśli nie obcym człowiekiem, to w każdym razie najwyżej pierwszym lepszym znajomym. Albo kimś, kogo znała przed laty.

Może zresztą tak właśnie było, pomyślałem ponuro. Erin znała takiego mnie, jakim byłem kiedyś. Ten nowy Daniel był dla niej kimś obcym. Stanowiłem bowiem żywy przykład wyrażenia „być cieniem samego siebie”.

– Cześć, Danielu.

Laura siedziała przy dużym dębowym stole. W dłoniach ścisnęła filiżankę z herbatą, jakby to było koło ratunkowe, od którego zależy, czy przeżyje. Jej widok spadł na mnie niczym grom z jasnego nieba. Miała na sobie czarny sweter, związała włosy, tak by nie zasłaniały jej twarzy. To nadal była Laura, wciąż wyglądała ślicznie. Jednak dzięki tygodniom rozłąki dostrzegałem teraz wyraźnie, że ona również się zmieniała. Podobnie jak ja schudła, twarz miała bledszą niż kiedyś, a jej skóra po raz pierwszy, odkąd ją znałem, wydawała się dziwnie przezroczysta. Na szczuplejszej twarzy wyraźnie zarysowały się kości policzkowe i linia szczęki. Jej paznokcie – znów tak samo jak moje – były poobgryzane, co było o tyle zaskakujące, że nigdy wcześniej tego nie robiła, a wręcz strofowała mnie za paskudny zwyczaj, który sprawiał, że moje palce zawsze wyglądały ohydnie.

Wkrótce po naszym powrocie do Londynu zauważyłem u niej inny nowy nawyk – często teraz nieświadomie przecierała oczy, jakby coś do nich wpadło i nie mogła się tego pozbyć. Wyznała mi kiedyś, że przez cały czas, na skraju pola widzenia, dostrzega miraż jakiejś sylwetki. Jak wtedy, gdy wpatrujemy się w intensywne źródło światła, a potem mimo że odwracamy wzrok, przez jakiś czas na naszej siatkówce pozostaje powidok –

wspomnienie tego, na co patrzyliśmy wcześniej. Jednak postać, którą widziała Laura, nie zniknęła.

Usiadłem przy stole naprzeciw niej. Spytała, czego się napiję – herbaty czy kawy. Pokręciłem głową i obejrzałem się przez ramię: Erin i Rob przeszli do pokoju dziennego. Mogliśmy porozmawiać w cztery oczy. W sumie nie wiedziałem, czy to dobry, czy raczej zły znak.

– Co u ciebie słychać? – zagadnęła Laura. I nie czekając na moją odpowiedź, dodała: – Wyglądasz, jakbyś był chory.

– Dzięki.

Wzruszyła jednym ramieniem.

– Przykro mi, ale to prawda. Ja zresztą wyglądam tak samo.

– Nie, wyglądasz... ładnie.

Dawno, dawno temu zareagowałyby śmiechem na taki komplement.

– Nieprawda – odparła pozbawionym emocji tonem.

Zamilkła i wpatrzyła się w filiżankę z herbatą. Ta dziwaczna niezręczność, jaka zapanowała między nami, była nie do wytrzymania. To, co nam się przydarzyło, było niesprawiedliwe, nie w porządku. Najchętniej chwyciłbym ją, zmusił, by spojrzała mi prosto w oczy, i powiedział: „Lauro, to ja, Daniel. Nadal jestem sobą. A ty wciąż jesteś sobą”.

Ale nie zrobiłem tego. Nic nie powiedziałem.

– No to opowiadaj, co porabiasz – odezwała się w końcu. – Dużo pracujesz?

– Rozmyślam.

Pokiwała głową na znak, że rozumie. Ona też nie mogła skoncentrować się na pracy.

– O czym chciałaś mi opowiedzieć?

Laura nabrała powietrza do płuc.

– Wyprowadzam się.

– Serio? Dokąd?

– Do Perth – wyjaśniła, unikając kontaktu wzrokowego.

W pierwszej chwili pomyślałem, że się przesłyszałem.

– Przenosisz się do Szkocji?

Roześmiała się. I przez chwilę znów była Laurą, którą znałem. Ale zaraz ta dawna ona znikła.

– Nie, do Perth w Australii.

Zupełnie mnie zatkało. Rozchyliłem usta, zamknąłem je, by zaraz znowu je otworzyć.

– Australia?

– Mam tam ciotkę, pamiętasz?

Rzeczywiście zachowałem mgliste wspomnienie, że Laura kiedyś mi o tym mówiła.

– Chodzi o to, że jedziesz tam, żeby zwiedzać Australię?

– Nie, emigruję.

Znowu mogłem tylko otworzyć usta ze zdumienia.

– Byłam już na rozmowie z doradczynią, która pomaga mi w przygotowaniu wniosku wizowego. Jest zdania, że zdobędę na tyle dużo punktów, aby zezwolono mi na przyjazd, zwłaszcza że ciotka zobowiązała się pokryć moje wydatki.

Czułem się, jakbym dostał właśnie potężnego sierpowego w twarz.

– Ale... dlaczego?

Laura uniosła na mnie spojrzenie.

– Naprawdę muszę ci to tłumaczyć?

– Owszem.

Pochyliła się nad stołem, przygarbiła. Odsunęła filiżankę i powiedziała:

– Chcę zacząć wszystko od początku. Daleko stąd.

– Cóż, dalszego zakątka świata nie mogłaś znaleźć.

– Właśnie.

– Ale nie możesz wyjechać – powiedziałem, wstając.

– Danielu, informuję cię o tym tylko...

Nie pozwoliłem jej dokończyć.

– Co? Mówisz mi o tym z grzeczności?

Temperatura powietrza w kuchni spadła o parę stopni. Laura, marszcząc brwi, wbiła wzrok w blat stołu.

– Po prostu pomyślałam, że powinieneś wiedzieć.

Starąłem się skupić na oddychaniu, policzyłem w myślach do dziesięciu.

– Ile trzeba czekać na rozpatrzenie podania?

– To kwestia paru miesięcy.

– Miesiące? – Liczyłem, że powie „rok”.

– Proszę, zrozum. Zdajesz sobie sprawę z tego, jak bardzo jestem nieszczęśliwa. Muszę wykonać jakiś ruch, coś zmienić. A to najlepszy pomysł, na jaki wpadłam. Chcę zacząć od nowa. Pierwszy raz od... – zawiesiła głos. – Pierwszy raz od wieków coś mnie cieszy. Wreszcie doświadczam czegoś, co nie jest grozą, żalem, strachem.

– Lauro, chcesz uciec.

– Nieprawda, to nie będzie ucieczka.

– Ależ tak. Ode mnie też uciekłaś.

– Danielu, nie jestem dzieckiem.

I wtedy wpadł mi do głowy pewien pomysł. Opadłem z powrotem na krzesło. Spróbowałem chwycić ją za rękę.

– Pojadę z tobą. Ja też mogę wyemigrować. Zawsze chciałem zwiedzić Australię.

Obrzuciła mnie takim wzrokiem, jakbym właśnie zasugerował, żebyśmy uprawiali seks na stole w kuchni Erin i Roba.

– Nie. To coś, co muszę zrobić sama.

– Nic mnie tu nie trzyma.

– Przecież masz tu pracę...

– Mogę ją wykonywać z dowolnego miejsca na ziemi.

– A co z twoją rodziną? Masz tu mamę. Danielu, nie rozumiesz. Chcę całkowicie odciąć się od przeszłości.

Bębniłem palcami o blat, ale teraz moja dłoń znieruchomiała.

– Ty wcale nie chcesz uciec tysiące kilometrów od Wielkiej Brytanii. Ty uciekasz przede mną.

– Gdybym wiedziała, że zareagujesz agresywnie... – odezwała się, wstając.

– Wcale nie jestem agresywny!

– Sądziłam, że przyjmiesz moją decyzję ze zrozumieniem. Jesteś jedyną osobą, która rozumie, przez co przeszłam.

– Przez co oboje przeszliśmy – uściśliłem.

Podeszła do zlewu, nalała wody do szklanki i upiła duży łyk.

– Danielu, naprawdę nie chcę się z tobą kłócić.

Ja również wstałem od stołu.

– Może zamiast uciekać do Australii, powinnaś zrobić to, co ja, i pójść na terapię.

Z wrażenia niemal upuściła szklankę.

– Chodzisz na terapię?

– Owszem, do doktor Sauvage.

– Pomaga?

– Na razie trudno powiedzieć.

– Czy mówiłeś... czy opowiedziałeś tej kobiecie, co tak naprawdę się tam wydarzyło?

– Nie o wszystkim. Nie. Głównie interesuje ją, jak się teraz czuję.

Laura odetchnęła z ulgą.

– Ja nie mam ochoty na terapię. Nie chcę rozmawiać o tym, co się stało. Chcę zapomnieć, jeśli to w ogóle możliwe. I właśnie dlatego zamierzam rozpocząć nowe życie za granicą.

W tej chwili do kuchni zajrzała Erin. Przystanęła z wahaniem w drzwiach. Czyżby podsłuchiwała naszą rozmowę? Może mówiliśmy za głośno? Obie dłonie złożyła na swoim rozdętym brzuchu, jakby chciała ochronić nienarodzonego syna przed sprzeczkami dorosłych. Gdybym mógł, poradziłbym temu malcowi, żeby został w macicy, bo tam przynajmniej nic mu nie grozi. Świat na zewnątrz jest ostro porąbany, powiedziałbym mu. To chore miejsce, pełne potworów. Kiedy dorośli będą cię przekonywać, że jest inaczej, nie wierz im.

– Wybaczcie – odezwała się Erin. – Chyba spadł mi poziom cukru we krwi, pora na małe co nieco.

Laura podeszła do stołu, odsunęła krzesło i posadziła na nim przyjaciółkę. Następnie otworzyła lodówkę i zaczęła wyciągać z niej owoce, ser i wędlinę owiniętą w folię aluminiową.

– Na co masz ochotę?

Erin wyszczerzyła do mnie zęby w uśmiechu.

– Spokojnie, nie mam chętki na dżem ananasowy z majonezem. Wystarczy zwykła kanapka z szynką. Dzięki, Lauro, jesteś kochana.

Patrzyłem, jak Laura robi kanapkę, potem częstuje Erin. Nawet teraz, mimo niedocukrzenia, gospodyni wyglądała jak okaz zdrowia i tryskała energią. Była już osiem miesięcy w ciąży. A przecież z Laurą mogło być tak samo, mogliśmy przeżywać teraz chwile największej bliskości w historii naszego związku. A zamiast tego moja ukochana zamierzała wynieść się na drugi koniec świata.

– I jak ci się podoba pomysł Laury, żeby wyemigrować do Australii? – spytałem.

Zanim odpowiedziała, Erin ugryzła kanapkę.

– Wolałabym, żeby została, to chyba oczywiste. – Pokręciwszy głową, dodała: – Nic z tego nie rozumiem. Co się z wami stało? Sprawialiście wrażenie takich szczęśliwych. Coś ty zrobił, Danielu? Laura nie chce mi powiedzieć.

– On niczego nie zrobił!

– Ale przecież musiało się stać coś, co zmusiło was do rozstania. I żadne z was nie kwapi się, by wyjaśnić, o co chodzi. Dan, nie daj się prosić. Powiedz mi. Miałeś kogoś na boku, tak?

Laura posłała mi błagalne spojrzenie. Kiedy wracaliśmy z Rumunii, poprosiła, żebym obiecał jej, że nigdy nie będziemy mówić o tym, co się stało.

Obiecuję.

Zresztą te obietnice nie były konieczne – ja też nie miałem ochoty o tym gadać. Chciałem zapomnieć. Moje rozumowanie było proste: jeśli będę

trzymać język za zębami, będę mógł udawać, że nic się nie stało. To jedyny sposób na poradzenie sobie z tym, jaki przychodził mi do głowy.

– Daniel z nikim się nie przespał – wyjaśniła Laura.

Erin westchnęła z rezygnacją.

– No dobra. Ale uważam, że powinniście się dogadać. – Uniosła dłoń, w której trzymała kanapkę, wskazując nią Laurę. – Wspomniałaś mu o tym, co ci się przydarzyło wczoraj?

– Nie – wyrzuciła z siebie Laura, nagle podenerwowana.

– Co się stało? – Chciałem wiedzieć.

Erin wytrzeszczyła oczy.

– Powiedz mu, Lauro – zachęciła szeptem.

Ze spojrzeniem wbitym w blat stołu Laura zaczęła obgryzać paznokiec kciuka.

– Chyba... ktoś próbował mnie zabić – powiedziała w końcu, uciekając wzrokiem w bok.

– O Boże. Gdzie? Jak to się stało?

– Na stacji metra Charing Cross. Wracałam z ambasady Australii, gdzie załatwiałam formalności związane z emigracją, no i... – urwała.

Przez chwilę wpatrywała się w stół. Ale w końcu opowiedziała mi o tym, co wydarzyło się poprzedniego dnia na stacji metra.

ROZDZIAŁ 11

Kiedy wyszła z gmachu ambasady, z teczką równo poskładanych dokumentów pod pachą, opanowało ją cudowne uczucie lekkości. Wyobraziła sobie siebie jako wypełniony helem balon, który uwolniony z ręki nieuważnego dziecka wznosi się ponad ściętymi mrozem ulicami, mija okna imponujących gmachów ulicy The Strand i wzlataje coraz wyżej, ku chmurom. Wolna. Jak cudownie byłoby znów się tak poczuć.

Kierując się w stronę stacji Charing Cross, Laura instynktownie trzymała się blisko ściany budynków, jak gdyby ich solidność dawała jej poczucie bezpieczeństwa. W pewnym momencie z zaułka między dwoma gmachami wyłonił się jakiś mężczyzna. Laura podskoczyła ze strachu i przyłożyła dłoń do mostka. Kiedy pierwszy szok minął, pochyliła głowę i podjęła marsz.

Od około tygodnia nie opuszczało jej wrażenie, że ktoś ją śledzi. Bez przerwy na granicy pola widzenia majaczyła jej ludzka sylwetka. Jednak ilekroć odwracała głowę w tamtą stronę, nikogo tam nie było. Zdawała sobie sprawę, że to tylko przywidzenie. I właśnie teraz, gdy kierowała się do stacji metra, znowu ujrzała tę postać. Tym razem stała po drugiej stronie ulicy. Laura zarejestrowała tylko czarne ubranie i białą skórę. Sekundę później nieznajomy zginął w tłumie przechodniów. Zmusiła się, by ruszyć dalej. Szła ze wzrokiem skierowanym prosto przed siebie, chciała jak najszybciej znaleźć się w domu.

Wiedziała, że nie powinna myśleć o lokum Erin i Roba w takich kategoriach. Miało to być jedynie tymczasowym rozwiązaniem. Kątem, który mogła na chwilę zająć. Dokładnie tego teraz potrzebowała. Wprawdzie Erin zapewniała ją, że to dla nich żaden problem, lecz Laura

i tak miała wyrzuty sumienia, korzystając przez tak długi czas z gościnności przyjaciółki będącej w zaawansowanej ciąży.

– Kiedy ja i Rob mieliśmy trudny czas, pomagałaś mi – wspomniała przy jakiejś okazji Erin. Odnosiła się do sytuacji sprzed paru lat, gdy odkryła, że Rob niemal wdał się w romans. Na szczęście wspólnie udało im się zażegnać kryzys. – Poza tym przyda nam się niania, kiedy w końcu urodzi się dziecko.

Wszyscy wykazywali się zrozumieniem wobec problemów Laury. Jej managerka Simone pozwoliła jej pracować z domu. Simone przyznała jej się, że ona też swego czasu cierpiała na agorafobię – tak tłumaczyła przed przełożoną swoje niecodzienne zachowanie Laura, gdy po powrocie do biura rozplakała się przy swoim biurku, ściągając na siebie uwagę kolegów i koleżanek.

– Spokojnie, nie spiesz się – poradziła Simone kojącym głosem, który sprawił, że Laura znów najchętniej by się rozbeczała, tym razem z wdzięczności.

Tak więc dzięki wielkoduszności Erin i Simone Laura miała przynajmniej gdzie się zaszyć w tym trudnym okresie. Sama w myślach czas ten nazywała „okresem letargu pająka ptasznika”.

W zeszłym tygodniu obejrzała film dokumentalny poświęcony tym pająkom. „Po wylince, która następuje raz w roku, samica ptasznika ukrywa się za pajęczynową zasłoną, dopóki jej nowa skóra nie stwardnieje. Dopiero wtedy wynurzy się z ukrycia i zacznie szukać pożywienia”.

Kto by pomyślał, że nadejdzie moment w jej życiu, gdy będzie się porównywać do wielkiego, strasznego pająka. Ale teraz właśnie tak się czuła: czekała, aż wyrośnie jej, i dostatecznie stwardnieje, nowa skóra.

Od powrotu z Rumunii miała wrażenie, jakby warstwa ciała wokół jej serca, niczym skóra ptasznika, pękła, pozostawiając je bez bariery ochronnej. Cierpiała nieustannie, a przy tym nie mogła znieść widoku cierpienia innych. Po jakimś czasie zrozumiała, że w Londynie nigdy nie zdoła się uleczyć. Dlatego musiała uciec.

Wzdragła się na myśl, że ma poinformować Daniela o swoich planach. Ale wiedziała też, że musi to zrobić. Już od kilku tygodni nie utrzymywali kontaktu. Może znalazł sobie nową dziewczynę. Kobiety zawsze do niego

Ignęły. Są panienki, sama się do nich zaliczała, lecące na typ seksownego kujonka – takie, które bardziej pociąga Clark Kent w okularach niż jego późniejsze wcielenie, gdy staje się Supermanem. Daniel źle znosił samotność i niemal nigdy nie spędzał nocy w pojedynkę. Kiedy Laura musiała wyjechać w podróż służbową, przyznawał się jej potem, że przez cały tydzień krążył nerwowo po mieszkaniu i gadał do siebie – słowem, całkiem mu odbijało. Dlatego to mało prawdopodobne, by teraz wytrzymał bez towarzystwa.

Kiedy próbowała wyobrazić go sobie z inną kobietą, czuła się okropnie. Ale równocześnie zdawała sobie sprawę, że nie ma prawa trzymać go w niepewności. To byłoby okrucieństwo. Pragnęła, by Daniel był szczęśliwy, a by się tak stało, musiał znaleźć sobie kogoś nowego i zanurzyć się w nowym związku. Gdyby to ona była jego terapeutką, taką właśnie kurację by mu przepisała. Liczyła, że wynosząc się na drugi koniec świata, ułatwi mu taki ruch.

Do oczu napłynęły jej łzy.

Chwilę później była już przy stacji Charing Cross. Zatrzymała się. Tylu ludzi. Teraz panował tu jeszcze większy tłok, niż gdy przyjechała metrem z Camden. Starła się nie patrzeć na przechodniów. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wziąć taksówki. Zaraz jednak się zreflektowała – powinna liczyć się teraz z każdym groszem, będzie potrzebować pieniędzy na podróż. Najważniejsze, żeby na nikogo nie patrzyła, wtedy powinna wytrzymać w metrze. Poza tym przecież to bez sensu, żeby bała się tłumów. To odludne miejsca powinny budzić w niej lęk.

Powoli, kurczowo jak staruszka trzymając się poręczy, schodziła po schodach wiodących na stację. Widziała ludzi u dołu oczekujących na przyjazd pociągu, poruszali się niemrawo niczym żywe trupy. W pewnym momencie jeden z nich zaczął odwracać się w jej stronę. Wydało jej się, że widzi błysk białek w oczach, które uciekły do góry, i wyszczerzone zęby. Oczami wyobraźni widziała, jak zombie wyciąga do niej swoje łapska, zaciska palce na jej gardle... Odepchnęła tę wizję, policzyła po cichu do pięciu, żeby się uspokoić.

Dasz radę, powtarzała w myślach. Odwagi.

Kierowała się za znakami na peron, a dotarwszy tam, przeszła na sam koniec płyty. Na tablicy wyświetliła się informacja, że do odjazdu pociągu pozostały cztery minuty. Przez ten czas na peronie nieustannie przybywało podróżnych, wielu z nich tłoczyło się wokół Laury. Była otoczona, ze wszystkich stron napierały na nią ciała obcych ludzi. Kobieta stojąca obok niej trzymała porcję frytek z McDonalda, a ich zapach przyprawiał Laure o mdłości.

– Do kurwy nędzy – mruknęła, wpatrując się w tablicę odjazdów.

Na szczęście już po chwili usłyszała pomruk nadjeżdżającego pociągu. Kiedy zerknęła na torowisko, jakiś ruch przyciągnął jej uwagę – maleńka, zdeformowana mysz przemykała po torach.

Szybko odwróciła głowę. W podróży pociągiem nie tylko ludzie napawali ją grozą. Było coś gorszego: widok torów. Szyn.

W umyśle Laury rozbłysnął obraz: ona i Daniel biegną wzdłuż torowiska w kierunku miasta. Potykają się i zataczają, ale udaje im się nie przewrócić. Wokół nich wstaje nowy dzień. Gardło Laury zdarte jest od krzyku. Daniel chwyta ją za ramię i...

Wtem, stojąc na stacji metra, zachwiała się na samej krawędzi peronu. By zachować równowagę, zaczęła rozpaczliwie wymachiwać ramionami. Wyraźnie widziała mysz, która zastygła nieruchomo między szynami. Laura spadała, spadała prosto pod wynurzający się z mrocznego tunelu pociąg. Poczula potężny podmuch powietrza i w tej samej sekundzie z ciemności wyłonił się rozpędzony skład...

Ktoś chwycił ją od tyłu, przez chwilę wydawało się, że spadną oboje na torowisko, jednak ostatecznie nieznajomy zdołał odciągnąć ją od krawędzi peronu. Wysoki mężczyzna w garniturze. To on trzymał ją w ramionach.

Laura nie mogła złapać tchu. Nieznajomy nie wypuszczał jej z objęć, szeptał jej coś do ucha. Mówił: Uspokój się, już dobrze, spokojnie...

Wyrwała się z jego uścisku, rozejrzała wokół. Wszyscy wpatrywali się w nią, ale ponieważ pociąg stał już na peronie i drzwi się otwierały, po chwili przestali zwracać na nią uwagę.

– Co się stało? – spytał mężczyzna, który ją złapał. – Potknęłaś się?

Laura nie pamiętała, żeby coś takiego się stało.

– Chyba tak. Zawsze się potykam o byle co, tak już mam.

Podziękowała nieznajomemu. Sięgnęła do torebki po pieniądze, ale zaprotestował ze śmiechem. Wsiadł do pociągu. Rozległ się sygnał przed odjazdem i drzwi zamknęły się z sykiem, ale ona czuła, że mężczyzna nadal przygląda jej się z wnętrza wagonu.

Potknęła się – czy może raczej ktoś ją popchnął? Wydawało jej się, że nadal wyczuwa na plecach wspomnienie dotyku czyichś dłoni.

Rozejrzała się po peronie. Cały czas przybywało nowych podróżnych. Jeśli ktoś faktycznie ją popchnął, zdążył już się ulotnić. Laura zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Potknęła się, na pewno. Była tak zamyślona, że pewnie weszła na kogoś i nogami zahaczyła o jedną z tych irytujących walizeczek na kółkach. I tyle, cała tajemnica. Dlaczego ktoś tutaj miałby dybać na jej życie? Cóż za absurdałna myśl.

Wsiadła do następnego pociągu, znalazła wolne miejsce siedzące. I dopiero wtedy zaczęły wracać do niej wspomnienia. Kiedy stała oszołomiona w ramionach mężczyzny, który ją uratował, kątem oka dostrzegła jakąś postać, która pospiesznie oddalała się od niej, przepychając się przez tłum. Nie umiałaby powiedzieć, czy to mężczyzna, czy kobieta.

Szybko odepchnęła tę myśl. Przecież to jakiś idiotyzm, wyobrazać sobie takie rzeczy.

Zanim dotarła do stacji, na której wysiadała, zdążyła wytłumaczyć sobie, że po prostu wyobraźnia splątała jej figla.

ROZDZIAŁ 12

Gabinet doktor Claudii Sauvage ulokowany był na najwyższym piętrze ogromnej wiktoriańskiej kamienicy z czerwonej cegły i mieścił się w dzielnicy Crouch End. Czasami, kiedy wspinałem się po schodach do pokoju, w którym raz w tygodniu spotykaliśmy się na sesję terapeutyczną, udawało mi się wychwycić szczegóły zdradzające, jak wygląda życie prywatne mojej terapeutki. Zapach zupy z kuchni, oprawione zdjęcia na ścianach korytarza, przedstawiające doktor Sauvage z mężem, para mopsów ze skwaszonymi pyskami stojących w drzwiach salonu. Wiedziałem jednak, że nie wolno mi zadawać Claudii żadnych pytań osobistych: nasze sesje miały być poświęcone wyłącznie moim problemom.

Podczas pierwszego spotkania skupiliśmy się na moim pochodzeniu i dzieciństwie. Nie wiedziałem, jakie to może mieć znaczenie. Claudia twierdziła jednak, że aby mi pomóc, musi mnie jak najlepiej zrozumieć, a do tego niezbędne jest poznanie mojej historii rodzinnej. Opowiedziałem o swoim dzieciństwie w Beckenham, na południowych rogatkach Londynu. Byłem jedynakiem, moi rodzice rozwiedli się, z żadnym z nich nie czułem się blisko związany. Claudia nalegała, bym powiedział coś więcej na ten temat, ja jednak nie miałem ochoty. Nie uważałem, żeby mogło to mieć jakieś znaczenie. Kiedy wspominałem, że spotykam się z nimi tylko na święta Bożego Narodzenia i przy innych uroczystych okazjach, zauważyłem, że notuje coś w zeszycie. Oboje rodzice byli już w innych związkach małżeńskich, które całkowicie absorbowwały ich uwagę. Chętnie wypytywali mnie, jak powodzi się niegdysiejszemu partnerowi, jak gdyby brali udział w zawodach, kto wiecie szczęśliwsze życie. Starłem się nie brać udziału w tych gierkach.

Lata dojrzewania upłynęły mi w czterech ścianach mojego pokoju. W tym czasie dużo grałem na komputerze i uczyłem się kodowania. Byłem kujonem, dopóki nie odkryłem muzyki i nie poznałem Jake'a, który pokazał mi, że życie może być znacznie ciekawsze. Wtedy rozpoczął się u mnie długi okres poszukiwania odpowiedzi na pytanie, kim tak naprawdę jestem. Miałem smykałkę do matematyki i nauk ścisłych, lecz coś kazało mi marzyć o życiu artysty, byciu częścią bohemy. Poszedłem na studia informatyczne, ale nie stroniłem od alkoholu, a wszystkie dziewczyny, z którymi się wtedy wiązałem, studiowały taki czy inny kierunek artystyczny. Przestałem czytać science fiction, zamiast tego pochłaniałem książki, które podrzucały mi moje ówczesne sympatie: powieści Donny Tartt, Douglasa Couplanda, dużo tytułów z serii Penguin Classics. To był również czas eksperymentów z lekkimi narkotykami. I fascynacji zagranicznym kinem.

Po studiach zamieszkałem w północnym Londynie, gdzie przez kilka lat pracowałem dla internetowego start-upu. W wolnym czasie zacząłem zgłębiać tajniki tworzenia aplikacji mobilnych. W końcu, za pośrednictwem Jake'a, poznałem Laurę – i pierwszy raz w życiu zakochałem się po uszy. Była kobietą moich marzeń: czytana, z ciągotami artystycznymi, namiętną, a zarazem kierującą się w życiu zasadami. Zachęcała mnie, bym działał w zgodzie z moją wewnętrzną naturą, robił w życiu to, na co mam ochotę, nie troszcząc się o to, jak może być to odbierane przez otoczenie. Pomogła mi w zrozumieniu, kim jestem. Podczas gdy ja znosiłem do naszego wspólnego mieszkania elektroniczne gadżety, ona tchnęła w tę przestrzeń życie, wypełniając ją różnymi uroczymi rupieciami, świeczuszkami i jasnymi barwami.

– Ilekroć proszę cię, żebyś opowiedział mi o sobie, zaczynasz mówić o swojej dziewczynie – zauważyła doktor Sauvage. – Ciekawe.

Zbyłem tę uwagę wzruszeniem ramion.

– Moje życie jest nijakie.

– Niczyje życie nie jest nijakie – stwierdziła z uśmiechem.

Doktor Sauvage była kobietą po czterdziestce, szczupłą, elegancką, o smukłych nadgarstkach i nogach, na które mimo woli co jakiś czas zerkałem. Nosiła okulary w modnych oprawkach, ubierała się

w ciemnoszarą dżersejową sukienkę. W trakcie naszych spotkań paliła e-papierosa, wydychając obłoki pary wodnej. Na początku spytała, czy będzie mi to przeszkadzać, a ja zapewniłem ją, że ani trochę.

Przy jakiejś okazji zwierzyła mi się, że wcześniej paliła tradycyjne papierosy. Ale dopiero gdy przerzuciła się na elektroniczne, zrozumiała, czym jest prawdziwe uzależnienie.

– No dobrze – powiedziała teraz. – Jak się miewasz, Danielu?

Nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, spróbowała znowu:

– Jak z twoim snem? Czy jest lepiej?

Poprawiłem się na fotelu.

– Nie. Zeszłej nocy udało mi się zdrzemnąć tylko na dwie godziny. Góra trzy.

Terapeutka milczała, czekając na to, co jeszcze powiem.

– Mam nowy powód do zmartwień – odezwałem się po chwili.

– Jaki?

– Laura, moja dziewczyna, to znaczy moja była dziewczyna... – Westchnąłem. – Wyjeżdża z kraju, wybiera się do Australii. Pierdolonej Australii. Przepraszam...

W kąciку ust doktor Sauvage zjawił się uśmiezek.

– Danielu, jeśli masz ochotę, możesz przeklinać. Jakie uczucia budzi w tobie plan Laury?

– Jakie uczucia? Jestem zdruzgotany. Nie chcę, żeby wyjeżdżała. Nie mogę do tego dopuścić. Ona chce po prostu uciec od tego, co się stało. To jakiś obłąd. Jeśli wyjedzie, nie zniosę tego.

Widząc, jak bardzo jestem wzburzony, terapeutka uniosła dłoń w uspokajającym geście. Wziąłem pięć głębokich, powolnych oddechów. Zamknąłem przy tym oczy, próbując wyobrazić sobie coś przyjemnego. Jednak wciąż widziałem tylko Laurę, a potem to, co było jeszcze gorsze... Szybko uniosłem powieki.

– Jak sądzisz, czy Laura byłaby zainteresowana dołączeniem do twojej terapii? Uważam, że wam obojgu przyniosłoby to korzyści. Kiedy rodzina

przeżywa wspólnie jakąś traumę, zazwyczaj leczy się jej członków wspólnie. To samo dotyczy par.

– Ona nie przyjdzie na sesję. Wspominałem jej o terapii, ale nie jest zainteresowana. Nie chce nawet porozmawiać ze mną o tym, co się stało. A już na pewno nie będzie o tym rozmawiać z panią.

– A ty? – spytała łagodnym tonem doktor Sauvage. – Czy ty porozmawiasz ze mną o tym, co się stało?

Dotychczas zdobyłem się tylko na opowiedzenie jej o wydarzeniach poprzedzających naszą wędrowkę wzdłuż torów: pierwszych tygodniach podróży po Europie, czasie beztrudnej zabawy. Wspomniałem też o naszych dalszych planach na życie, o powodach, dla których w ogóle zdecydowaliśmy się na wyjazd. O wszystkim, co utraciłem wraz z rozstaniem. Podczas sesji w zeszłym tygodniu opowiedziałem również o tym, co wydarzyło się w pociągu. O tym, jak wylądowaliśmy na stacji kolejowej w rumuńskiej głuszy, i o bezpańskich psach.

Zespół stresu pourazowego. Taką diagnozę postawił urzędowy psycholog, do którego trafiłem przed podjęciem terapii. Dotąd hasło to kojarzyłem wyłącznie z wracającymi z wojny weteranami i strażakami ratującymi ludzi z wieżowców World Trade Center. Jednak podczas wypełniania kwestionariusza z objawami, okazało się, że spełniam niemal wszystkie kryteria. Natrętne wspomnienia traumatycznego wydarzenia. Koszmary senne. Utrata zainteresowania dotychczasowymi zajęciami. Brak motywacji. Bezsenność. Ciągłe bycie „w pogotowiu”, w gotowości na wszelkiego rodzaju zagrożenia. Niepokój. Nadużywanie środków odurzających, w moim przypadku alkoholu. Lista symptomów ciągnęła się przez wiele stron.

Doktor Sauvage zapowiedziała, że zamierza zastosować w pracy ze mną terapię poznawczo-behawioralną. Podczas jednego z naszych pierwszych spotkań stwierdziła, że zgadza się z diagnozą postawioną przez psychologa z urzędu.

– Osoba cierpiąca na zespół stresu pourazowego pragnie wyprzeć wspomnienia traumatycznego wydarzenia. Gotów jesteś zrobić wszystko, by uniknąć konfrontacji z nimi czy nawet kontaktu ze wszystkim, co może ci o takim wydarzeniu przypominać. Żyjesz w stanie psychicznego szoku,

nie jesteś w stanie uwolnić się od tego, co ci się przydarzyło, ani ruszyć do przodu ze swoim życiem.

– To ma sens.

– A żeby wyzdrowieć i móc cieszyć się życiem, musisz stanąć twarzą w twarz ze wspomnieniami, popracować z nimi. Dopiero wówczas odzyskasz kontrolę nad swoim życiem i będziesz mógł stawić czoła wyzwaniom, jakie przyniesie przyszłość. W tym celu będziemy musieli, przy zachowaniu najwyższej ostrożności, skłonić cię do konfrontacji z tymi wspomnieniami, zdjąć osłony, jakie wokół nich zbudowałeś.

To ostatnie stwierdzenie sprawiło, że przeszły mnie ciarki.

– Danielu, słowem, które ma tu zasadnicze znaczenie, jest „ostrożność”. Nie masz się czego obawiać.

– Nie rozumie pani.

– Czyżby? – Terapeutka przyjrzała mi się z zaciekawieniem.

– Mam się czego obawiać, i to bardzo.

Teraz to ja przyjrzałem się jej – kobiecie na fotelu od modnego projektanta, z e-papierosem między palcami, notatnikiem opartym na kolanie. Czy kiedykolwiek zdobędę się, by komuś takiemu wyjawić prawdę?

– Mogę powiedzieć pani, co stało się potem – stwierdziłem po chwili. – A w każdym razie częściowo.

– W porządku. Cieszę się. Nie spiesz się, mamy czas. Jeśli gorzej się poczujesz, przestań opowiadać. Zgoda?

– Dobra.

Odchyliłem się na fotelu, zamknąłem oczy.



– Słabo pamiętam nasz marsz do miasta. Na początku biegliśmy, ale nasze plecaki były za ciężkie i musieliśmy zwolnić. Wiem, że niewiele się do siebie odzywaliśmy. Kiedy otwierałem usta, żeby coś powiedzieć, wychodziły z nich tylko jakieś głupawe pytania w rodzaju „dobrze się czujesz?”. Oczywiście wiedziałem, że Laura nie czuje się dobrze, wręcz

przeciwnie. Przez cały ten czas w głowie kołatała mi się tylko jedna myśl: że musimy uciec jak najdalej. – Zerknąłem na doktor Sauvage. – Byłem w szoku. Oboje byliśmy. Pamiętam, że powtarzałem w myślach: Musimy wrócić do domu.

Po chwili namysłu mówiłem dalej:

– W sumie to chyba nie było takie spójne, to nie były wyraźne słowa w mojej głowie. Bardziej przypominało to krzyk, coś w rodzaju białego szumu, nieustannego dźwięku słyszanego w tle. Laura wspominała potem, że krzyczała, gdy wybiegliśmy z lasu na otwartą przestrzeń. Ja nic takiego nie pamiętam. Zapamiętałem to tak, że przez cały czas nie wydała żadnego dźwięku.

W gabinecie zapadła cisza. Była równie całkowita jak ta, która towarzyszyła nam w lesie. Wydawało mi się, że słyszę stukot nówek muchy wspinającej się po okiennej szybie.

– Miasteczko, do którego doprowadziły nas tory, nazywało się Brevia. Dotarliśmy tam, kiedy świtało. Wszystko było jeszcze pozamykane. Mimo że teoretycznie znajdowaliśmy się już w mieście, prawdę mówiąc, nie było tam życia. Wokół ani żywej duszy. Po jakimś czasie zauważyliśmy mężczyznę z psem. To była jakaś wielka bestia, bardziej przypominała wilka niż psa. Na widok zwierzęcia Laura ścisnęła mnie za rękę z taką siłą, że prawie połamała mi palce. Potem widzieliśmy jeszcze jakiegoś młodego faceta. Szedł z opuszczoną głową w czapce bejsbolówce. Przejechało parę samochodów. Po tym, co nas spotkało, marzyliśmy o znalezieniu się w tętniącej życiem metropolii. Na pewno nie w czymś takim. Brevia sprawiała ponure wrażenie, wszędzie witały nas zabite dechami okna. Po ulicach przesuwały się auta, które dawno już powinny były wylądować na złomowisku. Wiele wskazywało, że kiedyś miasto dobrze prosperowało i kwitło, ale teraz powoli dogorywało. Sam nie wiem... Miało taki szczególnie klimat. Przywodziło na myśl miasto duchów.

Terapeutka czekała cierpliwie, aż podejmę opowieść.

– Po mniej więcej dziesięciu minutach włączenia się po Brevie zauważyliśmy starszą kobietę szorującą schodek u drzwi swojego domu. Rzuciłem do niej pytającym tonem: „Policja?”. Kobięcina najpierw zmierzyła nas wzrokiem od stóp do głów, dopiero potem podeszła i zaczęła

tłumaczyć. Gestykulowała żywo, wyrzucając przy tym z siebie potoki rumuńskich słów, zupełnie jakbyśmy mogli cokolwiek z tego zrozumieć. No ale zdołaliśmy się mniej więcej zorientować, w którą stronę powinniśmy pójść.

Przypomniałem sobie teraz tę leciwą Rumunkę – zaciągnięte bielmem oczy, silne ręce, w których ścisnęła drewnianą szczotkę.

– Zanim odeszliśmy, wyciągnęła rękę i dotknęła twarzy Laury. Wyszepiała coś po rumuńsku. Mało brakowało, a Laura zaczęłaby wrzeszczeć ze strachu; musiałem szybko ją odciągnąć.

W opowiadaniu pominąłem jeden szczegół – staruszka dotknęła też brzucha Laury. Położyła dłoń na brzuchu mojej dziewczyny i pokiwała w zamyśleniu głową. Laura wzdrygnęła się i odskoczyła, jakby nieznajoma dźgnęła ją nożem.

– Dobrze ci idzie – pochwaliła mnie doktor Sauvage. – Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Masz siłę kontynuować?

– Tak. Chcę... chcę dobrać do końca.

Potrzebowałem też napić się czegoś mocniejszego.

Na razie jednak musiałem skupić się na opowiadaniu.

ROZDZIAŁ 13

Jakieś dziesięć minut po rozmowie z kobietą w podeszłym wieku odnaleźliśmy posterunek policji. Mieścił się w skromnych rozmiarów budynku, nad drzwiami widniał napis Politiä. Wziąwszy głęboki oddech, chwyciłem za klamkę.

W środku zastaliśmy gliniarza. Pomieszczenie z dyżurką było ciasne, facet siedział za biurkiem, w jednej ręce trzymał smartfona, w drugiej kubek. Uniósł wzrok na mnie i zmarszczył brwi. Za to kiedy jego spojrzenie padło na Laurę, uśmiechnął się promiennie.

– Mówi pan po angielsku? – zagadnąłem.

Chłop przepaszająco wzruszył ramionami.

Momentalnie przełączyłem się na swój tryb Anglik Za Granicą – zacząłem mówić powoli i głośno.

– Czy ktoś tu zna angielski?

Spojrzał na mnie, po czym wstał i zniknął na zapleczu dyżurki. Po dłuższej chwili wrócił w towarzystwie rosłego mężczyzny z wypiekami i popękkanymi żyłkami na nosie. Ten drugi otaksował spojrzeniem rozczochrane włosy Laury, ślady brudu i zadrapania na naszej skórze. Nie patrzyłem w lustro, dlatego nie miałem pojęcia, w jak opłakanym stanie jestem. Nie wiedziałem, jak na moim ciele odcisnęła się dzika gonitwa przez las. Nie widziałem swojego obłąkanego spojrzenia.

– W czym możemy pomóc?

Od czego powinienem zacząć? Moja opowieść była chaotyczna i pozbawiona chronologii. Wszystko się w niej mieszało: pociąg, las, Alina, pogranicznicy...

W końcu duży gliniarz przerwał mi, unosząc dwie wielkie dłonie.

– Chwila. Wolniej, proszę, bo nic nie rozumiem.

Wyszedł z dyżurki i pokazał, żebyśmy poszli za nim. Na odchodnym rzucił parę słów do swojego kolegi. Ten posłał nam ponure spojrzenie, którego wtedy nie rozumiałem.

Rosły policjant poinstruował nas, żebyśmy zostawili plecaki w dyżurce. Następnie krótkim korytarzem przeszliśmy do pomieszczenia będącego – jak się domyślałem – czymś w rodzaju pokoju przesłuchań. Tam zostaliśmy posadzeni na dwóch plastikowych krzesłach. Laura nadal się nie odzywała. Siedziała, trzęsąc się, wpatrzona w jakiś punkt.

Gliniarz co chwilę zerkał na nią podejrzliwie.

– Jak się nazywacie?

Podaliśmy nasze nazwiska, a policjant je zanotował.

– Ja jestem Constantin – przedstawił się. Nie miałem pewności, czy to imię, czy nazwisko. – No to teraz opowiadaj. Ale od początku, dobra?

Opowiedziałem, co się wydarzyło w pociągu: o tym, że zdrzemnęliśmy się w przedziale sypialnym, a po obudzeniu się odkryliśmy, że nasze paszporty, bilety i pieniądze zniknęły. I o tym, że zostaliśmy wyrzuceni z pociągu.

Constantin uniósł wzrok znad notatek.

– Dlaczego zostaliście... wyrzuceni?

– Bo nie mieliśmy biletów.

– Nie mieliście biletów?

Na tym etapie atmosfera w pokoju przesłuchań wyraźnie się oziębła. Gliniarz znów zerknął na Laurę, która trzęsła się coraz bardziej i szczękała zębami.

– Wydaje mi się, że moja dziewczyna jest w szoku – wyjaśniłem. – Macie może koc, którym mogłaby się okryć? Coś gorącego i słodkiego do picia?

Zero reakcji. Po chwili powtórzył pytanie:

– A więc... jechaliście pociągiem bez ważnego biletu?

– Nie! Kupiliśmy bilety, ale ktoś nam je ukradł.

Mężczyzna pokręcił głową, jakby moje tłumaczenie było bez sensu. Wolałem nie wspominać mu, że weszliśmy do prywatnego przedziału, za który nie zapłaciliśmy, ani że Alina, która próbowała mediować, założyła za skórę pogranicznikom. Coś mi mówiło, że Constantin dla zasady będzie trzymał stronę kolegów w mundurach.

Wskazując Laurę ołówkiem, spytał:

– Twoja dziewczyna brała narkotyki?

– Nie! Przecież tłumaczę, że jest w szoku. Powinien ją zbadać lekarz. Poza tym muszę opowiedzieć jeszcze panu, co zobaczyliśmy w domu w lesie.

Stukanie ołówkiem w blat biurka ustało.

– W domu w lesie?

– Tak. Przyszliśmy tu po to, żeby o tym powiedzieć.

Utkwił we mnie wzrok.

– Pokażcie paszporty.

– Zostały skradzione, już mówiłem. – Siedząca obok mnie Laura zaczęła cicho pojękiwać. – Słuchaj, ona wymaga opieki lekarskiej. Albo chociaż dajcie jej coś słodkiego do picia.

Gliniarz westchnął i ociągając się, podniósł się z krzesła. Gdzieś przepadł i wrócił po minucie z ciepłąwą puszką coca-coli. Postawił ją na biurku przed Laurą. Otworzyłem ją i podałem. Laura upiła łyk i skrzywiła się, jakby ją coś zabolalo.

– A więc nie macie przy sobie żadnych dowodów tożsamości, zgadza się?

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, ale nie dożyły się z nich żadne słowa.

– Czy ktoś wie, że tu jesteście?

– Nie. Ale... – Z kieszeni wyciągnąłem iPhone'a z rozładowaną baterią.

– Proszę pozwolić mi naładować telefon, a wtedy przedzwonię do domu. Chyba że mogę użyć pańskiego telefonu?

– Zaczekaj.

Constantin znów wstał i gdzieś poszedł. Laura trzęsła się trochę mniej, ale i tak wyglądała, jakby zaraz miała stracić przytomność. Objąłem ją ramieniem i spróbowałem przytulić. Jej ciało było niczym wykute z kamienia.

Cała ta sytuacja doprowadzała mnie do szału. Constantin nie pozwolił mi nawet opowiedzieć, co wydarzyło się w domu w lesie. Ani na chwilę nie opuszczało mnie wspomnienie tego, co się tam stało. Zacząłem trzeć oczy, jakbym wierzył, że w ten sposób się od niego uwolnię. Było dla mnie jasne, że koniecznie muszę powiedzieć mu o tym, co zobaczyliśmy.

Przez dziesięć minut krążyłem po pokoju, podczas gdy Laura siedziała nieruchomo na krześle. W końcu Constantin się pojawił, ale bez telefonu. Zachowywał się jak człowiek, który zmuszony jest do podjęcia trudnej decyzji.

Nie czekając, aż siądzie po drugiej stronie biurka, wyrzuciłem z siebie:

– Chcę opowiedzieć o tym, co się stało... Doszło do przestępstwa.

– W domu w lesie?

Gliniarz, na którego natknęliśmy się zaraz po wejściu na posterunek, stanął teraz w drzwiach. Powiedział coś po rumuńsku do Constantina. Ten zaś prychnął niecierpliwie.

– Zaczekajcie tu – polecił. Wsparł się dłońmi o uda i uniósł się z krzesła. Zanim zniknął za drzwiami, odwrócił się i spytał: – Na pewno nikt nie wie, że tu jesteście?

– Nikt, na sto procent.

Z korytarza dobiegł dźwięk oddalających się kroków. Głosy rumuńskich policjantów ucichły.

– Idziemy – zwróciłem się do Laury. Nic w wyrazie jej twarzy nie zdradzało, czy mnie rozumie. Chwyciłem ją za ramię i pociągnąłem, próbując podźwignąć ją z krzesła. – Chodź, musimy stąd wyjść, i to już.

– Ale...

– Coś tu nie gra – stwierdziłem. – Dlaczego ten duży dopytuje, czy ktoś wie, że tu jesteśmy? Mam złe przeczucia. – Podeszedłem do drzwi i wyjrzałem na korytarz. Był pusty, nie docierał tu głos żadnego z gliniarzy. – Droga wolna. Chodźmy.

Laura chwiejnie stanęła na nogach. Objąłem ją ramieniem. Jeszcze raz wyjrzałem na korytarz – nadal czysto, chociaż z oddali dobiegały czyjeś krzyki. Może Constantina wezwano, by zajął się jakimś sprawiającym problemy aresztantem? Tak czy inaczej, było jasne, że właśnie nadarza się szansa na ucieczkę. Musieliśmy zaryzykować.

Pospiesznie ruszyliśmy do wyjścia. Kiedy mijaliśmy dyżurkę, teraz pustą, Laura łamiącym się głosem powiedziała:

– Nasze plecaki. Gdzie one są?

– Musimy je tu zostawić, nie mamy wyjścia.

Na tym etapie byłem już pewien, że Constantinowi nie można ufać. Porzucenie plecaków w tej sytuacji nie wydawało się wielkim poświęceniem. Po chwili wynurzyliśmy się z posterunku – prosto w ciepły, słoneczny poranek. Odetchnąłem z ulgą. Wziąłem Laurę za rękę i pociągnąłem za sobą. Po drodze spytałem napotkanego miejscowego, jak dojść do stacji kolejowej. Przeszliśmy przez jakieś pole i znaleźliśmy stację. Na szczęście, jak się okazało, drobnych pieniędzy w kieszeni starczyło mi akurat na dwa bilety na pociąg, który miał nas zabrać z Brevy.

– I co stało się potem? – spytała doktor Sauvage, wydmuchując biały obłok pary.

Jak gdyby z oddali docierały do mnie dźwięki przejeżdżających samochodów, krzyki jakiegoś mężczyzny, trzaskanie drzwiami. Jednak to wszystko było w tle, a przede wszystkim słyszałem bicie serca i szum w uszach, jakbym znalazł się pod wodą.

– Danielu?

Odwróciłem się do terapeutki.

– Zakupione bilety upoważniały nas do przejazdu tylko do najbliższej miejsciny. Tam znaleźliśmy lombard, w którym zastawiłem zegarek. Pieniądzy starczyło akurat na transport do Bukaresztu. Po dotarciu tam odszukaliśmy brytyjską ambasadę. Po wielu telefonach pracownicy ambasady wydali nam tymczasowe dokumenty i znaleźli lot powrotny do Anglii.

– Czy opowiedziałeś komuś o tym, co was tam spotkało?

– Nie, nikomu nie mówiliśmy.

– Ale...

– Nie byliśmy w stanie. Nadal nie umiemy.

– Danielu – odezwała się łagodnym, kojącym głosem terapeutka. – Mam nadzieję, że wkrótce zdobędziesz się na to, by podzielić się ze mną tą opowieścią w całości. Ale tak jak wspomniałam, przyjdzie na to czas dopiero, gdy będziesz umiał poradzić sobie ze swoimi emocjami.

Na nogawce moich jeansów w jednym miejscu materiał był już tak przetarty, że niemal utworzyła się dziura. Utkwiłem w nim teraz wzrok, spojrzenie w oczy doktor Sauvage było teraz ponad moje siły.

– Pani nie... Chyba nie umiem. Jeszcze nie teraz. Może na następnej sesji.

– Danielu, co widzisz w swoim umyśle?

– Wystawę polaroidowych zdjęć rodem z koszmaru.

– Słucham?

Dopiero teraz uniosłem na nią wzrok.

– Widzę polaroidy.

Błysk. Kucający mężczyzna, lśnienie metalu.

Błysk. Liczby nagryzmołone atramentem. 13.8.13.

Błysk. Błysk. Błysk.

Wstałem z fotela.

– Muszę już iść.

– Danielu...

– Przepraszam.

Wyszedłem z domu doktor Sauvage i znalazłem się na ulicy. Mimo że podzieliłem się z terapeutką tylko tą częścią opowieści, która mogła mi przejść przez gardło, i tak czułem się rozbity. Pomyślałem teraz o moim zegarku w lombardzie w rumuńskim miasteczku, którego nazwy nie umiałem nawet sobie przypomnieć. Ten zegarek dała mi w prezencie Laura, żeby uczcić transakcję ze Skittle. Kosztował połowę miesięcznej pensji, ale nie dlatego był ważny. Na kopercie Laura kazała wygrawerować krótką inskrypcję: Aż po kres czasu. Laura xxxx.



Autobusem pojechałem z powrotem do dzielnicy Angel i zaszedłem do supermarketu. Kupiłem mleko, chleb, paracetamol, czerwone i białe wino, po czym z zakupami poszedłem do domu.

Już na schodach poczułem, że coś jest nie tak. Mieszkałem w starym wiktoriańskim budynku, który podzielono na mieszkania. Od dawna z Laurą planowaliśmy poszukać dla siebie większego i wygodniejszego lokum. Ale nawet po nieoczekiwanym przyplywie gotówki dzięki sprzedaży aplikacji nie stać nas było na taki ruch.

Rzadko widywałem sąsiadów. Mój kontakt z nimi najczęściej ograniczał się do odczytywania wywieszek na ścianach, w których wzajemnie skarżyli się na swoje zachowanie. Tematyka tych skarg była różna: zbyt głośne imprezy, zostawianie na klatce schodowej rowerów i wózków dziecięcych, niestosowanie się do zasad segregacji śmieci, parkowanie samochodu w niedozwolonym miejscu... Jednak dzisiaj budynek wydał mi się jeszcze cichszy i bardziej pusty niż zazwyczaj.

Dotarłem na drugie piętro i stanąłem przed drzwiami mojego mieszkania. Drewno wokół zamka było spękane. Ktoś sforsował je kopniakiem.

Ostrożnie pchnąłem drzwi.

ROZDZIAŁ 14

Regały w salonie zostały wypatroszone, książki w miękkich oprawach leżały rozrzucone po podłodze niczym cegły ze zbombardowanego budynku. Wśród nich dostrzegłem też papiery, wyrzucone z wysuniętych do połowy biurkowych szuflad. W sypialni ten sam los spotkał komodę – podłoga wokół niej zasłana była ubraniami, oraz stolik nocny, z którego zniknęły tabletki i prezerwatywy. Spod łóżka włamywacz powyciągał pudła i wybebeszył ich zawartość. Zdjęcia też wylądowały na podłodze, już na progu powitała mnie uśmiechnięta twarz Laury na jednej z fotografii.

W łazience umywalka była pełna butelek z tabletkami. Na podłodze leżała rozdeptana tubka po paście, jej zawartość utworzyła malowniczy rozbryzg na płytkach podłogowych. Wróciłem do salonu, żeby jeszcze raz się rozejrzeć. W ustach mi zaschło, serce waliło mi jak młotem.

Mój laptop, który zostawiłem do ładowania na biurku, przepadł bez śladu.

Efekty pracy, nad którą ostatnio ślęczałem – nader skromne – były zapisane w chmurze. Ale na laptopie przechowywałem też inne pliki, między innymi większość zdjęć, których zapasowej kopii nie zdążyłem zrobić. Poza tym było tam mnóstwo danych dotyczących mojej aktywności w internecie: loginy do bankowości internetowej, profilów na portalach społecznościowych, stron e-commerce, wszystkich stron internetowych, na których miałem założone konta. Zgodnie z moimi ustawieniami komputer automatycznie logował się do niemal wszystkich tych stron. Osoba, która weszła w posiadanie tego laptopa, mogła z łatwością narobić mi wielkich problemów.

Rozejrzałem się, czego jeszcze brakuje. Znikła konsola PlayStation 4, a także mój iPad i głośnik Bluetooth, na którym słuchałem muzyki. O ile

mogłem się zorientować, złodzieje zabrali wyłącznie gadzety elektroniczne. Rodziło się pytanie: czy narobili takiego burdelu w całym mieszkaniu tylko dla hecy? Czy może szukali ukrytej biżuterii i gotówki?

Zgłosiłem włamanie na policję. Następnie skontaktowałem się z bankiem i poprosiłem o tymczasową blokadę konta.

Potrzebowałem dostępu do innego komputera, tak bym mógł zmienić wszystkie hasła. Poza tym nie miałem ochoty tkwić sam w całym tym bałaganie. Moje mieszkanie wydawało mi się jeszcze bardziej odpychające niż zazwyczaj.

Przeszedłem do sypialni, stąpając ostrożnie pośród rozrzuconych po podłodze rzeczy. Usiadłem na łóżku i podniosłem zdjęcie Laury. Była taka piękna. Już niedługo będzie dzielić nas dziesięć tysięcy kilometrów.



Kiedy Erin otworzyła mi drzwi, jej ciąża była jeszcze bardziej zaawansowana niż dzień wcześniej.

– Siemka po przerwie – powiedziała, całując mnie w policzek. – Laury nie ma w tej chwili.

– Aha.

– Ale jeśli chcesz, wejdz i zaczekaj na nią. Prawdę mówiąc, umieram z nudów. Urlop macierzyński jest super, ale tylko na początku. Ile godzin dziennie można wytrzymać przed telewizorem? Już nie mogę się doczekać, żeby ten mały gałgan ze mnie wylazł.

Usiedliśmy przy stole w kuchni, czyli w tym samym miejscu, gdzie siedziałem wczoraj. Obok leżał wielki karton pełen pieluch, buteleczek i chusteczek nawilżanych.

– Laura wyskoczyła do sklepu. Ale to się nawet dobrze składa, bo możemy pogawędzić w cztery oczy. – Erin położyła swoją dłoń na mojej. Jej skóra, w przeciwieństwie do mojej, była ciepła. – Gdyby wiedziała, że gadam z tobą o niej, udusiłaby mnie. Ale... wiem, że nadal ci na niej zależy.

– Czy to ma jakiś związek z tym incydentem na stacji metra?

– W sumie to nie. Laura powtarza, że się potknęła. Jej zdaniem to niemożliwe, żeby ktoś ją popchnął. Wierzę jej. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonana, że kiedy na początku twierdziła, że ktoś ją pchnął, kierowała nią chęć wywołania współczucia. – Erin szukała mojego spojrzenia. – Ale wydaje mi się, że Laura żyje w swoim świecie. Wyobraża sobie różne, bardzo dziwaczne rzeczy.

– To znaczy?

– Muszę teraz często odwiedzać toaletę nocą, bo maluch w brzuchu naciska na mój pęcherz. Zaliczam taki spacerek mniej więcej trzy razy w ciągu nocy. Podejrzewam, że matka natura przygotowuje mnie w ten sposób na brak snu, który mnie czeka. W każdym razie niedawno podczas takiej nocnej wędrówki za potrzebą usłyszałam coś tutaj.

– W kuchni?

– Tak. Weszłam i zobaczyłam Laurę stojącą przy oknie. Była prawie całkiem goła, miała na sobie tylko majtki. Rob byłby pewnie zachwycony. Wpatrywała się w ogród za oknem. Wypowiedziałam jej imię, ale nie zareagowała. I wtedy pomyślałam: O cholera, ona lunatykuje.

W tym momencie lodówka wydała nieprzyjemny dźwięk. Z wrażenia podskoczyłem.

– Powtórzyłam jej imię i dopiero wtedy się do mnie odwróciła. Miała gęsią skórę na całym ciele. Zupełnie jakby była przemarznięta na kość, mimo że mieliśmy włączone ogrzewanie. Nie wiedziałam, co robić. Kiedy ktoś lunatykuje, nie powinno się go budzić, prawda?

– Chyba tak.

– Wtedy się odezwała. Powiedziała: Tam, pośród drzew. I pokazała na ogród, w kierunku szopy na narzędzia.

– Chryste.

Wyjrzałem przez okno. Ogród wyglądał na zaniedbany, jak gdyby Erin i Rob umówili się, że nic nie będą w nim robić do wiosny. Na końcu trawnika rosło parę młodych jabłonek. Gałęzie były nagie, ziemię pod nimi pokrywała warstwa wilgotnych, gnijących liści. Wyobraziłem sobie, jak musiały wyglądać nocą – gdy przyprawiające o ciarki sylwetki koron zdawały się wyciągać szponiaste ręce ku domowi. Przeszedł mnie dreszcz.

– A potem jak gdyby nigdy nic wyminęła mnie, wspięła się po schodach na piętro i poszła do swojego pokoju. Obudziłam Roba, żeby opowiedzieć mu, co się stało. Ale mój najdroższy był tylko zawiedziony, że ominął go striptiz.

– Któreś z was wyszło do ogrodu, żeby się rozejrzeć?

– Tak, Rob się pofatygował. Ale nic tam nie było. Inna sprawa, że nie spodziewaliśmy się, że coś znajdzie. – Erin zmarszczyła brwi. – Zaczynam się o nią naprawdę martwić. Do tego dochodzi ta historia z metra, gdy niemal wpadła pod pociąg... A teraz jeszcze ten pomysł, żeby wyjechać na drugi koniec świata. Sama nie wiem, czy to najlepsze, czy raczej najgorsze, co może teraz zrobić. Może z nią porozmawiasz? Spróbuj nakłonić ją, żeby spotkała się ze specjalistą. Moje rady do niej nie docierają.

– Mnie też nie posłucha, Erin.

Wstała, położyła dłoń na swoim rozdętym brzuchu. Dzieciaczek w środku nie miał pojęcia, jakim jest szczęściarzem, że jego matka jest taką rzutką i troskliwą kobietą.

– Spróbuj jeszcze raz.



Erin wyszła do toalety. A kiedy wróciła, napomknąłem jej o włamaniu. Była w szoku, chciała wiedzieć, dlaczego od razu jej o tym nie powiedziałem. Pozwoliła mi skorzystać z jej laptopa, tak bym mógł pozmienić wszystkie hasła na odwiedzanych przeze mnie stronach.

Dwie godziny później z wolna traciłem nadzieję, że Laura się pojawi. Przed wyjściem powstrzymywała mnie tylko myśl o powrocie do domu, gdzie czekało mnie ogarnianie chaosu po włamaniu. W pewnym momencie trzasnęły drzwi wejściowe do domu, a w kuchni zjawiła się Laura. Była godzina osiemnasta.

– O – wydusiła na mój widok.

– No hejka.

– A co ty tu robisz?

Taszczyła kilka reklamówek, w jednej z nich, ku swojemu zadowoleniu, rozpoznałem dwie butelki czerwonego wina. Wydawała się lekko nieobecna, zamyślona. Włosy miała związane gumką typu scrunchie w maki, po której zawsze ją rozpoznawałem. Niezliczoną ilość razy gubiła ją i potem spędzaliśmy pół godziny, przemierzając mieszkanie na czworakach, żeby ją znaleźć.

– Ktoś włamał mi się na chatę – wyjaśniłem. – Wpadłem do was, bo muszę skorzystać z komputera.

– Miałeś włamanie?

Opowiedziałem jej dokładnie, co zastałem po powrocie do domu. Laura wydawała się wstrząśnięta.

– Zupełnie jakby ktoś rzucił na nas klątwę.

– Lauro, nie gadaj głupot. Nie mówisz teraz serio, co?

– Sama nie wiem.

Wyjęła wino z siatki. Szybko odkorkowała jedną z butelek i nalała sobie kieliszek.

– A mnie nie poczęstujesz?

– Nie wiedziałam, że zostajesz.

– Musimy porozmawiać.

– Tylko nie o Australii, proszę.

– W porządku. Po prostu chcę pogawędzić. W końcu nadal się przyjaźnimy, prawda? Nie mam ochoty wracać do mieszkania. To ponad moje siły.

Laura nalała mi wina, po czym też usiadła przy dużym masywnym stole i poprosiła, żebym jeszcze raz opowiedział o włamaniu. Następna godzina upłynęła nam na rozmowie. Z kolejnymi lampkami wina Laura rozluźniała się, uspokajała – a ja przez cały czas uważałem, żeby trzymać się neutralnych tematów. Żadnego rozpamiętywania przeszłości, żadnych nawiązań do naszej podróży po Europie. Ani słowa o naszym związku czy australijskich planach Laury. Gawędziliśmy o wspólnych znajomych, o serialach, które oglądaliśmy razem, o muzyce, która podobała się nam obojgu. Po jakimś czasie do kuchni zajrzeli Erin z Robem. Zamierzali

zamówić jedzenie z indyjskiej restauracji i zastanawiali się, czy też byśmy coś chcieli. Wkrótce przyjechała dostawa, do jedzenia otworzyliśmy drugą butelkę wina.

Było wspaniale. Na dwie godziny zapomniałem o całym syfie, w jakim tkwiłem po uszy, o problemach, z którymi będę musiał się zmierzyć. Przez jakiś czas byłem znów dawnym sobą – żyłem iluzją, że znów jesteśmy parą i nic się nie zmieniło. Tę beztroskę mąciła tylko myśl czająca się z tyłu głowy, że muszę podpytać Laurę o incydent z lunatykowaniem. Nie chciałem jednak ryzykować, że czar pryśnie. Po raz pierwszy od trzech miesięcy czułem się naprawdę szczęśliwy.

– Nie ma więcej wina – stwierdziła ze zdziwieniem Laura.

– Jak to możliwe?

– Chyba wszystko wypiliśmy – roześmiała się. Było jasne, że jest już mocno wstawiona.

– Może skoczę do sklepu i kupię jeszcze trochę?

Popatrzyła na mnie spod grzywki, a coś w jej spojrzeniu sprawiło, że zakręciło mi się w głowie. Był taki moment, że nasze nogi spotkały się pod stołem. Byłem przekonany, że zdawała sobie sprawę z tego dotyku, a mimo to nie zabrała nogi. Ta myśl była upajająca.

– Tak się składa, że w pokoju mam butelkę Jacka Danielsa.

– Chcesz, żebym ją przyniósł? – zaproponowałem.

– Co ty na to, żebyśmy przestali okupować kuchnię Erin i Roba i przenieśli się do mojego pokoju?

Dokonywałem cudów, żeby nie pokazać po sobie, jak bardzo jestem podekscytowany.

– No to chodź – powiedziała.

Zaprowadziła mnie do pokoju, w którym teraz mieszkała. Znałem go – spędziliśmy w nim razem niejedną noc. Dziwnie się czułem ze świadomością, że Laura zajmuje go teraz na stałe: szafa była pełna jej ubrań, pod ścianami leżały sterty jej rzeczy niezbędnych do codziennego funkcjonowania. Pokój był nieduży – niemal całe miejsce zajmowało w nim podwójne łóżko. Nie było gdzie usiąść, dlatego po chwili przycupnąłem

niezgrabnie na brzegu łóżka. Laura usiadła po turecku na środku i otworzyła butelkę whiskey.

Ponieważ miała tylko jedną szklanę, napełniła ją alkoholem, wypłała na kilka łyków, a następnie podała mnie. Kiedy piłem, zeskoczyła z łóżka, żeby włączyć muzykę. Kiedy tylko stanęła, zatoczyła się i niemal upadła z powrotem na materac.

– Ojej – powiedziała.

Miała na sobie jeansy i sweter. Pamiętałem, jakie kształty skrywają się pod jej ubraniami, pragnąłem ją dotykać.

– Trochę tak, jakbyśmy cofnęli się do studenckich czasów, co? – zauważyłem, oddając jej szklanę.

– Tyle że ja byłem straszną kujonką na studiach. Cały czas spędzałem w bibliotece. Panią Nudziara.

– Nigdy nie byłaś nudziarą.

– Na uniwerku byłem, wierz mi. I miałem wyjątkowo nieciekawego chłopaka.

– To ten prezes uniwersyteckiego klubu dyskusyjnego?

– Tak, Julian. Tylko udział w wielkich debatach dawał mu poczucie spełnienia.

Laura się uśmiechnęła. Zachichotała, po czym parsknęła śmiechem. Jej wesołość udzieliła się także mnie i po chwili oboje pękaliśmy już ze śmiechu. Rechotaliśmy tak bardzo, że jej z oczu płynęły łzy, a ja trzymałem się za brzuch. Brakowało mi tchu, lecz mimo to nie mogłem przestać się śmiać. Ten dowcip nie był nawet śmieszny, zadziałało coś innego – nareszcie znaleźliśmy ujście dla nagromadzonego napięcia. A może ten dziwny atak śmiechu wskazywał, jak niewiele nam brakowało do popadnięcia w histerię.

W końcu uspokoiliśmy się, Laura otarła załzawione oczy rękawem swetra.

– O Boże – jęknęła. – Brzuch mnie boli ze śmiechu.

Uniosłem butelkę Jacka Danielsa i naśladując amerykański akcent, bełkotliwie powiedziałem:

– Rock’n’roll, maleńka.

– Błagam, tylko nie mów nic, po czym znów zacznę się śmiać.

Przypomniałem sobie, o co prosiła mnie Erin.

– Lauro, pamiętasz, że chodzę na terapię? Wydaje mi się, że mi to pomaga. Erin wspominała...

Laura uciszyła mnie ręką.

– Nie chcę o tym rozmawiać. Proszę. – Chichocząc, dodała: – Jestem taka zalana, że nareszcie mam to wszystko gdzieś. I niech tak zostanie, dobra?

Siedzieliśmy już bardzo blisko siebie – ona nadal po turecku, a ja z wyciągniętymi nogami. Lekko kręciło mi się w głowie, żebra miałem obolałe od śmiechu. Czułem się pijany i szczęśliwy. Zapragnąłem powiedzieć coś głębokiego, coś, po czym Laura pokocha mnie na nowo, co rozwiąże wszystkie nasze problemy, coś, co sprawi, że porzuci pomysł emigracji do Australii. Szkopuł w tym, że do głowy nie przychodziły mi żadne w miarę logiczne słowa, nie wspominając o doniosłych i głębokich przemyśleniach. Kiedy próbowałem rozeznać się we mgle spowijającej mój umysł, z głośników popłynął kawałek, który oboje uwielbiliśmy – intro na pianinie, potem subtelne dźwięki gitary, wreszcie niski męski wokal. Laura popatrzyła wtedy na mnie i szepnęła:

– Ta piosenka zawsze kojarzy mi się z tobą, wiesz?

Zaczęliśmy się całować.

Niedługo potem byliśmy już nadzy i zatopiłem się w niej, a z moich ust dobył się głośny jęk. Laura próbowała mnie wtedy uciszyć, szepcząc „Erin i Rob”. Prawdę mówiąc, byłem zaskoczony, że ktoś taki w ogóle istnieje – że w ogóle istnieje jakiś świat poza nami. Dotyk jej skóry, jej język muskający moje usta, jej palce wpijające się w moje plecy, jej przyspieszony oddech – nie liczyło się nic więcej. Jestem pewny, że w momencie orgazmu musiałem krzyczeć. Ona zresztą też krzyczała. A chwilę potem, opleciony jej ciałem, skórę mając mokrą od jej potu, zapadałem się w otchłań snu. Szczęśliwy, uleczony, żywy.

Dopóki się nie obudziłem.

ROZDZIAŁ 15

W pokoju panował półmrok. Pościel w łóżku była zimna, w powietrzu unosiła się ciężka woń seksu i nieprzetrawionej whiskey. Spodnie znalazłem na podłodze przy łóżku, sprawdziłem godzinę na telefonie – siódma trzydzieści. Przez chwilę czekałem w nadziei, że Laura poszła do toalety i zaraz wróci. Kiedy się nie pojawiła, zwlokłem się z łóżka, poszukałem ubrań rozrzuconych na podłodze i ubrawszy się, zszedłem na dół.

W kuchni na stole znalazłem parę kubków po kawie, jednak ani śladu Laury. Rob pewnie wyszedł już do pracy, a Erin jeszcze nie wstała.

Gdzie podziewała się Laura?

Wyszedłem z domu. Czułem się fatalnie. Dokuczał mi straszliwy ból głowy, całe ciało miałem obolałe. Czułem się jak dziewięćdziesięcioletek. Przed wyjściem z domu Erin i Roba w łazience znalazłem opakowanie tabletek przeciwbólowych i łyknąłem kilka.

Wokół mnie Camden budziło się do życia. Ranne ptaszki udawały się do pracy, na przystankach autobusowych ustawiały się kolejki. Podczas gdy posuwałem się w stronę targowiska, minęło mnie kilku biegaczy. Domyślałem się, gdzie mogła pójść Laura. Wiedziałem, jakie jest jej ulubione miejsce w tej części miasta.

Po drodze rozmyślałem o wypadkach ostatniej nocy. Mimo że minęło zaledwie parę godzin, wspomnienia tego, co wydarzyło się między nami, były już zatarte: zapamiętałem dotyk jej skóry, jak gdyby zadziałała wyłącznie pamięć sensoryczna. Zależało mi, żeby ta noc coś znaczyła i żeby Laura odbierała to tak samo. Ale jakie były na to szanse? Laura była pijana, działała pod wpływem impulsu. Zresztą to samo można powiedzieć

o mnie. To, co się wydarzyło, było podręcznikowym wręcz przykładem „pożęgalnego seksu po rozstaniu”.

Gdyby moi kumple wiedzieli, co się dzieje w mojej głowie, pewnie próbowaliby mnie otrzeźwić – przekonywaliby, żebym dał sobie z nią spokój i skupił się na tym, co życie jeszcze ma mi do zaoferowania. Umknąłby im jednak pewien istotny szczegół – nie zrozumieliby, że czułem się, jakbym tonął, a Laura była stałym lądem, który może mnie ocalić. Nie miałem pojęcia, jak sobie poradzić w życiu bez niej. Dlaczego tak różnie zareagowaliśmy na to, co spotkało nas w Rumunii? Dlaczego jedno z nas pragnęło bliskości, drugie chciało uciec na koniec świata? Były to pragnienia, których nie dało się pogodzić. Tak naprawdę w głębi duszy znałem odpowiedź na to pytanie.

Nie wiedziałem tylko, jak żyć z tą wiedzą.



Laure zastąpiłem tam, gdzie się spodziewałem, że ją znajdę.

Śluza Camden Lock należała do jej ulubionych miejsc, ale tylko wtedy, gdy okolica się wyludniała; gdy tłumy na rynku, w barach, przy stoiskach z makaronem, w butikach z odzieżą dla gotów rozeszły się już do domów albo gdy było jeszcze za wcześnie na nie. O tak wczesnej godzinie i przy takiej pogodzie nad kanałem królowała cisza. Gdyby temperatura spadła jeszcze o parę stopni, wodę w kanale ściąłby lód.

Laura siedziała na niskim murku ciągnącym się wzdłuż wąskiej ścieżki holowniczej. Opatulona była w zieloną kurtkę z kapturem. Nie ruszała się, a wzrok utkwiała w tafli wody. Przez długi czas przypatrywałem się jej z położonego wyżej placu targowego. Nie byłem pewien, czy powinienem jej przeszkadzać. Może teraz, gdy wiedziałem już, że nic jej nie grozi, powinienem się ulotnić, wrócić do domu i ewentualnie przedzwonić do niej za jakiś czas? A może należałoby właśnie podejść do niej i spróbować wytłumaczyć, jak się czuję? Długo biłem się z myślami. W końcu moje rozterki zeszyły na dalszy plan, gdy coś przykuło moją uwagę.

Ktoś obserwował Laurę.

Stał pod mostem, częściowo ukryty w cieniu. Na ułamek sekundy ukazał się cały w bladym świetle poranka, ale ponieważ miał na głowie kaptur, nie widziałem jego twarzy. Był szczupły, dobrze zbudowany. Przypatrywał się Laurze, nieświadomej jego obecności.

– Ej ty! – zawołałem.

Odwróciła do mnie głowę, a w tym samym momencie nieznajomy cofnął się, rozplywając się w mroku pod mostem. Ruszyłem biegiem w dół schodków, nie zwracając uwagi na wołanie Laury. Znalazłszy się na ścieżce holowniczej, przyspieszyłem jeszcze kroku i po chwili wbiegłem pod most.

Kiedy wynurzyłem się z drugiej strony, mężczyzna wbiegał już po schodach prowadzących na ulicę. Akurat nadjechał autobus, zupełnie jak na życzenie nieznajomego. Facet wskoczył do środka. Pędziłem ile sił w nogach, jednak nim dotarłem na przystanek, zziębnięty i spocony, autobus już odjechał. W żadnym oknie nie mogłem dojrzeć sylwetki nieznajomego.

Przeklinając pod nosem, wróciłem biegiem do Laury.

– Co ty wyrabiasz, do cholery? – wyrzuciła z siebie. Przy każdym słowie z jej ust wydobywały się białe obłoczki pary.

– Tamten facet cię śledził.

– Co ty chrzaniś? Ty mnie śledziłeś.

Podszedłem bliżej, spróbowałem dotknąć jej ramienia, ale się wzdrygnęła.

– Obudziłem się i nie było cię obok. Zacząłem się niepokoić.

– Dlaczego?

– Nadal mi na tobie zależy.

Jej długie włosy w kolorze rudy blond poruszyły się na wietrze. Nos miała zaróżowiony od chłodu, policzki też.

– Danielu – odezwała się, wypuszczając w powietrze kolejny obłoczek.

– Musisz z tym skończyć. Ostatniej nocy upiliśmy się, to wszystko. – Spoglądając mi prosto w oczy, dodała: – To, co się stało, nic nie znaczyło.

– Nie wierzę, że naprawdę tak uważasz.

– To uwierz – odrzekła, uciekając spojrzeniem w bok.

Nie czekając na moją odpowiedź, odwróciła się i zaczęła wspinać się po stopniach.

Puściłem się za nią biegiem.

– Lauro, na miłość boską. Zachowujesz się jak nie ty.

– Danielu, proszę, oszczędź mi swoich błagań. To nie w twoim stylu.

– Wcale nie mam zamiaru cię o nic błagać! Do kurwy nędzy, dlaczego jesteś taka oziębła? Nigdy taka nie byłaś.

– Może teraz taka właśnie jestem. To nowa Laura.

Pokręciłem energicznie głową.

– Nie wierzę.

Czułem na sobie zaciekawione spojrzenia straganiarzy, przygotowujących się do otwarcia swoich kramów. Jeszcze raz spróbowałem wziąć ją za rękę, ale mi ją wyrwała.

– Musisz o mnie zapomnieć. Źle zrobiliśmy, idąc wczoraj ze sobą do łóżka. To był błąd. Pewnie dla ciebie to był znak, że znów będziemy razem. Ale to niemożliwe, Danielu. Nigdy już nie będziemy parą. I nic tego nie zmieni. Odchodzę, nigdy więcej mnie nie zobaczysz. – Dotknęła dłonią mojego przedramienia. – Musisz o mnie zapomnieć i żyć dalej.

Otwierałem usta, żeby zaprotestować, ale ostatecznie nic nie powiedziałem. Laura miała rację. Byłem o krok od błagania jej o litość. Moje zachowanie można by potraktować jako nękanie. Słowa Laury bolały, budziły frustrację i gniew. Powinienem teraz pójść do domu, dać jej spokój, na którym tak jej teraz zależało. Było jednak coś, o czym musiałem jej powiedzieć:

– Lauro, ten mężczyzna cię obserwował.

Popatrzyła na most.

– Nie, to po prostu jakiś przypadkowy facet. Pewnie na śmierć go wystraszyłeś.

Zastanowiłem się. Czy to możliwe, żeby miała rację?

– Nie... gapił się na ciebie. Na nikogo innego, tylko na ciebie.

Wyraz jej twarzy zmienił się na chwilę, jakby do jej serca zakradła się wątpliwość. Ale szybko pokręciła głową.

– Nie, nieprawda.

Znów skierowała się przed siebie szybkim krokiem. A ja ruszyłem za nią.

– Dokąd się wybierasz? – Chciałem wiedzieć.

– Do domu Erin.

Nie spoglądając więcej w moją stronę, przyspieszyła kroku, minęła plac targowiska i po chwili znalazła się na tłumnej High Street. Ja zaś stanąłem, jakby nagle nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Miałem wrażenie, że upłynęło dużo czasu, nim wydobyłem się z tego stuporu. Miałem świadomość, że Laura naprawdę wierzyła w to, iż nasza znajomość nieodwołalnie dobiegła końca. Ale nie to było najgorsze. Byłem pewien, że ten nieznajomy specjalnie przyczał się pod mostem, żeby ją obserwować. A mnie teraz czekał powrót do splądrowanego mieszkania. Kiedy powlokłem się przed siebie, nie odstępowało mnie osobliwe poczucie, coś jak ukłucie w karku, że mnie też ktoś obserwuje.

ROZDZIAŁ 16

Sprzątanie mieszkania zajęło mi cały dzień. Przy okazji postanowiłem dokonać małych korekt w tym, gdzie co stoi: książki wróciły na półki, jednak tym razem poustawiałem je podług kolorów grzbietów. Płyty CD zostały uporządkowane według gatunku. Starannie poskładałem i ułożyłem w komodzie ubrania. Uzbierałem trzy worki śmieci, opróżniłem szuflady i komodę ze wszystkich rzeczy, których przestałem używać, i takich, których nie potrzebowałem. Luźne zdjęcia powkładałem do albumów. Zmieniłem pościel. Odkurzyłem i zmyłem wszystkie powierzchnie płaskie. Kiedy skończyłem, moje gniazdko wyglądało lepiej niż ostatnimi czasy po rozstaniu z Laurą. Padałem ze zmęczenia, ale za to byłem spokojny. W lodówce znalazłem schłodzoną puszkę piwa. Rzuciłem się na sofę z zamiarem oddania się słodkiej bezmyślności.

Po chwili zadzwonił domofon. Laura? Zerwałem się z kanapy, podniosłem słuchawkę.

– Tak?

– Siemanko, to ja.

– A, to ty, Jake.

Otworzyłem zdalnie bramę. Po chwili przyjaciel był już w mieszkaniu. Rzucił płaszcz na oparcie krzesła i stwierdził sarkastycznie:

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Dan.

– Przepraszam. Myślałem...

– O cholera, a co tu się stało? – Jake obrócił się wokół własnej osi. – Miałeś najazd ekipy sprzątającej?

– Raczej włamywaczy.

– Co takiego?

Opowiedziałem mu, zaparzając kawę. Jake nie tykał alkoholu, zasadniczo z powodu matki alkoholiczki, przez którą rozpadła się ich rodzina. Wlewał za to w siebie litrami kawę, dziennie potrafił wypić dziesięć, dwanaście filiżanek. Upierał się przy tym, że jest z natury pełen energii, a jego niesłabnąca nadpobudliwość nie ma nic wspólnego z kofeiną.

Był bezwstydnie przystojny, do tego stopnia, że pokazywanie się z nim na mieście z reguły było dla mnie przygnębiającym doświadczeniem – spojrzenia wszystkich dziewczyn jedynie o mnie zahaczały i kierowały się na tego żyłastego, tryskającego energią charyzmatycznego mulata. Matka Jake'a robiła przed laty w Manchesterze karierę jako modelka, ojciec był muzykiem z Trinidadu. Jake po mamie odziedziczył urodę, po ojcu talent.

– O kurwa – skwitował moją opowieść o włamaniu.

W moim życiu ostatnio sporo się działo, ale uznałem, że oszczędzę mu szczegółów, chociażby z ostatniej nocy. Na pewno dowiedziawszy się, że poszedłem do łóżka z Laurą, nazwałby mnie skończonym idiotą. To Jake nas ze sobą poznał, a potem przez kilka lat przypominał, że jesteśmy teraz jego dłużnikami i powinniśmy w geście wdzięczności naszemu pierworodnemu nadać jego imię. Kiedy dowiedział się o naszym rozstaniu, był wstrząśnięty i rozczarowany. Wolałby, żebyśmy wrócili do siebie, ale równocześnie przypominał mi, że szkoda czasu na łzy i powinienem zacząć cieszyć się życiem.

– A co u ciebie? – spytałem, dopijając swoje piwo.

– No jak to? Przecież mówiłem ci, że dzisiaj wieczorem gram koncert. Rozmawialiśmy o tym parę dni temu. Chyba nie zapomniałeś, co?

– No...

Tak naprawdę zupełnie wyleciało mi to z głowy. Owszem, pamiętałem, że rozmawiałem z Jakiem w tym tygodniu. Ale za nic nie umiałbym przypomnieć sobie o czym.

– Nieistotne. Ważne, że będziesz na widowni. Nie pozwolę, żebyś siedział tu do usranej śmierci, rozczulając się nad sobą. Martwię się o ciebie, stary.

– Gdzie ma być ten koncert?

– Niesamowite, naprawdę nie pamiętasz... – Powtórzył nazwę lokalu. Jakiś duży pub niedaleko stacji kolejowej Euston. – Podobno będą tam łowcy talentów z dużej firmy fonograficznej. Jeden z nich odezwał się do mnie. Twierdzi, że widział nagrania na moim kanale na YouTube i chce zobaczyć mój występ na żywo.

Wyobraźnia podsunęła mi obraz tłocznej, hałaśliwej sali.

– Chyba nie...

– Dan, nie wykręcisz się. Nie chcę zabrzmieć jak ciota, ale przydałoby mi się twoje wsparcie. No chodź, nie będziesz tu gnić w nieskończoność. Wyjdiesz do ludzi, rozerwiesz się. Na koncercie pewnie będzie sporo fajnych lasek. Przekonasz się, że znajomość z artystą występującym na scenie może zdziałać cuda. – Puścił do mnie oko.

– No dobra, przyjdę – westchnąłem. – Ale nie mam ochoty poznawać żadnych dziewczyn.

Jake wyszczerzył zęby w uśmiechu. Unosząc kubek, powiedział:

– Twoje zdrowie. A tak przy okazji, powinieneś sprawić sobie lepszą kawę. Ta smakuje jak Nescafé.

– To jest Nescafé.

– Wiesz, że producent jest odpowiedzialny za śmierć niemowląt?

Na chwilę odpłynąłem myślami.

– Nestlé – podpowiedział Jake. – Oni...

– Tak, tak, wiem. Chodzi ci o tę sprawę ze sprzedażą mleka dla niemowląt do Afryki. – Wstałem, podszedłem do kredensu. Wyciągnąłem z szafki opakowanie Nescafé i wrzuciłem je do śmieci. – Zadowolony?

Jake przyjrzał mi się niepewnie.

– Dan, naprawdę powinieneś częściej wychodzić do ludzi. Wyglądasz jak siedem nieszczęść. I zachowujesz się, jakby ci odbiło. Pamięć ci szwankuje.

– Może tak właśnie jest.

– To znaczy?

– Może mi odbiło.



Mimo że był lodowaty listopadowy wieczór, na dodatek środek tygodnia, pub pękał w szwach. Siedziałem z Jakiem w maleńkim pomieszczeniu za barem. Przyjaciół przygotowywał się do występu: stroił gitarę i starał się nakręcić, żeby dobrze wypaść na scenie. Na przestrzeni lat śpiewał w różnych kapelach, ale żadna z nich nie zdobyła rozgłosu. Grana przez nie muzyka nie utrafiła w gusta przedstawicieli wytwórni płytowych. Jake z narastającą frustracją obserwował, jak inne, mniej uzdolnione kapele, z którymi rywalizowali, podpisują kontrakty na wydanie płyty, a czasami nawet dorabiają się przebojów. Na przykład ten cały Zack Love – to oczywiście pseudonim – z którym Jake grał kiedyś w jednym zespole. Zack po pewnym czasie odszedł, wziął udział w programie X Factor, gdzie doszedł nawet do etapu występów na żywo, a potem stworzył parę dużych przebojów. Chodziły słuchy, że może nawet zrobić karierę w Stanach Zjednoczonych.

Sukces Zacka sprawił, że Jake zwątpił we własne siły i popadł w depresję. Po jakimś czasie wziął się jednak w garść, rywalizacja z byłym kolegą z zespołu dodatkowo go napędziła. Jake zaczął pisać znacznie lepsze piosenki, bardziej przykładał się do pracy nad swoim image'em i generalnie zmienił się na lepsze. Odkąd jeden z jego utworów opublikowanych na YouTube zdobył popularność w internecie, znacząco urosła liczba osób obserwujących jego kanał. Uścisnąłem go jeszcze raz, życząc powodzenia. Kiedy opuszczałem backstage, miałem poczucie, że Jake znalazł się w przełomowym dla swojej kariery momencie.

Przepychając się przez tłum, przypadkiem podsłuchałem rozmowę dwóch dziewczyn na temat Jake'a.

- Widziałaś filmik, który wrzucił wczoraj na swój kanał?
- O Boże, tak. Ale ma bicepsy – jęknęła. – Jak myślisz, ma dziewczynę?
- Nie, Tara twierdzi, że jest singlem. Ale nie rób sobie nadziei. On należy do mnie.
- Pewnie i tak woli facetów...

Mijając je, uśmiechnąłem się pod nosem. Korciło mnie, żeby podzielić się z nimi jakimiś informacjami na temat Jake'a, dostępnymi wyłącznie dla nielicznych. Przy barze zamówiłem dwa piwa, żeby oszczędzić sobie potem stania w kolejce. Mając już butelki, znalazłem miejsce niedaleko sceny, za kolejną grupką młodych, wyraźnie podekscytowanych kobiet. Na sali nie brakowało też facetów, ale większość sprawiała wrażenie, jakby zostali tu zaciągnięci siłą przez swoje dziewczyny.

Ciekawe, czy gdyby Jake stał się naprawdę sławny, nadal by się do mnie odzywał. A może wolałby się zadawać z bandą podobnych sobie gwiazd rocka o urodzie modeli albo aktorów. Wówczas skazany byłbym na całkowitą samotność – moja była dziewczyna uciekłaby do Australii, a mój najlepszy kumpel wyrzekłby się znajomości ze mną.

Popijałem pierwsze piwo, uzalając się nad sobą.

W pewnym momencie po sali przeszedł szmer. Zapowiedziano występ Jake'a, a gdy pojawił się na scenie z gitarą i uśmiechem przyklejonym do ust i zaczął brzdąkać, widownia ożyła. Dziewczyny, a nawet paru facetów, pokrzykiwali z entuzjazmem. To, co prezentował dzisiaj, było naprawdę super. Ponieważ na przestrzeni lat namawiał mnie do odsłuchiwania demówek i bywania na koncertach, całkiem nieźle znałem jego wcześniejszy dorobek. Ale tamte stare kawałki nie umywały się do tego, co słyszałem teraz. Zazdrość zdziałała cuda. Jeśli ustrzeże się pecha, będzie gwiazdą.

W pewnym momencie zwróciłem uwagę na młodą blondynkę stojącą nieopodal. Ubrana była w obcisłe czarne jeansy i fioletowy top, miała bardzo oszczędny makijaż. Była olśniewająca. Kiedy zerknąłem na nią drugi raz, uśmiechnęła się do mnie. A już po chwili stała obok.

– Uwielbiam go – powiedziała, nachylając się do mojego ucha tak blisko, że jej usta niemal musnęły moją skórę. Było to o tyle dziwne, że muzyka wcale nie była głośna i mogliśmy się z łatwością usłyszeć.

Jej akcent wskazywał, że pochodzi z Europy Wschodniej. Od razu pomyślałem o Alinie i przeszedł mnie dreszcz.

– Dobrze się czujesz? – spytała blondynka. – Masz minę, jakbyś zobaczył ducha.

Najchętniej dałbym nogę z tego miejsca. Jednak tłum napierał na mnie ze wszystkich stron. Na jakiś czas znalazłem się w potrzasku. Pomyślałem, że muszę się odprężyć. Ta dziewczyna była naprawdę piękna. Może powinienem posłuchać rady Jake'a i przestać być odludkiem?

Szykowałem się, by powiedzieć jej, że Jake jest moim najlepszym kumplem, ale w ostatniej chwili zmieniłem zdanie. Domyślałem się, jak potem wyglądałaby nasza znajomość. Oczywiście byłaby zdziwiona. Mimo że usiłowałem zaimponować jej, interesowałoby ją tylko, czy zapoznam ją z Jake'em. Czy tak miało teraz wyglądać moje życie? Będę rozpoznawalny jako kumpel Jake'a, ktoś, dzięki komu można poznać gwiazdę rocka.

– Jest niesamowity – przyznałem. – Uwielbiam ten kawałek.

– Camelia – przedstawiła się dziewczyna, podając mi rękę.

– Daniel. Skąd jesteś?

– Z Belsize Park – wyjaśniła z uśmiechem. – Podoba mi się twoje imię, Daniel. Kojarzy mi się z biblijną historią Daniela, który został wtrącony do jaskini pełnej lwów, ale uszedł z życiem.

– O tak, na tym polega moja praca. Jestem poskramiaczem lwów. Kiedy miałem dziesięć lat, uciekłem z domu, żeby zatrudnić się w cyrku. W szopie trzymam dwa oswojone lwy.

Uśmiechnęła się promiennie. Jej dłoń spoczęła na moim ramieniu.

Przełknąłem z trudem ślinę.

– A tak naprawdę skąd pochodzisz?

– Z Rumunii. Spokojnie, nie jestem wampirem.

– Aha.

– Wolisz, żebym była wampirem? – spytała, przechylając na bok głowę.

– Nie, wybacz. Po prostu... Nieważne.

Odkrycie, że dziewczyna jest Rumunką, zszokowało mnie. Ale przecież to głupie, powtarzałem sobie. W Londynie można spotkać przedstawicieli wszystkich nacji, a ponieważ Rumunia należy do Unii Europejskiej, jej obywatele mogą przyjeżdżać tu do pracy. Przecież nie będę wpadać w popłoch za każdym razem, gdy na mojej drodze stanie ktoś pochodzący z kraju, który zmienił moje życie.

– Świetnie mówisz po angielsku – pochwaliłem. – Wybacz, jeśli zabrzmiało to protekcjonalnie.

– Nie, to był komplement. Dziękuję. Mieszkam tu od dawna. – Po chwili dodała: – Kocham ten kawałek.

Odwróciła się w stronę sceny. Zaczęła poruszać głową i huścić biodrami w rytm muzyki. Oczy miała przymknięte, jej śliczną twarz rozjaśniał uśmiech. Zauważyłem, że paru facetów na sali pożera ją wzrokiem. I od razu zrobiłem się zazdrosny. Zarazem fakt, że wybrała właśnie mnie, bardzo mi schlebiał.

Podniosłem butelkę do ust i odkryłem, że jest już pusta.

– Chcesz coś do picia, Camelio?

– Jasne. To samo co ty.

Przecisnąłem się do baru. Sala nadal rozbrzmiewała głosem Jake'a, nieduża część widowni śpiewała razem z nim. Byłem podekscytowany. Po odstaniu paru minut w kolejce zamówiłem dwa piwa i wróciłem do miejsca, w którym zostawiłem dziewczynę.

Camelia znikła. Rozejrzałem się, wykręcając szyję, ale nigdzie jej nie widziałem. Super. Powtarzałem sobie, że to nic, ale niewiele to pomagało. Ta panna miała w sobie to coś i nie chodziło tylko o urodę; podobał mi się jej żartobliwy ton, emanująca od niej energia...

O Boże. Laura. Nagle zważyło się na mnie poczucie winy. Ale zaraz potem przypomniałem sobie tamtą poranną rozmowę z Laurą, ton jej głosu, gdy oznajmiała mi, że to już koniec.

– Hej.

Odwróciłem się i momentalnie poczułem wielką ulgę, równocześnie odmawiając sobie do niej prawa.

– Przepraszam, musiałam skoczyć do toalety i była straszna kolejka. Wydaje mi się, że w jednej z kabin jakaś para uprawiała seks. – Camelia przewróciła oczami. – Obłeśne. Ale rozumiem też, że czasami ludzi ponosi fantazja.

Na chwilę zupełnie mnie zatkało.

– Ale tu zaduch, co? – zagaiła, zdejmując kurtkę.

Coś wypadło z jej kieszeni i Camelia schyliła się, żeby to podnieść. Okazało się, że to jej telefon. Wsunęła aparat z powrotem do kieszeni kurtki.

Z głośników popłynęły słowa Jake'a:

– Dziękuję. Do zobaczenia wkrótce.

– Chyba muszę skoczyć na backstage – odezwałem się.

– Znasz go?

O cholera.

– Jasne. Jesteśmy dobrymi kumplami.

– O rany. To... ciekawe.

Nie byłem pewien, co chce przez to powiedzieć. Nie zdążyłem spytać, bo Camelia odezwała się znowu:

– Może mnie z nim zapoznasz, co?

Tylko nie to. Kiedy Jake przedstawił mnie Laurze, sądziłem, że jest jedną z jego dawniejszych zdobyczy. Laura pękała ze śmiechu, kiedy jej o tym powiedziałem. Stwierdziła, że Jake po prostu nie jest w jej typie. „Jasne, jest przystojny, ma charyzmę i w ogóle jest cool. Ale nie to mnie kręci w mężczyznach...” „Wielkie dzięki”, roześmiałem się.

Ale właściwie skąd u mnie teraz te myśli o rywalizowaniu z Jakiem? Przecież nie szukałem nowej dziewczyny. Nie zależało mi nawet na znajomości na jedną noc. Mimo to przeczuwałem, że moje ego ucierpi. Camelia poprawiła mi nastrój, a teraz wszystko wskazywało na to, że straci zainteresowanie mną, a skupi się na moim najlepszym przyjacielu.

– No to chodź – zachęciłem.

Zaprowadziłem ją za bar do pokoiku na zapleczu. Zastaliśmy tam Jake'a. Spocony i uśmiechnięty, siedział na krześle, gitara stała oparta o ścianę. W pokoju był też manager Jake'a, Robin, który opowiadał właśnie, że łowca talentów z wydawnictwa muzycznego niemal „narobił w gacie ze szczęścia”, tak mu się podobał występ.

– Byłeś niesamowity – zawołałem w progę.

Kiedy już obsypałem go pochwałami, gestem wskazałem moją towarzyszkę. Jake przypatrywał się jej, odkąd pojawiła się w pokoju.

– To Camelia.

– Całkiem nieźle ci tam poszło – stwierdziła obojętnym tonem. Następnie odwróciła się do mnie i powiedziała: – Danielu, dzięki, że nas sobie przedstawiłeś. Jak myślisz, możemy już iść?

Ku mojemu zdumieniu dziewczyna chwyciła mnie za rękę i pociągnęła w stronę drzwi. Kiedy obejrzałem się przez ramię, Jake patrzył za nami z szeroko otwartymi ustami. Zdążyłem tylko przepaszczając wzruszyć ramionami. On machnął ręką, uśmiechając się promiennie.

Camelia wyprowadziła mnie tylnymi drzwiami na ulicę. Powietrze było lodowate, ale w tej chwili zupełnie o to nie dbałem. Dziewczyna szła bez kurtki, chłód najwyraźniej był jej niestraszny. Zamierzałem zwrócić jej na to uwagę, gdy nagle pociągnęła mnie do bramy, którą akurat mijaliśmy, i zamknęła mi usta pocałunkiem.

Jej usta były miękkie. Ich dotyk na moich wargach sprawiał przyjemność, lecz jednocześnie całując ją, czułem się dość dziwnie – jej usta miały inny kształt, smakowały też inaczej, wyczuwalny był w nich lekki posmak tytoniu. Od wielu lat nie całowałem się z żadną kobietą poza Laurą. Byłem całkowicie zaabsorbowany myślą, że Camelia mnie całuje, a zarazem starałem się usunąć z głowy obraz Laury. W efekcie nie umiałem się odprężyć i cieszyć chwilą.

W końcu odsunąłem się od niej. Camelia, zdezorientowana, poszukała mojego spojrzenia. Po chwili znów spróbowała mnie całować.

Odwróciłem głowę.

– Przepraszam.

– O co chodzi? – spytała urażonym tonem. Wygląda na wkurzoną.

– Muszę już iść. Mam dziewczynę.

Parsknęła.

– Naprawdę muszę lecieć.

Przechodnie zerkali na nas z zaciekawieniem. Wywołaliśmy już małą sensację – pewnie brali nas za parę, która właśnie ze sobą zrywała.

– No chodź – próbowała jeszcze, podchodząc do mnie. Ja jednak się odsunąłem.

Wydawała się oszołomiona takim obrotem spraw. Zareagowała, jak gdyby nigdy dotąd żaden mężczyzna nie dał jej kosza. Może naprawdę tak było. Widziałem, że intensywnie zastanawia się, co powinna w takiej sytuacji powiedzieć. Wyobraziłem sobie robota sortującego potencjalne odpowiedzi – a ten obraz wystarczył, by szanse, że ulegnę jej zalotom, spadły do zera.

– Daniel, bardzo mi się podobasz. Myślałam, że coś nas łączy.

Sytuacja robiła się niezręczna.

– Camelio, jesteś piękna, ale...

– Masz dziewczynę – weszła mi w słowo. Stała jeszcze bliżej mnie. – Ale to żaden problem. Ona nie musi o niczym wiedzieć.

Wyciągnęła szyję, domagając się pocałunku, ja jednak odwróciłem głowę niczym nieśmiały prawiczek. Znowu zrobiła zszokowaną minę.

– Nie przepadasz za Rumunkami, o to chodzi? – spytała, przechylając na bok głowę. – Kiedy powiedziałam ci, skąd pochodzę, zmartwiłeś się.

Otworzyłem usta, ale nie popłynął z nich żaden dźwięk.

– O Boże – jęknęła dziewczyna, cofając się o krok. – Ty naprawdę masz problem z Rumunami. Nie należysz przypadkiem do tych ludzi, którzy nienawidzą imigrantów, co?

– Jezu, oczywiście, że nie!

Ona jednak nie wydawała się przekonana.

– Cóż, ewidentnie masz jakiś problem. Ale może chodzi po prostu o mnie.

Próbowałem rozładować sytuację żartem.

– Jak mógłbym mieć problem z dziewczyną, która jest tak atrakcyjna jak ty?

To ją trochę uspokoiło.

– Zatem nie lubisz Rumunów jako nacji – zawyrokowała. Jej ton stał się nieco żartobliwy. – Powinieneś kiedyś odwiedzić moją ojczyznę. Daj nam szansę. Rumunia to piękny kraj.

– Wiem. Byłem tam.

– Serio? Dawno?

I znowu okazało się, że nie umiem nic z siebie wydusić.

– Co, źle wspominasz tę podróż?

– Nie, ja... – dukałem. Nie byłem w stanie sformułować zdania.

– Chcesz mi opowiedzieć o tym, co się tam stało? – spytała, patrząc mi głęboko w oczy.

– Nie... nie chcę. – Szybko dodałem: – Nie ma o czym mówić.

– Na pewno? – spytała, kładąc dłoń na moim ramieniu.

Przez chwilę zapragnąłem zabrać ją do domu, wskoczyć z nią do łóżka. Zatracić się w tej dziewczynie, opowiedzieć jej o wszystkim. Szybko jednak się otrząsnąłem.

– Tak, na pewno.

– W porządku.

Nim się spostrzegłem, Camelia odwróciła się na pięcie i wbiegła na ulicę. Trzymana w garści kurtka powiewała na wietrze. Zawołałem za nią, widząc gwałtownie hamujące samochody. Cudem uniknęła potrącenia przez nadjeżdżający autobus. Kierowca zdążył skrócić, zawył klakson. Ruch na jezdni w obu kierunkach zamarł. Jakiś przechodzień wrzasnął. Rzuciłem się biegiem w stronę krawężnika. W wyobraźni widziałem już jej martwe ciało leżące na asfalcie. Okazało się jednak, że Camelia znikła.

Kiedy uciekała, kątem oka zarejestrowałem moment, gdy z jej kurtki wysunął się jakiś przedmiot. Był to jej telefon. Podniosłem go z ziemi, przez chwilę trzymałem w ręku, po czym schowałem do kieszeni.

ROZDZIAŁ 17

Chciałem dostać się do domu, ale korzystanie z komunikacji publicznej w tej chwili mnie przerastało. Kiedy okazało się, że nie mam przy sobie gotówki, ruszyłem do bankomatu. Przed bankiem na chodniku leżał bezdomny. Z zamkniętymi oczami dygotał z zimna w poszarpanym śpiworze. Stałem przy bankomacie, wsunąłem kartę, wystukałem na klawiaturze PIN. Postanowiłem, że wypłacę pięćdziesiąt funtów.

Dał się słyszeć pisk, na ekranie pojawiła się informacja, że transakcja nie może zostać zrealizowana.

Pomyślałem, że może w bankomacie kończy się zapas gotówki. Spróbowałem zmienić kwotę. Trzydzieści funtów. To samo – odmowa realizacji transakcji.

Poirytowany postanowiłem sprawdzić stan konta. Bankomat potrzebował chwili, żeby pobrać stosowną informację z systemu banku. To, co ukazało się na ekranie, nie miało sensu. Kompletnie.

Debet w wysokości 2998 funtów.

Dwa funty brakowały do limitu debetu.

Tak prezentował się stan mojego rachunku bieżącego. Większość pieniędzy pozostałych po sprzedaży aplikacji – sumka, która topniała w oczach – miałem zdeponowanych na moim rachunku firmowym. Ale na rachunku bieżącym powinienem też mieć środki, co najmniej kilkaset funtów. Nie umiałem może zbyt dobrze kontrolować swoich wydatków, ale zaciągnięcie niemal trzech tysięcy debetu było po prostu niemożliwe.

Bankomat oddał mi kartę i jak ogłuszony skierowałem się na pobliski przystanek autobusowy. Próbowałem w myślach policzyć, ile pieniędzy

mogłem wydać w zeszłym tygodniu. Może dokonałem transakcji na duże sumy, które po prostu wyleciały mi z pamięci?

Autobus podjechał już po chwili. Na szczęście miałem jeszcze trochę impulsów na karcie elektronicznej Oyster umożliwiającej przejazdu komunikacją miejską, dzięki czemu nie musiałem kupować biletu u kierowcy. Niemal się przewróciłem, gdy autobus ruszył gwałtownie z przystanku. Znalazłem wolne miejsce na tyłach pojazdu, za jakimiś pijaczkami. W uszach szumiała mi krew, gdy próbowałem ogarnąć rozumem to, co właśnie odkryłem.

Mój laptop został skradziony. Najwidoczniej złodziej zdołał wejść na moje konto bankowe. Niezwłocznie po wykryciu włamania zawiadomiłem bank, ale wszystko wskazywało na to, że zrobiłem to za późno.

Nagle przyszła mi do głowy straszna myśl. A co, jeśli złodzieje wyczyścili też mój rachunek firmowy? Czy to możliwe? Błyskawicznie wyciągnąłem z kieszeni swój telefon. Bateria, jak zwykle, była na wyczerpaniu. Próbując opanować drżenie rąk, starałem się zalogować na rachunek firmowy. Byłem tak zdenerwowany, że nie trafiałem palcami we właściwe klawisze, wpisywałem błędne cyfry, dwukrotnie pomyliłem hasło. W końcu zdołałem wejść na konto. Na szczęście rachunek firmowy wydawał się nienaruszony. Jednak gdy chciałem sprawdzić historię operacji, obraz na ekranie smartfona zamarł. Chwilę później strona się wyłączyła.

Mój umysł zrobił to samo. Autobus, podskakując na wybojach i hałasując, sunął ulicami, a ja oparłem czoło o brudną szybę i patrzyłem, jak za oknem przesuwa się Londyn. Starałem się nie myśleć, nie czuć.



Wokół kubłów na śmieci przed moim domem niedawno buszował lis. Któryś z sąsiadów, zamiast włożyć wypełniony po brzegi śmieciami worek do kubła, zostawił go na chodniku. W poszukiwaniu jedzenia zwierzak rozerwał plastik i rozwlókł po całym chodniku kawałki pizzy i brudne pampersy. Po czymś takim w korytarzu na pewno pojawi się nowy plakat nawołujący do zachowywania czystości wokół budynku. Ominąłem cały ten syf i otworzyłem bramę, po czym powlokłem się schodami na górę.

Zaraz po przekroczeniu progu wyczułem, że coś jest nie w porządku. Przed wyjściem z Jakiem posprzątałem tu, usuwając chaos, jaki pozostawił po sobie włamywacz. W mieszkaniu nadal panował ład i porządek. Kubki i talerze leżały w zlewie, tam gdzie je zostawiłem. Co zatem się zmieniło?

Kiedy wreszcie zrozumiałem, szok był tak potężny, że w pierwszej chwili zacząłem trzeć pięściami oczy, zupełnie jak postać z kreskówki.

Na biurku leżał mój laptop, podłączony do ładowarki. Obok niego iPad, który wcześniej też został skradziony. Również głośnik Bluetooth i PlayStation 4 leżały na swoich miejscach.

Podszedłem do biurka i wziąłem do rąk laptopa. Znalazłem wgniecenie w obudowie – pamiątkę sprzed paru miesięcy, kiedy przypadkiem go upuściłem. Na odwrocie widniała rysa. Byłem pewien, że gdybym sprawdził numer seryjny, zgadzałyby się.

To był mój komputer – ten sam, który dwa dni wcześniej został skradziony.

Co zatem, u licha, tu robił?

Odpaliłem laptopa, zalogowałem się. Sprawiał wrażenie, jakby przez cały ten czas nikt go nie ruszał. Uruchomione były te same programy, których używałem parę dni temu. Odkąd usłyszałem, że MacBooki wolą, by zostawiać je włączone, nabrałem zwyczaju niewyłączania swojego, nie zamykałem też programów i dokumentów, na których aktualnie pracowałem. Nie miałem stuprocentowej pewności, ale wydawało mi się, że teraz uruchomione były te same programy, z których korzystałem dwa dni temu przed pójściem na spotkanie z Claudią Sauvage, moją terapeutką.

Na wszelki wypadek włączyłem program antywirusowy i uruchomiłem skan.

I nagle zrobiło mi się niedobrze. Zalała mnie fala chłodu, poczułem mdłości. Zdążyłem dobiec do toalety i dopaść muszli klozetowej. Chwilę później już wymiotowałem, zwracając wszystko, co tego dnia zjadłem i wypilem.

Kiedy wymioty ustały, opadłem na łazienkową posadzkę. Nie byłem w stanie myśleć trzeźwo. Nie miałem na nic siły. Sprawdziłem jeszcze

wyniki skanu – żadnych zagrożeń – i na miękkich nogach dobrnąłem do sypialni.

Kiedy się rozbierałem, w kieszeni znalazłem smartfona Camellii. Pomyślałem, że zapewne zadzwoni, kiedy zorientuje się, że gdzieś posiada telefon. Jednak tej nocy chciałem mieć spokój, dlatego wyłączyłem aparat i schowałem go do szuflady w nocnym stoliku.

Przyśniło mi się, że całuję się z Camelią. We śnie miała ostre zęby, którymi kasała moje usta.

– Wybacz – szepnęła, kiedy z warg kapała mi krew. – Opowiedz mi. Opowiedz o tych strasznych rzeczach, które widziałeś.

Była naga, ale jej ciało wyglądało dziwnie. Łopatki sterczały jej na plecach, żebra przypominały kratownicę wlotu powietrza w zabytkowych samochodach. Na nadgarstkach i na wysokości kostek u nóg skórę szpeciły różowe blizny. Z ust nadal kapała mi krew, gdy Camelia zaczęła zbliżać się do mnie na czworakach. Cofałem się, dopóki nie napotkałem ściany. Coś niedużego i kanciastego przyczepiło mi się do pleców. Kiedy sięgnąłem tam ręką i próbowałem oderwać, ciągnąłem też swoją skórę, jakby to coś było przytwierdzone do mnie silnym klejem.

Obudziłem się z myślą, że się duszę.



Rankiem nazajutrz wziąłem prysznic, wlałem w siebie ponad półtora litra wody i zażyłem swoją dzienną porcję środków przeciwbólowych. Tak przygotowany zadzwoniłem do banku. Zostałem przekierowany do pracownika działu bezpieczeństwa, młodej kobiety mówiącej z akcentem zdradzającym, że pochodzi z północno-wschodniej części Anglii.

– Staraliśmy się z panem skontaktować – powiedziała. – Czy otrzymał pan wiadomości od nas?

– Nie. Nagraliście wiadomość na skrzynkę głosową? Czasami trzeba czekać dzień albo dwa, zanim dojdą.

Odniosłem wrażenie, że moja rozmówczyni mi nie wierzy. Czyżbym odsłuchiwał wiadomości, a potem o nich zapomniał, tak jak zapomniałem o rozmowie z Jakiem?

– Z pańskiej karty debetowej dokonano paru transakcji na duże sumy. Z bankomatu we wschodniej części Londynu wypłacono pięćset funtów. W sklepie Apple Store przy Regent Street zrealizowano transakcję na tysiąc sześćset funtów.

Tysiąc sześćset funtów. Zerknąłem na laptop. Tyle zapłaciłem za swojego MacBooka Pro.

– Dlaczego ich nie powstrzymaliście? Sądziłem, że bank z automatu blokuje tego rodzaju podejrzane transakcje. Jak to możliwe, że pozwoliliście, by zrealizowano je obie?

Głos kobiety zdradzał, że jest poirytowana.

– Obu dokonano dokładnie w tym samym momencie. Nasz system wyłąpał je momentalnie i pańskie konto zostało zablokowane. I właśnie wtedy podjęliśmy próbę kontaktu z panem.

– Nie dostałem od was żadnej wiadomości. Na jaki numer dzwoniлиście?

Kobieta wyrecytowała ciąg liczb.

– To nie jest mój numer!

– Jest pan pewny?

– Oczywiście, że jestem pewny.

– Proszę zaczekać.

Krążyłem po pokoju w oczekiwaniu, aż kobieta wróci do rozmowy. Wyrząłem przez okno. Lis, który wcześniej dobrał się do worka ze śmieciami, stał teraz na środku chodnika i coś zjadał. Zastukałem w szybę, a wtedy oddalił się ścieżką, z kawałkiem pizzy w zębach.

Kobieta z działu bezpieczeństwa wróciła do rozmowy.

– Dwa dni temu, dwudziestego trzeciego, zmienił pan dane kontaktowe.

– Nic podobnego... Ja...

I wtedy mnie olśniło: człowiek, który ukradł mi komputer, zalogował się na moim koncie w portalu bankowym i podał błędny numer telefonu. Podzieliłem się swoimi domysłami z pracownicą banku. Zapisała właściwy numer kontaktowy. Wtedy przyszło mi do głowy coś jeszcze.

– Latem zostałem okradziony w Rumunii. Czy to możliwe, żeby ktoś użył mojej starej karty?

– Jeśli została anulowana, to nie ma takiej możliwości. A widzę w systemie, że anulował pan kartę. Tych ostatnich transakcji dokonano na pana aktualną kartę. Podejrzewam, że została skopiowana, to niestety coraz częstsza praktyka. Czy w momencie włamania karta znajdowała się w pańskim domu?

Wysiliłem pamięć.

– Tak. Myślę, że tak.

– W takim razie zapewne została skopiowana przez włamywacza. Służą do tego specjalne urządzenia, wystarczy wsunąć do takiego kartę, a z paska magnetycznego zostają skopiowane wszystkie informacje niezbędne do realizacji transakcji. Następnie tworzona jest nowa karta. Anulowałam już pańską kartę i zleciłam wydanie nowej. Panie Sullivan, bank zwróci panu skradzione pieniądze, jednak może to potrwać około tygodnia. Do tego czasu pieniądze powinien pan wypłacać w swojej lokalnej placówce banku.

Po zakończeniu rozmowy podszedłem do biurka i wziąłem do rąk laptopa. Kiedy się obudziłem, obawiałem się, że przez noc znów się zdematerializował – że jego zjawienie się w domu było tylko częścią snu. Ale on naprawdę tu był. Zostałem... jak to ująć? Odokradziony.

Zadzwoiłem na policję.

ROZDZIAŁ 18

– Panie Sullivan, żebyśmy się dobrze zrozumieli. Ktoś włamał się do pańskiego mieszkania, skradł laptop i inne gadżety elektroniczne. A potem odniósł wszystko na miejsce.

Posterunkowy miał na nazwisko Sargent. Mierzył około metra dziewięćdziesięciu i miał kilkudniowy zarost, który upodabniał go do Freda Flinstona. Rozejrzał się po mieszkaniu, w którym panował teraz nienaganny ład. Prawdę mówiąc, wyglądało, jakby włamała się tu ekipa czyszcząca, a nie złodzieje.

– Może ruszyło ich sumienie – odezwał się posterunkowy Sargent. – Czytałem kiedyś o gościu, który ukradł z baru sto funtów. A po dwudziestu latach odesłał kasę z liścikiem, w którym przeproszał właściciela. Może u pańskiego włamywacza skrucha nastąpiła znacznie szybciej?

– Wydaje mi się, że nie traktuje pan tej sprawy poważnie. Kiedy doszło do włamania dwa dni temu, niezwłocznie zgłosiłem je na policję. Funkcjonariusz, z którym wtedy rozmawiałem, podał mi numer sprawy. Jak stwierdził, będzie go potrzebować mój ubezpieczyciel.

Sargent dotknął klawiatury mojego laptopa i ekran ożył.

– Czy znalazł pan jakieś ślady mogące wskazywać, że manipulowano przy pańskim komputerze?

– Nie, przeskanowałem go na obecność wirusów, ale program niczego nie znalazł. Sprawdziłem też historię przeglądania. Nie zapisała żadnej nowej aktywności od momentu, gdy ostatni raz korzystałem z laptopa.

Wcześniej poinformowałem już policjanta o tym, że ktoś dokonał płatności moją kartą. Wspomniałem też, że zdaniem pracownicy banku karta zapewne została skopiowana przez włamywacza.

– Co zamierza pan w tej sprawie zrobić? – spytałem.

Sargent odstawił na stół filiżankę herbaty, którą poczęstowałem go, kiedy przybył.

– Niewiele możemy. Sprawą oszustwa z wykorzystaniem karty zajmuje się pański bank. Jeśli zaś chodzi o włamanie, powinien się pan uważać za szczęściarza.

– A to dlaczego?

– Proszę pamiętać, że musi pan teraz skontaktować się z ubezpieczycielem i anulować roszczenie.

Po tych słowach skierował się ku drzwiom.

Zaszedłem mu drogę.

– Pan chyba nie zrozumiał. Ktoś próbuje namieszać mi w głowie.

– Chodzi panu o to, że ktoś robi panu głupie kawały?

Głowę rozsadał mi ból – oślepiające ukłucia, jakby w mózg wbijały się grube szpile.

– Nie. Chodzi o coś bardziej... złowieszczego.

– Złowieszczego?

Otworzyłem usta. Ale co właściwie miałem mu powiedzieć? Oprócz tego, że padłem ofiarą widmowego włamania, ktoś być może próbował wepchnąć Laurę pod pociąg w metrze? I jeszcze że wydawało mi się, że ktoś ją obserwował? To wszystko brzmiało niezbyt przekonująco, a i bez tego posterunkowy Sargent patrzył na mnie, jakbym miał nie po kolei w głowie. Jedynym konkretem było oszustwo z wykorzystaniem karty płatniczej, ale – jak słusznie zauważył policjant – tą sprawą zajmował się już bank, a policja będzie ewentualnie z nim współpracować. Już widziałem, jaką minę zrobiłby posterunkowy, gdybym powiedział, że pieniędzmi z mojej karty zapłacono za nowego laptopa. I że był to identyczny model, kosztujący dokładnie tyle samo, co posiadany przeze mnie MacBook.

– Panie Sullivan, proszę posłuchać. Widzę, że jest pan bardzo zestresowany. Może przepracowuje się pan ostatnio. Albo jakiś znajomy

spłatał panu figla. – Policjant pchnął drzwi i wyszedł na klatkę schodową. – Do widzenia.

– Ale...

Zbiegł po schodach. Parę sekund po tym, jak zniknął w bramie, usłyszałem dźwięk zamka w innych drzwiach: to sąsiadka z dołu wracała do swojego gniazdka, upewniwszy się, co to za hałasy.

Nalałem wody do szklanki i usiadłem. Musiałem sobie wszystko poukładać w głowie. Przecież niemal każde z dziwnych wydarzeń ostatnich dni dawało się logicznie wytłumaczyć. Laurze mogło się po prostu wydawać, że ktoś próbował wepchnąć ją na tory. A ten facet pod mostem w Camden faktycznie mógł być kimś przypadkowym. Ktoś skopiował moją kartę i użył fałszyfikatu tutaj, w Londynie. Takie rzeczy zdarzały się coraz częściej, raz nawet spotkało to Jake'a.

Pozostawało jedno pytanie, z którym nie wiedziałem, co począć: dlaczego złodziej oddał mi laptopa?

I czy jeszcze tu wróci?

Jeśli do tego dojdzie, chciałem być przygotowany. W wyszukiwarce Google wpisałem hasło „bezpieczeństwo domu”. I już po chwili znalazłem to, czego szukałem – prosty system monitoringu. Składając zamówienie online, zastanawiałem się, czy w internecie znalazłbym też ofertę instalacji pułapki na włamywacza albo urządzenie strzelające do intruzów zatrutymi strzałkami. Uśmiechnąłem się do siebie, naprawdę zaczynało mi odbijać. Poza tym, gdybym sprawił sobie taką zasadzkę, na sto procent sam bym w nią wpadł.

ROZDZIAŁ 19

Danielu, nie mogę się z tobą skontaktować. To PILNE!! Zadzwoń.

Od wizyty gliniarza minęło już parę godzin. Drzemałem na kanapie, gdy przysłała wiadomość. Pisała Erin. Odczytałem tekst wiadomości i dostałem takiego adrenalinowego kopa, że rozbudziłem się w ułamku sekundy. Ubrania miałem wilgotne od potu, przez sen z ust ciekła mi ślina i na poduszce została mokra plama.

Momentalnie wybrałem numer Erin.

Odebrała po jednym sygnale. Głos miała zachrypnięty:

– Daniel. O Boże.

– Co się stało? – spytałem, wewnątrznie nastawiając się już na najgorsze.

– Chodzi o Laurę. Ona... O kurwa. – Erin rozplakała się. A ja poczułem mdłości, jakbym najechał na wybój na drodze i razem z autem wyskoczył w powietrze. – Leży w szpitalu University College London. Musisz tu przyjechać. Teraz.



Erin stała oparta o ścianę w korytarzu na oddziale, na który trafiła Laura. W ręce trzymała plastikowy kubek z wodą. Jej brzuch wydawał się gigantyczny – nie miałem pojęcia, jakim cudem udaje jej się utrzymać na nogach. Ruszyłem do niej szybkim krokiem.

– Gdzie ona jest? Jak się czuje?

Erin chwyciła mnie za rękę, pociągając nosem. Zachodziłem w głowę, gdzie podziewa się Rob. Pewnie był w pracy.

– Nic jej nie będzie. Teraz dochodzi do siebie. Zrobili jej płukanie żołądka. Lekarz, z którym rozmawiałam, stwierdził, że miała szczęście. Gdybym nie znalazła jej chwilę po tym, jak przedawkowała... – nie dokończyła.

– Nie wierzę... Co zażyła?

– Mieszankę tabletek nasennych i antydepresantów. Coś o nazwie Zopiklon i... Trazodon, podobno ten ostatni środek ma działanie przeciwlękowe. Znalazłam informacje o nim w internecie – dodała, pokazując telefon.

– Skąd je wzięła?

– Pewnie przepisał je lekarz.

Wiedziałem, że od powrotu z Rumunii Laura zmagala się z bezsennością. Ale nie zażywała na to żadnych leków, przynajmniej dopóki byliśmy razem. Czyżby zaczęła łykać jakieś prochy po naszym rozstaniu? Tamtej nocy, gdy uprawialiśmy seks w domu Erin i Roba, nie widziałem, żeby połykała jakąś pigułkę. Ale to oczywiście samo w sobie o niczym jeszcze nie świadczyło. Była tak zalana, że pewnie i tak nie musiałyby niczego brać.

– Laura – westchnąłem, a do oczu napłynęły mi piekące łzy. – Chcę ją zobaczyć.

Erin i ja siedzieliśmy teraz na krzesłach przed oddziałem.

– W tej chwili to niemożliwe. Laura śpi. Lekarz stwierdził, że zatrzymają ją w szpitalu na kilka dni na obserwację. Zadawał mi mnóstwo pytań.

– Jakich na przykład?

– Chciał wiedzieć, czy Laura próbowała wcześniej targnąć się na swoje życie. Czy nadużywa alkoholu albo zażywa narkotyki. Czy są wokół niej bliscy ludzie, którzy mogą zapewnić jej wsparcie.

– I co mu powiedziałaś?

– Wytłumaczyłam, że jej rodzina żyje na drugim końcu kraju. Ale tutaj ma przyjaciół. Dzwoniłam już do mamy Laury, ale uda im się dojechać dopiero jutro.

– Typowe.

– Danielu... tak naprawdę to chcę opowiedzieć ci o tym, w jakim była stanie, kiedy ją znalazłam. – Zniżając głos do szeptu, ciągnęła: – Usłyszałam, że krzyczy, dlatego poszłam do jej pokoju i zapukałam do drzwi. Kiedy weszłam, zastałam ją siedzącą na łóżku. Wpatrywała się w okno. W pierwszej chwili nie zwróciłam uwagi na puste opakowania po lekach. Leżały za nią, dlatego ich nie widziałam.

Z szybko bijącym sercem czekałem na to, co powie.

– Laura nie odrywała wzroku od okna. I nagle... zaczęła wyrzucać z siebie pozbawione sensu słowa, bełkotać. Wyciągniętą ręką wskazywała na ogród za oknem. Trudno było zrozumieć, co mówi. Wspominała, że ktoś ją śledzi. Mówiła coś o duchu. Powtarzała to raz za razem. Bredziła o swojej skórze: o tarantulach i o tym, że nie odrośnie jej skóra. Spojrzenie miała nieobecne, jakby... zamglone. Strasznie to wyglądało. Nagle skuliła się i przewróciła na bok na łóżko. I dopiero wtedy zobaczyłam opakowania po lekach i wezwałam karetkę.

Erin odwróciła do mnie głowę. Dłonie położyła na brzuchu, jakby próbowała chronić swoje nienarodzone dziecko przed całym złem i cierpieniem tego świata.

– Danielu, do cholery, co wydarzyło się podczas waszej podróży?

ROZDZIAŁ 20

Laura znajdowała się w szarej strefie, miejscu pośrednim między jawą a snem. Głosy, którymi przemawiały postacie w jej wyobraźni, łączyły się ze szpitalnymi dźwiękami: czyimś kaszlem, buczeniem aparatury, popiskiwaniami kół na posadzce. Wydawało jej się, że słyszy też płacz niemowląt. Żeby przed nim uciec, nakryła głowę poduszką.

Kiedy znów się przebudziła, usłyszała rozmowę dwóch kobiet. Nie potrafiła jednak rozpoznać słów i dopiero po długiej chwili zaczęła się domyślać, kim mogą być. To pielęgniarki, pomyślała. A to znaczyło, że znalazła się w szpitalu. W tym samym momencie uświadomiła sobie, co zrobiła.

W środku czuła się zatruta. Brzuch i gardło miała obolałe po tym, jak wetknięto w nią plastikowe rury. Lekarz, z którym rozmawiała po przebudzeniu, gdy zakończono usuwanie z jej ciała przyjętych w nadmiarze medykamentów, był miły. Ale Laura domyślała się, że to tylko pozory. Mężczyzna myślał zapewne: w tym szpitalu leżą setki poważnie chorych pacjentów, którzy pragną żyć. Ty, niedoszła samobójczyni, marnujesz nasz cenny czas.

– Gdyby nie pomoc pani przyjaciółki...

A więc to Erin zawdzięczała, że jeszcze żyje. Dobra stara Erin. Jej najlepsza przyjaciółka, osoba, na której zawsze może polegać. Pozwoliła jej zamieszkać pod swoim dachem, nie zadrezczała jej pytaniami. Była delikatna, serdeczna i pełna współczucia.

Suka.

Po co w ogóle się wtrącała? Gdyby nie przeszkodziła Laurze, byłoby już po wszystkim. Odnalazłaby wolność. Wczoraj doznała olśnienia – nagłego

rozbłysku, jednak nie światła, lecz mroku. W ułamku chwili zrozumiała, że pomysł wyjazdu do Australii jest głupi. Ucieczka na drugi koniec świata nic nie zmieni. Słoneczna pogoda i odległość nie ulecą jej, nie zapewnią ochrony ani nie sprawią, że przestanie siebie nienawidzić. Zresztą upływ czasu również niczego nie zmieni. Skóra, którą zrzuciła, już nigdy nie odrośnie. Leżała na łóżku w swoim małym pokoiku i wpatrywała się w ścianę. Serce waliło jej jak młotem, a mrok powoli przesączał się do jej żyły. Trzęsa się z zimna. Zorientowała się, że płacze, dopiero wtedy, gdy odkryła, że ma mokrą od łez twarz. Zrozumiała, co musi zrobić.

Chyba szlochała podczas łykania tych wszystkich pigułek. I to był błąd, bo hałasy ściągnęły do jej pokoju Erin. Przyjaciółka znalazła ją na tyle wcześnie, że jeszcze dało się ją ocalić. Tylko że „ocalona” to nie było właściwe słowo – nie, Erin skazała ją po prostu na dłuższą męczarnię.

Wiedziała, że Daniel przyszedł ją odwiedzić, usiadł obok łóżka. Kiedy tylko zobaczyła, jak wchodzi do sali, zacisnęła powieki i udawała, że śpi. Doskonale wiedziała, co ma jej do powiedzenia, i nie chciała tego wysłuchiwać. Jego widok tylko przypominał jej, dlaczego w ogóle była w takim stanie. Żałowała swojego zachowania tamtej nocy – niepotrzebnie upili się razem, a potem poszli do łóżka. A tego popołudnia, w szpitalu, gdy nachylił się i głosem drżącym od wstrzymywanych łez szepnął, że ją kocha, spodziewała się, że jej też zbierze się na płacz. Ale nic takiego – czuła pustkę. Dobrze, że przynajmniej ta część jej „ja” popadła w odrętwienie.

Marzyła tylko o tym, by spać. Ale sen nie nadchodził: była przytomna i pobudzona, jak gdyby wciągnęła całą torebkę amfy. Nie pomagała też podsłuchana rozmowa, którą pielęgniarki prowadziły po zmroku: na oddziale położniczym zwrócono uwagę na jakiegoś starucha. Facet kręcił się wokół chorych noworodków, które oddzielono od matek. Kiedy ktoś z personelu spytał, co robi, mężczyzna oddalił się szybkim krokiem. Umysł Laury podsunął jej wizje wykradanych noworodków, krzywdzenia ich. Te myśli sprawiały, że opanowała ją niewysłowiona trwoga.

Otworzyła oczy i poszukała wzrokiem zegarka stojącego na szafce przy łóżku. Pokazywał godzinę drugą dwadzieścia w nocy. Wszystkie pacjentki na jej oddziale spały. Jedna kręciła się i wierciła przez sen, inna głośno chrapała. Laura spróbowała usiąść i nagle jej głowę przeszył straszliwy ból,

jak gdyby została uderzona młotem. Wzdrygnęła się i opadła z powrotem na łóżko. Naciągnęła prześcieradło na twarz.

Kiedy tak leżała, nasłuchując pochrapywania dolatującego z drugiego końca oddziału, nagle wyczuła, że ktoś stoi przy jej łóżku.

Dziwne – nie słyszała, żeby ktokolwiek wchodził na oddział ani żeby któraś z pacjentek wstała z łóżka. Ale jak inaczej wytłumaczyć to dziwne wrażenie, że ma towarzystwo? Poczowała, jak chłód wślizguje się pod pościel, jak gdyby ktoś otworzył okno i wpuścił do sali mroźne lutowe powietrze. Momentalnie na jej ciele pojawiła się gęsia skórka. Pomyślała, że wstanie i poszuka okna, żeby je zamknąć, gdy nagle usłyszała głos.

– Lauro.

Zamarła bez ruchu pod kołdrą. Głos był cichy, zbliżony do szeptu.

– To ja.

Doskonale wiedziała, do kogo należy. Była pewna, że nie zdoła go nigdy zapomnieć. Kiedy słyszała go ostatni raz, krzyczał przeraźliwie, a zaraz potem ucichł. Był to głos kobiety, która już nie żyła. I wtedy nagle olśniło ją – ta postać, która ją śledziła, ubrana w czerń i o białej skórze, naprawdę istniała, choć Laura sądziła, że to jedynie wytwór jej umysłu. Osobliwa obecność, którą wyczuwała na ulicach centralnego Londynu oraz pośród drzew w ogrodzie pod domem Erin i Roba, wcale nie była złudzeniem. Była rzeczywista. Była duchem.

– Nie wolno ci tego zrobić – wyszeptała martwa kobieta. Stała tuż przy łóżku. Laura z całej siły zaciskała powieki. Twarz nadal miała przykrytą prześcieradłem, jakby wierzyła, że cienka warstwa materiału ochroni ją przed ewentualnym atakiem ducha. – Jeszcze nie możesz się zabić.

Laura nie umiała już dłużej powstrzymać płaczu. Na wspomnienie decyzji, która wszystko zmieniła, z jej oczu popłynęły łzy.

– Potrzebuję cię – rzekł duch. – Ale musisz pozostać wśród żywych.

Laura zdecydowanym ruchem zerwała z głowy kołdrę i usiadła na łóżku. Ból rozsadzający jej czaszkę przepadł.

Duch też.

ROZDZIAŁ 21

Włókłem się przez skute mrozem londyńskie ulice. Przed oczami wciąż miałem obraz Laury na szpitalnym łóżku: bladej, kruchej, z podkrążonymi oczami. Mimo że w porze odwiedzin na oddziale panował zgiełk, nie obudziła się. Erin wróciła do domu, zmęczona i wkurzona na mnie, że nie zaspokoilem jej ciekawości.

Po tym, jak tłumiąc łzy, szepnąłem parę słów Laurze, posiedziałem jeszcze chwilę w nadziei, że jednak się obudzi. Nazajutrz mieli zjawić się jej rodzice, ludzie z irytująco wysokim mniemaniem o sobie. O próbie samobójczej córki zawiadomiła ich Erin. Prawdę mówiąc, niespecjalnie się zdziwiłem, że nie śpieszyli się z przyjazdem z Kornwalii do Londynu. Umówieni byli na obiad, miało to związek z ich pracą. Uprzedziłem Erin, żeby pod żadnym pozorem nie wspominała w rozmowie z nimi, że Laura mówiła o duchach.

– Co wydarzyło się podczas waszej podróży?

Nie odpowiedziałem na to pytanie, nie mogłem. Intensywnie zastanawiałem się nad tym, co Erin mówiła o skórze, tarantulach, duchach...

– Wiesz o Laurze i duchu? – spytałem cichym głosem, tak by inni w poczekalni nie usłyszeli. Wypowiadając słowo „duch”, pokazałem na migi znak cudzysłowu.

– Duchu?

Wziąłem głęboki oddech. Przynajmniej tyle powinienem jej powiedzieć.

– Wiem, jak to brzmi. Parę miesięcy po tym, jak zaczęliśmy się spotykać, pojechaliśmy do Kornwalii, żeby poznać jej rodziców. Matka Laury w rozmowie napomknęła, że jej córka wierzy w jakieś bzdury. Kiedy

spytałem Laure, co miała na myśli, nie chciała mi powiedzieć. Ale koniec końców zdradziła, o co jej chodziło.

– Mów dalej – zachęciła Erin.

– W wieku dwunastu lat Laura zaczęła twierdzić, że w jej domu rodzinnym mieszka duch. Miał być duchem innej nastoletniej dziewczynki, która rzekomo tam zmarła. Beatrice, bo tak się nazywała, zachodziła do pokoju Laury nocą, żeby porozmawiać. Laura wspominała, że najpierw panicznie się bała, z czasem jednak zrozumiała, że ta dziewczynka nie ma wrogich zamiarów. Beatrice była po prostu smutna, zagubiona i chciała się z nią zaprzyjaźnić. Jeśli dobrze pamiętam, matka Laury podsłuchiwała którejs nocy, że córka z kimś rozmawia. Wtedy Laura rzeczowym tonem opowiedziała jej o Beatrice. Kiedy rodzice zabrali ją do lekarza, ten uznał, że tak objawia się u córki wejście w okres dojrzewania płciowego. Jego zdaniem nie był to żaden powód do niepokoju. Jednak matka zaprowadziła ją potem do psychiatry, który zdaniem Laury obchodził się z nią dość obcesowo... – Wprawdzie oszczędziła mi szczegółów, ale jej obecna niechęć do podjęcia terapii miała zapewne źródło w tych wczesnych trudnych doświadczeniach. – Koniec końców Laura zaczęła udawać, że nie wierzy w realność Beatrice. Twierdziła, że duch przestał ją nawiedzać.

– Ale w rzeczywistości nadal uważała, że Beatrice jest prawdziwa?

– Tak. Ale posłuchaj, teraz będzie najlepsze. Z kwerendy przeprowadzonej w miejscowej bibliotece dowiedziała się, że przed trzydziestu laty w domu jej rodziców rzeczywiście umarła dwunastoletnia dziewczynka. Została zamordowana przez swojego ojca.

– O Boże.

– Przez jakiś czas Laura była wręcz przekonana, że jej rodzice chcą ją zamordować. Poznałaś ich, prawda?

– Niestety.

– No to przynajmniej wiesz, co to za typy. Zachowywali się wobec niej strasznie, kiedy była dzieckiem. Zanim w jej życiu pojawiła się Beatrice, wypisali ją ze szkoły, którą uwielbiała, gdzie miała przyjaciół, i posłali do jakiejś okropnej surowej placówki dla dziewcząt. Zmusili córkę, by zerwała znajomość ze swoją najlepszą przyjaciółką, którą uważali za zbyt „pospolitą”. Te zmiany w życiu Laury były dla niej mocno traumatyczne.

I dlatego rozwinęła się u niej w tamtym czasie wiara w Beatrice. Była to jej wyobrażona przyjaciółka. Mimo usilnych starań rodzice nie zdołali nigdy wytrzebić w niej tej wiary.

– Teraz zaczynam rozumieć.

– Po jakimś czasie wizyty Beatrice się skończyły. Laura miała wtedy czternaście lat, to znaczy, że widywała ducha przez długi czas. Jak sama twierdzi, Beatrice wyznała jej, że wybiera się „gdzie indziej”. Nigdy potem już jej nie widziała. Jej rodzice byli przekonani, że córka o wiele wcześniej przestała wierzyć w realność ducha. Ale Laura zawsze była pewna, że Beatrice była prawdziwa. Zresztą nadal wierzy w duchy.

– Chcesz powiedzieć, że znów zaczęła widywać Beatrice?

– Nie wiem. – Na myśl o traumie, jakiej niedawno doznała, przeszedł mnie lodowaty dreszcz. – Może teraz wyobraża sobie innego ducha.

Erin sięgnęła po telefon.

– Jeden z leków, które zażywała, Trazodon, może wywoływać halucynacje.

Pokręciłem głową. Czy przepisujący te prochy lekarz ostrzegł Laurę o możliwych skutkach ubocznych? Pozostawało liczyć, że po przedawkowaniu odstawi całą tę chemię. Postanowiłem, że z nią o tym porozmawiam.



Incydent z Laurą sprawił, że na jakiś czas zapomniałem o tajemnicy, z którą sam się zmagalem. Ale kiedy tylko przekroczyłem próg mojego mieszkania i zobaczyłem laptop, wszystko wróciło. Zrobiłem sobie drinka. Kiedy unosiłem szklankę do ust, z przerażeniem odkryłem, jak bardzo trzęsie mi się ręka. Miałem wrażenie, że mój mózg zamienił się w ul pełen rozjuszonych pszczół. Następną sesja z doktor Sauvage wypadła już jutro, dzięki Bogu. Z natury byłem skryty, ale teraz czułem przemożną potrzebę porozmawiania z kimś.

Byłem zbyt pobudzony, żeby zasnąć. Dlatego włączyłem telewizor i z MacBookiem usiadłem na sofie. Na Channel 4 zaczynał się właśnie jakiś horror o grupce nastolatków, którzy zapuszczają się głęboko w las i spotyka

ich tam coś straszego. Szybko zmieniłem kanał, ale było za późno – wspomnienia wróciły.

Żywy szkielet wystrojony w suknię ze zwiewnej różowej tkaniny.

Łzy toczące się po zapadniętym policzku.

Zakrwawiona sierść i dwie pary szklistych ślepi...

Wstałem i zacząłem krążyć po pokoju. Było to moje przyzwyczajenie z okresu, gdy pracowałem nad aplikacją – chodzenie pomagało mi znaleźć rozwiązanie problemu. Dzięki niemu mogłem się skupić, umiałem pokonać blokady i rozplątać supły w swoim umyśle. Sięgnąłem po pudełko z płytą DVD. Była to jakaś komedia romantyczna. Przypomniałem sobie fabułę, parę śmiesznych scen, słoneczne światło, plaże i pocałunki. Ale już po chwili te wspomnienia zeszyły z powrotem na dalszy plan, pochowały się do swoich pudełek i zatrzasnęły wieka.

Odstawiłem pudełko z płytą na półkę, wróciłem do chwili obecnej. Usiadłem z powrotem na sofie i wziąłem do rąk laptop.

Dlaczego włamywacz oddał mi komputer?

Czy to możliwe, żebym tylko wyobraził sobie włamanie, tak jak Laura uroiła sobie, że widuje duchy? Ponieważ dokładnie wysprzątałem mieszkanie przed wizytą najpierw Jake'a, a potem policji, nikt poza mną nie widział śladów włamania. Nie utrwalilem nawet zniszczeń na zdjęciach. Czyżby mój umysł, pod wpływem alkoholu i niewyspania, spłatał mi figla? Czy sam uszkodziłem drzwi wejściowe, a potem o tym zapomniałem? Kiedy próbowałem teraz przeanalizować w myślach ostatnie tygodnie, odkrywałem, że w moich wspomnieniach są luki, czarne dziury, momenty, których zupełnie nie pamiętam. Znowu wstałem i zacząłem krążyć po pokoju.

Nie, to musiało wydarzyć się naprawdę. Ktoś, nie ja, uszkodził drzwi wejściowe. Ktoś rzeczywiście wypłacił pieniądze z mojego konta. A to było możliwe, dlatego że włamywacz skopiował moją kartę.

Chyba że to ja użyłem kart.

Pokręciłem głową, odpychając tę myśl. Nie, niemożliwe. Nie wypłaciłem tych pieniędzy ani nie robiłem zakupów w Apple Store. No chyba że traciłem rozum... Zamknąłem oczy i przez chwilę wydawało mi

się, że widzę siebie w otoczeniu iPadów, komputerów i głośników. Może zatem faktycznie wybrałem się do Apple Store i kupiłem nowego laptopa za tysiąc sześćset funtów? Ale w takim razie gdzie on był teraz? Bo ten leżący na sofie to mój stary MacBook, miał zadrapania i rysy dokładnie w tych samych miejscach co zawsze.

Postanowiłem, że nazajutrz opowiem doktor Sauvage do końca, co wydarzyło się w Rumunii. Musiałem powyciągać wspomnienia z ich kryjówek, wydobyć je na światło dzienne, oczyścić z nich umysł. Podzielić się nimi z kimś, kto nie postrada przez nie zmysłów, zanim przyprawią mnie samego o szaleństwo. Dopiero wtedy, gdy opowiem o nich komuś, będę mógł zacząć normalnie żyć.

ROZDZIAŁ 22

Przez godzinę wierciłem się na łóżku, ale sen nie nadchodził. Miałem gonitwę myśli, nachodziły mnie sny na jawie, w których na zmianę albo biegłem przez las, albo przechadzałem się po szklanej świątyni Apple Store. W końcu zwlokłem się z łóżka i otworzyłem butelkę czerwonego wina. Łaknąłem zapomnienia, tylko to się liczyło.

Wypełniony po brzegi ciemnym, krwiście czerwonym trunkiem kieliszek postawiłem na biurku i usiadłem. Uruchomiłem Spotify i odpaliłem jeden z moich ukochanych albumów. Po chwili muzyka zagłuszyła tykanie zegara i dudniące głosy pary mieszkającej piętro wyżej. Ci ludzie często przesiadywali do późna, sprzecząc się albo głośno uprawiając seks. Pomyślałem, że sprawdzę skrzynkę mailową. Większość korespondencji to był zwykły spam. Pokasowałem te listy, a maile przysłane ze Skittle poprzemieniłem do folderu, żeby zająć się nimi, gdy będę w lepszej formie.

Kiedy ostatni raz zasiadłem w środku nocy z laptopem, pracowałem nad moją aplikacją, Heatseeker. Skittle wierzył, że moje dzieło okaże się kolejną modną apką do randkowania. Paru znajomych było zdania, że poszcęściło mi się przy dobijaniu targu ze Skittle. Może faktycznie miałem trochę szczęścia, ale na swój sukces ciężko zapracowałem, ślęcząc po nocach przy komputerze, podczas gdy Laura smacznie spała w sąsiednim pokoju. Stworzenie tej aplikacji, o której myślałem jak o swoim dziecku, okupione było setkami, może tysiącami godzin pracy.

Wypiłem jednym haustem wino i kontynuowałem przeglądanie maili. W pewnym momencie moją uwagę przyciągnął mail od Laury. Wysłała go parę godzin przed swoją próbą samobójczą.

Pomyślałam, że chciałbyś to zobaczyć. Laura X.

Do maila dołączona była fotografia. Kliknąłem dwa razy w załącznik, uruchamiając program iPhoto, który włączał się zawsze przy próbie otwarcia pliku graficznego. Na ekranie ukazało się zdjęcie przedstawiające dwa baraszkujące kocięta. Odchyliłem się na oparcie fotela. Dlaczego Laura przesłała mi coś takiego? Dziwaczne. Ale skoro mail został nadany parę godzin przed jej próbą samobójczą, było jasne, że jej umysł mógł nie funkcjonować normalnie. Przyjrzałem się uważnie zdjęciu – czyżby kryło w sobie jakieś ukryte przesłanie? Nadal jednak widziałem tylko parę niewinnych kotków.

Ponieważ program iPhoto był już włączony, zrobiłem coś, czego wcześniej się wystrzegąłem, nie chcąc przysparzać sobie cierpień: zacząłem przeglądać stare zdjęcia. Fotografie te stanowiły namacalne dowody na to, ile czasu razem spędziliśmy.

Na początku naszego związku praktycznie bez przerwy robiliśmy sobie nawzajem zdjęcia. Jedno ukazywało Laurę na parkowym trawniku – leżała na plecach, jej oczy kryły się za szklami okularów przeciwsłonecznych, uśmiechała się promiennie. Inne zrobiliśmy podczas wizyty w parku rozrywki Alton Towers – oboje przytulamy się tu policzkami, jedno z nas trzyma aparat. Na kilkudziesięciu fotkach uwieczniliśmy siebie nawzajem w domu.

Wraz z upływem czasu ubywało spontanicznych fotografii z dnia codziennego, nadal jednak robiliśmy sobie setki ujęć na imprezach, weselach znajomych i wypadach na miasto. Nasze fryzury i odzież zmieniały się, nasze twarze zaczynały żłobić zmarszczki, przybywało nam centymetrów w pasie – w tym archiwum pięciu lat naszej znajomości odbijał się proces naszego stopniowego starzenia się. Oczywiście w tym czasie nie zawsze było między nami różowo. Nikt nie uwiecznia na zdjęciach trudnych okresów w związku – kłótni, znudzenia, momentów, gdy przestawaliśmy cieszyć się swoim towarzystwem albo gdy zaniedbywałem Laurę i cały czas poświęcałem pracy. Niemniej w tych fotografiach odbijało się nasze wspólne życie... związek, którego nie umieliśmy utrzymać przy życiu.

Z podróży po Europie została garstka zdjęć – aparat fotograficzny był w jednym z plecaków, które zostawiliśmy na posterunku w Brevie.

Jedynymi fotkami, które ocalały z podróży, były te zrobione moim telefonem. Zostały automatycznie przeniesione na dysk zaraz po tym, jak wróciłem do domu, a telefon i laptop zaczęły wymieniać się danymi. Nigdy dotąd nie zaglądałem do tych zdjęć, ale teraz, nim się spostrzegłem, kliknąłem na ikonkę pierwszej fotki: było to nasze selfie w pociągu Eurostar jadącym do Brukseli. Tamtego dnia byliśmy przeszczęśliwi – wyruszyliśmy w podróż marzeń, zostawialiśmy za sobą zmartwienia i obowiązki. Zacząłem przeglądać zdjęcia. Ożywały wspomnienia z Francji, Hiszpanii i Włoch, do których mimo woli się uśmiechałem. Osuszyłem kieliszek i przyniosłem całą butelkę.

Moją uwagę przyciągnęło jedno zdjęcie. Ukazywało Laurę w kawiarence niedaleko budapeszteńskiego dworca kolejowego Keleti. Czekala nas jazda pociągiem i wpadliśmy tam na chwilę, żeby coś przekąsić. Strzeliłem jej tę fotkę z zaskoczenia, kiedy nie patrzyła. Jej twarz uchwycona była z profilu, Laura wydawała się tu zadumana – odgarniała kosmyk włosów zasłaniający jej twarz. Wpatrywałem się w fotografię długo, a ponieważ ból stawał się nieznośny, próbowałem zagłuszyć go kolejnym łykiem wina. Było to ostatnie zdjęcie Laury, nim nasza podróż zamieniła się w koszmar.

A przynajmniej tak mi się wydawało. Kiedy jednak nacisnąłem strzałkę w przeglądarce fotografii, spodziewając się, że wyświetli się teraz znów pierwsza fotka w albumie, na ekranie ukazało się nowe zdjęcie Laury.

Kiedy tylko zobaczyłem tę nową fotografię, upuściłem trzymany w ręku kieliszek. Trzask rozbitego szkła dotarł do mnie jakby przez mgłę. Na dywanie u moich stóp rozlane wino utworzyło dużą czerwoną plamę, ale nawet tego nie zarejestrowałem.

Zdjęcie ukazywało Laurę leżącą na pociągowej kuszetce. Spała na boku, z rękami skrzyżowanymi na piersi, nogami zgiętymi w kolanach. Ujęcie pochodziło z sypialnego przedziału w pociągu wiozącym nas do Rumunii.

Drżącą ręką kliknąłem kolejny raz na strzałkę.

Następna fotografia – ja leżący na kuszetce, półotwarte przez sen usta.

Jak oparzony zabrałem rękę. Ból głowy, który dokuczał mi wcześniej, nagle znów dał o sobie znać. Kątem oka widziałem teraz świeżą plamę na dywanie – miała kolor zaschniętej krwi.

Spróbowałem cofnąć się myślą do tamtej nocy. Zasnąłem z telefonem w ręku. Kiedy się obudziłem, bateria już padła. Jednak gdy zasypiałem, nadal zostało jej parę procent życia.

Najwyraźniej człowiek, który wślizgnął się do naszego przedziału, żeby ukraść paszporty i bilety, zrobił nam zdjęcia moim telefonem.

Drżącą ręką kliknąłem na strzałkę, by cofnąć się do zdjęcia numer jeden. Po chwili znów patrzyłem na Laurę siedzącą w kawiarni przy dworcu Keleti. Kliknąłem jeszcze raz. Wyświetliła się pierwsza fotografia – ujęcie z pociągu Eurostar. Wszedłem do widoku albumu i zacząłem przeglądać ikonki zdjęć.

Dwie fotografie, które widziałem przed chwilą, ukazujące nas uśpionych w przedziale, zniknęły. Wyparowały.

Sądziłem, że nigdy już nie dopadnie mnie strach porównywalny z tym, którego doświadczyłem tamtej nocy w lesie. Ale teraz nagle zacząłem dygotać, członki odmówiły mi posłuszeństwa. Mój umysł w ułamku sekundy włączył tryb przetrwania: zacząłem zwracać uwagę na otaczające mnie cienie, ciemność czającą się za oknem.

Po chwili zdołałem się podnieść, świat wokół mnie zawirował. Byłem pijany, totalnie zalany. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, że alkohol tak bardzo uderzył mi do głowy. Musiałem mieć naprawdę mocno w czubie, skoro widziałem nieistniejące fotografie.

Pijany i szalony, szeptał głos w mojej głowie. A może tylko szalony.

Z góry dobiegł jakiś głuchy łomot, rozległ się kobiecy krzyk. Serce ścisnęło mi się ze strachu. Ale zaraz zorientowałem się, że to tylko moi sąsiedzi, którym znów zachciało się głośnego seksu. Chwiejnym krokiem ruszyłem przez pokój, serce waliło mi w piersi jak szalone. Znalazłem telefon i wybrałem numer Laury. Ale po dwóch sygnałach rozłączyłem się, gdy przypomniałem sobie, że jest środek nocy, a Laura leży przecież w szpitalu. Moja była partnerka widziała duchy, a ja nieistniejące zdjęcia. Parsknąłem śmiechem. Naprawdę dobraliśmy się jak w korcu maku.

ROZDZIAŁ 23

Przy wejściu do szpitala stała starsza kobieta w szlafroku, miała wymiętą, pomarszczoną twarz. Wybierając się na dymka, przyciągnęła tu ze sobą stojak na kółkach do kroplówki. Zaciągała się chciwie papierosem, wypalając go aż do samej bibułki. Wolałem trzymać się od niej z daleka – po alkoholowych przygodach ostatniej nocy smród tytoniowego dymu niechybnie przyprawiłby mnie o mdłości. Czułem się fatalnie – zatrucie alkoholowe i brak snu to zabójcze połączenie. Wiedziałem jednak, że odwiedziny możliwe są między dziesiątą a jedenastą, a koniecznie chciałem zobaczyć się z Laurą. Nawet bezchmurne jasnoniebieskie niebo i zimowa słoneczna pogoda nie poprawiały mi samopoczucia.

Szybkim krokiem przemierzałem szpitalne korytarze. Niosłem bukiet tulipanów w kolorach żółtym i morelowym – to ulubione kwiaty Laury. Nie mogłem się doczekać, aż ją zobaczę. Postanowiłem jednak, że w rozmowie nie wspomnę o dziwnym incydencie z ostatniej nocy.

Kiedy zbliżałem się do jej łóżka, wokół którego zaciągnięto cienką zasłonkę, usłyszałem dobiegające zza niej głosy, które ostudziły mój entuzjazm. Napastliwy ton głosu jej matki, Sandry, i piskliwy głos ojca, Franka, brzmiały, jakby na coś narzekał. Załamałem się. Liczyłem, że nie zastanę ich tutaj.

Wziąwszy głęboki oddech, dałem nura za zasłonkę. Rodzice Laury odwrócili się do mnie, oboje mieli niezadowolone miny. Laura siedziała na łóżku, opierając się na podłożonej pod plecy poduszce. Była blada jak ściana. Wzrok miała nieobecny, jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Widząc ją w takim stanie, zapragnąłem ją przytulić, sprawić, by poczuła się lepiej. Teoretycznie odruchu takiego powinienem spodziewać się po jej matce.

– Danielu – odezwała się Sandra tonem, w którym pobrzmiwał lekki wyrzut. Cmoknęła powietrze na wysokości mojego policzka; roztaczała wokół siebie lawendową woń. Miałem nadzieję, że nie czuć ode mnie alkoholu. Skinąłem głową Frankowi, którego strój sugerował, że zamierzał spędzić ten zimowy dzień na polu golfowym.

– Głuptaska z tej mojej córki, nieprawdaż? – zagaiła Sandra. Spoglądała na Laurę w taki sposób, jakby została wezwana na rozmowę z dyrektorem szkoły po tym, jak jej córkę przyłapano na całowaniu się z chłopakiem.

Zbliżyłem się do łóżka i nachyliłem, żeby pocałować Laurę w policzek. Ona jednak się wzdrygnęła. Zauważyłem, że przez cały czas unika spojrzenia mi w oczy.

– Sądziłem, że zjawicie się wczoraj wieczorem – powiedziałem, zwracając się do Sandry.

– Frank miał w grafiku ważny proszony obiad. Nie mogliśmy się z niego wykręcić.

Milczałem. Kiedy Laura i ja byliśmy parą, wiele razy w obecności jej rodziców musiałem gryźć się w język, brać uspokajające głębokie oddechy. Generalnie szukałem wymówek, by uniknąć konieczności spotkania się z nimi. Kiedy ich poznałem, z początku nie wierzyłem, że oni naprawdę są tacy. Nasłuchałem się opowieści Laury o tym, że bardziej niż na dobru dziecka zależy im na pieniądzach i statusie, ale byłem pewien, że przesadza. Okazało się, że to wszystko prawda. Państwu Mackenzie poszczęściło się w latach osiemdziesiątych, gdy nabyli tanio kilka nieruchomości, a potem sprzedali je w okresie ożywienia na rynku z jakimś astronomicznym zyskiem. Przenieśli się do Kornwalii i założyli firmę trudniącą się „doradztwem w zakresie stylu życia”. Oznaczało to tyle, że doradzali bogaczom, jak osiągnąć równowagę pomiędzy pracą i życiem osobistym.

Państwo Mackenzie nigdy nie ukrywali, że córka jest dla nich źródłem rozczarowań.

– Praca dla organizacji zajmującej się pomocą charytatywną jest niewątpliwie bardzo... szlachetna – oświadczyła Sandra, marszcząc z dezaprobatą nos, podczas pierwszego spotkania z Danielem. – Ale, Lauro, nie sądzisz, że dobroczynność należy przede wszystkim praktykować we

własnym domu? W pierwszej kolejności powinnaś zadbać o zaspokojenie własnych potrzeb. Danielu, a ty co o tym sądzisz?

– Moim zdaniem to wspaniale, że Laura robi to, co podpowiada jej serce. W życiu chodzi o coś więcej niż tylko o zarabianie pieniędzy.

Sandra popatrzyła na mnie z obrzydzeniem.

– Oni zawsze tacy byli – powiedziała kiedyś Laura. – Kiedy wracałam do domu ze szkoły i mówiłam, że na teście zdobyłam osiemdziesiąt procent punktów, ojciec pytał, co z pozostałymi dwudziestoma. Matka wiecznie wytykała mi moje fizyczne niedoskonałości. Jeśli nieopatrznie na coś wpadłam, słyszałam: „to takie typowe dla niezdarnej Laury”. A kiedy na twarzy pojawiał mi się wyprysk, matka nie przepuściła żadnej okazji, by zaprezentować go przed swoimi okropnymi koleżankami. Nie mogłam się doczekać, aż się od nich uwolnię. – Z ciężkim westchnieniem dodała: – No ale ci ludzie nadal są moimi rodzicami.

I właśnie dlatego dwa razy w roku udawaliśmy się do Kornwalii, zatrzymywaliśmy się w ich olbrzymim, urządzonym bez żadnego wyczucia domu, pełnym kosztownych ozdób i kiczowatych dzieł sztuki współczesnej. Frank większość czasu spędzał na polu golfowym albo w pracy. Sandra natomiast z lubością obgadywała sąsiadów – dwóch czarnoskórych gejów, którzy ku jej oburzeniu mieli wkrótce adoptować niemowlaka.

– Podobno dziecko będzie białe – powiedziała któregoś razu, zniżając konspiracyjnie głos.

Okolica, w której mieszkali, była piękna: nie brakowało tu skalistych wybrzeży i piaszczystych plaż. Jedno z najmiłszych wspomnień z naszych wyjazdów do Kornwalii: Laura biegnie po plaży i wydzierając się na całe gardło, recytuje listę wszystkich zjawisk, które budzą postrach jej matki: „Geje, czarni, Arabowie, matki samotnie wychowujące dzieci, upadek państwowej służby zdrowia, dziennik »The Guardian«, związki zawodowe, Russell Brand, kot sąsiadów, koszty parkowania w mieście...”. Na koniec, wyczerpana, rzuca się na piasek i wrzeszczy: „Pierdol się, matko!”, wywołując uśmiech na twarzy przepływającego akurat surfera.

Prawdę mówiąc, teraz miałem wielką ochotę rzucić do Sandry „pierdol się”. Ten irytujący babsztyl i jej mąż świetnie nadawali się, by wyładować na nich frustrację. Zamiast tego spytałem:

– Jak długo zostaniecie?

– Jeszcze dzisiaj musimy wracać. Cassie zostawiliśmy u sąsiadów. – Cassie to ich suczka rasy cocker spaniel.

– Chyba nie u tych czarnoskórych? – jęknąłem z udawanym przejęciem.

– Tak, u Petera i Laurence’a. Całkiem sympatyczni ludzie, mimo że... – Nie dokończyła, bo nagle zorientowała się, że wśród otaczających nas pielęgniarek i pacjentek nie brakuje czarnoskórych.

– Londyn to nie Kornwalia – mruknąłem.

– Laura rozumie, że musimy wracać, prawda, szkrabie? – zwrócił się do córki Frank.

Skinęła głową, ze wzrokiem wbitym w przykryte prześcieradłem kolana.

– Wcześniej była tu Erin, przyjaciółka Laury. Ta niezamężna i z brzuchem – oznajmiła Sandra. Z wyrażającym dezaprobatę cmoknięciem dodała: – Chciała wiedzieć, czy Laura mogłaby zatrzymać się u nas na jakiś czas.

– I co jej państwo powiedzieli?

– Że to wykluczone! Obecnie trwa u nas remont. Poza tym jestem strasznie zajęta.

Na usta cisnęło mi się pytanie: ciekawe czym? Utyskiwaniem na sąsiadów i liczeniem kasy?

– U Erin będzie jej dobrze. Sprawia wrażenie przyzwoitej młodej damy.

– Ale przecież ona niedługo ma termin.

– Może zatem Laura zatrzyma się u ciebie. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego właściwie się rozstaliście. Przecież planowaliście wziąć ślub, dobrze pamiętam? Współcześni młodzi ludzie zmieniają plany jak rękawiczki. Wystarczy, że pojawią się jakieś trudności, i od razu biorą nogi za pas.

– Nie znasz ich, najdroższa.

– Zamknij dziób, Frank.

W głowie kołatało mi się nadal to, co powiedziała chwilę wcześniej – że Laura mogłaby pomieszkać u mnie. Co miałem odpowiedzieć? Że to moje

największe marzenie – jednak nie, żeby zatrzymała się u mnie, ale żeby wróciła, sprowadziła się do mnie z powrotem na stałe.

Zerknąłem na Laurę, która nadal wpatrywała się w prześcieradło. Wtem na nas spojrzała.

– Idźcie już – powiedziała.

Układałem już usta do ironicznego uśmiešku adresowanego do Sandry i Franka, gdy Laura dodała z naciskiem:

– Wszyscy.

– Szkrabie – próbował ratować sytuację Frank – dopiero przyjechaliśmy.

– Nie zdążyliśmy nawet przemówić ci do rozsądku – zauważyła Sandra.

Laura wzięła do ręki bukiet tulipanów, który położyłem na stoliku nocnym, i cisnęła nimi w matkę. Sandra otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. Laura tymczasem chwyciła szklankę z wodą i zamachnęła się. Złapałem ją za nadgarstek, żeby uniemożliwić jej posłanie kolejnego pocisku.

Sandra i Frank spoglądali w milczeniu na swoją córkę. Oboje rozchylili usta ze zdumienia.

– Wracajcie do domu – odezwała się Laura słabym głosem. Wysiłek, jakiego wymagał rzut kwiatami, pozbawił ją sił. – Nie potrzebuję was. I nie przejmujcie się, nie będziecie musieli płacić za pogrzeb. Nie zamierzam popełnić samobójstwa. – Po chwili ciszej dodała: – Nie teraz.

Sandra i Frank spojrzeli po sobie i zaczęli zbierać się do wyjścia. Niesamowicie: najwyraźniej woleli wykorzystać ten pretekst, żeby prysnąć, niż odbyć poważną rozmowę ze swoim dzieckiem. Na odchodnym Sandra podała Laurze papierową torbę.

– Pomyślałam, że ci... pomoże.

Kiedy zniknęli za drzwiami, Laura cisnęła torbę w moją stronę. W środku kryła się książka w miękkiej oprawie. Tytuł: Jak znaleźć szczęście. 21 praktycznych porad, dzięki którym pokonasz depresję, a na twojej twarzy znów zagości uśmiech!.

Wrzuciłem ją do kubła na śmieci.

– Naprawdę chcesz, żebym ja też sobie poszedł? – spytałem cichym głosem.

Laura zamknęła oczy i skinęła głową.

– Wybacz mi, Danny. Jestem strasznie zmęczona. Źle spałam tej nocy.

– W porządku. – Z wahaniem dodałem: – Martwię się o ciebie, Lauro.

Milczała długo, ale wreszcie powiedziała:

– Nie zabiję się. Wystarczy?

– Proszę, nie rób tego. Nie wyobrażam sobie życia w świecie, w którym zabraknie ciebie.

W kąciку jej ust zjawił się uśmiezek.

– O Boże, jak ty coś powiesz.

– Zamierzasz nadal brać te prochy, które ci przepisał lekarz?

Laura spuściła wzrok i pokręciła głową.

Odczekałem chwilę.

– No dobra. Wpadnę trochę później, jeśli nie masz nic przeciwko. Teraz idę na terapię.

Kiwnęła głową. Jej spojrzenie znów stało się puste.

– Powinnaś wybrać się kiedyś ze mną. Moja psycholożka twierdzi, że terapia pomogłaby nam obojgu. Zwłaszcza... – Chciałem powiedzieć: „Zwłaszcza teraz, gdy targnęłaś się na swoje życie”. W ostatniej chwili jednak ugryzłem się w język. – Obiecuję, że jest zupełnie inna niż psychiatra, do którego trafiłaś w dzieciństwie.

– Nic mi nie jest. Czuję się już o wiele lepiej. Pogadamy potem, dobra?



Wsiadłem do autobusu jadącego do dzielnicy Crouch End, wspiałem się na górny poziom. Nadal czułem, że w żyłach krąży mi alkohol – i może właśnie dlatego, że byłem jeszcze lekko wstawiony, poczułem teraz, jak w moim sercu rodzi się nieśmiała iskierka optymizmu. Laura zwróciła się do mnie „Danny”. Nie używała tego zdrobnienia, odkąd się rozstaliśmy.

Może otarcie się o śmierć uzmysłowiło jej, że lepiej, byśmy byli razem. I że mnie potrzebuje.

Gdyby do mnie wróciła, gdybyśmy znów tworzyli związek, zdołamy wyleczyć się z traum i choćby życie rzuciło nam kłody pod nogi, damy sobie radę – byłem o tym przekonany. Razem byliśmy sto razy silniejsi niż osobno. Po powrocie z Rumunii byliśmy w opłakanym stanie: każde z nas zatrzaśnięte we własnym nieszczęściu, praktycznie straciliśmy zdolność komunikacji. To wtedy zapomniałem o tym, że tylko razem stanowimy potęgę. A Laura poszła o krok dalej.

Stwierdziła wręcz, że mój widok przypomina jej o tym, co się stało – że ilekroć widzi moją twarz, cofa się w czasie. Jej zdaniem, dopóki będzie mnie widywać codziennie, nie zdoła się wyleczyć.

– Ale kochasz mnie jeszcze? – spytałem podczas jednej z tych rozmów. Było to na parę dni przed rozstaniem.

Myślała długo, nim się odezwała:

– A czy ty nadal kochasz mnie?

Przyglądała mi się bacznie. Możliwe, że zwlekałem z odpowiedzią o ułamek sekundy za długo.

– Oczywiście. Zawsze będę cię kochać.

Popełniłem błąd, pozwalając jej odejść. Powinienem był przekonać ją, że razem damy radę. Zamiast tego biernie patrzyłem, jak odchodzi. Właściwie nie protestowałem.

Teraz, gdy pozwoliłem sobie na odrobinę nadziei, siedząc w podskakującym na wybojach autobusie, próbowałem się zastanowić, jak najlepiej to rozegrać. Uznałem, że nie powinienem się narzucać. Laura potrzebowała czasu, a ja nie mogłem na nią naciskać. Jednak gdybym zdołał nakłonić ją do spotkania z doktor Sauvage, do terapii indywidualnej albo do pójścia na sesję razem ze mną... Postanowiłem, że porozmawiam o tym z Erin. Może teraz, gdy przyjaciółka uratowała jej życie, Laura wreszcie jej posłucha.

Dom doktor Sauvage był oddalony od przystanku o parę przecznic. Pogoda się zmieniła, nad kamienicami w zabudowie szeregowej zawisło bezbarwne niebo; wyglądało jak część pejzażu, na którą malarz zapomniał

nanieść farbę. Kiedy skręcałem na rogu, niemal wjechał we mnie dzieciak na minihulajnodze. Z wrażenia serce podskoczyło mi do gardła.

Dom terapeutki znajdował się w połowie ulicy. Z każdym krokiem rosło we mnie przekonanie, że coś jest nie tak. W pierwszej chwili pomyślałem, że budynek wygląda trochę dziwnie – mury wydawały się ciemniejsze. Przed domem stał mężczyzna w jaskrawożółtej kurtce. Kiedy podszedłem bliżej, z wrażenia otworzyłem szeroko usta.

Fasadę budynku szpecił ciemnoszary osad, sięgający od zakrytych okiennicami okien na najwyższym piętrze aż po bramę wejściową. Szyby w oknach na parterze były potłuczone, pokrywała je jakaś czarna maź. W ogródku przed domem leżało połamane krzesło i dachówki, które zsunęły się z dachu. Teren wokół budynku otoczono żółtą taśmą. Mężczyzna w żółtej nieprzemakalnej kurtce okazał się policjantem.

Przyjrzał mi się, kiedy podszedłem bliżej.

– Co... się stało?

– A kim pan jest, jeśli wolno spytać?

– Pacjentem doktor Claudii Sauvage. Przyszedłem na umówioną wizytę.

Policjant był młodszy ode mnie. Wydawał się przemarznięty i mocno zdołowany.

– Przykro mi, ale wczoraj miał tu miejsce pożar – oświadczył, odchrząknąwszy.

– O Boże. Co go wywołało?

Policjant spojrzał w głąb ulicy.

– Nie wolno mi dzielić się takimi informacjami.

Wtem z tyłu dobiegł czyjś głos:

– Takie nieszczęście.

Obejrzałem się. Jakiś leciwy mężczyzna przeszedł właśnie na naszą stronę ulicy. Zatrzymał się nieopodal i spojrzał na spalony dom.

– Mieszkam po drugiej stronie ulicy – wyjaśnił. – Nadal nie mogę w to uwierzyć. Biedni ludzie, będzie ich nam brakowało.

Mój mózg nie nadążał.

– To znaczy? – spytałem cichym głosem.

Nie odrywając wzroku od spalonego domu, staruszek wyjaśnił:

– Państwo Sauvage nie przeżyli pożaru. Byli na piętrze, ogień odciął im drogę ucieczki. Straż pożarna nie mogła nic zrobić. – Oddalając się, mamrotał pod nosem: – Takie nieszczęście. Takie nieszczęście.

ROZDZIAŁ 24

Zaszedłem do swojego mieszkania, wziąłem laptop i wróciłem na ulicę. Wolałem nie zostawać w domu sam. Chciałem znaleźć się wśród ludzi, wśród żywych. Na końcu ulicy znajdował się bar z całodzienną ofertą śniadaniową. Serwowali tam pożywne, tłuste żarcie – dokładnie takie, jakiego teraz potrzebowałem.

W pierwszej kolejności zamierzałem poszukać w internecie wiadomości na temat pożaru w domu państwa Sauvage. Z terapeutką nie łączyły mnie co prawda prywatne relacje, ale to w żaden sposób nie czyniło jej śmierci mniej wstrząsającą. Miała zaledwie czterdzieści kilka lat... Cóż za straszliwy sposób rozstania się z życiem. Ciekawe, czy jej psiaki, te wiecznie zasapane mopsy, też zginęły w płomieniach.

Informację o pożarze zamieściła na swojej stronie internetowej londyńska bulwarówka „Evening Standard”. Artykuł opatrzone zdjęciem spalonego budynku, a także fotografią państwa Sauvage. Zrobiona kilka lat wcześniej, ukazywała uśmiechniętych Claudię i Patricka. Na szczęście nie mieli dzieci. Artykuł milczał o losie psów.

Tekst kończył się następująco:

„Policja ustala, czy państwo Sauvage mogli stracić życie w wyniku celowego podpalenia. W najbliższych dniach należy się spodziewać komunikatu policji w tej sprawie”.

Podpalenie? O Boże. Dlaczego ktoś miałby to zrobić? Czy doktor Sauvage narobiła sobie wrogów? To wszystko było takie straszne. Przez chwilę egoistycznie zastanawiałem się, z kim będę mógł teraz otwarcie rozmawiać, i oczywiście zaraz dopadło mnie poczucie winy. Laura była

zbyt wrażliwa, a zostałem teraz bez terapeutki. Pozostawał tylko jeden kandydat: mój najlepszy przyjaciel.



Z Jakiem spotkałem się nazajutrz w Friends House przy Euston Road. Kiedy do niego przedzwoniłem, był świeżo po spotkaniu biznesowym w wytwórni płytowej, której siedziba mieściła się w lśniącym nowoczesnym biurowcu niedaleko stacji Euston.

– Udało się! – oświadczył przez telefon. – Jestem niemal pewny, że zaproponują mi wydanie płyty.

– Wspaniale.

Kiedy podzielił się ze mną radosną nowiną, w pierwszej chwili chciałem odwołać nasze spotkanie. Był taki podekscytowany, a ja nie chciałem go dołować. Ale też zdawałem sobie sprawę, że w chwili podpisania kontraktu wpadnie w jeszcze większą euforię i przez jakiś czas trudno będzie się z nim skomunikować. Wniosek: powinienem pogadać z nim już teraz, potem może być ciężko.

Zamówiona przez internet kamera monitoringu została dostarczona w porze lunchu i wczesne popołudnie upłynęło mi na instalowaniu jej. Kamerę umieściłem nad drzwiami wejściowymi. Była wyposażona w czujnik ruchu i połączona z aplikacją na moim telefonie. Kiedy ktoś wchodził do mieszkania, zaczynała nagrywać.

Wychodząc, uśmiechnąłem się do kamery.



W Friends House swoją siedzibę miał londyński oddział kwakrów, przy czym kawiarnia i aula były oddane do ogólnego użytku. Panowała tu zawsze luźna atmosfera, Jake uwielbiał tu wpadać.

Na miejscu zjawiłem się pierwszy, zamówiłem kawę i ciasto marchewkowe. Poszukałem stolika na tyłach, gdzie było niewielu gości i panował spokój. Paru odważnych marzło na dziedzińcu, na stołach i parapetach leżał śnieg.

Zanim przyszedł Jake, napisałem do Laury z pytaniem, jak się czuje. Nie doczekawszy się odpowiedzi, wysłałem jeszcze jedną wiadomość, w której poinformowałem ją, że zamierzam porozmawiać z Jakiem o tym, co się stało. Napisałem: Moja terapeutka nie żyje. A ja koniecznie muszę z kimś pogadać. Mam nadzieję, że zrozumiesz x.

Jake przyszedł ubrany w grubą kurtkę w stylu militarnym, szyję miał owiniętą długim szalem. Moje przypuszczenia okazały się słuszne – Jake był nabuzowany, tryskał energią. Podczas zamawiania kawy zaczął podrywać barmankę kwakierkę.

– Dała mi swój numer – oświadczył z uśmiechem, kiedy wrócił do stolika.

Usiedzenie bez ruchu przychodziło mu z trudem. Reprezentował w tej chwili skrajny przypadek zespołu niespokojnych nóg.

– Ej, co to za panienka o wschodnioeuropejskiej urodzie, z którą cię widziałem po koncercie? Nie grzeszy dobrymi manierami, ale za to fajna z niej laska. Kręcisz z nią?

– Nie przesadzaj, nie była aż taka niegrzeczna.

Jake machnął ręką.

– Wybacz. Chyba zamieniam się w egocentryka, co? Dan, kiedy zauważysz, że zaczynam zachowywać się jak dupek, powiedz mi o tym, dobra?

– Mam pilnować, żebyś stąpał twardo po ziemi? Po tym padole łąz, na którym egzystujemy my, śmiertelnicy?

– Ejże, jesteś rekinem biznesu, a nie śmiertelnikiem. Aplikacje to dziś lepszy interes od muzyki. Z nas dwóch to ja powinienem pilnować ciebie, żebyś nie bujał w obłokach. A tymczasem ty nadal zachowujesz się, jakby życie było procesją pogrzebową. Dobrze, że przynajmniej umiesz jeszcze podrywać fajne dziewczyny. Skąd ona była?

– Z Rumunii.

– Serio? Chcesz powiedzieć, że to twoja nowa dziewczyna? Dałeś sobie spokój z Laurą? Wiedz, że złamiesz mi tym serce. Nadal wierzę, że wy dwoje lada dzień zejdziecie się ze sobą. Obiecałeś mi, że będę świadkiem

na waszym ślubie, pamiętasz? Przygotowałem już nawet parę dowcipów specjalnie na tę okazję.

Napiłem się kawy, która zdążyła już wystygnąć. Może gdybym dał kubek do potrzymania Jake'owi, bijący od niego żar podgrzałby napój i kawa znów nadawałaby się do picia.

– Nie, nie kręcę z tą panienką. Jeśli chodzi o Rumunię... właśnie o tym chciałem z tobą pogadać.

Jake nachylił się.

– Czyżbyś zamierzał nareszcie opowiedzieć o tym, co przydarzyło się wam podczas podróży po Europie?

– Nie wiem. Ale... chcę opowiedzieć ci o wszystkim, co stało się potem.

Nagle rozdzwonił się telefon Jake'a.

– Przepraszam, muszę odebrać.

Przeszedł na dziedziniec i wdał się w ożywioną rozmowę z kimś po drugiej stronie. Zazdrościłem mu – wszystko w życiu Jake'a szło jak po maśle, żadnych problemów, żadnych czających się za nim cieni. Mój przyjaciel znalazł się w szczytowym momencie swojego życia: był o krok od podpisania kontraktu płytowego, wszystko, co dobre, miał jeszcze przed sobą, sława wydawała się na wyciągnięcie ręki. Jak zauważył, ja powinienem się czuć podobnie – i faktycznie czułem się w momencie, gdy wyruszyliśmy z Laurą w podróż po Europie. Tak bardzo chciałbym cofnąć czas, znów znaleźć się w tym zaczarowanym ogrodzie, w którym przebywał teraz mój przyjaciel.

Kiedy mu się przyglądałem, jak pogrążony w rozmowie, z promiennym uśmiechem na przystojnej twarzy przechadza się po dziedzińcu, uświadomiłem sobie, że nie mam prawa mu zazdrościć. Jake ciężko zapracował na swój sukces. Byłem z niego dumny.

Kiedy wrócił po skończonej rozmowie, we włosach migotały mu płatki śniegu.

– Dzwonił mój manager – wyjaśnił. – Okazuje się, że teraz rozmowami ze mną zainteresowane są też Universal i Sony. To już trzy z czterech największych firm fonograficznych – dodał, zacierając ręce.

– Zasługujesz na to.

– Dzięki, stary. Ale prawda jest taka, że na razie nie mam nic na papierze.

– To tylko kwestia czasu. Zostaniesz gwiazdą. Niedługo będę cię widywał wyłącznie na zdjęciach w gazecie, gdy prowadzać się będziesz z Taylor Swift i Rihanną.

– W sumie to chyba wolałbym z Beyoncé. Nieważne. Tobie za to pisana jest kariera supergwiazdy w branży nowych technologii. Będziemy chadzać na te same imprezy. Będziemy... Cholera, Dan, ale masz minę... Wyglądasz, jakbym właśnie przypomniał ci, że chorujesz na raka. Przepraszam, już się zamykam.

– Dzięki.

– No, śmiało. Opowiadaj. Co się dzieje?

Opowiedziałem o włamywaczu, który zwrócił moje rzeczy. O tym, że ktoś wypłacił pieniądze z mojego konta. O pożarze w domu mojej terapeutki, o tym, że jestem w trakcie terapii i zostałem bez specjalisty, z którym mogę otwarcie rozmawiać. Opowiedziałem ze szczegółami o próbie samobójczej Laury. Jake przysłuchiwał się temu z szeroko otwartymi ustami. Wspomniałem też, że najwyraźniej moja była dziewczyna znów zaczęła widywać duchy.

– Inna sprawa, że ja też widziałem na własne oczy, jak ktoś ją obserwuje. Możliwe, że ktoś próbował wepchnąć ją pod pociąg w metrze... Wiem, jak dziwacznie to wszystko brzmi.

– Ja pierdołę, to jakiś koszmar – podsumował Jake, gdy skończyłem opowiadać. – Rozmawiałaś z policją?

– Policja zakłada, że albo wyobraziłem sobie włamanie, albo jestem stuknięty, albo kłamię i marnuję czas organów ścigania. W sumie to czasami sam zaczynam podejrzewać, że popadam w obłęd... – Umilkłem. Uznałem, że wtajemniczenie Jake'a w wydarzenia ostatniej nocy, gdy przywidziały mi się zdjęcia z pociągu, nie byłoby najlepszym pomysłem.

Spojrzałem na niego.

Przez chwilę Jake przypatrywał mi się bez słowa.

– Powiesz mi wreszcie, co tam się stało?

– Chcę. Naprawdę muszę z kimś o tym pogadać. Taki miałem zamiar. Ale teraz, gdy teoretycznie mógłbym...

– Danielu, to ja. Ze mną możesz pogadać na każdy temat. Będę milczał jak grób, masz moje słowo. Wiem, że uważasz mnie za niepoprawnego plotkarza. Jednak mogę ci z ręką na sercu obiecać, że nikomu nie zdradzę tego, co mi powiesz. Niezależnie od tego, co to takiego.

W zamyśleniu darłem na kawałki papierową torebkę po cukrze. Nie potrafiłem spojrzeć mu w oczy.

– Bardzo mi trudno o tym mówić, znaleźć odpowiednie słowa... Poza tym nie chcę, by to, czego doświadczyłem, stało się dla ciebie ciężarem.

– Ciężarem? Daj spokój. Nie wierzę, żeby to było coś tak strasznego.

– Jake – powiedziałem, unosząc na niego wzrok. – Jest.

W końcu opowiedziałem mu o tamtej nocy – o podróży pociągiem, poznaniu Aliny i Iona, o tym, jak pogranicznicy wyrzucili nas z wagonu, o upiornej stacji w pustkowiu. Jake przysłuchiwał się uważnie, gdy odtwarzałem naszą wędrówkę wzdłuż torów. Opowiedziałem o tym, jak Alina poszła do lasu i zniknęła, a Laura i ja ruszyliśmy na poszukiwania.

– I w końcu znaleźliśmy dom. W środku lasu.

Jake przysłuchiwał mi się z szeroko otwartymi oczami, gdy opowiedziałem, co wydarzyło się potem.

ROZDZIAŁ 25

Kiedy podeszliśmy bliżej, zauważyłem, że w oknach na piętrze, przywodzących na myśl otwory wycięte w halloweenowej dyni, poruszają się jakieś cienie. W pokojach płonęły świece. A zatem dom był zamieszkały.

Mały chłopiec mieszkający w mojej głowie krzyczał na dorosłą wersję mnie: „To chata wiedźmy. Ona wabi i pożera zagubione dzieci. Najpierw je tuczy, a potem zjada. Z ich zmielonych kości piecze chleb. Biegnij, uciekaj ile sił w nogach, tak daleko, jak możesz. Znajdź łóżko, przykryj się kołdrą i nie wystawiaj głowy”.

Poczułem, jak Laura dotyka mojej dłoni.

– Danielu, spójrz.

Wskazywała na coś leżącego na ziemi. W pierwszej chwili pomyślałem, że to moje serce, które wyskoczyło mi z piersi i teraz leży, podrygując, pośród uschłej trawy. Po chwili jednak wziąłem się w garść, skoncentrowałem wzrok na tym, co wskazywała.

– To drugi but Aliny.

Schyliłem się i go podniosłem. Kiedy odwróciłem się do Laury, tuliłem znaleziony but do piersi jak małego kotka.

– Chodźmy stąd, musimy wezwać pomoc.

Moja dziewczyna w odpowiedzi zacisnęła tylko zęby i ruszyła w kierunku domu. Ja jeszcze się wahałem. Musiałem odpowiedzieć sobie na pytanie, czy jestem chłopcem, czy dorosłym facetem. Pewnie gdybym znalazł się tu sam, rzuciłbym się do ucieczki i szukał pomocy. Teraz jednak nad moim strachem górę wzięła potrzeba, by zostać z Laurą oraz by nie wyjść w jej oczach na tchórza.

Masywne drzwi wykonane były z drewna dębów rosnących wokół domu. Wyraźnie wyczuwałem obecność tych drzew, wydawało mi się, jak gdyby obserwowały każdy nasz ruch i prowokowały do wejścia. Poczułem, że włosy jeżą mi się na karku. Ciarki chodziły mi po plecach. Dlaczego ktoś zbudował dom w środku lasu? Pewnie mieszkał tu – no właśnie, kto? Myśliwy? Drwal? Leśniczy?

A może wiedźma?

Dom sprawiał wrażenie bardzo starego, wzniesiono go być może setki lat temu. Prawdopodobnie był znacznie starszy od torów, wzdłuż których wcześniej wędrowaliśmy. Na drzwiach nie było żadnego numeru, nie wisiała na nich skrzynka na listy. Na myśl o listonoszu przedzierającym się przez las, by dostarczyć niechciane foldery reklamowe i ulotki zachwalające pizzerie, niemal wybuchłem histerycznym śmiechem.

Laura uniosła rękę, żeby zapukać do drzwi. W ostatniej chwili powstrzymałem ją, chwytając za nadgarstek.

Skądś wiedziałem – jak gdybym oglądał już tę scenę we śnie – że gdy popchnę drzwi, otworzą się. I rzeczywiście tak się stało. Poruszały się dość sztywno, były ciężkie, jednak rozwarły się na oścież, ukazując obszerne wnętrze.

Przestąpiłem próg. Laura posuwała się za mną, trzymając mnie za koszulę.

Pomieszczenie, w którym się znaleźliśmy, kojarzyło mi się z holem jakiejś rezydencji. W środku panował mrok, rozjaśniany tylko sączącym się przez okna księżycowym blaskiem. Nie płonęły tu żadne świece. Czekałem, aż moje oczy przywykną do ciemności. Po chwili widziałem już wyraźnie, że pomieszczenie jest umeblowane bardzo skąpo: kilka skrzyń i stojący wieszak na ubrania. Wisiała na nim czarna kurtka. Drzwi w obu narożnikach holu były zamknięte. Na wprost nas były schody, wiodące ku jeszcze większemu mrokowi.

Laura i ja spojrzeliśmy po sobie. Teraz, gdy weszliśmy do środka, odniosłem wrażenie, że obleciał ją strach. Już przed wejściem tu wyczuwałem jakąś osobliwą chorobliwość, którą emanowało to miejsce. Teraz to wrażenie się nasiliło. Ten dom w przeszłości był świadkiem jakichś straszliwych wydarzeń. Było to dla mnie równie oczywiste jak to, że mam

na imię Daniel. Laura wcześniej zrobiła parę kroków w głąb pomieszczenia, ale teraz zaczęła się cofać z powrotem ku drzwiom wejściowym, jakby dopadły ją wątpliwości. Może swoje zrobił panujący tu smród: w zatechłym, wilgotnym powietrzu unosiła się wyraźna słodka woń pleśni i zgnilizny. Jednak czuć było coś jeszcze gorszego. Przed laty wynajmowałem pokój, w którym coś obrzydliwie cuchnęło. W końcu odkryłem, skąd się brał fetor: poprzedni lokator pod kuchenką i lodówką porozstawiał pułapki klejowe na gryzonie. Schwyte w nie szczury rozkładały się od wielu tygodni. Miejsce, w którym znaleźliśmy się teraz, cuchnęło dokładnie tak samo. Psującym się mięsem. Śmiercią.

– Chcesz wracać? – spytałem szeptem.

Kiedy popatrzyła na mnie, w jej oczach dostrzegłem najprawdziwszy strach. Jej spojrzenie zdawało się mówić, że popełniliśmy błąd, wchodząc do środka. Pytało, co nam strzeliło do głowy, żeby tu przychodzić. Drzwi wejściowe przed chwilą się za nami zamknęły. Coś mi podpowiadało, że są zatrzęsnięte na głucho i znaleźliśmy się w potrzasku. I że nigdy nie zdołamy się stąd wydostać.

A może dałoby się je bez trudu otworzyć? Może nadal mogliśmy zrobić to, co powinniśmy byli uczynić na samym początku – to znaczy wycofać się do lasu, odnaleźć tory i poszukać pomocy w najbliższym mieście.

I właśnie wtedy usłyszeliśmy hałas.



Nagle telefon Jake'a znów ożył. Dzwonek sprowadził mnie na nowo na ziemię.

– Kurwa mać, wybacz – mruknął przyjaciel. – To ktoś z wytwórni płytowej.

Było jasne, że Jake wolałby odebrać.

– W porządku, pogadaj z nim.

– Przepraszam. Zaraz wrócę.

Wstał i z aparatem przy uchu, pomrukując „yhym” i „w porządku”, oddalił się od stolika.

Kiedy opowiadałem, nieświadomie porwałem na kawałki kilkanaście saszetek z cukrem. Teraz zacząłem zbierać białe ziarenka, które pokrywały dużą część blatu.

Zachodziłem w głowę, czy starczy mi odwagi, by pociągnąć tę opowieść do końca; czy zdołam wyjawić mu prawdę na temat tego, co się tam stało.

Po chwili Jake wrócił do stolika. Wydawał się zmieszany.

– Stary, strasznie mi przykro. Przenieśli godzinę spotkania, tak by mógł wziąć w nim udział wiceprezes wykonawczy firmy. – Widząc moją zdumioną minę, pospieszył z wyjaśnieniem. – Ten gość to prawdziwa szycha.

– Musisz już lecieć, o to chodzi?

– Danielu, naprawdę chciałbym usłyszeć, jak kończy się ta historia. Może spotkamy się potem na drinka, co ty na to? Po moim spotkaniu biznesowym.

– Dobra, może.

Jake z ekscytacji niemal podskakiwał.

– No leć – zachęciłem, przywołując na usta uśmiech. – Przekręcę do ciebie potem. Daj czadu.

– Dzięki, Dan.

Ruszył biegiem i po chwili zniknął mi z oczu. Usłyszałem jeszcze, jak wpada na kogoś i wylewnie przeprosza. Potem zniknął.



Zanim wróciłem na swoją ulicę, zrobiło się ciemno, a śnieg ustąpił miejsca lodowatemu deszczowi. Kiedy wchodziłem do budynku, czułem na karku ukłucia zimnych kropli. Przeczesalem dłonią włosy, żeby strząsnąć z nich wilgoć. Moją uwagę przyciągnął plakat powieszony na ścianie klatki schodowej. Napis na nim, sporządzony niezbyt czytelnym charakterem pisma, głosił: DO OSOBY, KTÓRA WYRZUCIŁA RESZTKI ŻYWNOSCIOWE DO ZIELONEGO KUBŁA – TEN KUBEŁ JEST NA ODPADKI PRZEZNACZONE DO RECYKLINGU. Niżej znalazła się groźba: o zachowaniu tej NIEODPOWIEDZIALNEJ OSOBY zostanie

poinformowana WSPÓLNOTA MIESZKANIOWA. Przewróciłem oczami. Ciekawe, że nie wspomniano o lisku pałaszującym pizzę.

Wbiegłem truchtem po schodach i wsunąłem klucz do zamka. Nie mogłem się doczekać, aż wreszcie znajdę się w zaciszu swojego mieszkania. Czułem się podminowany, roztrzęsiony. Już po drodze do domu postanowiłem, że nie spotkam się dziś ponownie z Jakiem, żeby opowiedzieć mu historię do końca. Zrobię to innego dnia.

Nacisnąłem włącznik światła. Jednak lampy się nie zapaliły.

Na klatce oświetlenie działało normalnie, więc nie była to przerwa w dostawie prądu. Masywne drzwi wejściowe do mieszkania zostawiłem otwarte, klinując je torbą, na tyle ciężką, by je utrzymała. Próba zapalenia światła w kuchni również nic nie dała. Całe mieszkanie pogrążone było w ciemności.

Skrzynka z bezpiecznikami ukryta była w szafce pod ladą kuchenną. W rzadkich przypadkach, gdy wysiadał prąd – prawdę mówiąc, wydarzyło się to tylko raz – wystarczyło wcisnąć na nowo włącznik bezpiecznika. Ukląknąłem na podłodze i zajrzałem do szafki. Znalezienie skrzynki bezpieczników w niemal całkowitej ciemności nie było łatwe. Nagle drzwi wejściowe zamknęły się, pozbawiając mnie jedyne źródła światła. Kurwa mać, a jednak torba, którą je podparłem, okazała się za lekka. Na szczęście w mroku pod ladą wymacałem już bezpieczniki. Przesuwając po nich palcami, będę mógł znaleźć jeden znajdujący się w innym położeniu niż pozostałe.

Nic z tego, wszystkie włączniki bezpieczników, o ile mogłem stwierdzić, były ustawione w normalnej pozycji. Sięgnąłem do kieszeni po telefon i włączyłem latarkę. Wszystko było w normie. Żeby upewnić się, że kable są w nienaruszonym stanie, musiałbym zdjąć obudowę bezpieczników. Nie pamiętałem, czy w przypadku przepalenia bezpiecznika przełącznik zmieniłby pozycję. W normalnych okolicznościach nie przejąłbym się zbytnio tym wszystkim, jednak w kontekście ostatnich wydarzeń dziwna awaria budziła mój niepokój...

Czyżbym znowu miał gości? Czy ktoś pod moją nieobecność uszkodził oświetlenie?

A może nadal tu był, ukryty?

Posuwając się po omacku wzdłuż ściany, skierowałem się z powrotem do drzwi wejściowych. Po drodze potknąłem się o odkurzacz i niemal upadłem. Mój wzrok powędrował w górę, ku kamerze monitoringu – czy zarejestrowała najście nieproszonego gościa? Może włamywacz zauważył ją i celowo wyłączył światło, aby nagrywanie stało się niemożliwe?

Zacząłem po omacku szukać telefonu, żeby sprawdzić aplikację połączoną z kamerą. A ponieważ zrobiłem to dość niezdarnie, aparat wysunął mi się z ręki. Odbił się od posadzki i zniknął pod którymś z mebli w pokoju. Przez chwilę zastanawiałem się, co robić. W końcu obawa, że ktoś może wciąż czaić się w mieszkaniu, przyćmiła chęć odzyskania telefonu, i wycofałem się na klatkę schodową. Lampa zgasła jakiś czas temu. Nacisnąłem włącznik i przez chwilę stałem na zalanym światłem korytarzu, zastanawiając się, co począć. Pierwsza myśl: mógłbym zapukać do sąsiadów i poprosić o latarkę.

Popatrzyłem na drzwi mieszkania sąsiadującego z moim. Nigdy dotąd nie rozmawiałem z mieszkającą tu kobietą, podejrzewając, że to ona była autorką ogłoszeń na korytarzu. Nie miałem ochoty zwracać się do niej o pomoc, powód awarii mógł być prozaiczny, na przykład przepalony bezpiecznik.

Podjąłem decyzję: wrócę do swojego mieszkania, poszukam telefonu i sprawdzę w aplikacji, czy miałem nieproszonego gościa.

Wróciłem do przedpokoju, tym razem na progu ustawiłem odkurzacz, blokując drzwi. Na czworakach zacząłem szperać pod tapczanem i stolikiem do kawy w poszukiwaniu smartfona. Gdzie on się podział, do cholery? Przekląłem na głos i poirytowany rąbnąłem pięścią w podłogę.

W tym samym momencie z sypialni dobiegł odgłos skrobania.

Podniosłem gwałtownie głowę.

Ktoś był w mojej sypialni. Chryste, gdzie mój telefon? Powinienem jak najszybciej wezwać policję. Wtem usłyszałem głuchy łomot, chwilę potem następny. Zerwałem się na równe nogi i ruszyłem z powrotem do drzwi wejściowych. Zaraz jednak się zreflektowałem – nareszcie nadarzała się okazja, by odkryć, kim jest włamywacz. Może zdołam go schwytać i sam, bez pomocy policji, pociągnę za język. Na przyjazd gliniarzy musiałbym

pewnie czekać wieki. Byłem ostro wkurzony. Miałem dość tego, że ktoś narusza moją przestrzeń.

Zakradłem się do kuchni, chwyciłem leżący na ladzie duży nóż. Następnie, trzęsąc się ze strachu i gniewu, na palcach podszedłem do drzwi sypialni. Z nożem w prawej ręce, lewą energicznie pchnąłem drzwi.

Przez chwilę nic nie widziałem. Nagle coś się na mnie rzuciło z takim impetem, że upadłem na podłogę. Nóż wysunął mi się z dłoni i wylądował na dywanie.

ROZDZIAŁ 26

Leżałem na plecach, na twarzy czując jakiś obrzydliwy, cuchnący mięsem oddech. Z głębi gardzieli napastnika dobyło się warczenie. Starąłem się ze wszystkich sił zepchnąć go z siebie, ale nadal był górą. W mroku wydawał się tylko ciemniejszą plamą. Nagle jego kły dotknęły mojego gardła, poczułem ślinę i wilgotne wargi. Mój organizm zareagował wyrzutem adrenaliny: dało mi to siłę, o którą nigdy bym siebie nie posądzał. Wierzgając, zdołałem obrócić się na bok. Gdybym zwlekał jeszcze sekundę dłużej, pies – czarny pies, który wyskoczył na mnie z ciemności – rozszarpałby mi gardło.

Chwilę potem moje spojrzenie padło na nóż – leżał w zasięgu ręki. Chwyciłem go i zamachnąłem się na psa. Wyginając ciało, zwierzak próbował uchylić się przed ciosem. Spóźnił się o ułamek sekundy i ostrze drasnęło mu nos – pies zaskowyczał z bólu. Równie szybko jak znalazł się na mnie, teraz zeskoczył. Byłem wolny.

Czworonóg, warcząc i ujadając, wypadł jak burza z mieszkania na klatkę schodową. Tymczasem ja, pokaszlując, zwlokłem się z podłogi. Szybko dotknąłem szyi, żeby sprawdzić, czy krwawię. Na skórze nie znalazłem jednak krwi, a jedynie cuchnącą psią ślinę. Gdybym nie zdołał obrócić się na bok, gdy pies mnie dopadł, gdybym nie wziął z kuchni noża... Wolałem nawet o tym nie myśleć. Pies miał pysk rottweilera, ale był całkowicie czarny. Gabarytami przypominał pitbulla. Ewidentnie jakaś krzyżówka, pies obronny, stworzony do walki. Do zabijania.

Stałem chwiejnie na nogach i wyszedłem na klatkę schodową. Pies zdążył zbiec na parter i teraz miotał się wkoło oszalały, wpadał na drzwi, odbijał się od ścian. Zatrzymałem się u szczytu schodów i przyczajony za

barierką spoglądałem na dół. Gdyby zwierzę chciało wbiec znów na piętro, gotów byłem w każdej chwili salwować się ucieczką i skryć w mieszkaniu.

Nagle drzwi do lokum na parterze otworzyły się i ukazała się w nich twarz sąsiadki. Miała trzydzieści kilka lat, mocno kręcone włosy. Nosiła okulary, ubrana była w gruby różowy sweter.

– Ejże, w tym budynku obowiązuje zakaz przyprawiania psów – zawołała, wskazując mnie oskarżycielsko palcem.

Czworonożny zabójca momentalnie skoczył w jej stronę. Kobieta wrzasnęła przeraźliwie i zatrzasnęła drzwi, wykazując się nie lada refleksem. Pies zderzył się z drewnianą przeszkodą, która w ułamku sekundy wyrosła przed nim. Musiało upłynąć parę sekund, nim otrząsnął się i podniósł z posadzki. Szczerząc dwa rzędy ostrych niczym brzytwy zębów, wykręcił szyję w moją stronę.

Rzuciłem się do mieszkania i zatrzasnąłem za sobą drzwi. Znowu znalazłem się w ciemnicy. Wszedłem do salonu i na czworakach próbowałem znaleźć telefon. Już po chwili wymacałem znajomy kształt. Odetchnąłem z ulgą i wybrałem numer alarmowy. Kiedy wzywałem pomoc, z parteru dobiegały serie niskich agresywnych szczeknięć.



Policjanci przywieźli ze sobą hycła. Schwytał zwierzaka przy użyciu pętli na długiej tyczce i zaprowadził do furgonetki. Kiedy pies został unieszkodliwiony, młody policjant pomógł mi z bezpiecznikami. Okazało się, że dwa kable wymagają wymiany. Przyjazd policji zwabił do mojego mieszkania sąsiadów, na szczęście jeden z nich miał zapasowe kable i światło w moim mieszkaniu wróciło.

– Rzadko się zdarza, żeby dwa przepaliły się naraz – stwierdził funkcjonariusz. Nazywał się Sadler. – No to teraz proszę opowiedzieć, co właściwie się stało.

Zawahałem się. Chciałem uniknąć sytuacji, w której funkcjonariusz Sadler zacznie odnosić się do mnie jak funkcjonariusz Sargent. Dlatego pod wpływem impulsu powiedziałem:

– Nie wiem. Chyba wszedł za mną, kiedy wróciłem do domu. Wślizgnął się przez uchylone drzwi. Kiedy zorientowałem się, że światło nie działa, pies zaatakował.

Policjant cmoknął z dezaprobatą.

– Sporo się tu włóczy bezpańskich psów. Większość z nich to pupile ludzi mieszkających na osiedlu, które wypadły z łask i trafiły na ulicę. – Pokręcił ponuro głową, jakby w zadumie nad stanem miasta, którego strzegł. – Potrzebuje pan pomocy lekarskiej?

– Nie, nic mi nie jest. Nie ugryzł mnie. Po prostu jestem... w szoku.

– To zupełnie zrozumiałe. – Po chwili z uśmiechem spytał: – A może w torbie miał pan kiełbasę?

Mnie jednak nie było do żartów.

Policjant pożegnał się i zszedł na dół, żeby porozmawiać z kobietą z parteru.

Wstałem z trudem i na miękkich nogach skierowałem się do sypialni. Wnętrze wyglądało, jakby przeszedł przez nie huragan. Lampka nocna, potłuczona, leżała na podłodze. Książki, papiery, fotografie w ramkach ukazujące Laurę i mnie również wylądowały na podłodze. Pościel była skotłowana, jedna z poduszek została pogryziona, strzępy pianki z wypełnienia leżały rozrzucone na całym łóżku. Zachodziłem w głowę, dlaczego zaraz po powrocie do domu nie usłyszałem, że pies buszuje w sypialni. Może po tym, jak już narobił szkód w pokoju, zmęczony, usnął. Obudził się, dopiero gdy ze wściekłości uderzyłem pięścią w podłogę.

W powietrzu unosił się paskudny fetor, ale już po chwili zrozumiałem, skąd się bierze – na dywaniku rozłożonym przed komodą leżała wielka psia kupa. Zwinąłem dywanik i razem z zawartością wrzuciłem do worka, po czym wyniosłem z domu do pojemnika na śmieci. Kiedy stanąłem przy śmietnikach, wyczułem, że nie jestem tu sam. Rozejrzałem się i nieopodal zobaczyłem grzebiącego w śmieciach lisa. Odwrócił się i począł oddalać się chyłkiem, ciągnąc za sobą po chodniku ogon.



Nalałem sobie wódki, żeby ukoić skołatane nerwy, i stanąłem przy oknie. Mroczna, pusta ulica. Rozpryski lodowatego deszczu na szybie. Ciekawe, co czeka teraz tego psa. Zostanie uśpiony czy raczej poszukają mu nowego domu? Po chwili poczułem, jak wypity alkohol spowalnia mój oszalały puls. Kiedy ustało drżenie dłoni, wziąłem do ręki telefon i włączyłem aplikację powiązaną z kamerą.

Aplikacja powiadomiła mnie, że kamera zarejestrowała obraz, a plik został zapisany w chmurze. A zatem zaraz przekonam się na własne oczy, kto wtargnął do mojego mieszkania. W pokoju panowała cisza, a ja przyłapałem się na tym, że wstrzymuję oddech. W uszach dudnił mi mój własny puls.

Rozpoczęło się odtwarzanie filmu.

Ponieważ kamera reagowała na ruch, nagranie rozpoczynało się od ujęcia, na którym widać było czubek czyjejś głowy i ramiona. Człowiek stał parę kroków od drzwi wejściowych. Obraz był ziarnisty, niezbyt wyraźny – być może była to wina niedostatecznego oświetlenia, choć nagranie zarejestrowano w momencie, gdy było jeszcze jasno. Zmrok zapadł o godzinie szesnastej trzydzieści. A to znaczyło, że włamywacz przebywał w mieszkaniu zapewne nieco wcześniej, w późnych godzinach popołudniowych, kiedy byłem na spotkaniu z Jakiem.

Czekałem, żeby nieznajomy przeszedł dalej, tak bym mógł lepiej mu się przyjrzeć. Na razie widziałem jedynie, że ubrany jest na czarno, a na głowie ma czapkę. Wydawało mi się, że to mężczyzna. Zrobił parę kroków i wszedł do salonu – pokoju, w którym siedziałem w tej chwili. Kamera uchwyciła go teraz od pasa w górę. Kiedy zaczął się odwracać, nachyliłem się nad telefonem, wyciągając wzrok.

W tej samej chwili w mieszkaniu zjawił się ktoś jeszcze, zasłaniając twarz pierwszego intruza. A więc było aż dwóch włamywaczy! Kiedy obaj weszli głębiej do salonu, zobaczyłem, że ten drugi trzyma na smyczy psa, który niedawno próbował mnie zagryźć.

Ten nowy nieznajomy też miał na głowie czapkę. Obaj zatrzymali się i stali nieruchomo, chyba rozglądając się po pokoju. Fakt, że nie widzę ich twarzy, a jedynie tył głowy, doprowadzał mnie do szału. Dobrze, że przynajmniej widziałem już teraz całe ich sylwetki. Obaj ubrani byli na

czarno. Dopiero po chwili zorientowałem się, że popełniłem błąd, zakładając, że to mężczyźni – kształt ciała jednego z włamywaczy, tego trzymającego psa na smyczy, nie pozostawiał wątpliwości, że to kobieta. Kiedy odwrócili się do siebie, żeby porozmawiać, zobaczyłem, że ich twarze zasłaniają maski – proste plastikowe maseczki mocowane na gumkę. Pozbawione były jednak jakichkolwiek rysów – gładki biały plastik, ze szparami na oczy i małym okrągłym otworem umożliwiającym oddychanie. Ich widok sprawił, że po plecach przeszedł mi dreszcz. Miałem wrażenie, jakbym patrzył na dwie zjawy, pozbawione twarzy istoty, które nawiedziły mój dom.

W pewnym momencie kobieta szarpnęła smyczą, a jej ruch był tak gwałtowny, że maska lekko zsunęła jej się z twarzy. Schwyciła ją szybko i poprawiła. Następnie skierowała się do sypialni i wyszła z kadru razem z psem. Mężczyzna tymczasem zaczął krążyć po salonie. Otwierał szuflady i szafki, po czym z wielką starannością na nowo je zamykał.

Po jakimś czasie kobieta z psem wróciła do salonu i pokręciła głową. Znowu rozmawiali – dlaczego nie kupiłem kamery z rejestracją dźwięku? Mężczyzna zaczął żywo gestykulować. Wskazał na psa, potem na sypialnię. Kobieta przytaknęła.

Mężczyzna ruszył do kuchni, tym samym znikając z kadru. Kobieta stała zwrócona przodem do kamery, mogłem ją sobie teraz dokładnie obejrzeć. Była szczupła i wąska w biodrach, miała nieduże piersi. Pies wyrwał się i pociągnęła energicznie smycz, zmuszając czworonoga, by przysiadł na tylnych łapach. Zrobiło mi się go żal. Niezależnie od tego, kim była ta babka, nie brakowało jej siły.

Po chwili mężczyzna znów się pojawił i oboje wyszli z kadru, kierując się do sypialni. I tyle. Przez kolejną minutę na nagraniu nic się nie działo. Potem film się urywał.

Domyślałem się, że to wtedy uszkodzili bezpieczniki. Pewnie chodziło o to, bym po ciemku nie zdołał się bronić, gdy zaatakuje mnie pies. Potem zamknęli zwierzę w sypialni. Mieszkanie opuścili tuż przed zmrokiem.

Odłożyłem telefon. Spoglądałem na miejsce, w którym stali włamywacze. Ich obecność nadal była wyczuwalna, jakby odcisnęła się w powietrzu.

ROZDZIAŁ 27

Na południowym brzegu Tamizy panował dzisiaj wyjątkowy spokój. Odpowiadała za to paskudna pogoda, która zniechęciła wycieczkowiczów do spacerów. Pod niskimi śniegowymi chmurami przemykali jedynie nieliczni londyńczycy, spieszący do domów i biur. Tego popołudnia wydawało się, jakby nawet diabelski młyn London Eye obracał się wolniej niż zazwyczaj, a łódeczki unoszące się pośród szarej kipieli Tamizy przywodziły na myśl łodzie przewożące umarłych na drugi brzeg Styksu.

Przez chwilę przeglądałem nowe tytuły w księgarni Foyles, potem z kawą kupioną w Starbucksie usiadłem na ławce. Miałem stąd widok na rzekę, a także okazałe kamienice i bulwary na drugim brzegu. Sprawdziłem godzinę. Laura powinna zaraz się zjawić.

Czułem się dziwnie stremowany, zupełnie jakbyśmy umówili się na pierwszą randkę. Cóż za nedorzeczny pomysł. Znaliśmy się jak łyse konie. A przynajmniej mnie do pewnego momentu wydawało się, że wiem wszystko o Laurze. Dopiero ostatnio okazała się innym człowiekiem, jakby w jej ciele zamieszkał ktoś zupełnie obcy, i tylko momentami zdarzały się przebłyski, w których znów ukazywała się Laura, jaką znałem kiedyś. Od Jake'a wiedziałem jednak, że to samo można powiedzieć o mnie. Od wczorajszego popołudnia, gdy musiał udać się na przyspieszone spotkanie biznesowe, nie mieliśmy kontaktu. Postanowiłem, że przedzwonię do niego później. Musiałem przecież opowiedzieć mu do końca naszą historię.

– Danielu.

Odwróciłem się.

– Jednak przyszedłeś.

– Oczywiście.

Wydawała się jeszcze szczuplejsza i bledsza niż poprzedniego dnia, gdy widziałem ją w szpitalu. Czarny płaszcz, który miała na sobie, nie tak dawno znakomicie na niej leżał, uwypuklając jej olśniewającą sylwetkę. Teraz natomiast wisiał, jakby był o dwa rozmiary za duży. Na głowie miała wełnianą czapkę. Przyszła z lekkim makijażem – na rzęsy nałożyła odrobinę tuszu, usta pociągnęła różową szminką. Pierwszy raz od wieków widziałem ją umalowaną. Usiadła obok mnie i spłótła przed sobą dłonie. Nie mogła usiedzieć spokojnie, ciągle poruszała nogami. Uśmiechnęła się, ale uśmiech znikł jej z twarzy niemal od razu.

- Wyglądasz... lepiej – pochwaliłem ostrożnie.
- Czyżby? – Uniosła brew.
- Serio. Kiedy zobaczyłem cię na szpitalnym łóżku, serce mi pękało.
- Kiepsko się tam czułam – przyznała. Jej kolana nadal podskakiwały. – Ale już mi się poprawiło. Tak, czuję się znacznie lepiej. Skóra mi odrasta.
- Słucham?
- Ale ta jest... inna. To nowa skóra.
- Lauro – powiedziałem, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami.
- Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz. Wczoraj rano wysłałem ci wiadomość, widziałaś?

Laura utkwiała we mnie puste spojrzenie. Szeptem, który z trudem wzniosł się ponad szum wiatru, spytała:

- Wiadomość?
- Nim zdążyłem zareagować, oznajmiła:
 - Jest coś, o czym chcę ci powiedzieć. Rzuciłam pracę.
 - Lauro, przecież ją uwielbiałaś. Zawsze twierdziłaś, że to twoje powołanie.
 - Owszem – przyznała, wpatrując się w rzekę. – Ale teraz to się zmieniło. Po prostu nie mogę... nie potrafię dłużej wykonywać tej roboty. Teoretycznie mogłabym próbować, ale wiem, że tylko bym wszystkich rozczarowała. Zawiodłabym dzieci, którym powinnam przecież pomagać.
 - Jestem pewien, że nikogo byś nie zawiodła – powiedziałem, dotykając lekko jej ramienia. – Ale może postąpiłaś słusznie. Teraz musisz skupić się

na swoim zdrowiu. A kiedy odzyskasz siły, będziesz mogła na nowo zająć się tą pracą. Tylko że przecież... – Przełknąłem głośno ślinę. – Ciebie już tu nie będzie, prawda? Będziesz w Australii.

Objęła rękami kolana, teraz przynajmniej nie mogły już podskakiwać.

– Nie lecę.

Zupełnie mnie zatkało. Milczałem, na wypadek gdybym się przesłyszał.

– Mogłabyś powtórzyć?

– Podjęłam decyzję: nie polecę do Australii. Zostaję w Londynie.

– O rany! Fantastycznie! – Z ekscytacji próbowałem ją uścisnąć, ale się odsunęła. – Co się stało, że zmieniłaś plany?

Laura otworzyła usta, ale coś ją powstrzymało. Widziałem, że toczy się w niej walka o to, jak wiele powinna mi powiedzieć.

– Jak sam zauważyłeś, ten wyjazd byłby ucieczką. A ja nie chcę już dłużej uciekać. Nie chcę być tchórzem. Pragnę zacząć nowe życie – mówiła powoli. Jej twarz miała dziwnie nieobecny wyraz. Czyżby znowu była na prochach? – Ale wspomniałeś, że chciałeś ze mną o czymś pogadać. Napisałeś o tym dziś rano.

– Lauro, na pewno dobrze się czujesz?

Na jej ustach zjawił się uśmiech, przez krótką chwilę bardziej przypominała dawną Laurę.

– Tak, oczywiście. Czuję się dobrze. No, słucham, czemu mnie tu ściągnąłeś?

– No dobra – powiedziałem bez przekonania. Jakie miałem wyjście? – Może pospacerujemy? Zmarzłem.

– Jasne – zgodziła się chętnie.

Wstaliśmy. Laura posłała mi uśmiech w rodzaju tych, jakimi niegdyś często mnie uszczęśliwiała. W tej chwili poczułem nieodpartą potrzebę, by wyznać jej, że nadal ją kocham i chcę, żeby wróciła do domu. Zdawałem sobie jednak sprawę, że tylko bym ją spłoszył. Dlatego ugryzłem się w język i ruszyliśmy wzdłuż balustrady bulwaru, kierując się ku mostowi Millenium Bridge.

Po drodze zrelacjonowałem jej wydarzenia ostatnich dni: kradzież pieniędzy z mojego konta, kradzież, a potem zwrot laptopa, śmierć terapeutki. Laura przysłuchiwała się temu uważnie, od czasu do czasu kiwała głową, jednak nie odzywała się ani słowem. Kiedy opowiedziałem o pożarze, wzdrygnęła się. A gdy skręciliśmy na wysokości galerii Tate Modern, streściłem jej wydarzenia z wczoraj.

Nagle Laura zatrzymała się. Uśmiech znikł jej z ust.

– Jak wyglądał ten pies?

Opisałem go.

– Dokładnie taki wygląd miały psy, które spotkaliśmy w nocy na stacji.

Nie sądziłem, że Laura mogłaby stać się jeszcze bledsza. Ale widziałem teraz wyraźnie, jak z jej twarzy odpływa cała krew. Chmury na niebie zgęstniały, wchłaniając całe światło, jakby lada chwila miała przyjść śnieżycy.

– Chyba powinieneś z nią pogadać – odezwała się po chwili. – Może by ci to pomogło.

– Pogadać? Ale z kim?

– Z Aliną. Ona tu jest.

A zatem miałem rację – Laura znów uroiła sobie, że widzi duchy.

– Lauro, Alina nie żyje.

– Wiem o tym. Ale przyszła do mnie. – Nachyliła się, spoglądała teraz szeroko otwartymi oczami. Obejrzała się w lewo, potem w prawo. Zerknęła do tyłu, sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje. Wreszcie chrapliwym szeptem rzekła: – Danielu, wiem już, co nas prześladowuje. To zło. Zło z tamtego domu... Przyszło tu za nami. Musisz mieć się na baczności, przestań opowiadać ludziom o tym, co się wydarzyło. Ponieważ za każdym razem, gdy dzielisz się z kimś tą opowieścią, uchylasz coraz szerzej wrota, za którymi to się czai.

Jej przejęty głos, intensywność spojrzenia, pociemniałe niebo i wspomnienia ostatnich wypadków – wszystko to sprawiło, że na ułamek chwili jej uwierzyłem. Przecież to najlepsze wytłumaczenie. Zło. Siła nadprzyrodzona.

– Ten czarny pies, o którym mówisz, nie był prawdziwy – ciągnęła. – Stanowił... symbol. Albo fizyczną manifestację mroku, który wywabiliśmy z lasu. Zła.

– Lauro, mnie ten pies wydawał się do bólu realny – odrzekłem, siląc się na spokój. – Skoczył na mnie, próbował zębami dosięgnąć mojego gardła.

Laura spojrzała na mnie ze smutkiem.

– Och, Danielu. Nie twierdzę, że to była... zjawą. Raczej fizyczna mani...

– Przestań, pleciesz bez sensu.

W tej samej chwili poczułem, jak coś miękkiego osiada na mojej twarzy. Zdałem sobie sprawę, że znowu prószy śnieg. Ale tym razem śnieżyło naprawdę porządnie – był to rodzaj śniegu, który szybko tworzy gigantyczne zasy, uniemożliwia dowożenie dzieci do szkół, unieruchamia pociągi. Zima dopiero się zaczynała, a tu taka śnieżyca... Znowu poczułem, że aura w jakiś sposób odzwierciedla mój stan ducha. Byłem pewien, że Laura chętnie by potwierdziła moje przypuszczenia – tak, to my powodujemy anomalie pogodowe w Londynie. Przedwczesna sroga zima wypełzła przez szparę, o której wspomniała. Przywołały ją złe duchy.

Śnieg wirował wokół nas, w jednej chwili zrobiło się ciemno, a gmach Tate Modern skrył się za białą zasłoną, był teraz widoczny jedynie jako migotliwa sylwetka. Miałem wrażenie, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na całym świecie. Poczułem, jak Laura chwyta mnie za rękę. W tej chwili bardziej niż czegokolwiek innego pragnąłem, by między nami było tak jak kiedyś. Chciałem ją pocałować, mocno przytulić i nie wypuszczać z objęć, wierzyć, że prędzej czy później cały ten obłęd się skończy. Da nam spokój.

– Nie bój się – szepnęła Laura. Śnieg oblepiał już jej czapkę, płaszcz. Twarz miała wilgotną od topiącego się puchu. Zamrugnęła szybko, żeby strząsnąć płatki uczeplone jej rzęs. – Alina nam pomoże.

– Przecież ona nie żyje! Lauro, wiem, że wierzysz w duchy. Rozumiem, że miałaś trudny moment w dzieciństwie. Ale to wszystko wytwory twojego umysłu. Tak daje o sobie znać to, co cię spotkało, i prochy, które łykałaś. I jeszcze te twoje historie o nowej skórze... – mówiłem łagodnym tonem. – Uważam, że powinnaś zwrócić się o pomoc do specjalisty.

– Nie, Danny. Nie. Nie rozumiesz? Ona wróciła, żeby wskazać nam drogę.

– Lauro...

Przyglądała mi się uważnie. Chyba nawet nie zdawała sobie sprawy, że śnieg leci nam na głowę. W takim stanie powinna była zostać w szpitalu.

– Lauro. Uważam, że musisz porozmawiać z lekarzem.

– Następnym? – spytała ze smutnym uśmiechem. – Po co? Żeby przekonać się, czy przepisze mi więcej prochów?

– Nie o takiego lekarza mi chodzi. – Gorączkowo szukałem argumentów, którymi mógłbym ją przekonać. Tymczasem śnieżycą nasilała się. Wreszcie zaproponowałem: – Schowajmy się gdzieś, zanim zmienimy się w bałwany.

Oprzytomniała, a przynajmniej tak mi się wydawało. Chwyciłem ją za rękę i pobiegliśmy w stronę galerii. Schroniliśmy się w przestronnym holu wejściowym. Pracownicy ochrony przyglądali się nam niechętnie, kiedy strzepywaliśmy z siebie śnieg, który momentalnie topniał na podłodze. Laura poszła do damskiej toalety, ja udałem się do męskiej, w której nie było żywego ducha. Wsadziłem głowę pod suszarkę do rąk, a potem przejrzałem się w lustrze. Koszulką przetarłem szkła okularów. Próbowałem powstrzymać gonitwę myśli, przynajmniej na jakiś czas.

Potem poszedłem pod damską ubikację i czekałem na Laurę. Wyszło parę kobiet, jednak ona się nie pojawiła. Kiedy pięć minut później z toalety wyszła kobieta na oko w moim wieku, poprosiłem ją, żeby sprawdziła, czy przypadkiem w środku nie ma mojej „żony”. A chwilę potem odprowadzałem ją wzrokiem, gdy odchodziła, wstrząśnięty jej chamstwem. Zajrzałem do łazienki i zawołałem Laurę. Wszystkie kabiny były otwarte. Laura zniknęła.

Żwawym krokiem wróciłem do wejścia. Podeszedłem do pracownika ochrony.

– Pamięta pan kobietę, z którą przyszedłem? Widział ją pan przed chwilą?

Ochroniarz pokręcił głową.

– Tylko ktoś niespełna rozumu wyjdzie teraz na zewnątrz – stwierdził. – Zrobiła się prawdziwa zamieć.

Podszedłem do drzwi – widoczność była niemal zerowa. Śnieg walił z nieba, jakby chciał zasypać całą metropolię. W pewnym momencie dostrzegłem zarys ludzkiej sylwetki. Wybiegłem w śnieg, wołając:

– Lauro!

Ale już chwilę potem znikła w zadymce, o ile oczywiście to była ona. Wróciłem do środka, strząsnąłem śnieg z płaszcza. Pomyślałem, że rozejrzę się po galerii. Może Laura poszła do kawiarni albo sklepu z pamiątkami. Albo udała się piętro wyżej, żeby pooglądać eksponaty. Nie zdążyłem zdecydować, co zrobię, bo w tej samej chwili zadzwonił telefon.

Dzwonił Barney – kumpel mój i Jake’a. Jakiś czas temu wyprowadził się z Londynu, założył rodzinę. Od dawna nie miałem z nim kontaktu.

– Barney! Wybacz, to kiepski moment...

– Widziałeś wiadomości?

Coś w jego tonie mnie zaniepokoiło.

– Nie, jestem na mieście. Co się stało?

– Chodzi o Jake’a. Wydaje mi się... Zresztą podeślę ci zaraz link.

Poczułem, jakby śnieg nie sypał już tylko na zewnątrz – teraz śnieżycą szalała również w moim wnętrzu.

– Ale co z Jakiem? Śmiało, możesz mi powiedzieć.

Barney zawahał się. Było jasne, że nie dzwoni, żeby poinformować mnie o podpisaniu lukratywnego kontraktu płytowego przez kumpla z dawnych lat.

– Lepiej będzie, jeśli sam to przeczytasz – stwierdził. – Ale przedzwoń do mnie potem, dobra?

Ostatnie słowa wypowiedział łamiącym się głosem. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, rozłączył się. Przesłał mi wiadomość z linkiem prowadzącym do strony BBC News. Zwlekałem z kliknięciem, rozkoszując się ostatnimi chwilami błogiej niewiedzy. Wreszcie jednak kliknąłem i zostałem przeniesiony na stronę wiadomości. Spoglądałem na zdjęcie Jake’a, jedno z wielu wykonanych dla celów promocyjnych. Miał na nim spuszczone wzrok, wydawał się tu zamyślony, wrażliwy. Wyżej znajdował się nagłówek:

Samobójcza śmierć muzyka u progu sławy

Policja potwierdziła, że śmierć Jake'a Turnera, którego ciało znaleziono zeszłej nocy pod mostem Thornberry, traktowana jest jak samobójstwo. Jak poinformował manager artysty, Turner, 32-latek, był o krok od podpisania kontraktu z dużą firmą fonograficzną.

Potem następowało wyliczenie sławnych muzyków, którzy odebrali sobie życie. Wpatrywałem się w telefon, mój mózg nie nadążał za tym, co widziały oczy. Jake – martwy? Ostatniej nocy? Rozstaliśmy się około szesnastej, Jake wybierał się prosto na spotkanie w wytwórni płytowej. Samobójstwo? Spośród wszystkich ludzi, jakich kiedykolwiek poznałem, Jake był najmniej skłonny do targnięcia się na swoje życie. Czyżby proponowany przez wytwórnię kontrakt nie spełniał pokładanych w nim nadziei, czyżby mój przyjaciel poczuł, że jego marzenia legły w gruzach? Myśl, że miałyby z tego powodu popełnić samobójstwo, była absurdalna. Poza tym, jak sam stwierdził, dwie inne firmy wyraziły zainteresowanie współpracą z nim. Nawet gdyby rozmowy z pierwszą się nie powiodły, czekały go jeszcze dwie inne.

Zadzwoiłem do Robina, jego managera. Wybierając numer, odwróciłem się plecami do pracownika ochrony, który przypatrywał mi się uważnie. Ręce mi się trzęsły, zbierało mi się na wymioty. Jednak równocześnie byłem przekonany, że to musi być pomyłka. Jake nie mógł zginąć. To po prostu niemożliwe. Kiedy usłyszałem zajęty sygnał, oczy miałem już mokre od łez.

Spróbowałem oddzwonić do Barneya.

- Przecież to bez sensu – wyrzuciłem z siebie.
- Wiem.
- Jake nie zrobiłby tego. Nie był przygnębiony. W jego życiu wszystko układało się idealnie.
- Też mi się tak wydawało.
- Niby w jaki sposób odebrał sobie życie? Jak to wyglądało zdaniem policji?

Nie od razu odpowiedział.

– No śmiało, Barney – popędzałem go podniesionym głosem. – Powiedz, jeśli wiesz.

– Skoczył z mostu. Nad Thornberry Lane.

– W dzielnicy Archway?

Kojarzyłem ten most. Usytuowany był dziesięć minut spacerem od mieszkania Jake’a.

– Zgadza się. Wiele razy we trzech chodziliśmy po tym moście – odparł Barney.

Milczeliśmy przez chwilę.

– Napisał... Wiesz może, czy zostawił list?

– Nie mam pojęcia.

Kiedy kończyliśmy rozmowę, Barney wspomniał, że spotkamy się niebawem na pogrzebie. Wyszedłem przed galerię i usiadłem na zasypanej śniegiem ławce. Wokół mnie szalała śnieżycą, jeansy momentalnie mi przemokły na siedzeniu, ja jednak zupełnie nie zwracałem na to uwagi.

Nie mogłem uwierzyć, że Jake popełnił samobójstwo. Wczoraj wydawał się taki szczęśliwy i podekscytowany. Owszem, moja opowieść o przygodzie w Rumunii wstrząsnęła nim, ale...

I wtedy mnie olśniło.

W ostatnich dniach opowiedziałem o tym, co nas spotkało, dwóm osobom. Część historii poznała doktor Sauvage, a bardziej obszerną wersję – Jake.

A teraz oboje byli martwi.

ROZDZIAŁ 28

Jak należało się spodziewać, śnieżycy doprowadziła do paraliżu komunikacji publicznej – gwałtowne opady śniegu unieruchomiły autobusy i pociągi, taksówki również nie miały czego szukać na zasypanych ulicach. Pozostawało mi na piechotę brnąć przez miasto razem z armią ludzi kończących wcześniej pracę. W głowie przez cały czas kołatała mi się myśl o Jake’u, nadal nie mogłem uwierzyć, że się zabił. Twarz i dłonie miałem tak przemarznięte, że wydawało mi się, jakby w każdej chwili miała popękać na nich skóra, odsłaniając kości. Przypomniałem sobie rozmowę z Jakiem mniej więcej sprzed roku, gdy wiodło mu się marnie. Nikt nie był zainteresowany tworzona przez niego muzyką, podczas gdy jego największy rywal odnosił sukcesy. Spotkaliśmy się w tłocznym pubie w dzielnicy Angel. Jake przyszedł ponury, nie przypominał tryskającego energią, entuzjastycznego faceta, którym zawsze był.

– Czasami myślę, że powinienem dać sobie spokój z muzyką i zająć się czymś pożytecznym – powiedział, popijając kawę. – Jezu, światu potrzebny jest nowy piosenkarz tak jak nowa dziura ozonowa. Mam już trzydzieści dwa lata. Jestem za stary na te zabawy.

– Oficjalnie masz dwadzieścia sześć, zgadza się? Taki wiek widnieje na twoim profilu na YouTube.

– To prawda – przyznał, szczerząc zęby w uśmiechu. – Nikt się nie zorientował. Mój tata uważa, że mógłbym uczyć się na hydraulika. Jego sąsiad ma taki fach. Podobno niedawno kupił nowiutkie audi.

– Hydraulik czy twój ojciec?

– Dobre. – Uśmiechnął się. – Ojciec ma rower. Wróc, nie ma swojego, wszędzie jeździ wypożyczanymi rowerami publicznymi.

– Chyba nie porzucisz marzeń o karierze muzycznej, co? – zagadnąłem, unosząc kufel do ust. – Zawsze pragnąłeś zostać gwiazdą.

Jake potarł twarz.

– Nic już nie wiem. Widzę siebie za dziesięć lat jako uczestnika X Factor, gdy w rozmowie z prowadzącymi stwierdzam, że występ w programie to dla mnie „ostatnia szansa” i że „to wiele dla mnie znaczy”.

Uniósł na mnie spojrzenie.

– Dan, nie poddam się. Nigdy. Nawet jako dziewięćdziesięciolatek nadal będę robić to, co teraz. Nie zostanę hydraulikiem, mowy nie ma!

– Nie żeby w byciu hydraulikiem było coś złego.

– Racja, stary – roześmiał się. – Po prostu to nie moja bajka, prawda?

Cały Jake. Nie należał do tych, którzy rezygnują. Oczywiście nigdy nie możemy być pewni, że kogoś naprawdę znamy na wylot. Myśli drugiego człowieka zawsze są dla nas niewiadomą. Ale odkąd go znałem, Jake odznaczał się niezachwianą determinacją. Nawet jeśli w rozmowach z wytwórnią coś poszło nie po jego myśli, niemożliwe, żeby skłoniło go to do samobójstwa. Powiedział wprost, że jeżeli nie podpisze kontraktu z wielkim wydawcą, nie będzie to dla niego koniec świata.

– Po prostu wydam płytę własnym sumptem. Bez pośredników. W dzisiejszych czasach coraz więcej artystów tak robi.

Przystanąłem, oparłem się o mur mijanego budynku. Do oczu napłynęły mi łzy, gdy z całą jasnością uświadomiłem sobie, że już nigdy więcej go nie zobaczę, nie usłyszę jego głosu, śmiechu, nie poczuję aromatu kawy, jaki zawsze wokół siebie roztaczał. Dla ludzi, którzy go nie znali, świat stracił utalentowanego piosenkarza. Piosenki, które mógłby napisać, nigdy już nie powstaną. Ja straciłem najlepszego przyjaciela, człowieka, który znał mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Wcześniej straciłem też Laurę. Od dawna praktycznie nie spotykałem się już z moimi rodzicami. Nie miałem rodzeństwa. A teraz zostałem bez mojego jedyne prawdziwego przyjaciela.

– I co ja teraz, do kurwy nędzy, bez ciebie zrobię? – szepnąłem ze wzrokiem wbitym w śnieg.



Niedaleko domu uświadomiłem sobie, że na sąsiedniej ulicy znajduje się posterunek policji. Musiałem coś zrobić. Bez wahania ruszyłem w tamtą stronę.



Ogrzewanie na posterunku było rozkręcone na maksa. Zaraz po wejściu śnieg na moim ubraniu zaczął topnieć, a ciało tajać. Wkrótce wokół moich stóp na podłodze utworzyła się szybko rosnąca kałuża. Jakiś mężczyzna w średnim wieku wyklócał się z kobietą w dyżurce, chodziło o coś związanego z range roverem jego sąsiada. Przestałem zwracać na niego uwagę i zająłem się studiowaniem plakatów na ścianie. Były tu plakaty informujące o zaginięciu nastolatków. Reklamy organizacji Stop Przestępczości. Apel do świadków ataku nożownika w barze z kebabami o udzielenie informacji policji.

Wzburzony facet w końcu poszedł, śnieżycą na zewnątrz powoli ustępowała. Kobieta w dyżurce obrzuciła mnie niechętnym spojrzeniem. Byłem przemoczony, trząsałem się. Na wspomnienie mojej ostatniej bytności na policji zrobiło mi się jeszcze chłodniej.

– W czym mogę panu pomóc?

– Chciałbym porozmawiać z kimś na temat śmierci

Jake'a Turnera.

Kobieta przyjrzała mi się z większym zainteresowaniem.

– Rzekomo popełnił samobójstwo ubiegłej nocy. Ale ja widziałem się z nim parę godzin przed śmiercią. Niemożliwe, żeby się zabił. Był moim najlepszym przyjacielem.

– Proszę usiąść. Poszukam kogoś, z kim mógłby pan porozmawiać.

Pięć minut później podeszła do mnie policjantka – był to już trzeci w tym tygodniu przedstawiciel organów ścigania, z którym miałem przyjemność rozmawiać. Ciekawe, czy dorobiłem się już wpisu w ich bazie danych, opatrzonego ostrzeżeniem: „świr”.

– Posterunkowa Coates. W czym mogę pomóc?

Powtórzyłem to, co wcześniej powiedziałem babce w dyżurce.

– Zdaję sobie sprawę, że ten most to miejsce chętnie wybierane przez samobójców. Wiem jednak, że Jake nie skoczyłby z niego z własnej woli. – Spoglądałem w błękitne oczy posterunkowej Coates. Musiałem znaleźć sposób na to, by potraktowała mnie poważnie. – Ktoś na pewno go popchnął. Jake został zamordowany.

– Uwierzenie, że pański najlepszy przyjaciel mógł odebrać sobie życie, musi być trudne – powiedziała głosem wyrażającym współczucie.

– Ale skąd właściwie wiecie, że to było samobójstwo?

– Proszę tu poczekać.

Weszła do dyżurki i po chwili wróciła z jakąś kartką.

– Pan Turner wysłał SMS-a do siostry. Niestety, nie mogę panu ujawnić na tym etapie treści wiadomości, ale proszę mi wierzyć: jasno z niej wynika, że zamierzał targnąć się na swoje życie. Wiadomość została wysłana na moment przed znalezieniem ciała pana Turnera przez przejeżdżającego kierowcę. – Skrzywiła się, wypowiedziawszy ostatnie słowa. – Bardzo mi przykro. Jeśli zna pan siostrę pana Turnera, proszę porozmawiać z nią. Rozmowa z bliską mu osobą może pomóc panu w tym trudnym momencie.

Od posterunkowej Coates dowiedziałem się też, że ciało zostało przewiezione do biura koronera. Dopiero po sporządzeniu przez niego raportu będzie można je pochować.

– To nie pierwsza śmierć wśród bliskich mi osób w ostatnich dniach – powiedziałem. Kiedy posłała mi sceptyczne spojrzenie, wyjaśniłem: – W pożarze zginęła moja terapeutka, doktor Claudia Sauvage. W gazecie czytałem, że było to podpalenie. – Miałem ochotę chwycić ją za rękę, zmusić, by mi uwierzyła. – Wydaje mi się, że istnieje związek między tymi śmierciami.

– Proszę poczekać.

Postanowiłem, że opowiem na policji o Rumunii. Kiedy posterunkowa Coates wróci, opowiem jej wszystko od początku do końca. Wtedy zrozumie. Zaraz jednak się zreflektowałem – w ten sposób mógłbym

narazić ją na niebezpieczeństwo... Nie, przecież jest policjantką. Nic jej nie grozi.

Nadejście funkcjonariuszki wyrwało mnie z rozmyślań.

– Chodzi o doktor Claudię Sauvage, zamieszkałą przy Grosvenor Road w dzielnicy Crouch End? – upewniła się, siadając.

– Właśnie! Jeśli to było podpalenie, musiało...

Policjantka uciszyła mnie uniesieniem dłoni.

– Panie Sullivan, pożar nie był wynikiem podpalenia. Wczoraj dostaliśmy raport po oględzinach miejsca pożaru. Winny był e-papieros.

– Co takiego?

– Denatka zostawiła go na całą noc w kuchni podłączonego do ładowarki. Zapewne doszło do wybuchu baterii i od tego zaczął się pożar. To nie pierwszy incydent tego rodzaju. E-papierosy potrafią narobić poważnych szkód.

Zatkało mnie. Przypomniałem sobie doktor Sauvage, gdy siedząc przede mną, wypuszczała z ust kłęby pary wodnej.

– Domyślam się, że miał pan ostatnio sporo stresów, skoro wylądował pan na terapii – powiedziała policjantka. – Dostrzega pan powiązania tam, gdzie zwyczajnie ich nie ma.

Skinąłem głową. Poczulem ulgę, ale zarazem było mi trochę głupio i czułem się zdezorientowany.

– Chyba nie zamierza pan zrobić nic równie głupiego jak pański przyjaciel, co? – spytała posterunkowa Coates.

Pokręciłem głową, po czym bez słowa wstałem i opuściłem posterunek.

Śnieg nadal sypał. Przez chwilę stałem przed budynkiem policji, zagubiony, nie potrafiąc przypomnieć sobie drogi do domu. W końcu nogi, jak gdyby obdarzone własną wolą, poniosły mnie we właściwym kierunku. Wyobraźnia podsuwała mi obraz zwłok Jake'a – pogruchotanych, o członkach wykrzywionych pod nienaturalnymi kątami, na asfalcie pod mostem. Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się płakać w miejscu publicznym. Teraz pozostawało mi wierzyć, że mijający mnie w zadymce przechodnie pomyślą, że policzki lśnią mi od topniejącego śniegu, a nie od łez.



Kiedy tylko wszedłem do mieszkania, zadzwonił telefon. Swojego smartfona miałem w kieszeni, a to, co słyszałem teraz, nie było głośnym dzwonkiem aparatu stacjonarnego. Dzwonienie ucichło, ale rozległo się znowu, mniej więcej po minucie, gdy nalewałem sobie wódki. Dźwięk zaprowadził mnie do sypialni. Po chwili stwierdziłem, że dobiega z szuflady w szafce nocnej. Dzwonił aparat Rumunki poznanej na koncercie Jake'a. Musiała upłynąć chwila, nim przypomniałem sobie jej imię: Camelia. Szybko otworzyłem szufladę i wcisnąłem zieloną słuchawkę. Wyświetlacz pokazywał szereg nieodebranych połączeń. Tamtego wieczoru, gdy poznałem Camelię, wyłączyłem aparat, bo nie chciałem, żeby coś zakłócało mi sen. Nie mogłem sobie przypomnieć momentu, w którym go znów uruchomiłem. Było to dość dziwne, ale to nie jedyny szczegół, który w ostatnim czasie wyleciał mi z pamięci.

– Kto mówi? – odezwał się głos młodej kobiety.

– Camelia? – spytałem. – To ja, Daniel. Poznaliśmy się na koncercie.

Rozległ się niski, bezwstydnym śmiech.

– Daniel? To ty znalazłeś mój telefon? Cudownie. Wydzwaniam na niego już od wielu dni. Sądziłam, że już nigdy go nie odzyskam.

– Wyłączyłem go.

– Bo byłeś na mnie wkurzony? Po tym, jak cię pocałowałam? – Nim zdążyłem zareagować, dodała: – Tak czy inaczej, bardzo się cieszę, że mój telefon się znalazł. Gdzie możemy się spotkać?

Zerknąłem w kierunku okna. Nie miałem najmniejszej ochoty wychodzić z domu.

– A to nie może poczekać do jutra?

– Nie. Może wpadnę do ciebie, co ty na to? Naprawdę potrzebuję tego telefonu. Gdzie mieszkasz?

Wytłumaczyłem, że w dzielnicy Islington.

– Super. Nie mam do ciebie daleko.

Wahałem się. Nie byłem wcale pewny, czy to dobry pomysł, żeby Camelia się tu zjawiała. Ponieważ jednak było mi głupio, że wyłączyłem na

tak długi czas jej aparat, ostatecznie podałem adres. Miałem zresztą jeszcze inny cel – Camelia wiedziała, kim był Jake, poznała go dzięki mnie, a ja chciałem z kimś o nim pogadać. I zależało mi na tym, żeby nie była to osoba, która dobrze go znała. W każdym razie nie teraz. Camelia wydawała się idealną kandydatką. Nic w jej głosie nie wskazywało, że żywi do mnie urazę po tym, jak dałem jej kosza.

– A śnieg? Naprawdę chce ci się wychodzić w taką pogodę?

Znowu ten gardłowy i bezwstydnny śmiech.

– Pochodzę z Rumunii. Jestem przyzwyczajona do śniegu.

Po tych słowach się rozłączyła.

ROZDZIAŁ 29

Godzinę później zadzwonił domofon. Wcześniej dla przytępienia rozpachy po śmierci przyjaciela zdążyłem wlać w siebie cztery, może pięć kieliszków wódki. Nadal jednak czułem się trzeźwy. Zmierzając do drzwi, wciąż poruszałem się prosto. I nadal przygniatało mnie cierpienie.

Zszedłem na dół, zastanawiając się, czy sąsiadka będzie podsłuchiwać. Od incydentu z psem jej nie widziałem.

Camelia czekała przed bramą. Ubrana w czarny płaszcz i czapkę, była przemoczona, a twarz miała zaróżowioną z zimna. Mimo to uśmiechała się. Śnieg oblepiał jej ubranie – w dzieciństwie mówiliśmy na to „boży łupież”. Ale nawet teraz, mimo że przemarznięta, była piękna. Wyrziste błękitne oczy, wydatne kości policzkowe i pełne, zmysłowe usta – wiele kobiet zapłacałoby krocie, by sobie takie sprawić. W jakiś sposób przypominała mi Laurę w okresie, kiedy się poznaliśmy, tyle że Camelia była znacznie bardziej pewna siebie. Wręczyłem jej aparat. Zerknęła na niego przelotnie i wsunęła do kieszeni.

– Dzięki, Danielu. Słuchaj, mogłabym skorzystać u ciebie z toalety?

– Jasne, chodź. I tak zamierzałem spytać, czy chcesz wejść...

– Co ty nie powiesz? – Uniosła brew, na jej ustach zjawił się szelmowski uśmieszek. A ja od razu pożałowałem swojej decyzji.

Zaczekałem, kiedy korzystała z toalety. Gdy wyszła, spytałem:

– Masz ochotę na drinka?

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Wyglądasz, jakbyś sam już parę chlapnął.

– Miałem ciężki dzień.

– Opowiesz?

Ściągnęła już wcześniej czapkę i teraz, zadając to pytanie, machinalnie przeczesywała palcami włosy. W oczy wpadały mi teraz szczegóły, których nie zarejestrowałem tamtej nocy, gdy się poznaliśmy: długie, chyba sztuczne paznokcie i masywne srebrne pierścienie na palcach lewej dłoni.

– Może.

– Nalej mi też, to z przyjemnością posłucham.

Przygotowałem dwa drinki. Swoją szklanę Camelia opróżniła dwoma łykami. Westchnęła z satysfakcją.

– Właśnie tego mi było trzeba.

– Na drugą nóżkę?

Napełniłem ponownie jej szklanę. Tym razem upiła już mały łyk.

– Pyszna wódeczka. – Rozejrzawszy się po pokoju, pochwaliła: – Ładna ta twoja chata. Sam tu mieszkasz?

– Obecnie tak.

– A co z dziewczyną, o której mówiłeś?

O cholera.

– Aktualnie... nie jesteśmy parą.

I znowu ten uśmiech.

– Serio?

Przełknąłem ślinę. Wódka zaczynała uderzać mi do głowy. Świat zawirował. Ból w piersi stał się mniej dokuczliwy. Zaproponowałem Camelii, żeby ściągnęła płaszcz i usiadła.

– Nie martw się – powiedziała. – Nie zostanę długo.

Płaszcz powiesiła na oparciu krzesła. Pod nim miała obcisły sweterek i równie przylegające do ciała jeansy. Wiedziałem, jak skomentowałby jej wygląd Jake: „Seksowna laska, Danny. Naprawdę petarda”. Zresztą nie odpowiadał za to sam wygląd – seksapil Camelii brał się po części z pewności siebie i ironicznego poczucia humoru, którymi emanowała. Jej ruchy miały w sobie kocią zmysłowość. Nim znów się napiła, zwilżyła usta językiem. Widząc to, upiłem spory łyk.

– W porządku. Zostań, jak długo chcesz. W sumie to cieszę się, że mam towarzystwo.

– Ciężki dzień?

Do oczu napłynęły mi piekące łzy. Nagle zorientowałem się, że mówienie o Jake’u, o tym, co się stało, mnie przerasta. Na samą myśl, że mam o tym mówić, ścisnęło mnie w gardle.

Dziewczyna milczała, przypatrując mi się wyczekująco.

– Powiedzmy, że nie mam ochoty być w tej chwili sam.

– W takim razie – odezwała się, unosząc szklanke – wypijmy za koniec paskudnego dnia.

Trąciliśmy się szklankami.

– Zostanę, dopóki pogoda się trochę nie poprawi, dobrze?

Oboje spojrzeliśmy na okno. Latarnia uliczna przed budynkiem oświetlała sypiący śnieg. Nie zanosiło się na to, że przestanie padać.

– Możliwe, że będziesz musiała poczekać do rana – zauważyłem.

Camelia podniosła szklanke do ust, napiła się.

– Cóż, w takiej sytuacji lepiej, żebyś miał spory zapas wódki. – Po chwili dodała: – Spokojnie, nie zamierzam się na ciebie rzucić.

Atmosfera panująca w pokoju zmieniła się, między nami zaczęło iskrzyć. Opanowała mnie nerwowość, ekscytacja. Dziewczyna wstała i zarzucając biodrami, podeszła do regału z książkami. Przez chwilę przypatrywała się grzbietom tomów. Wreszcie wysunęła przewodnik, który kupiłem przed wielką europejską wyprawą Laury i moją. Zatytułowany był Europa Wschodnia dla odważnych. Przewróciła parę kartek.

– To co, zdradzisz mi, co wydarzyło się w Rumunii? Spotkało cię tam coś przykrego?

Stała przede mną, na tle kominka. Blask ognia rozświetlał zawartość jej szklanki. Siedziałem na sofie. Musiałem zadzierać głowę, żeby na nią patrzeć.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

Teraz byłem już ewidentnie pijany. Czułem ucisk w czaszce, pokój tańczył mi przed oczami.

– Mogłoby się to źle skończyć – wyjaśniłem. – Dla ciebie.

W upojeniu alkoholowym wydawało mi się to całkiem prawdopodobne. Co prawda policja przekonywała mnie, że doktor Sauvage nie została zamordowana, ale po niedawnej rozmowie z Laurą zrobiłem się przesądny. A co, jeśli naprawdę mieliśmy tu do czynienia z siłami nadprzyrodzonymi? Może działała tu jakaś klątwa, która sprawiała, że osoby, którym się zwierzałem, były w niebezpieczeństwie. Momentalnie odepchnąłem tę myśl. Klątwa – co za absurd!

– Intrygujące – stwierdziła Camelia.

– Nie zwracaj na mnie uwagi. To tylko głupie żarty.

– Wcale nie brzmiałeś, jakbyś żartował. Co ci się tam przydarzyło? – Jej ton nadal był beztroski, wręcz żartobliwy. Ale spoglądała teraz poważnie.

– Serio, to nic ważnego. Wygłupiałem się.

– No dobra... skoro tak twierdzisz – powiedziała bez przekonania. Podeszła do okna. – Ta pogoda... Zwiedziłeś Bukareszt? Byłam tam dwa lata temu, nasypało wtedy tyle śniegu, że zginęły pod nim całe budynki. Mam nadzieję, że tutaj się to nie powtórzy. – Kiedy odwróciła się znów do mnie, w jej oczach dojrzałem figlarny błysk. – Zostalibyśmy tu uwięzieni. Razem.

– Tylko nie to.

– Dalibyśmy radę, pod warunkiem że mielibyśmy odpowiednią ilość wódki – oceniła.

Roześmiałem się.

– Obawiam się, że jeśli będziemy pić w tym tempie, nie starczy jej na długo.

– Szkoda, Danielu.

– A czym byśmy się żywili?

Zrobiła parę kroków i odstawiła niemal opróżnioną szklanekę na mały stolik. Wahała się przez moment, wreszcie usiadła na sofie. Przyglądała mi się, a po chwili ja, oszołomiony wódką i spragniony ludzkiego dotyku,

wyciągnąłem do niej rękę. Siadła na mnie okrakiem, nasze usta się odnalazły. Jej język wślizgnął się między moje wargi, dłońmi ujęła moją twarz. Odwzajemniałem jej pocałunki. I znowu, jak wtedy po koncercie, jej usta lekko smakowały papierosowym dymem. Za to skóra Camellii pachniała perfumami. Wsunąłem dłonie pod jej sweter, przyciągnąłem do siebie. Mimo dzielących nas warstw ubrań wyraźnie czułem, jak jej piersi napierają na mój tors. Nie wydawała się już taka zmarznięta, alkohol ją rozgrzewał. Byłem tak zalany, że umykał mi surrealizm całej tej sytuacji.

- Hmmm – mruknęła, nie odrywając swoich ust od moich.
- Do sypialni? – spytałem zdyszany.
- Nie, tu jest dobrze.

Ściągnęła przez głowę sweter, ukazując czerwony biustonosz typu push-up i zdobiący ramię tatuaż. Zaczęła rozpinąć mi koszulę, po chwili uwolniłem się od niej. Następnie zrzuciłem T-shirt. Moja erekcja musiała być dla niej wyczuwalna. Dziewczyna rozpięła mi spodnie, odsunęła się nieco, nie schodząc mi z kolan, po czym sięgnęła do rozporoka. Poczułem, jak zaciska palce na moim nabrzmiałym członku. Nachyliła się i znów poszukała moich ust, paznokciami wolnej ręki orając mi pierś. Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie, że to Laura. Wiele razy uprawialiśmy seks na tej sofie. Teraz, w alkoholowym zamroczeniu, całując się namiętnie, łatwo było uwierzyć, że to Laura wróciła do mnie.

- Zdradź mi swoje sekrety, Danielu – szeptała mi do ust Camelia.

Domagałem się pocałunków, ona jednak odchyliła głowę do tyłu, tak że nasze usta niemal się nie stykały.

- Złamałeś kiedyś prawo?
- Co?

Nie przestawała pieścić mojego kutasa. Czułem zbliżający się wytrysk. Chyba i ona się domyśliła, bo zabrała rękę i zmieniła pozycję, siadając głębiej. Napierała teraz materiałem swoich jeansów na mojego nagiego członka.

– Mów do mnie. Powiedz o czymś, co było niezgodne z prawem. To mnie podnieca.

Znów zaczęła mnie całować, ale po chwili się powstrzymała. Kiedy otworzyłem oczy, przypatrywała mi się wyczekująco. Na jej ustach zjawiał się uśmiech.

– Nie rozumiem – wyznałem.

– Nie bądź taki nieśmiały – prowokowała. Odchyliła się do tyłu, żeby dokładnie widzieć moją twarz, i znów zaczęła ocierać się swoim krocem o mojego fiuta. Nawet przez gruby materiał spodni wyraźnie czuć było, jak jest tam rozgrzana. Pogłaskała mnie po torsie i znów się nachyliła.

– Na pewno kiedyś byłeś na bakier z prawem – powiedziała, dysząc mi do ucha.

Czy to możliwe, żeby naprawdę kręciły ją takie rzeczy? Gotów byłem spełnić jej prośbę, żeby czar chwili nie przysł, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Raz zdarzyło mi się ukraść ołówek ze sklepu. Ale coś mi mówiło, że nie o takie historie jej chodzi.

Ocierала się teraz o mnie, całowała po szyi. Jej paznokcie znów orały mi tors.

– Proszę. Coś nielegalnego. Na pewno złamałeś kiedyś prawo, Danielu.

– Nie.

– Nie wierzę ci. Proszę, powiedz mi.

Wyobraziłem sobie teraz pękającego ze śmiechu Jake'a – na pewno w tej sytuacji radziłby, żebym coś zmyślił. Ja jednak byłem zbyt zalany, miałem pustkę w głowie. Pragnąłem tylko zapomnienia. Chciałem, żeby ta kobieta nie przestawała mnie całować i pieścić, nic innego się nie liczyło. Chciałem zatracić się w niej, zatonać w wyobrażeniu, że jest Laurą. Nagle coś się stało, poczułem, jak cały mój żar znika, a z nim erekcja. Ona też to zauważyła. Sięgnęła między moje nogi, zaczęła znów mnie dotykać.

– Śmiało – nalegała, coraz bardziej natarczywym tonem. – Przyznaj się, na pewno coś przeskrobałeś. Może zrobiliście to razem, ty i ta twoja dziewczyna. Albo powiedz mi o czymś, czego jeszcze nie zrobiłeś.

Teraz byłem już zupełnie skołowany.

– Camelio, to chyba nie...

Wbijała we mnie wzrok, jakby próbowała czytać mi w myślach. W końcu z ciężkim westchnieniem zgramoliła się ze mnie. Stała, spoglądając na mnie z góry.

– Przepraszam – odezwałem się.

– Nie ma o czym mówić.

Podniosła sweter i go założyła. Patrzyła teraz na mnie z nieskrywaną pogardą. Szybko zapiąłem jeansy, rozejrzałem się za T-shirtem. Zrobiło mi się przeraźliwie zimno, a co gorsza, zbierało mi się na wymioty.

– Gdzie ja położyłam ten telefon? – mruknęła do siebie, omiatając pokój wzrokiem.

Za oknem zawył autoalarm i ten hałas wyrwał mnie ze stanu bliskiego katatonii, w jakim się pogrążyłem. Przypatrywałem się Camelii. Miała w sobie coś znajomego, dostrzegałem to już w momencie, gdy się poznaliśmy.

– O co ci chodziło?

Zbyła moje pytanie wzruszeniem ramion.

– Byłaś tu już wcześniej? W moim mieszkaniu?

Przewróciła oczami.

– Danielu, masz paranoję. Oczywiście, że nigdy tu nie byłam.

Znalazła aparat, wsunęła go do kieszeni jeansów i skierowała się do drzwi. Na odchodnym odwróciła się do okna, za którym nie przestawał sypać śnieg.

– Pierdolony kraj – rzuciła, po czym zniknęła za drzwiami.

ROZDZIAŁ 30

Laura zwróciła uwagę na obserwującego ją faceta dopiero przy drugim okrążeniu parku. Kiedy popatrzyła w jego stronę, momentalnie przeniósł spojrzenie na przechodzącą obok kobietę z chartem na smyczy.

Czuła, że koniecznie musi wyjść z domu, zaczerpnąć świeżego powietrza. Siedzenie w czterech ścianach przytłaczało ją. Miała wrażenie, że coś nieustannie porusza się wewnątrz jej czaszki – jakby załęgły się tam setki młodych pajaków, których włochate nóżki łaskoczą ją po mózgu. Nie mogła usiedzieć spokojnie. W końcu wyszła do ogrodu, żeby poszukać Aliny, ale jej tam nie zastała. Od nocnej rozmowy w szpitalu duch ukazywał jej się jeszcze kilkakrotnie – widziała, jak coś migocze między ogołocnymi z liści drzewami. Jednak Alina odwiedzała ją tylko nocą.

Ścieżka w parku była nieźle odśnieżona, gdzieniegdzie, niczym miny lądowe, na ziemi czerniały plamy lodu. Laura widziała, jak idący przed nią spacerowicz poślizgnął się i runął na ścieżkę. Jego upadek wywołał salwy śmiechu wśród obrzucających się śnieżkami dzieciaków. Laura przystanęła i pomogła wstać mężczyźnie. Kiedy odchodziła, czuła na sobie jego spojrzenie.

Przy trzecim okrążeniu starała się na niego nie zerkać. Wyglądał na emeryta, mógł mieć sześćdziesiąt parę lat. Ale niewykluczone też, że był dobrze zakonserwowanym siedemdziesięciolatkiem. Barczysty, o zaróżowionych policzkach, miał na sobie wełniany płaszcz, czarną czapkę i rękawiczki. Ewidentnie obserwował ją, ale w podobny sposób jak ona jego – ukradkiem, udając, że tylko przypadkiem spogląda w jej stronę.

Udało jej się jeszcze raz niepostrzeżenie zerknąć na nieznanomego. Powietrze wokół niego zdawało się lekko drżeć, jakby wypromieniowywał

ciepło. I nagle zrozumiała, a ta myśl była niczym potężny cios w pierś. Mężczyzna ten nie był człowiekiem, lecz diabłem.

Kiedy weszła między drzewa, straciła go z oczu. Przystanęła i próbowała złapać oddech.

– Dobrze się pani czuje?

Zaskoczona uniosła wzrok. Ujrzała przed sobą młodą kobietę w czarnej wełnianej czapce. Ze spojrzenia nieznajomej wyczierała troska.

– Mówiła pani do siebie. Pomyślałam, że upewnię się, czy wszystko w porządku.

Miała obcy twardy akcent, chyba niemiecki, domyśliła się Laura. Rodowitemu londyńczykowi nigdy by do głowy nie przyszło pytać obcego człowieka, jak się czuje. Uznałby, że gadająca do siebie kobieta ma nierówno pod sufitem albo jest pijana, i ominąłby ją szerokim łukiem.

Przywołała do siebie gestem młodą Niemkę. Kobieta po chwili wahania podeszła na skraj gęstwiny, gdzie stała Laura.

– To diabeł – wyjaśniła Laura, wskazując siedzącego na ławce mężczyznę.

Niemka wytrzeszczyła na nią oczy.

Nikogo tam nie było.

– Może chciałaby pani do kogoś przedzwonić?

Laura nie zareagowała. Wpatrywała się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą siedział diabeł. Zakręciło jej się w głowie.

A co, jeśli ten facet to inny duch? Wczoraj, po drodze z Tate Modern do domu, po tym, jak poczuła, że nie wytrzyma dłużej towarzystwa Daniela, wydawało jej się, że widzi Beatrice – pierwszy raz od dwudziestu lat. Stała pod latarnią uliczną na zasypanym śniegiem chodniku. Na jej widok Laura stanęła jak wryta. Beatrice wydawała jej się bardzo nieszczęśliwa, spoglądała na nią oskarżycielsko. To był wzrok kogoś, kto czuje się zdradzony. Kiedy Laura spróbowała podejść bliżej, widziadło znikło.

Czy tak odtąd będzie wyglądało jej życie? Otworzyła drzwi percepcji i teraz będzie wszędzie widzieć duchy i demony? Stanie się magnesem przyciągającym istoty z innego wymiaru?

Wyszła spomiędzy drzew, zostawiając za sobą zdumioną Niemkę, i skierowała się pospiesznie ku parkowej bramie. Chciała jak najszybciej znaleźć się w zaciszu czterech ścian, nim inne duchy zaczną jej szukać.



Kiedy otworzyła drzwi domu Erin i Roba, dobiegło ją wołanie gospodyni:

– Rob, to ty?

– Nie, Laura.

Weszła do kuchni i od razu poszukała spojrzeniem okna. Zerknęła ponad ramieniem przyjaciółki na drzewa, licząc, że dojrzy tam czekającą Alinę. Mogłaby opowiedzieć jej o diable spotkanym w parku. Dopiero po chwili zwróciła uwagę na dziwne zachowanie Erin – kobieta krążyła po kuchni, maszerując wzdłuż stołu. Sapała przy tym energicznie jak dwulatka usiłująca zdmuchnąć świeczki na urodzinowym torcie. Laura najchętniej położyłaby się już teraz do łóżka i zaczęła, aż po zmroku będzie mogła porozmawiać z Aliną. Przykryłaby się po samą głowę, odcinając się od całego świata.

– Zaczęło się, będę rodzić – oświadczyła Erin. – Próbowałam się dodzwonić do Roba, ale nie odbiera. – Jęknęła. – Kurwa mać, wiedziałam, że ten dzieciak się pospieszy.

Laura słyszała przyjaciółkę, ale jej słowa zdawały się napływać z bardzo daleka.

– Laura? Ocknij się! Dociera do ciebie to, co mówię?

– Ja... – Laura starała się zachować spokój. – Dzwoniłaś do szpitala? Przyślą karetkę?

Erin roześmiała się ponuro. Ale kolejny skurcz zdławił śmiech.

– Au. Nie, to tak nie działa. Karetkę przysyłają tylko w nagłych wypadkach...

– A to nie jest nagły wypadek?

– Na razie nie. O cholera. Czekałam na Roba, bardzo zależało mu, żeby zawieźć mnie do szpitala. Ale nie mogę już dłużej zwlekać. Próbowałam

wezwać taksówkę i usłyszałam, że będzie trzeba czekać godzinę z powodu niesprzyjającej pogody. – Wykrzywiła usta, wypuściła wstrzymywane w płucach powietrze. – Ty pewnie nie masz ochoty odebrać porodu, co?

– Nie! Chryste, tylko nie to!

Erin przyjrzała jej się z zaciekawieniem.

– Powinnaś zobaczyć swoją minę. Nie przejmuj się... wystarczy, że zawiesz mnie do szpitala.

– Ale... ja nie mam samochodu. – Wydawało jej się w tej chwili, jakby na jej głowę opadały całą chmurą czarne ptaki. Atakowały ją z wielką szybkością, ich skrzek zagłuszał słowa przyjaciółki.

– Trudno – odparła Erin, zdejmując kluczyki z haczyka na ścianie. – Weźmiemy mój.

Laura wpatrywała się w nią w milczeniu.

– Pospiesz się. Moja torba jest w przedpokoju.

Ona jednak nadal tkwiła w miejscu.

– Na miłość boską, Lauro! Jeśli się nie ruszymy, będziesz musiała samodzielnie odebrać poród.

Erin wypchnęła ją przed dom. Przednie i tylne okna volkswagena golfa zasypał śnieg. Na szczęście ulica była odśnieżona. Erin wręczyła przyjaciółce skrobaczkę i pojemnik z odmrażaczem do szyb, a sama schowała się do auta. Pracownicy oczyszczając szyby, Laura starała się ignorować czarne ptaszyska tłukące skrzydłami wewnątrz jej czaszki. Powtarzała sobie: „Tylko spokojnie, nie panikuj”. Przekonywała się w myśli, że ptaki są wytworem jej umysłu. Tymczasem to, co robiła teraz, było realne – musiała pomóc przyjaciółce i jej nienarodzonemu dziecku. Szkopuł w tym, że od ponad roku nie siedziała za kółkiem. A można się było spodziewać, że na ulicach będzie ślizgawka. Niebo znów pociemniało, jakby ktoś narzucił na słońce tetrową pieluchę, i zaczął prószyć śnieg.

A jeśli spowoduje wypadek? Co, jeśli z jej winy zginie Erin, albo co gorsze – jej dzieciątko? Przypomniała sobie znów o swoim łóżku, przytulnej ciemności, w której mogłaby się chować. To tam chciałyby, powinna, teraz być.

Otworzyła drzwi golfa z zamiarem wyjaśnienia przyjaciółce, że nie jest w stanie jej pomóc. Erin leżała na tyle, jej twarz zaś wykrzywił grymas bólu. Na iPadzie mierzyła odstępy między skurczami.

– Nie mogę... – zaczęła Laura.

Erin utkwiała w niej gniewne spojrzenie.

– Po prostu, kurwa, jedź.

Laura usiadła za kierownicą i uruchomiła silnik.

ROZDZIAŁ 31

„Wczoraj o godzinie 22.15 urodził się Oscar James Tranham, ważący 3,7 kilograma. Erin spisała się na medal. Oscarek jest niesamowity!” – wiadomość od Roba opatrzona była zdjęciem noworodka o różowej twarzyczce. Maluch leżał w łóżeczku z przezroczystego plastiku, na głowie miał zrobioną na szydełku białą czapczkę. Kilka sekund później nadeszła kolejna wiadomość: „Stary, Laura stanęła na wysokości zadania. Zawiozła Erin do szpitala podczas śnieżycy. Zdążyła w ostatnim momencie”.

Wyglądało na to, że podczas gdy ja niemal uprawiałem seks z Rumunką, Laura była na oddziale położniczym, dotrzymując towarzystwa rodzącej przyjaciółce. Ta myśl przyprawiła mnie o poczucie winy. Co ja sobie wyobrażałem?

Jednak nad wstydem dominowała inna emocja: strach. W głowie wciąż kołatały mi się napastliwe pytania Camellii, jej namowy, bym zwierzył jej się ze swoich najskrytszych sekretów. Czy był to z jej strony tylko rodzaj gry wstępnej, czy też kryło się za tym coś więcej? A jeśli to drugie, to jakie właściwie informacje chciała ode mnie wyciągnąć?

Camelia była Rumunką. Czy mogła wiedzieć o tym, co wydarzyło się w lesie?

Czy właśnie tego chciała się dowiedzieć?

Tak bardzo pragnąłem, by jej słowa stanowiły tylko część seksualnej zabawy, zwykłe świntuszenie. A także by fakt, że pochodziła z Rumunii, był jedynie zbiegiem okoliczności. Zaraz po tym, jak sobie poszła, sprawdziłem nagranie z monitoringu, na którym widać było włamywaczy z psem. Bacznie studiowałem sylwetkę włamywaczki: szczupła, małe piersi, kosmyk blond włosów widoczny spod kaptura. Im dłużej

wpatrywałem się w nagranie, zestawiając je ze wspomnieniem naszych igraszek, tym mniej miałem wątpliwości.

Camelia to kobieta z nagrania. A to znaczyło, że prawdopodobnie była pośród włamywaczy, którzy wcześniej skradli, a potem zwrócili mojego laptopa. Zacząłem krążyć po mieszkaniu, próbując poukładać to sobie w głowie. Zapewne śledziła mnie, kiedy wybrałem się na koncert Jake'a. I tam, z jakiegoś powodu, próbowała mnie uwieść. Potem celowo upuściła telefon w nadziei, że zabiorę go do domu. Nie przewidziała tylko, że wyłączę aparat. To by tłumaczyło również, dlaczego nie pamiętałem momentu, w którym na nowo go włączyłem – ponieważ zrobiła to ona, gdy przysłała do mojego mieszkania z psem.

Zrobiło mi się zimno, czułem się wstrząśnięty. Ale właściwie po co mnie śledziła? Czemu miało służyć włamanie? Czyżby próbowała mnie zabić? Czy miało to związek z tym, co wydarzyło się w Rumunii? A jeśli tak, to jaki?

Nagle poczułem się trzeźwy – tak trzeźwy, jakbym przez całe życie nie wziął do ust ani kropli alkoholu. Nadal czułem dotyk ciała Camelii, w ustach pozostał mi jej smak. Ale kim właściwie była ta kobieta? I czego, do cholery, ode mnie chciała?



Następnego ranka wybrałem się na długi spacer. Do domu wracałem autobusem. Na górnym poziomie siedział facet mniej więcej w moim wieku z trójką rozdokazywanych dzieciaków. Ilekroć udawało mu się spacyfikować jednego, inny zeskakiwał z fotela i pędził po autobusie, wydzierając się wniebogłosy, albo zaczynał bębnić pięściami w okno. Zarejestrowałem moment, w którym mężczyzna się poddał – zapatrzył się w swój telefon, pozwalając, by dzieciaki robiły, na co im przyjdzie ochota. Udawał, że nie ma z nimi nic wspólnego, i pewnie zastanawiał się, jak mógł dopuścić, by jego życie zamieniło się w taką katastrofę. Świetnie go rozumiałem, tyle że w moim przypadku zamiast dzieci były problemy, z którymi nie mogłem sobie poradzić. Kiedy już wydawało mi się, że znalazłem rozwiązanie jednego, kolejny – Jake, Laura, włamania, Camelia – wrzaskiem domagał się mojej uwagi. Byłem jak ten tata w autobusie –

pragnąłem tylko wpatrywać się bezmyślnie w coś niemającego związku z moimi problemami, ukryć się przed nimi, wyłączyć myślenie.

Jakoś jednak, wielkim nakładem sił, udawało mi się skoncentrować. Przypomniała mi się metoda, którą Laura stosowała, gdy czuła się przytłoczona nadmiarem pracy. Spisywała wszystkie swoje problemy na kartce, wywlekała je wszystkie na światło dzienne. Potem tworzyła z nich listę priorytetów, zwracając uwagę na konsekwencje, z jakimi będzie się zmagać, jeśli nie rozwiąże danego problemu. Była to dość popularna technika, ja jednak rzadko z niej korzystałem. Teraz nadarzała się idealna okazja, by ją zastosować.

Ponieważ nie miałem przy sobie papieru, sporządziłem listę w telefonie. Otworzyłem aplikację i pozwoliłem, by strumień świadomości dyktował mi słowa:

Laura odeszła, szaleństwo, duchy, chcę, żeby wróciła.

Jake – samobójstwo?

Kim jest Camelia? Czego chce?

Zdrowie, sen, alkohol. Zespół stresu pourazowego.

I tyle. Wszystkie moje bolączki mieszczące się na ekranie telefonu. Kiedy studiowałem listę, przyszło mi do głowy, że równie dobrze mógłbym zapisać ją w inny sposób, w formie mapy myśli. Wówczas centralne miejsce zajęłby okrąg symbolizujący Rumunię, od niego natomiast promieniście ciągnęłyby się linie wiodące do konkretnych problemów. Jeśli uznać, że śmierć Jake'a bezpośrednio po tym, jak opowiedziałem mu o swoich doświadczeniach, nie była zbiegiem okoliczności, to okazywało się, że wszystkie wydarzenia miały jakiś związek z tamtą nocą w lesie.

Na myśl o tym, że ktoś zepchnął mojego przyjaciela z mostu, zacisnąłem z wściekłości pięści. Mój wyraz twarzy zdradzał chyba, co się ze mną dzieje, bo jeden z rozbestwionych przedszkolaków spojrzął na mnie i z płaczem popędził do taty, mówiąc coś o „straszonym panu”.

Odkąd wróciliśmy z Rumunii, byłem bierną ofiarą – pozwalałem, by przytrafiały mi się różne nieprzyjemne rzeczy. Nawet moje próby zdobycia na powrót względów Laury były nieudolne. Jasne, zainstalowałem kamerę, ale w gruncie rzeczy przysporzyłem tym sobie tylko pytań.

Nadeszła pora, by coś zmienić. Czas przejąć inicjatywę. Musiałem odkryć, co właściwie działo się wokół mnie. Jak jednak powinienem się do tego zabrać? Po namyśle uznałem, że w pierwszej kolejności muszę odszukać Camelię. Na razie nie miałem pojęcia, jak tego dokonać. Zdawałem sobie jednak sprawę, że jeśli zdołam ją namierzyć, być może uda mi się zmusić ją do wyśpiewania wszystkiego, co wie. Na pewno istnieje sposób, by odnaleźć tę dziewczynę. Szkopuł w tym, że praktycznie niczego nie wiedziałem na jej temat: nie znałem jej nazwiska, adresu zamieszkania, nie wiedziałem nawet, czym się zajmuje. Co mi pozostawało? Przecież nie będę chodzić po Londynie, rozpytuując przypadkowych ludzi o Rumunkę.

Teoretycznie mógłbym poczekać na jej następny ruch. Byłem pewien, że Camelia nie odpuści. Ale to mnie nie urzędało. Potrzebowałem zrobić coś, co da mi przewagę.



Przed moim domem znowu buszował lis. Zwierzak w swoim stylu dobierał się do worka ze śmieciami, który jeden z moich sąsiadów kolejny raz lekkomyślnie zostawił na chodniku. Lisek pod osłoną nocy zakradł się pod budynek i zdołał już wyciągnąć z worka opakowanie z KFC. Chodnik przy bramie udekorowany był kośćmi kurczaka i na wpół przeżutą gotowaną kukurydzą. Rozeźlony na bałagan, krzyknąłem głośno: „Hej!”, i ruszyłem na niego. Ścigałem lisa, dopóki nie dał susa do ogrodu, a po chwili zniknął za innym budynkiem.

W mieszkaniu od razu odpaliłem laptopa i włączyłem Google’a.

Wpisałem: „prywatny detektyw Londyn”. Wyszukiwarka zwróciła ponad milion wyników, ale oczywiście ich przeważająca część nie miała żadnej wartości. Zacząłem przeglądać wyszukane witryny. Większość firm świadczących usługi detektywistyczne specjalizowała się w tropieniu niewiernych małżonków, zdobywaniu informacji o pracownikach czy też namierzaniu dłużników. Generalnie, niewesołe sprawy. Zależało mi na znalezieniu kogoś, kto miałby doświadczenie w wyszukiwaniu ludzi. Strony, na które wchodziłem, wyglądały, jakby zostały zaprojektowane pod koniec dwudziestego wieku. Czuję, jak moja determinacja słabnie. Mógłbym rzecz jasna wybrać kogoś na chybił trafił, licząc, że znajdę w ten

sposób specjalistę znającego się na swojej robocie. Coś mi jednak mówiło, że musi istnieć lepszy sposób wyszukania odpowiedniej osoby, zwłaszcza że zależało mi na szybkim wytropieniu Camelii.

Zmieniłem taktykę – ustawiłem kryteria wyszukiwania w taki sposób, że pokazywały wyłącznie artykuły prasowe ze słowami kluczowymi „prywatny detektyw Londyn zaginięcie”. Chciałem natrafić na artykuł, w którym padałoby nazwisko detektywa, który z powodzeniem odszukał zaginioną osobę. I znowu – większość wyników była zupełnie nieprzydatna. Jednak po odwiedzeniu kilkunastu stron znalazłem artykuł z lata tego roku, a więc z okresu, gdy Laura i ja wybraliśmy się w naszą wielką podróż po Europie.

Wczytałem się w tekst artykułu. Poszukiwana była młodą kobietą z Europy Wschodniej, konkretnie Białorusinką. Zaginięcie na policję zgłosił jej pracodawca. Jej późniejsze losy ustalił prywatny detektyw z dzielnicy Kentish Town, niedaleko miejsca mojego zamieszkania. To była mroczna historia, rozgrywająca się w środowisku londyńskich imigrantów. W tle była praca na czarno i zachowania seksualne ocierające się o gwałt. Detektyw odkrył prawdę kryjącą się za zniknięciem Białorusinki, po czym o swoich ustaleniach poinformował policję, która podjęła dochodzenie. Nazywał się Edward Rooney. Jego witryna internetowa była prosta – pojedyncza strona, na której znalazły się podstawowe informacje na jego temat, utrzymane w bardzo pochlebnym tonie referencje oraz formularz kontaktowy.

Szybko skorzystałem z formularza i wcisnąłem „wyślij”. Spieszyłem się – coś podpowiadało mi, że jeśli będę zwlekał, zmienię zdanie.

ROZDZIAŁ 32

Biuro Edwarda Rooneya mieściło się na drugim piętrze budynku w bocznej uliczce Kentish Town. Budynek o ścianach, które zapewne niegdyś były białe, stał w dość obskurnej uliczce, w którą jednakże zaczynali inwestować deweloperzy. Zdradzało to chociażby symboliczne sąsiedztwo punktu przyjmowania zakładów bukmacherskich i modnej kawiarni. Ulice i chodniki odśnieżono, temperatura powietrza podniosła się, na dziś zapowiadano deszcz. Było jasne, że przy takiej aurze do końca dnia śnieg zniknie bez śladu.

Dom Erin i Roba znajdował się dziesięć minut marszu stąd. Z profilu Roba na Facebooku wiedziałem, że młodzi rodzice wrócili już ze szpitala do domu. Rob oczywiście nie omieszkał wrzucić do internetu kilkunastu zdjęć małego Oscara i wykończonej, lecz szczęśliwej Erin. Na jednym ze zdjęć była Laura z noworodkiem na rękach. Odniosłem wrażenie, że jej uśmiech podszyty jest smutkiem. Gdyby wszystko przebiegło po naszej myśli, teraz to Laura byłaby w zaawansowanej ciąży. Weekendy upływałyby nam na poszukiwaniu wózków i urządzaniu pokoiku dziecięcego.

Kiedy dzwoniłem do drzwi biura detektywa Rooneya, nadal nie mogłem pozbyć się tych myśli. Może powinienem wpaść do nich z wizytą? W końcu mają w domu noworodka, to świetny pretekst, żeby do nich zajrzeć. Jasne, chciałem poznać małego Oscara i powinszować dumnym rodzicom. Ale przede wszystkim zależało mi na spotkaniu z Laurą. Nie miałem z nią kontaktu, odkąd zgubiliśmy się w galerii. Wcześniej postanowiłem, że nie będę jej się narzucał. Planowałem najpierw znaleźć odpowiedzi na nurtujące mnie pytania i dopiero wtedy spróbować zdobyć ją

na nowo. Tyle że jeśli chodzi o Laurę, to byłem od niej uzależniony. Tęsknota za nią była silniejsza ode mnie.

Drzwi otworzyły się i znalazłem się na ciasnej klatce schodowej, cuchnącej pleśnią i dymem kopconych całymi latami papierosów. Na piętrze, w drzwiach biura, czekała na mnie młoda kobieta o wyglądzie punkówki. Kojarzyła mi się trochę z Aliną – ubierała się w podobnym stylu i chyba była równie drażliwa. Tym, co różniło ją od znajomej z Rumunii, był fakt, że nadal żyła.

– Nazywam się Sophie Carpenter, jestem sekretarką Edwarda – przedstawiła się, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów. – Pan Rooney w tej chwili spotyka się z klientem. Ale może pan poczekać w środku.

Zostałem posadzony na niezbyt wygodnym krześle. Sophie spytała, czy napiję się kawy. Kiedy odmówiłem, odparła „no dobra” i usiadła przy komputerze. Jedną ręką podparła brodę, drugą stukwała leniwie na klawiaturze, do czego służył jej jeden długi pokryty czarnym lakierem paznokieć. Mimo woli zerkąłem co chwilę na jej skórzane, dość prowokacyjne buty. W miarę jak pisała, stukwała jednym z nich w podłogę, jakby odmierzała czas.

Zacząłem się już wiercić na krześle. Minęło dziesięć minut. Musiałem skorzystać z toalety i spytałem Sophie, czy jest taka możliwość. Kiedy wróciłem, mężczyzna, zapewne Rooney, żegnał się z jakimś innym facetem. Domyśliłem się, że to klient, o którym wspominała sekretarka. Widziałem tylko jego plecy i siwe włosy.

Kiedy siwy mężczyzna zniknął za drzwiami, Edward Rooney zwrócił się do mnie:

– Daniel Sullivan?

Następnie sam się przedstawił. Miał pewnie czterdziestkę na karku – w czarnej czuprynie srebrzyły się już siwe włosy, miał wory pod oczami. Mierzył na oko ponad metr osiemdziesiąt. Jego garnitur, niegdyś zapewne całkiem szykowny, był powypychany na kolanach i łokciach.

– Sophie, poczęstowałaś pana Sullivana kawą?

– Poczęstowałam – odparła sekretarka, nie odrywając wzroku od ekranu.
– Nie chciał.

– A herbatą? Spytałaś, czy napije się herbaty?

Kobieta przewróciła oczami.

– Nic nie szkodzi – pospieszyłem z pomocą. – Nie chce mi się pić. Zależy mi tylko na pańskiej pomocy.

Detektyw skinął poważnie głową i gestem zaprosił mnie do gabinetu. Usiedliśmy po obu stronach biurka i dopiero wtedy miałem chwilę, żeby rozejrzeć się po ciasnym wnętrzu. Parapet maleńkiego okna najeżony był kolcami odstraszaćymi gołębiami. Na biurku detektywa piętrzyły się stosy jakichś papierzysk. Rooney wyciągnął spod nich laptop i otworzył go.

– Po naszej wczorajszej rozmowie poszukałem informacji o panu w internecie – zaczął. – Zajmuje się pan tworzeniem aplikacji mobilnych.

Nie miałem ochoty na gry wstępne.

– Chciałbym, żeby odszukał pan dla mnie pewną osobę.

Mężczyzna zerknął na mnie znad laptopa, po czym odsunął go i sięgnął po notatnik.

– Zamierzałem poczęstować pana moją zwyczajową przemową wstępną. Ale widzę, że panu się spieszy. Proszę opowiedzieć mi wszystko od początku.

– Nie wiem, czy mi się uda – westchnąłem. – Czy to konieczne? Może wystarczy, że powiem panu, co wiem o interesującej mnie osobie, a pan jej poszuka?

– Panie Sullivan...

– Proszę mówić mi Daniel.

– Danielu, im więcej informacji przekażesz mi na temat tej osoby, tym bardziej prawdopodobne, że ją znajdę.

Nawet jeżeli Camelia miała związek z tym, co spotkało Laurę i mnie w Rumunii, nie było chyba konieczności, bym wspominał Rooneyowi o tamtych wypadkach. W jaki sposób taka wiedza miałaby mu pomóc? Pewnie tylko niepotrzebnie zaciemniłbym ogląd sytuacji.

– Kobieta, której szukam, ma na imię Camelia. Pochodzi z Rumunii, ma dwadzieścia kilka lat, może trochę więcej. Blondynka, bardzo atrakcyjna. Posługuje się nienaganną angielszczyzną, twierdzi, że w Londynie mieszka

od paru lat. Używa smartfona firmy Blackberry. Ma tatuaż, sztuczne paznokcie. Na lewej ręce nosi ciężkie srebrne pierścienie.

Rooney uniósł wzrok znad notatnika.

– To wszystko?

– Tak. Poznałem ją w pubie, na koncercie i...

– Chwileczkę. Naprawdę muszę wiedzieć, po co jej szukasz.

– Ale dlaczego?

– Danielu, przyjmuję wyłącznie zlecenia, co do których nie zachodzi obawa, że zleceniodawca może skrzywdzić poszukiwaną osobę. Wiedza taka jest mi niezbędna do ustalenia, czy w danej sytuacji mogą zachodzić również inne prawne konsekwencje. Przychodzili do mnie mężczyźni, którzy prosili, bym szukał ich byłych żon. A potem okazywało się, że kobiety uciekały od nich, bo były bite. Kiedy indziej o pomoc zwracali się do mnie gangsterzy liczący, że pomogę im wytropić zbiegłe ofiary handlu ludźmi. Nie biorę spraw tego rodzaju.

– Nie zamierzam w żaden sposób skrzywdzić tej kobiety. Zależy mi na powstrzymaniu jej przed wyrządzeniem krzywdy mnie.

– W porządku. W takim razie proszę, mów dalej. Poznałeś ją w pubie...

Wyglądało na to, że nie obejdzie się bez podzielenia się z nim przynajmniej niektórymi informacjami. Przez następne piętnaście minut przywołałem wydarzenia ostatniego tygodnia, rozpoczynając od włamania. Gdy relacjonowałem moje przedwczorajsze spotkanie z Camelią, mimo woli spiekłem raka.

– Dopytywała się, czy mam na sumieniu coś niezgodnego z prawem. Kiedy nic nie przychodziło mi do głowy, wkurzyła się i sobie poszła.

– Domyślasz się może, o jaki konkretnie występek mogło jej chodzić?

– Nie mam pojęcia.

Detektyw odłożył długopis.

– Danielu, posłuchaj. Jeśli ustalimy dokładnie charakter łączącej was relacji, łatwiej będzie mi odnaleźć Camelię. Jesteś pewien, że nie wiesz, do czego mogła pić, wpytując cię o występki?

Musiałem się zastanowić. Owszem, naprawdę nie wiedziałem, co właściwie chciała usłyszeć ode mnie Camelia; prawdę mówiąc, nadal podejrzewałem, że chodziło jej po prostu o świntuszenie. Jedynym, co mogło nas ewentualnie łączyć, była nasza rumuńska przygoda. Ale na ten temat nie miałem ochoty rozmawiać z facetem, którego dopiero przed chwilą poznałem. O tym, co wydarzyło się w lesie, nie byłem przecież w stanie opowiedzieć nawet swojej terapeutce. Jedyną osobą, przed którą umiałem się otworzyć, a i to nie bez długiej wewnętrznej walki, był Jake. Zanim jednak doznałem końca opowieści, umarł. Na wspomnienie śmierci przyjaciela oczy zapiekły mnie od wstrzymywanych łez. Kiedy uniosłem wzrok, zobaczyłem, że detektyw przypatruje mi się z zaciekawieniem.

– Naprawdę nie wiem.

Mężczyzna nachylił się nad biurkiem, łokciami wspierając się na stosie papierów.

– Przykro mi, ale ci nie wierzę.

– Co takiego?

Odchyliwszy się na oparcie fotela, powiedział:

– Nie mogę przyjąć tego zlecenia, Danielu. Wziąłbym je tylko pod warunkiem, że byłbyś ze mną całkowicie szczery. W tej sytuacji nie widzę możliwości współpracy. Możesz iść, nic u mnie nie wskórasz.

Ze zdumienia otworzyłem usta, ale zaraz je zamknąłem, domyślając się, że wyglądam jak ryba wyrzucona na brzeg. Jakiś głos w mojej głowie krzychał: Powiedz mu, po prostu powiedz mu o wszystkim!. Jednak nie byłem w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Frustrację samym sobą postanowiłem wyładować na Edwardzie Rooneyu. Na świecie nie brakowało prywatnych detektywów, w Londynie działały ich setki. Bez trudu znajdę takiego, który nie będzie taki wścibski, a po prostu weźmie pieniądze i zrobi to, o co go proszę.

– W porządku – powiedziałem, wstając. – Znajdę kogoś innego.

– Powodzenia.

Otworzyłem drzwi i wyszedłem do poczekalni. Sophie obróciła się na fotelu, zapiszczały kółka fotela. Na widok mojej wścibskiej miny spytała:

– Wszystko w porządku?

– Nie. Pani szef to du...

Wtem drzwi do biura otworzyły się z impetem. Mężczyzna, który stanął w nich, na głowie miał kominiarkę. Inne szczegóły odtwarzałem sobie dopiero po fakcie: w ręce ściskał butelkę w trzech czwartych napełnioną jakąś przezroczystą cieczą. Z szyjki butelki wystawał koniec wciśniętej szmaty. W drugiej ręce trzymał zapalniczkę.

ROZDZIAŁ 33

– Na ziemię! – zawołałem, doskakując do Sophie i ściągając ją z fotela.

W tym samym momencie napastnik cisnął podpaloną już butelkę, a sam błyskawicznie wycofał się na klatkę schodową, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Flaszka z hukiem roztrzaskała się na środku pomieszczenia.

Razem z sekretarką leżeliśmy na podłodze, chroniąc się za wysoką szafą na dokumenty stojącą przy biurku. Po chwili odważyłem się wyjrzeć zza szafy: na środku niewielkiego pomieszczenia szalały płomienie. Zaliczyłem wystarczająco dużo gier wideo w życiu, bym umiał rozpoznać koktajl Mołotowa. W ciągu paru sekund wewnątrz poczekalni wypełniły ogień i gęsty czarny dym. Prawie nie dało się otworzyć oczu ani oddychać. Niemal oślepiony, spazmatycznie kaszląc, starałem się zorientować w sytuacji. Drzwi wejściowe znajdowały się zaledwie około trzech metrów dalej, przy czym oddzielało nas od nich biurko. Przypomniałem sobie, że biurko musiało być odkryte u dołu – w przeciwnym razie, stojąc przed nim, nie mógłbym widzieć nabijanych świekami, sięgających kolan czarnych butów Sophie. Doszedłem do wniosku, że najszybszą i najmniej niebezpieczną drogę do drzwi zapewniałoby przejście pod nim. Mrużąc oczy, widziałem, że ogień rozprzestrzenia się w zastraszającym tempie – płomienie obejmowały już dwuosobową sofę i regał z książkami, zaczynały też lizać brzegi biurka. Żar był nie do opisania. Miałem wrażenie, jakby moje wnętrzności skwierczały. Było jasne, że musimy się stąd wydostać. I to już.

– Szybko – rzuciłem, wyciągając Sophie zza szafy na dokumenty. – Przejdź pod biurkiem.

Kaszląc i zasłaniając ramieniem twarz przed żarem, kobieta ruszyła na czworakach przed siebie, niczym pies poruszający się na trzech łapach. Już

po chwili zniknęła pod biurkiem. Mimo że na tym etapie niewiele już widziałem, ruszyłem jej śladem. Kiedy znalazłem się pod meblem, było tam gorąco jak w piecu hutniczym. Pomyślałem wtedy: To koniec. Zaraz umrę. Ale chwilę potem wygramoliłem się na drugą stronę i zobaczyłem, że drzwi stoją otworem. Słysząc było jakieś krzyki. Ktoś najpierw wywlóknął z płonącego wnętrza Sophie, a potem mnie.

Upadłem na wykładzinę na klatce schodowej. Wokół nas zebrał się już tłum pokrzykujących i żywo gestykulujących ludzi. Popatrzyłem z powrotem w stronę biura i po chwili ujrzałem ludzką sylwetkę na tle ściany dymu. Edward stał w drzwiach swojego gabinetu i mocował się z gaśnicą, która najwidoczniej nie działała. Drogę odcinał mu ogień sięgający już biurka i teraz trawił leżące obok komputera papiery. Przybywało pracowników z innych biur w budynku. Sophie, z trudem łapiąc oddech, leżała obok mnie na podłodze.

– Czy tam jest jakieś inne wyjście? – wychrypiałem. Gardło miałem poparzone, oczy mnie piekły. Jedyne okno, jakie widziałem, znajdowało się w biurze Edwarda i było maleńkie.

– Zadzwoń! – straż pożarna – oznajmiła ciemnoskóra kobieta, sprawiająca wrażenie kompetentnej. Do Edwarda zaś zawołała: – Proszę cofnąć się do gabinetu i zamknąć drzwi. Niech pan uszczelni je czymś u dołu, byle nie papierem!

Edward przez chwilę wpatrywał się w nas przez ścianę ognia. W końcu wrócił do gabinetu i zatrzęsął za sobą drzwi.

– Kto to był, do kurwy nędzy? – spytała Sophie, siadając na posadzce. Głos miała zachrypnięty, a oczy zaczerwienione i załzawione.

Spojrzenia wszystkich na korytarzu utkwione były w nas. Kiedy wstałem, ze zdziwieniem stwierdziłem, że czuję się nieźle. Niepokoiłem się o Edwarda uwięzionego w swoim gabinecie, podczas gdy ogień napierał na drzwi. Liczyłem, że zdołał uszczelnić czymś szparę pod nimi i powstrzymać wciskający się każdym otworem dym. W głowie kołatała mi się przez cały czas jedna myśl: czy to ja byłem winny temu, co się stało? Prywatny detektyw naraża się wielu ludziom, taki urok tej pracy. Edward mógł zaleźć za skórę na przykład mężom, których niewierność zdemaskował. Pracownikom przyłapanym na gorącym uczynku podczas

okradania szefa. Lecz to ja w ostatnim czasie zdawałem się dosłownie przyciągać tragedie...

Zło z tamtego domu... Przyszło tu za nami.

...wniosek sam się narzucał: atak sprzed chwili miał związek ze mną. Ktoś próbował powstrzymać mnie przed podzieleniem się swoją historią z Edwardem.

Ale kto? Camelia? Nie, człowiek, który rzucił koktajlem Mołotowa, był zdecydowanie facetem. Może zatem partner Camelii z nagrania monitoringu w moim mieszkaniu. Zakładając, rzecz jasna, że faktycznie była jednym z zamaskowanych włamywaczy. Siedząca obok mnie Sophie łąkała, czarny tusz do rzęs spływał jej po twarzy. Mimo że z płonącego lokalu buchał niemożliwy żar, zacząłem dygotać z zimna i założyłem ramiona na piersi, żeby się rozgrzać.

Wkrótce usłyszeliśmy syreny, a chwilę potem na miejscu zjawiała się kilkosobowa ekipa straży pożarnej. Zostaliśmy wyprowadzeni z budynku. Stojąc na ulicy, obserwowałem ich przy pracy. Na miejsce przybyły też radiowóz policyjny i karetka pogotowia, do której zabrano Sophie, by podać jej tlen. Ja czułem się całkiem nieźle, nie nałykałem się tyle dymu co ona. Boże, proszę, modliłem się w myślach. Nie pozwól, by coś złego spotkało Edwarda. Nie mogę mieć śmierci kolejnego człowieka na sumieniu. Proszę.

Moje modlitwy zostały wysłuchane. Już po chwili ujrzałem, jak detektyw jest wyprowadzany z budynku przez jednego ze strażaków. Podszedłem szybko do miejsca, w którym Rooney przysiadł na niskim murku.

– Nic mi nie jest. – Zbył machnięciem ręką moją troskę. – Ogień nie strawił drzwi. Szparę zatkałem ręcznikiem, który miałem w torbie na siłownię, dzięki czemu do środka nie dostawał się dym. – Posępniejąc, dodał: – Kto, do cholery, puścił z dymem moje biuro, to mnie teraz interesuje.

Obrzucił mnie takim spojrzeniem, jakbym znał odpowiedź.

Całą naszą trójkę przewieziono następnie do pobliskiego szpitala i zbadano. Uniknęliśmy na szczęście oparzeń. Co prawda dokuczała mi płytkość oddechu, ale lekarz uznał, że mogę iść do domu. Sophie natomiast

lekarze chcieli zatrzymać na obserwację. Po wyjściu z sali, w której byłem badany, zobaczyłem Edwarda. Stał nieopodal, pogrążony w rozmowie z policjantem. Kiedy funkcjonariusz się oddalił, Rooney zauważył mnie i podszedł.

– Policja domyśla się, kim jest sprawca? – spytałem.

– Nie. Pytali mnie, czy mam jakieś podejrzenia. Wzywają mnie jutro na przesłuchanie. – Potarł twarz. – Pracuję w tym fachu piętnaście lat, pierwszy raz spotyka mnie coś takiego. Raz nasłuchiłem się obelg przez telefon i kobieta, którą przyłapałem na bzykaniu się z instruktorem jogi, wysmarowała mi drzwi biura psim gównem.

– Może napastnik chciał zaszkodzić nie tobie, ale mnie.

Rooney przyjrzał mi się uważnie.

– Danielu, musimy pogadać. Jeśli zamachowiec chciał cię zabić albo powstrzymać przed rozmową ze mną, teraz to również mój problem. Sophie mogła zginąć. Ja zresztą też. Nie wspomnę o opłakanym stanie, w jakim teraz jest moje biuro, ani o fakcie, że wszyscy pracownicy w budynku boją się teraz o swoje życie.

Skinąłem milcząco głową.

– Pójdę pożegnać się z Sophie, spytam, czy czegoś potrzebuje. A potem możemy się stąd zwijać – wyjaśnił detektyw. Oblizawszy usta, dodał: – Nie wiem jak ty, ale ja muszę się napić.



Taksówka zawiozła nas do pubu Lord Palmerston niedaleko Dartmouth Park. Było popołudnie, środek tygodnia, i lokal świecił pustkami. Paru zawodowych pijaczków okupowało bar, szyby w oknach były zaparowane. Edward zaprowadził mnie do stolika w rogu i przyniósł dwa kufle pełnego jasnego. Z kieszeni wyciągnął notes.

– Musisz opowiedzieć mi wszystko od początku do końca – stwierdził. – Chcę wiedzieć, co to za ludzie, z którymi się zaadałeś. Jeśli mi nie powiesz, będę zmuszony poinformować o całej sprawie policję.

– W porządku, opowiem.

Upiłem spory łyk, żeby ukoić piekące gardło.

– No to słucham.

Zacząłem od pierwszego podejrzanego incydentu w Londynie: sytuacji, gdy ktoś być może próbował wepchnąć Laurę pod nadjeżdżający pociąg.

– Laura to moja dziewczyna. To znaczy była dziewczyna. Twierdzi, że się potknęła, więc możliwe, że to bez znaczenia.

– Możliwe – przyznał Edward, notując coś na kartce.

– Pierwszą konkretną rzeczą, jaka mi się przydarzyła, było włamanie do mojego mieszkania.

Następnie przytoczyłem mu wszystkie kluczowe wydarzenia od tamtej pory: poznanie Camelii na koncercie Jake’a, oszustwo bankowe z użyciem mojej karty, zwrot laptopa, śmierć doktor Sauvage, choć akurat ta tragedia wydawała mi się teraz bez związku z innymi incydentami, ktoś obserwujący Laurę w Camden, skądinąd niedaleko miejsca, w którym obecnie się znajdowaliśmy. Opowiedziałem też o psie i śmierci Jake’a, zaklasyfikowanej przez policję jako samobójstwo.

Nie wspominałem, na razie, o duchach widywanych przez Laurę ani o znikających zdjęciach. Wolałem uniknąć sytuacji, gdy detektyw zacznie podejrzewać, że Laura albo ja mamy nierówno pod sufitem.

– W mieszkaniu zamontowałem kamerę – poinformowałem. – Uruchamia ją czujnik ruchu.

Edward pokiwał głową.

– Nagranie, na którym widać włamywaczy i psa, mam tutaj, na telefonie.

Włączyłem odpowiednią aplikację i nachyliłem się nad stołem, ustawiając aparat w taki sposób, by Rooney też widział. Wyciągnął z kieszeni i założył okulary; wyglądał w nich, jakby na karku miał dziesięć lat więcej niż w rzeczywistości. Wziął ode mnie telefon i skupił się na nagraniu.

– Wydaje mi się, że to ona – oświadczyłem. – Camelia. Ta sama sylwetka.

– A domyślasz się, kim może być ten facet? – spytał, unosząc brew.

– Nie. Ale... może to ten sam człowiek, który wtargnął do twojego biura. Zastanawiam się, czy to też Rumun...

Edward zaczął bębnić palcami po notatniku.

– Nadal ukrywasz przede mną dużą część tej historii, zgadza się? Jaki związek z tym, co się dzieje, ma pochodzenie Camellii? Co cię łączy z Rumunią? – Nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, zerknął do notatnika i powiedział: – Nie dowiedziałem się od ciebie, dlaczego właściwie uważasz, że Camelia może czegoś od ciebie chcieć.

Napiłem się piwa, żeby zyskać na czasie.

– No dobra. Latem Laura i ja wybraliśmy się w podróż po Europie. Pewnej nocy wylądowaliśmy w pociągu jadącym do miasta w Rumunii o nazwie Sighișoara. I właśnie wtedy... coś się stało. Dlatego podejrzewam, że pochodzenie Camellii może być istotne.

– W porządku. To już coś.

Opowiedziałem o tym, jak poznaliśmy Alinę i Iona. O tym, jak zostaliśmy okradzeni w przedziale sypialnym, a potem wyrzuceni z pociągu. Edward pracowicie notował, od czasu do czasu przerywając mi, żeby o coś dopytać. Raz czy dwa rzucił mi sceptyczne spojrzenie. Po jakimś czasie doszedłem w opowieści do momentu, gdy próbowaliśmy znaleźć Alinę w lesie. Jakiś facet stał przy jednoręki bandycie niedaleko naszego stolika, a mnie dopadła paranoja, że nas podsłuchuje. Zaczekałem, aż nieznajomy wróci do baru.

– Potem – podjąłem monolog – pobiegliśmy do najbliższego miasta i zgłosiliśmy się na policję.

– Zaczekaj. – Edward uniósł dłoń. – Co się stało w tym domu?

Nagle zorientowałem się, że w lokalu zapadła cisza jak makiem zasiał.

– Rozumiem, że jesteś przerażony. Ale musisz mi powiedzieć, Danielu. Nie śpiesz się, mamy całe popołudnie.

Bawiłem się opróżnionym kuflem, wpatrzony w wilgotny krąg, jaki pozostawił na blacie. Czułem się, jakbym miał wystąpić na scenie przed liczącą tysiąc osób widownią. Żołądek podchodził mi do gardła, byłem roztrzęsiony. Czy wreszcie zdobędę się na to, by zmierzyć się ze wspomnieniami?

Przypomniałem sobie koktajl Mołotowa lecący przez pomieszczenie. Wyobraziłem sobie dłonie, które starały się wepchnąć Laurę na torowisko metra. Wrócił do mnie obraz rzucającego się na mnie psa.

Musiałem to zrobić.

– Dobra, ale muszę jeszcze się napić. Tobie też przyniosę. – Wziąłem opróżnione kufle ze stołu. Na odchodnym powiedziałem: – Przyda ci się.

CZĘŚĆ TRZECIA

RUMUNIA

SIERPIEŃ 2013

ROZDZIAŁ 34

Zacząłem od powtórzenia tego, co już mówiłem Jake'owi: opowiedziałem o tym, jak odnaleźliśmy dziwny, stojący na pustkowiu dom, weszliśmy do środka i zaczęliśmy się rozglądać po holu. Wyznałem, jak wielkim strachem napawało mnie to miejsce, jak bardzo chciałem wziąć nogi za pas.

W miarę jak zagłębiałem się w swoją opowieść, przestawałem dostrzegać pub, w którym siedzieliśmy.



Z góry dobiegał jakiś hałas.

Każda matka i każdy ojciec zostali tak zaprogramowani przez naturę, by dosłyszeć go z odległości trzystu metrów, dobiegający zza kamiennej ściany i zamkniętych drzwi. Mimo że Laura i ja nie byliśmy rodzicami, momentalnie rozpoznaliśmy ten dźwięk.

Niemowlę. Płaczące niemowlę.

I wtedy stało się dla mnie jasne, że nie zdołamy opuścić domu, dopóki nie odkryjemy źródła tego płaczu – nie zobaczymy na własne oczy, że dziecku nic nie dolega i jest bezpieczne. Odezwał się w nas jakiś pierwotny instynkt: chronić młodych i bezbronnych członków stada. Może ten dom wcale nie był przesiąknięty złem, może żyła tu zwyczajna rodzina – drwal z żoną i dziećmi. Moja wyobraźnia wyprodukowała już cały pozytywny scenariusz: drwal, może myśliwy, wybrał się do lasu, żeby sprawdzić sidła. Po drodze znalazł ranną Alinę, która być może przypadkiem weszła w jedną z zastawionych przez niego pułapek. Przyniósł ją tutaj i poprosił żonę, żeby opatrzyła jej rany. A zamieszanie zbudziło dziecko. Takie

wytłumaczenie wydawało mi się całkiem sensowne i logiczne. Uczepiłem się go, czerpiąc z niego siłę.

Zawodzenie niemowlęcia rozbrzmiało znowu, ale bardziej natarczywie. Gdziekolwiek znajdowało się dziecko, najwyraźniej nikt nie spieszył się, by je uspokoić.

Laura zaczęła się wspinać po schodach, a ja ruszyłem za nią. Staraliśmy się stąpać cicho jak myszki. Schody miały już swoje lata, stopnie były obluzowane, chwiejne. Zwróciłem uwagę na coś przyczepionego do jednego ze stopni. Kiedy przyjrzałem się temu bliżej, okazało się, że to kłęb włosów.

W połowie schodów, tam gdzie skręcały, było okno. Wychodziło na tyły domu. Ze zdziwieniem dostrzegłem wąską drogę pośród drzew dochodzącą do podwórza oraz zaparkowany na nim samochód dostawczy z platformą. Wcześniej wyobrażałem sobie, że do domu można się dostać, wyłącznie przedzierając się przez las. To drobne odkrycie podniosło mnie dodatkowo na duchu. Droga była dowodem, że to miejsce nie jest całkowicie odcięte od cywilizacji. Scenariusz z drwalem lub myśliwym od razu wydał się bardziej prawdopodobny. Do tej pory po prostu w naszym rozumowaniu wychodziliśmy z błędnych założeń.

Dziecko nie przestawało płakać, jego zawodzenie na chwilę cichło, by zaraz powrócić z jeszcze większą natarczywością. Gdzie podziewała się jego matka?

Dotarliśmy na piętro. Panowała tu taka sama ciemność jak na dole. Zastanawiałem się, gdzie w takim razie znajdują się świece, których pełganie widzieliśmy w oknach.

– Dobiega z góry – szepnęła Laura.

Schody ciągnęły się wyżej, a płacz faktycznie zdawał się dolatywać z wyższego piętra.

Złapałem się na tym, że ciągle wstrzymuję oddech. Dlatego teraz wciągnąłem głęboko powietrze do płuc, starając się zmusić je, by pracowały normalnie. Posuwając się za Laurą, wchodziłem po schodach, które tutaj były jeszcze bardziej chybotliwe. Przy każdym kolejnym kroku w mrok stopnie skrzypiały przeraźliwie i wydawały z siebie jęki protestu. Ściany zdawały się napierać z obu stron. W miarę jak pięliśmy się coraz

wyżej, początkowo wyczuwalny odór pleśni i rozkładających się zwierzęcych ciał ustąpił innym obrzydliwym woniom. Domyślałem się, że to smród dziecięcego kału i fetoru. Tak śmierdziało w części szpitala, w której umieszczano nieuleczalnie chorych pacjentów w ostatnich dniach ich życia. Był to odór choroby i śmierci, zmieszany z wonią nieczyszczonego od dawna dziecięcego pokoiku. Napawający otuchą scenariusz, który sobie uroiłem, bladł z każdym krokiem.

Nie czułem już nic poza grozą.

Schody się skończyły, staliśmy teraz przed kolejnymi drewnianymi drzwiami. W poprzek nich zamocowana była zasuwka, w rodzaju tych, które trzeba unieść, żeby otworzyć drzwi. Zamek pomyślany został w taki sposób, by osoba wchodząca do pomieszczenia poradziła z nim sobie z łatwością, natomiast ta będąca po drugiej stronie nie mogła go otworzyć.

Płacz dobiegał z pomieszczenia za drzwiami.

Wstrzymałem oddech, żeby odciąć się od wszechogarniającego odoru, ale też ze strachu przed tym, co nam się ukáže. Uniosłem zasuwę i pchnąłem drzwi.

ROZDZIAŁ 35

Zerknąłem na Edwarda, żeby ocenić jego reakcję. Siedział oniemiały i z uchylonymi ustami wpatrywał się we mnie.

– Mów dalej – zachęcił.

Upiłem łyk piwa. Część rumuńskiej historii, którą miałem teraz się z nim podzielić, była najbardziej bolesna. Do głowy przyszedł mi plan: powiem Rooneyowi, że muszę skorzystać z toalety. Kiedy znajdę się poza polem jego widzenia, wyślizgnę się z pubu i popędzę ile sił w nogach – dokładnie tak, jak chciałem uczynić tamtej nocy. Domyślałem się, że Laura byłaby zdruzgotana, wiedząc, że opowiedziałem komuś o wydarzeniach tamtej nocy.

Koniec końców postanowiłem, że powiem Edwardowi tyle, ile musi wiedzieć.



Na wiekach dwóch skrzyń z ciemnego drewna stojących pod oknami płonęły grube białe świece. Okna były jednak zabite deskami, więc niemożliwe, żeby światło, które widzieliśmy, stojąc przed domem, dochodziło z tego pokoju. Wpatrywałem się w świece, ponieważ był to jedyny element w pokoju, który wydawał się normalny. Scena, jaka ukazała się naszym oczom, sprawiła, że nas oboje ogarnął przemożny, paraliżujący strach. Nasze nozdrza atakował obrzydliwy fetor unoszący się w powietrzu. Wrzaski dziecka zdawały się rozbrzmiewać echem wewnątrz mojej czaszki.

W pokoju znajdowały się cztery jednoosobowe dorosłe łóżka i trzy drewniane łóżeczka dziecięce. Dwa z dorosłych łóżek były puste i bez pościeli – leżały na nich jedynie cienkie materace. Przypominały prycze,

jakie widuje się w filmach wojennych. Sterczały z nich sprężyny, wydawały się twarde, bardziej niż z meblami służącymi do wypoczynku kojarzyły się z machinami tortur. Płaczące dziecko było w jednym z dziecięcych łóżeczek. Leżało na plecach i wydierało się wniebogłosy, twarzyczkę miało mokrą od łez. Machało rączkami, jakby chciało uchwycić się powietrza, ale było za małe, żeby obrócić się albo usiąść.

Na dwóch dorosłych łóżkach leżały jakieś kobiety. Ta znajdująca się najbliżej nas spała albo była nieprzytomna (martwa?), przykryta po pas brudną, niegdyś białą tkaniną. Miała na sobie cienką różową suknię, która pozwalała się zorientować, jak bardzo jest wychudzona. Jej cienkie, żyłaste ramiona przypominały wyciory do fajki. Jej pierś unosiła się i opadała w nienaturalnych zrywach przy każdym oddechu. Głowa wyglądała niczym czaszka z doczepionymi kępami pozlepianych w strąki kasztanowych włosów. Ignorując wydzielany przez nią ostry fetor moczu i zgnilizny, zmusiłem się, by podejść bliżej. Zobaczyłem, że nogi na wysokości kostek skute ma kajdankami przyczepionymi do łóżka.

Kiedy ruszyłem w stronę kobiety, poczułem, jak Laura chwytła mnie za ramię i próbuje zatrzymać. Uniosła powoli drugą rękę i wskazała drugie z zajętych łóżek.

Ta kobieta była mniej wychudzona od pierwszej. Jej splątane blond włosy sterczały na wszystkie strony. Oczy miała zapadnięte, kości policzkowe ostre pod skórą niczym ostrza brzytwy. Jej ramiona były patykowate i słabe. Miała na sobie podobną suknię do poprzedniej, prześcieradło zwinięte było u jej stóp, dzięki czemu było widać, że i ona była przykuta do łóżka. Jej skórę pokrywały sińce i małe okrągłe strupy. Ślady po przypalaniu papierosem.

Mimo że zaciskała powieki, nie spała. Po jej policzkach ciekły łzy, mocząc cienką poduszkę.

Trzęsąc się, ruszyłem w jej stronę. A wtedy niemowlę leżące w łóżeczku blisko tej kobiety ucichło nagle, jakby zabrakło mu tchu albo wyczerpało zapas łez. Laura podeszła do łóżeczka i nachyliła się nad nim. Widziałem, jak drżącą dłonią zasłania sobie usta, tłumiąc szloch. W pierwszej chwili pomyślałem, że pewnie coś dolega dziecku, jednak okazało się, że było w lepszym stanie od kobiet. Niemowlak ubrany był w bladoniebieskie

śpiochy i otulony wełnianym kocykiem. Chłopiec, o ile mogłem stwierdzić. Miał bujną blond czuprynkę, różową twarzyczkę i usteczka jak pączki róży.

Blondynka (jego matka?) otworzyła oczy – zobaczyła

mnie. W jej spojrzeniu dojrzałem panikę i przez chwilę byłem pewien, że zacznie wrzeszczeć. Ona jednak zachowała milczenie. Wpatrywała się we mnie wytrzeszczonymi oczami, następnie przeniosła wzrok na Laurę. Nie ruszała się, nie próbowała usiąść.

Wyszeptała coś, a ja odniosłem wrażenie, że sam akt wydawania z siebie dźwięku sprawiał jej straszny ból.

Zostawiłem Laurę przy łóżeczku dziecięcym, a sam zbliżyłem się do kobiety. Ukucnąłem.

– Przykro mi – powiedziałem. – Nie rozumiem. Jestem Anglikiem.

To było spojrzenie więźnia poddawanego torturom, człowieka złamanego.

– Czy mówi pani po angielsku?

– Pomocy – szepnęła.

Chwyciłem ją za rękę. I wtedy zrozumiałem, dlaczego kobieta nie próbowała nawet usiąść – była po prostu zbyt słaba.

Laura, z prawej strony, wyjęła tymczasem dziecko z łóżeczka i trzymała je w ramionach. Maluch główkę wtulał w zagłębienie jej szyi, a ona głaskała go po plecach przez koc, którym nadal był owinięty. Kiedy kobieta na łóżku odwróciła głowę do dziecka, w jej spojrzeniu odbijała się miłość, ale też strach. Zerknęła ku drzwiom.

– Moje dziecko – powiedziała. – Pomocy.

– Kto pani to zrobił? – spytałem.

Utkwiła we mnie wzrok. Może nie rozumiała pytania. W końcu szepnęła coś, chyba po rumuńsku. A potem znowu użyła angielskich słów:

– Proszę. Dziecko. Pomocy.

Wtem z dołu dobiegł przeraźliwy krzyk.

Laura i ja zamarliśmy bez ruchu. Kobieta znowu popatrzyła w kierunku drzwi.

- Idźcie. Dziecko – ponagliła.
- Zerknąłem na drzwi, potem na Laurę.
- Co robimy?



Edward wytrzeszczał na mnie oczy, usta miał uchylone. Nigdy w życiu nie miałem słuchacza, którego tak bardzo pochłonęłaby moja opowieść. Był tam z nami, w tamtym pokoju.

- Chryste, nie możesz teraz przerwać. Co zrobiliście?
- Ja... Laura tuliła dziecko. Spytałem ją znowu: „Co robimy?”.
- Opowiedziałem mu więc historię do końca.



Krzyk się powtórzył. Serce tłukło mi się w piersi jak oszalałe; byłem pewien, że ktokolwiek jest na dole – ktokolwiek tak straszliwie skrzywdził te kobiety – usłyszy jego łomot.

– Musimy się stąd wydostać – odezwałem się, sam odpowiadając sobie na pytanie. – Musimy dotrzeć do miasta, wezwać pomoc. Sprowadzić tu policję.

Odwróciłem się do kobiety na łóżku.

– Sprowadzimy tu policję.

Z oczu znów popłynęły jej łzy.

Odwróciłem się do Laury, żeby wziąć od niej dziecko – chciałem położyć je z powrotem do łóżeczka. Laura cofnęła się, przyciskając niemowlę do piersi.

– Weźmiemy je ze sobą.

– Lauro... Dziecko musi zostać. Nie możemy biec przez las z niemowlęciem. Musimy uciekać.

– Nie – ucieła.

Zachowywała się, jak gdyby to było jej dziecko, a ja groziłbym, że je odbiorę i rzucę lwom na pożarcie.

- Nie zostawię go.
- Lauro...
- Danielu, spójrz tam – powiedziała, wskazując coś w głębi pokoju, za łóżeczkami.

Pod ścianą stała nieduża ławka. Na niej poukładane były rzeczy, jakie zazwyczaj można znaleźć w pokoju dziecięcym: ubranka, pieluchy, krem przeciw odparzeniom, butelki do karmienia, a także pojemniki z mlekiem w proszku. Dojrzałem tam też parę pluszowych miśków. Na ich futerku widać było ciemne plamy, które w świetle świec wydawały się czarne.

Obok ławki znajdowało się coś jeszcze. Była to małeńka trumna długości około sześćdziesięciu centymetrów. Wyglądała, jakby zrobił ją ktoś nieznający się na stolarstwie; deski łączyły się pod dziwnymi kątami. Na wieku trumienki leżało parę leśnych kwiatów i jeszcze jeden pluszowy miś.

Ruszyliśmy w tamtą stronę bardzo powoli, mimo że zdawaliśmy sobie sprawę, iż nie ma czasu do stracenia, a człowiek albo ludzie odpowiedzialni za całe to zło wpadną lada chwila do pokoju. Na ścianie, przy której stały ławka i trumna, wisiało ponad dwadzieścia polaroidowych zdjęć. Na niektórych uwieczniono jakieś kobiety, wpatrujące się w obiektyw z wyrazem grozy albo rezygnacji na twarzy. Na jednym zdjęciu zobaczyłem kobietę leżącą na plecach. Była naga, usta miała szeroko otwarte, jakby krzyczała. Obok niej kuczał jakiś mężczyzna, trzymający jakiś metalowy przyrząd, którego drugi koniec ginął między udami kobiety.

Inne fotografie ukazywały niemowlęta. Noworodki. Wszystkie leżały na plecach. Część z nich ubrana w niebieskie śpiochy, większość w białe. Niektóre płakały w momencie robienia zdjęcia, inne były spokojne. Niektóre miały zamknięte oczy, ale były też takie, które patrzyły w stronę fotografa.

Wszystkie zdjęcia opatrzone były datami, wypisanymi na białym marginesie. Czyżby daty urodzin?, zastanowiłem się. I nagle zauważyłem coś jeszcze: na części fotografii umieszczono też drugą datę, obok której widniał znak X. Przykładowo polaroidowe zdjęcie wiszące w prawym dolnym rogu miało dwie daty. Pierwsza: 2.7.13, czyli drugi lipca 2013 r. Druga data: 13.8.13. Trzynasty sierpnia. Parę dni temu.

Odwróciłem się do kobiet na łóżkach. Blondynka łkała, druga wciąż nie odzyskała przytomności. Dzieciątko w trumnie zapewne było jej. Tutaj przyszło na świat. I tu umarło, w tym obskurnym, cuchnącym pokoju.

Z parteru znów dobiegał wrzask. Był to krzyk bólu, który zmroził mi krew.

Oddychało mi się coraz trudniej. Zwróciłem się do blondynki:

– Wrócimy. W porządku? Dopilnujemy, żeby pani dziecku nic złego się nie stało.

Kobieta popatrzyła na mnie, po czym przeniosła spojrzenie na niemowlę.

I wtedy uświadomiłem sobie, że gdy zejdziemy na dół, będziemy potrzebować broni. Rozejrzałem się po pokoju, moje spojrzenie padło na świecę. Zdmuchnąłem ją i wyrwałem z metalowego świecznika w czarnym kolorze. Zważyłem go w ręce. Był ciężki, masywny.

Laura otworzyła już drzwi, a teraz ostrożnie wyglądała na schody. Ruszyłem za nią, mijając pierwsze łóżko.

Wtem wyciągnęła się do mnie czyjaś ręka i poczułem, jak chwyta mnie za nogę.

Krzyknąłem i wyrwałem się z uścisku. Przypominająca szkielet kobieta wybałuszała na mnie oczy. Rozdziawiła niemal bezzębne usta. Zęby, które nadal tkwiły w dziąsłach, były białe, zdrowe – najwyraźniej te brakujące nie wypadły same z siebie, lecz zostały wybite albo wyrwane. Przypadkiem trąciłem nogą stojący przy łóżku basen sanitarny i cuchnący brązowawy mocz obryzgał mi but.

Kobieta, z obłędem w oczach, wykrzywiła usta w uśmiechu. A ja, nie czekając dłużej, puściłem się biegiem. Popchnąłem Laurę stojącą nadal w progu i zatrasnąłem za nami drzwi.

Wrzaski na dole ucichły. Zamiast tego słychać było miarowe głuchoe odgłosy kroków. Ktoś bardzo powoli wchodził po schodach.

ROZDZIAŁ 36

– Ja pójdę pierwszy.

Ruszyłem w dół. W pewnym momencie potknąłem się na obluzowanym stopniu i niemal upadłem. Oparłem się plecami o ścianę i dzięki temu zdołałem zachować równowagę.

Pokonaliśmy zakręt i znaleźliśmy się w połowie wysokości schodów. Laura trzymała się krok za mną.

Na dole stał mężczyzna. Patrzył na nas. W garści trzymał czarny pistolet, bardziej pasujący do policjanta albo żołnierza niż rolnika czy myśliwego. Jego blond włosy były rzadkie i brudne, mógł mieć trzydzieści kilka lat. Był niski, ale krępy. Żyłasty.

Za nim leżała kobieta, twarzą do dołu. Ubrana w czarną kurtkę i jeansy, z czarnymi włosami, w których błyszczało coś czerwonego.

Alina.

Nieznajomy uniósł broń i wycelował w nas. Wolną ręką pokazał, żebyśmy podeszli.

Nie ruszyłem się. Mój mózg rozpaczliwie poszukiwał odpowiedzi na pytanie, co powinienem teraz zrobić. Może należałoby cofnąć się na górę i poszukać innego wyjścia? Ale przecież kiedy tylko się odwrócę, mężczyzna strzeli. A nawet gdyby tak się nie stało, jakie były szanse, że znajdziemy drugie wyjście? Perspektywa bawienia się z nim w kotka i myszkę w jego własnym domu była jeszcze bardziej przerażająca od stawienia mu czoła tutaj.

Pokonałem parę stopni. Zdawałem sobie sprawę, że facet widzi świecznik, który ściskam w garści. Cofnął się, minął nieprzytomną Alinę i gestem nakazał nam, byśmy poszli za nim do holu.

Po chwili stanęliśmy przed nim, wszyscy troje ciężko oddychaliśmy. I wtedy uderzyła mnie myśl: on też się denerwuje. Oczywiście nie był tak przerażony jak Laura czy ja, ale z jego spojrzenia też wycierał strach.

Mężczyzna wycelował w Laurę, drugą ręką wskazał niemowlę. Leżąca za nim Alina próbowała się podnieść, ale zaraz upadła z powrotem. Żyła.

– Moje – odezwał się nieznajomy. Oderwałem wzrok od Aliny i skupiłem go znów na nim. Facet mówił po angielsku, co było dziwne. Gestem nakazał Laurze, żeby oddała mu dziecko.

Ona jednak ani drgnęła. Ze wzrokiem wlepionym w pistolet ważyłem w dłoni świecznik, starając się oszacować, czy zdołam go walnąć, nim naciśnie spust. Uznałem, że ryzyko jest zbyt duże.

– Lauro... – zacząłem.

– Nie – przerwała mi, przesuwając się w stronę drzwi.

Mężczyzna zaczął nerwowo gestykulować, pokazywał Laurę i dziecko. Następnie wycelował broń we mnie.

– Daj mi dziecko – powiedział.

Laura popatrzyła na pistolet, uniosła wzrok na mnie.

– Lauro, podaj mu je.

Widziałem, jak narasta w niej gniew.

– Daj – powtórzył facet podniesionym głosem.

Laura ruszyła do niego, w wyciągniętych rękach trzymając dziecko, jakby zamierzała mu je podać. Mężczyzna opuścił broń, żeby wziąć od niej niemowlę. W tym momencie maluch zaczął przeraźliwie wyć, jakby przeczuwał, w czyje ręce zaraz trafi. Mężczyzna wzdrygnął się, w tym samym momencie Laura wepchnęła mi dziecko w ramiona i wyrwała mi z ręki świecznik, po czym zamachnęła się na faceta. Uskoczył do tyłu, ale nie wypuścił z ręki broni. Wycelował teraz w nią. Laura, dysząc ciężko, stała bez ruchu, ze świecznikiem w ręce. Ja tymczasem trzymałem w ramionach drżącego się wniebogłosy malucha. Jego zawodzenie wwiercało mi się w czaszkę.

– Odłóż je – nakazał mężczyzna, próbując przekrzyczeć płaczące niemowlę. – Połóż dziecko. Na podłodze.

– Nie! – krzyknęła Laura.

Ale jaki miałem wybór? Schyliłem się i położyłem u swoich stóp zanoszącego się od płaczu malucha. Laura wybuchła spazmatycznym płaczem.

Kiedy mężczyzna ruszył do dziecka, chwyciłem Laurę za ramię i zawlokłem ją w stronę wyjścia. Upuściła świecznik, a ja szarpnięciem otworzyłem drzwi, spodziewając się, że lada chwila dosięgnie mnie kula. Kiedy się odważyłem zerknąć do tyłu, zrozumiałem, dlaczego nadal żyję. Alina, poruszając się na czworakach, dotarła w pobliże świecznika. Mężczyzna rozumiał, że musi ją powstrzymać, dlatego stracił zainteresowanie nami.

Pociągnąłem Laurę i wybiegliśmy na ścieżkę.

Próbowała mi się wyrwać.

– Puszczaj! – zawołała.

– Nie! Lauro! Kurwa mać, musimy uciekać!

– Ale dziecko... – Cała się trzęsała, twarz miała zalaną łzami. Rozpaczliwie pragnęła wrócić po tego maleńkiego chłopca, ja jednak wiedziałem, że nie mogę jej na to pozwolić.

– Musimy się stąd wydostać. Sprowadzimy pomoc. Jeszcze trochę i będzie bezpieczny.

– Nie...

Wtedy rozległ się huk wystrzału.

Płacz dziecka nagle się urwał.

Słyszałem nieludzki krzyk, ale nie byłem w stanie stwierdzić, czy to ja wrzeszczę, czy Laura – moje zmysły nie działały normalnie, wszystko docierało do mnie jak przez mgłę. Dopiero po chwili zrozumiałem, że ten skowyt dobiega z domu. To krzyczała Alina.

– Chodź, proszę, proszę. Uciekajmy.

Kolejny wystrzał. Po nim Alina ucichła.

Puściliśmy się biegiem ku skrajowi polany. Nie było czasu szukać drogi, który którą widziałem z okna. Serce waliło mi jak młotem. Wyobraźnia podpowiadała mi, że mężczyzna ruszy w pogoń – zastrzeli nas oboje,

a potem zakopie i nasze ciała nigdy nie zostaną odnalezione. Podzielimy los wielu innych podróżników, którzy zgubili się w obcym kraju i słuch po nich zaginął.

Obejrzałem się przez ramię – drzwi domu otworzyły się, a w progu pojawiła się ciemna sylwetka. Chwyciłem Laurę za rękę i pobiegliśmy ile sił w nogach. Gnaliśmy ścieżką przez las, w stronę torów. Wreszcie przestały nas otaczać drzewa i wypadliśmy na otwartą przestrzeń. Potknęliśmy się o szyny i mało brakowało, a byśmy wylądowali na ziemi. Podtrzymaliśmy się nawzajem, przystanęliśmy tylko po to, żeby podnieść z ziemi plecaki.

Całą drogę do miasteczka pokonaliśmy biegiem.

Biegliśmy w milczeniu.

Ani razu nie obejrzeliliśmy się za siebie.

CZĘŚĆ CZWARTA

LONDYN

LISTOPAD 2013

ROZDZIAŁ 37

Dopiłem piwo i od razu zachciało mi się kolejnego. Czułem się wykończony, całkowicie pozbawiony energii. Opowiadanie tej historii, przeżywanie jej na nowo było krańcowo wyczerpujące...

– Danielu? Halo? Wszystko gra?

Zamknąłem oczy. Kiedy otworzyłem je znowu, Edward nadal tam był. Spoglądał na mnie wyczekująco.

– Jest jeszcze coś, o czym ci nie powiedziałem. Kiedy dotarliśmy do granicy lasu, ciszę przeciął jeszcze jeden wystrzał. Po paru sekundach kolejny.

Po namyśle Edward powiedział:

– Poszedł na górę i zastrzelił tamte kobiety.

– Też tak sędzę. Domyślał się, że teraz, gdy je zobaczyliśmy, opowiemy o wszystkim policji. Chciał usunąć... żywe dowody. Ale przecież krew i DNA tych kobiet były pewnie w całym domu, więc w sumie nie wiem...

– Może uznał, że kobiety do niczego już mu się nie przydadzą.

– Tak jak wspomniałem, nie wiem.

– Dlaczego nie zawiadomiliście policji? – zastanowił się, marszcząc czoło.

– Ależ zrobiliśmy to. To znaczy próbowaliśmy. Udaliśmy się na posterunek policji w Brevie.

Wyjaśniłem, jak zostaliśmy potraktowani na posterunku i że koniec końców stamtąd też musieliśmy salwować się ucieczką.

Edward był błydy jak ściana, wyglądał, jakby miał lada chwila puścić pawia. Odkąd zacząłem opowiadać, nie tknął swojego piwa.

Wstając od stołu, powiedział:

– Na początek podzwonię w parę miejsc, popytam. Jutro z samego rana przekręcę do ciebie, dobra?

– W porządku.

– Idziesz też?

Pokręciłem głową. Nie miałem ochoty opuszczać tej knajpy. Zamierzałem zostać tu, aż zaleję się w pestkę.

Odprowadzałem go wzrokiem, gdy zniknął za drzwiami. Udzieliłem mu informacji niezbędnych, by mi pomógł. Postąpiłem słusznie.



Nie mam pojęcia, jak dotarłem do domu ani jak znalazłem się w łóżku. Kiedy się ocknąłem, było już jasno i dzwonił mój telefon. To Edward. Zorientowałem się, że przespałem tę noc w ubraniu. W pokoju cuchnęło jak w gorzelnii. Minęła jedenasta przed południem, głowa mi pękała. W ustach czułem paskudny posmak, jakbym spalił dwie paczki fajek jedna po drugiej. Kiedy próbowałem zwlec się z łóżka, dopadły mnie straszliwe mdłości. Telefon nie przestawał dzwonić. I wtedy wróciły do mnie wydarzenia poprzedniego dnia. Koktajl Mołotowa. Rozmowa z Edwardem w pubie, gdy podzieliłem się z nim historią o domu w lesie. A potem moje upicie się do nieprzytomności. Owca

Jezu.

Nie zwracając uwagi na dzwoniący telefon, ruszyłem do łazienki i zwymiotowałem do muszli klozetowej. Od razu poczułem się trochę lepiej. Oddzwoniłem do Edwarda.

– Próbowałem cię łąpać wieczorem – powiedział. – Gdzieś ty był?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął:

– Nieważne. Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. Wpadnę do ciebie.

Wziąłem szybki prysznic, wlałem w siebie dwie mocne kawy. Czekaając na Edwarda, sprawdziłem pocztę elektroniczną. Znalazłem mail od Roba.



Cześć, stary,

wiem, że to dla ciebie trudny czas, ale byłbym naprawdę wdzięczny, gdybyś oszczędził nam przychodzenia pod dom o północy, dobijania się do drzwi, rzucania kamieniami w okno pokoju Laury i budzenia Oscara. Uśpienie go na nowo zajęło nam dwie godziny. Laura wyraziła się jasno, że nie ma ochoty się z tobą spotykać. Moim zdaniem powinniście szczerze ze sobą pogadać i wyjaśnić, co komu leży na wątrobie. Ale jeśli ona mówi, że nie chce już z tobą być ani utrzymywać z tobą kontaktu, powinieneś to uszanować. Jeśli jeszcze raz odstawisz taki numer jak zeszłej nocy, Erin wezwie policję.

I taka rada: jeśli nie chcesz, żeby moja żona zerwała z tobą stosunki, napisz list, w którym się ukorzysz i przeprosisz za swoje zachowanie.

Jeśli mam być szczery, uważam, że powinieneś na jakiś czas przystopować z gorzałą.

Rob

Poczułem się upokorzony. Co ja narobiłem po tym, jak wyszedłem z pubu? I dlaczego nagle Laura nie chce ze mną rozmawiać i nie życzy sobie, żebym próbował nawiązać z nią kontakt? Nagle jednak mgła w moim umyśle się rozwiała, ukazując moment, który sprawił, że moje zażenowanie sięgnęło zenitu: stoję w ogrodzie na tyłach domu Erin i Roba, ciskam kamyczkami w okno i raz za razem wołam Laurę po imieniu, niczym jakiś zalany w trupa Romeo, który dostał kosza.

Sięgnąłem po telefon i sprawdziłem skrzynkę wiadomości. O kurwa, po północy wysłałem do Laury ponad dwadzieścia SMS-ów. Przekonywałem ją w nich o swojej miłości, namawiałem na spotkanie i prosiłem, by za mnie wyszła. Ona wysłała mi tylko jedną wiadomość o treści:

Daj nam spokój.

W kuchni powyciągałem z lodówki i kredensu wszystkie butelki z alkoholem. Odkorkowałem wino, którego woń sprawiła, że żołądek podszedł mi do gardła. Zdjąłem kapsle z butelek piwa. Następnie zawartość wszystkich flaszek wylałem do zlewu. Puste szkło włożyłem do worka na śmieci, który wyniosłem z domu i wyrzuciłem do kubła na odpady poddawane recyklingowi. Kiedy uniosłem wzrok, zobaczyłem

nadchodzącego Edwarda. Szedł z rękami w kieszeniach i opuszczoną głową.

– Wszystko gra? – spytał, kiedy mnie zauważył.

– Nigdy więcej nie tknę alkoholu.

– Chyba dałeś ostro w palnik, kiedy poszedłem, co?

Skinąłem milcząco głową i zaprowadziłem go do mieszkania.

– Muszę przyznać, że po tej historii, którą mnie wczoraj poczęstowałeś, też miałem ochotę się nawalić. Ale zamiast pić, cały wieczór spędziłem na pracy. Najpierw musiałem się uporać z tą cholerną firmą ubezpieczeniową. Słowo daję, ktoś powinien wysłać tych cwaniaków do upiornego domku w lesie.

Widząc moją minę, dodał skwapliwie:

– Wybacz, to kiepski temat do żartów. Tej nocy przyśnił mi się koszmar, pierwszy od wielu lat. Taki z bombami zapalającymi, kobietami przykutymi łańcuchami do łóżek i niemowlakami pełzającymi wśród płomieni. – Wzdrygnął się. – A z samego rana wizytę złożyli mi gliniarze. Próbowali ustalić, czy jest ktoś, kto może życzyć mi śmierci.

– Co im powiedziałaś?

– Powiedziałem, że nie mam bladego pojęcia. Ale z tobą też będą chcieli zamienić dwa słowa. – Wręczył mi wizytówkę. – To numer telefonu oficera prowadzącego dochodzenie.

Kiedy wziąłem wizytówkę do ręki, poczułem, jak ogarnia mnie wielkie zmęczenie. A więc czekała mnie rozmowa z policją. Teraz wszystko już wyjdzie na jaw, prawda ujrzy światło dzienne.

Odłożyłem kartkę na bok.

– Pogadam z nimi później. Teraz powiedz, co udało ci się ustalić.

– Powiem, pod warunkiem że zrobisz mi bardzo mocną kawę.

Podczas gdy ja czekałem w kuchni, aż zagotuje się woda, Edward w tym czasie krążył po pokoju. Muskał palcami grzbiety książek na półkach, wyglądał przez okno na ulicę, jak gdyby kogoś tam wypatrywał.

Po chwili wróciłem z kawą. Rooney usiadł na sofie, ja przysunąłem sobie krzesło.

– Będę z tobą szczery, Danielu. Historia, którą się ze mną podzieliłeś, brzmi jak... no właśnie, jak historyjka, coś zmyślonego.

– Ale to prawda!

Uciszył mnie uniesieniem dłoni.

– W porządku. Nie twierdzę, że ci nie wierzę. Szkopuł w tym, że w świetle informacji, jakie zdołałem zdobyć wczoraj, cała ta sprawa wygląda jeszcze dziwniej.

Czekałem, co powie, choć zarazem obawiałem się, że to coś, czego wcale nie chcę usłyszeć.

– Po tym, jak się wczoraj rozstaliśmy, spotkałem się z gościem, któremu niedawno zlecałem pewną robotę. Jest tłumaczem. Biegłe posługuje się wszystkimi wschodnioeuropejskimi językami, łącznie z rumuńskim. Facet jest lekko stuknięty, to paranoik, ale cenię sobie jego pomoc. Namówiłem go, żeby pomógł mi w rozmowie telefonicznej z posterunkiem policji w Brevie. Miał wystąpić w roli tłumacza.

– Powiedziałeś temu człowiekowi, co się stało? – spytałem przerażony.

– Danielu, słuchaj, proszę. Jeśli będziesz mi przerywać... – Posłał mi uśmiech, który chyba miał podnieść mnie na duchu. – Poprosiłem do telefonu funkcjonariusza, z którym, jak utrzymujesz, tam rozmawialiście. Constantin. Chciałem upewnić się, że to, co mówisz, znajduje potwierdzenie w faktach.

– Co takiego? Przecież ten facet może być w to zamieszany...

– Danielu, do kurwy nędzy. Po prostu musiałem to zweryfikować, i tyle. To standardowa procedura w moim fachu. Gdybym wszystko, co słyszę, traktował jak prawdę objawioną, byłby ze mnie marny detektyw, nie sądzisz? Ta weryfikacja była mi potrzebna do ustalenia, czy ta cała Camelia ma jakiś związek z tym, co zobaczyłeś w lesie.

– W porządku. Teraz rozumiem – przyznałem pojednawczym tonem, a paskudny ucisk w żołądku, który odczułem przed chwilą, minął.

– No więc poprosiłem do telefonu Constantina, a raczej zrobił to w moim imieniu tłumacz. Na początku policja w Brevie nie była skłonna do współpracy. Chcieli wiedzieć, w jakim właściwie celu dzwoniemy, skąd wykonujemy telefon i tak dalej. Wyjaśniłem, że pracuję nad sprawą

dotyczącą przestępstwa zgłoszonego na ich posterunek w sierpniu. W końcu zlitowali się i przełączyli mnie, ale nie do Constantina, o co prosiłem, tylko do innego funkcjonariusza. Sprawdził w bazie danych i oznajmił, że nie ma w niej żadnego wpisu, z którego by wynikało, że para Anglików zgłaszała przestępstwo.

W tej chwili telefon Edwarda zaczął wibrować. Zerknął na wyświetlacz i odrzucił przychodzące połączenie.

– O czym to ja mówiłem? Już wiem. Funkcjonariusz poinformował mnie, że w systemie brak takiego zgłoszenia. Napomknął też, że wizyty Anglików w Brevie należą do rzadkości, jeśli nie liczyć świrów poszukujących w tych okolicach wampirów i wilkołaków. A tak swoją drogą, wiesz, że Brevia ma opinię miejsca, w którym widuje się wilkołaka? Czytałem o tym w internecie.

Pokręciłem głową.

– Potem spytałem znów, czy mógłbym porozmawiać z Constantinem.

– I co? Udało ci się?

Edward napił się kawy, zerkając na mnie znad filiżanki.

– Nie. Constantin zaginął. Przepadł dwa tygodnie temu.

– Domyślają się, co mogło się z nim stać?

– Nie byli skorzy do rozmów. Ale prawdę mówiąc, nie wydaje mi się.

– Co jeszcze im powiedziałaś?

– Przekazałem to, co powiedziałaś mi o domu i tym, co tam widzieliście.

W skróconej wersji.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć.

– I jak zareagowali?

– Cóż, sceptycznie, oględnie rzecz ujmując. Pamiętaj, że rozmowa odbywała się przez tłumacza. I nawet on przez cały czas rzucał mi spojrzenia, jakbym postradał zmysły.

– A zatem tłumacz też już wie...

Edward cmoknął z dezaprobatą.

– Koniec końców wymogłem na nich obietnicę, że rozejrzą się po lesie. Poszukają tego domu. Dawałem im do zrozumienia, że być może znajdą tam też Constantina. Swoją drogą, kto wie, może rzeczywiście tak będzie.

Wstałem i zacząłem na miękkich nogach przechadzać się po pokoju.

– Na razie nie oddzwonili – ciągnął Rooney. – Pewnie z pójściem do lasu czekali do dzisiaj, żeby nie błądzić w ciemności. Tak czy inaczej, czekam na odzew policji w Brevie.

Niepokój nadchodził falami. Widząc, co się ze mną dzieje, detektyw powiedział:

– Posłuchaj, nie przejmuj się rumuńską policją. Prędzej czy później znajdą ten dom... Możliwe, że nadal więzione są tam jakieś kobiety. W każdym razie gliniarze znajdą na miejscu dowody zbrodni. Schwytają faceta, który się ich dopuścił.

– Jak widzę, nie brak ci wiary w moc sprawczą organów ścigania.

– Możliwe. – Wzruszył ramionami. – Skoro i tak musimy czekać na telefon z Brevy, co ty na to, żebyśmy tymczasem jeszcze raz zastanowili się nad tym, co mi wczoraj opowiedziałeś?

– Zgoda.

– Świetnie. Masz papier? A może należysz do tych ludzi, którzy uznają tylko ekrany?

Wyjąłem parę arkuszy z drukarki. Edward rozłożył je na stole.

– Wynotujemy wszystkie elementy w tej sprawie, na które nie mamy gotowej odpowiedzi; to, co nie trzyma się kupy. A potem spróbujemy znaleźć możliwie najsensowniejsze rozwiązania. W ten sposób przekonamy się, czy jesteśmy w stanie ułożyć te puzzle.

Przez kolejne dwadzieścia minut wypisywaliśmy wielkimi literami pytania na kartkach, a potem poukładaliśmy arkusze. Jeśli nie liczyć naszych głosów, w mieszkaniu panowała tak wielka cisza, że słycać było pomruk instalacji elektrycznej, ciche brzęczenie grzejników, niekiedy tylko czyjś głos dolatywał z ulicy. Ta praca przynosiła mi ulgę; czułbym się o wiele gorzej, samotnie notując domagające się odpowiedzi pytania w telefonie. Byłem coraz bardziej wdzięczny Edwardowi i żałowałem, że już wcześniej na mojej drodze nie stanął ktoś służący mi taką pomocą.

Dzięki wspólnej pracy nad listą pytań udało mi się zapomnieć o moich obawach związanych z pijacką wizytą pod domem Erin i Roba, lakoniczną wiadomością od Laury, a także o lęku przed tym, co znajdą w lesie policjanci z Brevy. Wróciły do mnie wspomnienia zarywanych nocy, gdy pracowałem nad swoją aplikacją. Gdy szukałem rozwiązania jakiegoś problemu, potrafiłem koncentrować się na nim bez reszty, a otaczający mnie świat schodził na drugi plan. W pewnym momencie z ulicy pod domem dobiegł pisk opon na asfalcie, trzask zamykanych drzwi. Byłem jednak zbyt pochłonięty zadaniem, by wyrzeć przez okno.

Kiedy już wszystkie kartki były zapisane od góry do dołu, Edward odchylił się na oparcie krzesła. W zamyśleniu drapał się po brodzie.

– No dobra. Zobaczmy, co my tu mamy.

Na arkuszu leżącym po lewej stronie u góry widniał napis: CZEGO SZUKAŁA CAMELIA?

– Przede wszystkim nie wiemy, czy coś ją łączy z tym, co wydarzyło się w okolicach Brevy. Zakładamy, że tak, ponieważ jest Rumunką, ale równie dobrze może to być tylko zbieg okoliczności.

– Niemożliwe.

– Mimo wszystko na razie to tylko przypuszczenia. Jesteś pewien, że nie spotkałeś jej podczas pobytu w Rumunii?

– Absolutnie nie. Rozpoznałbym ją. To zapadająca w pamięć dziewczyna.

– Na podstawie tego, co mi o niej mówisz, nie sposób się nie zgodzić. No dobrze... to teraz powtórz mi dokładnie, co mówiła podczas obu waszych spotkań.

Przytoczyłem nasze rozmowy na tyle wiernie, na ile umiałem.

– A zatem podczas pierwszego spotkania spytała, czy miałeś jakieś przykre doświadczenia z Rumunkami.

– Kiedy stwierdziłem, że nie, chciała wiedzieć, czy na pewno. O kurwa. A za drugim razem wciąż wypytywała mnie, czy jestem na bakier z prawem. Pytała o to bez końca.

– Jak gdyby próbowała skłonić cię do przyznania się do czegoś, o czym nie masz pojęcia.

– Owszem, raz zrobiliśmy coś, co nie do końca było zgodne z prawem – stwierdziłem, prostując się na krześle. – Weszliśmy do przedziału sypialnego bez biletu. Może zależało jej, żebym przyznał się do tego.

– Danielu, wydaje mi się, że pytała o jakąś grubszą sprawę. Niemożliwe, żeby chodziło jej o taką drobnostkę. – Po namyśle dodał: – Załóżmy, że na nagraniu z monitoringu rzeczywiście widać Camelię oraz że to ona również brała udział we wcześniejszym włamaniu. Kiedy była w twoim mieszkaniu za pierwszym razem, zrobiła w nim bałagan, prawda? Jak gdyby czegoś szukała.

– Zgadza się.

Edward znów pochylił się nad arkuszem papieru, jak gdyby liczył, że wśród zapisanych na kartkach słów kryje się odpowiedź na nurtujące nas pytanie.

– Zastanówmy się. Podejrzewamy, że włamała się trzy razy do twojego mieszkania. Ona i jej towarzysz. Raz, żeby splądrować chatę... i ukraść laptop. Następnie, by go zwrócić. Wreszcie, za trzecim razem, przyprowadzili psa. – Rooney znów zaczął drapać się po brodzie w zamyśleniu. – Jeżeli faktycznie czegoś szukali, wówczas nie powinno nas dziwić, że wywrócili wszystko w mieszkaniu do góry nogami. Ale dlaczego oddali potem laptopa? I czemu miało służyć przyprowadzenie psa?

– Wzięli psa, bo chcieli mnie skrzywdzić. Liczyli, że mnie zagryzie. – Te słowa mnie zmroziły.

Edward namyślał się długo. Wreszcie spojrzał na mnie.

– Zostawmy to na razie. Muszę tylko... – nie dokończył. – Skąd Camelia mogła wziąć klucz do twojego mieszkania?

– Nie mam pojęcia. Żaden z moich kluczy nie zginął.

– A co z Laurą? Może to ona zgubiła klucz?

– Ja... chwileczkę. Tak, kiedy wróciliśmy do Wielkiej Brytanii, okazało się, że Laura nie ma swoich kluczy. Pomyśleliśmy, że pewnie zgubiła je na którymś z etapów naszej podróży po Europie. Ale było inaczej: złodziej, który zaopiekował się naszymi paszportami, zwinął też klucze.

– Nie pomyślałeś o tym wcześniej?

– Nie. Po powrocie mieliśmy sporo na głowie. Nie wpadliśmy na to, że złodziej mógł też wziąć klucze do naszego mieszkania.

– No to przynajmniej wiemy już, jak włamywacze dostali się do środka.

– I staje się coraz bardziej prawdopodobne, że Camelia ma związek z kradzieżą w pociągu – powiedziałem.

– Może ona wręcz podróżowała tym samym pociągiem. Albo jej współnik. Gwizdnęli wam klucze z zamiarem obrobienia waszego mieszkania.

– Jakoś nie chce mi się w to wierzyć – przyznałem, potrząsając głową. – Mieliby podróżować na drugi koniec Europy, żeby zrobić włam na chatę? A poza tym dlaczego w takim razie zwlekali trzy miesiące? Przyjmując takie wytłumaczenie, nadal pozostajemy z wieloma niewiadomymi. Po co się włamywać, a potem zwracać najbardziej wartościowy fant? – Uderzyłem się pięścią w czoło. – To wszystko jest bez sensu. Muszę się jeszcze napić kawy.

Poszedłem do kuchni, nastawiłem wodę i wsypałem do dwóch kubków kawę instant. Tak, znowu kupiłem Nescafé. Jake, jeśli obserwował mnie z góry, potrząsał pewnie z dezaprobatą głową i mruzczał pod nosem coś o aferze z mlekiem dla niemowląt.

Kiedy czekałem, aż woda się zagotuje, telefon Edwarda zaczął dzwonić. Uniósł na mnie spojrzenie.

– To z Rumunii. Policja.

ROZDZIAŁ 38

Laura chodziła w kółko po pokoju – od łóżka do okna i z powrotem. Wykonała już tyle okrążeń, że nie zdziwiłaby się, gdyby wydeptała dziurę w wykładzinie. Obgryzała przy tym ze zdenerwowania skórki przy paznokciach. Ta na kciuku zaczęła krwawić, dlatego wysysała krew, nie zdając sobie nawet sprawy, że to robi. I dalej chodziła, obgryzała, ssała, chodziła... W głowie kołatały jej się słowa „w stanie rozkładu”. Nie miała pojęcia, skąd się wzięły, po prostu bez przerwy słyszała je w myślach: w stanie rozkładu, w stanie rozkładu, w stanie rozkładu. Chodzić, obgryzać, ssać, chodzić, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, i tak w kółko, w kółko, w kółko.

Wreszcie zmusiła się, by przystanąć. Wciągnęła głęboko powietrze. Z całej siły powstrzymywała wewnętrzny przymus gryzienia palców, szarpania ich, tak by krwawiły. Oparła głowę o chłodną szybę w oknie, wyobraziła sobie, że spadające na nią po drugiej stronie krople deszczu pieścą jej czoło, chłodzą rozpaloną skórę. Przez cały czas miała wrażenie, że czuje odór własnej rozkładającej się skóry...

...w stanie rozkładu...

...i była świadoma jednostajnego łomotu w piersi: bum, bum, bum. W nocy leżała zrana potem w łóżku, jak zwykle, gdy zbliżał się jej okres. Jednak tym razem to było co innego – przyspieszona praca serca, strach i niepokój sprawiały, że czuła się naprawdę fatalnie. Gorzej niż przez pierwsze noce po tym, jak zobaczyła umierające kobiety w tamtym domu; po tym, jak usłyszała strzały, które je zabiły, Alinę też. I niemowlę, to biedne, niewinne, urocze wielkookie dziecko.

Z trudem zaczerpnęła powietrza. Z parteru dolatywał płacz małego Oscara, a także głosy Erin i Roba oraz pary, która ich odwiedzała: koleżanki

Erin z pracy i jej męża. Ta kobieta – Laura nie wiedziała, jak ma na imię – też była w stanie rozkładu... nie, była w stanie błogosławionym, była w ciąży! Laura dotknęła swojego brzucha, zastanawiając się, czy ona też kiedyś doczeka się dzidziusia. Jeśli będzie mieć dziecko, dopilnuje, żeby wychowywało się z dala od ludzi – jego życie będzie idealne, nie takie jak jej. Wraz z dzieckiem zacznie wszystko od nowa, zatroszczy się, aby nic mu nie groziło ze strony dłoni, które chcą krzywdzić, ze strony duchów, ze strony starego mężczyzny...

Wczoraj znów się jej pokazał. Laura była przekonana, że to nie duch – był zbyt rzeczywisty jak na zjawę. Siedział w lśniąącym czarnym samochodzie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy i obserwował dom, w którym mieszkała. Dokładnie takimi autami wozi się diabeł na filmach – zatrzymuje się na skrzyżowaniu pośród pustkowi, by zaproponować podwiezienie niczego niepodejrzewającemu wyrzutkowi. Zanim człowiek wsiądzie, diabeł proponuje mu pakt – przejażdżkę do piekła, skąd nie można wrócić. Nawet teraz, mimo że z wolna osuwała się w szaleństwo, Laura zdawała sobie sprawę, że wyobraźnia ją ponosi – tak naprawdę nie było żadnego diabła w czarnym bmw, proponującego przejażdżki pechowym śmiertelnikom. Ten stary mężczyzna był człowiekiem z krwi i kości. Spostrzegłszy zbliżającą się Laurę, uruchomił silnik i odjechał. Odprowadziła auto wzrokiem, gdy bezszelestnie popłynęło w głąb ulicy i po chwili znikło z oczu.

Zupełnie ją zamurowało. Mogłaby przysiąc, że widziała już kiedyś tego człowieka. Odpowiedź, skryta pod postacią symbolu, przyszła do niej w nocy, gdy w końcu zapadła w płytki sen. Mimo że śniąc, rozumiała jej znaczenie, po obudzeniu się w wilgotnej od potu, lodowatej pościeli odkryła, że nie jest w stanie jej sobie przypomnieć.

Kiedy opowiedziała Alinie o starym mężczyźnie, o diable, odniosła wrażenie, że duch dziewczyny stał się jeszcze bledszy, o ile to w ogóle możliwe. Po chwili Alina powiedziała: Nie martw się. Kiedy znów przyjdzie, poradzę sobie z nim.

Rozwiała się w powietrzu, nim Laura zdążyła spytać, jak ma to rozumieć.

Teraz, stojąc przed oknem, otworzyła oczy i zobaczyła miejsce, z którego nocą wołał ją Daniel. Nie miała wtedy siły się z nim spotkać, porozmawiać. Kiedy w końcu poszedł, pękało jej serce. Chciała pobiec za nim. A najchętniej pobiegłaby tak szybko, by zatrzymać upływ czasu, obrócić bieg planety, niczym Superman, i unieważnić to wszystko, co wydarzyło się od sierpnia. Zmienić to, co stało się w tamtym domu. Wówczas ona i Danny znów mogliby być razem, szczęśliwi.

Uświadomiła sobie nagle, że ma mokrą twarz. Płakała.

Spotkaj się z nim, powiedział głos. Porozmawiaj z nim.

Wzięła chusteczkę jednorazową i wydmuchała nos. Otarła załzawione oczy. Czy nadal, nawet teraz, istnieje szansa, że zdoła to naprawić?

Płacz, wycie Oscara wwierało jej się w czaszkę. Nie mogła trzeźwo myśleć. Czuła, że musi wydostać się na zewnątrz. Chwyciła płaszcz i upewniwszy się, że za oknem w ogrodzie nie ma teraz Aliny, wybiegła z domu.



Pół godziny później spacerowała ulicą, przy której nie tak dawno mieszkała. Deszcz poradził sobie ze śniegiem i tylko gdzieniegdzie w ścieku przy chodniku oraz na żywopłotach widać było jeszcze na wpół roztopioną śniegową breję. Nogi same ją tu przywiodły, wbrew protestom głowy. Po drodze przez cały czas powtarzała sobie: Zaraz się zatrzymam. Zaraz zawrócę. Jeszcze chwila. Ale nie umiała się zatrzymać i wreszcie znalazła się u celu. To miejsce, w którym była naprawdę szczęśliwa, przeżyła tu wiele cudownych chwil. Do oczu napłynęły jej piekące łzy. Nagle zrobiło jej się tak strasznie żal. Gdyby tylko...

Była już blisko budynku, w którym mieszkał Daniel, gdy usłyszała hałas – czy to diabeł? – okazało się jednak, że to tylko lis. Zwierzak właśnie się oddalał, był taki piękny. Przystanął na środku ulicy i odwrócił się do Laury. Wtem z piskiem opon z za zakrętu wyłonił się rozpedzony srebrny samochód. Był stary, zdezelowany, w niczym nie przypominał eleganckiego lśniącego wozu, którym poruszał się sędziwy mężczyzna. Gnał w stronę znieruchomiałego lisa. Rozległ się pisk hamulców. Laura zamknęła oczy, pewna, że usłyszy głuchy trzask gruchotanych kości.

Ale kiedy otworzyła oczy, lis znikł bez śladu. Czyżby był pod kołami? Wybiegła na ulicę, gotowa zwymyślać kobietę za kierownicą – a ona wpatrywała się w nią z uśmiechem.

Co w tym śmiesznego?

Drzwi samochodu otworzyły się i wysiadła z niego blondynka. Na palcach miała ciężkie srebrne pierścionki.

– Laura? – spytała. Mówiła z tym samym akcentem co Alina.

– Owszem. A pani kim jest?

– Wsiadaj do auta.

– Słucham?

Kobieta sięgnęła za poję płaszcz, po chwili w jej dłoni błysnął nóż.

– Wsiadaj.

ROZDZIAŁ 39

Edward, odwrócony do mnie tyłem, prowadził rozmowę telefoniczną przyciszonym głosem. Nie mogłem zrozumieć, co mówi. Najwyraźniej policjanci z Brevy znaleźli do pomocy kogoś ze znajomością angielskiego. Constantinowi też się wtedy udało. Bardzo chciałem podsłuchać, o czym rozmawiają. Ale ilekroć próbowałem zajść Edwarda od przodu, odwracał się do mnie plecami. Posyłał mi poirytowane spojrzenia, aż w końcu dałem mu spokój.

Wreszcie rozmowa dobiegła końca.

– No i? – zwróciłem się do niego. – Poszli do domu? Co znaleźli?

– Nic.

– Na miłość boską, mów, co ci powiedzieli.

Uciszył mnie uniesieniem dłoni. Zanim się odezwał, poczekał, aż podam mu kawę. Najchętniej rzuciłbym w niego kubkiem.

– Znaleźli dom, ale twierdzą, że był pusty.

– Jak to... to znaczy, że nikt tam nie mieszka?

– Właśnie. Podobno dom sprawiał wrażenie, jakby od lat nikt tam nie zaglądał. W kredensie nie znaleźli żadnego jedzenia. W pomieszczeniu będącym czymś w rodzaju głównej sypialni stało jednoosobowe zardzewiałe łóżko z materacem. W kuchni żadnych talerzy ani kubków. I ani śladu Constantina. – Pociągnął łyk kawy i skrzywił się z obrzydzeniem. – Jest jednak coś zastanawiającego: jeden z pokoi na najwyższym piętrze sprawiał wrażenie, jakby niedawno został pomalowany. W powietrzu unosiła się charakterystyczna woń świeżej farby. Był jednak zupełnie pusty. W jednym z pozostałych pokoi gliniarze znaleźli trochę

mebli – skrzynie, komodę, jakieś stuletnie krzesła, wszystko owinięte w prześcieradła.

– A więc zwiął. A wcześniej pozbył się dowodów.

Przekląłem pod nosem, choć – prawdę mówiąc – nie liczyłem, że policja cokolwiek znajdzie. W gruncie rzeczy byłem nawet zadowolony z takiego obrotu spraw. Pragnąłem z całego serca, aby to miejsce i wszystko, czego byłem tam świadkiem, zostało zmiecione z powierzchni Ziemi. Naturalnie zależało mi na tym, aby ten, kto odpowiadał za śmierć tych kobiet, Aliny, dzieci, poniósł karę. Zdawałem sobie jednak sprawę, że na to się nie zanosি... Ucieszylibym się, słysząc, że policja puściła całe to domostwo z dymem. Tam zaległo się zło, a świat byłby lepszym miejscem, gdyby przestało istnieć.

– Spytałem go – ciągnął Edward – czy istnieją jakieś urzędowe zapisy wskazujące, kto tam mieszkał. Gliniarz wyjaśnił mi, że zgodnie z danymi rumuńskiego Urzędu Nadzorującego Handel Gruntami, ostatnią mieszkanką domu była kobieta, która zmarła w 1991 roku. Potem, przez ponad dwadzieścia lat, budynek stał pusty.

– Tyle że w rzeczywistości wcale nie.

– Chciałbym porozmawiać z Laurą.

– Po co?

– Ciekaw jestem, czy ona doświadcza podobnych rzeczy co ty. Poza tym... no cóż, chętnie poznam jej wersję wydarzeń.

Złość, która wyparowała podczas naszej wspólnej pracy w kuchni, znów dała o sobie znać.

– Sądzisz, że wymyśliłem to sobie?

– Nie, nie bądź śmieszny. Liczę, że Laura pamięta jakiś szczegół, który tobie wyleciał z pamięci. Może na przykład widziała Camelię w pociągu. A może Laura też na przestrzeni ostatnich tygodni spotykała się z nią.

– O Boże, masz rację.

– Gdzie mieszka?

Podaliśmy mu adres, a on zapisał go w notatniku.

– Może to Camelia próbowała wepchnąć Laurę pod pociąg – jęknąłem. – O Boże. Założę się, że to ona zamordowała Jake’a.

– Camelia? – zdziwił się Rooney. – Ale dlaczego miałyby to zrobić?

– Bo wiedziała, że porozmawiałem z nim. Zaatakowała go, bo liczyła, że zdobędzie potrzebne jej informacje. Musiała założyć, że wcześniej mu je przekazałem. A potem... zabiła go, żeby Jake nie powiedział mi, że złożyła mu wizytę. Albo po prostu się wkurzyła, gdy okazało się, że Jake nic nie wie. – Po namyśle dodałem: – Mnie oszczędziła tylko dlatego, że wciąż ludzi się, że mogę jej dać to, na czym jej tak zależy.

– Ale przecież próbowała cię zabić, prawda? Po to był ten pies.

– Może wtedy chciała mnie tylko nastraszyć?

– Nie wiem, Danielu. To bez sensu. Czy szczupła, drobna kobietka pokroju Camelii zdołałaby obezwładnić Jake’a?

– Żeby zepchnąć kogoś z mostu, wystarczy pozbawić go równowagi. A jak wiemy, ona nie działa w pojedynkę. W zabiciu Jake’a pomagał jej zapewne mężczyzna widoczny na nagraniu monitoringu.

– To kolejny powód, byśmy rozmawiali z Laurą.

– Szkopuł w tym, że ona nie chce mnie widzieć na oczy. Nie pozwala mi się do siebie zbliżyć.

Edward posłał mi cierpki uśmiech.

– A kto powiedział, że ty się do niej wybierzesz?

ROZDZIAŁ 40

Przez całą drogę blondynka nie odezwała się ani słowem. Kiedy stawały na światłach, przyglądała się Laurze we wstecznym lusterku. Laura usiłowała otworzyć drzwi, ale były zablokowane.

Kiedy próbowała wdać się w rozmowę z nieznajomą, spytać, kim jest i co właściwie robi, krtań odmówiła jej posłuszeństwa. W głowie miała pustkę, wszystkie słowa wyparowały. Wszystkie z wyjątkiem trzech.

Wstanierozkładu-wstanierozkładu-wstanierozkładu-wstanierozkładu

– Przestań, do kurwy nędzy – warknęła kobieta.

Laura błyskawicznie uniosła na nią spojrzenie.

– Przestań obgryzać paznokcie.

Wstanierozkładu-wstanierozkładu-wstanierozkładu-wstanierozkładu

Laura wsunęła dłonie pod pośladki.

– Pierdolone korki – mruknęła blondynka.

Laura wiedziała, że musi się wziąć w garść – tylko wtedy dostrzeże szczegóły, które przydadzą jej się później. Kobieta za kółkiem miała wschodnioeuropejską urodę, była bardzo atrakcyjna. Śmierdziała dymem papierosowym. Miała odrosty na włosach. Na palcach nosiła srebrne pierścienie. Na zakrętach, gdy redukowała bieg do dwójki, za późno wciskała pedał sprzęgła, co skutkowało przeraźliwym zgrzytem.

Pragnienie, by znowu obgryzać paznokcie, było niemal nie do zniesienia.

Co jeszcze dostrzegała wokół siebie Laura? Poruszały się skoda, autem, które upodobali sobie taksówkarze. Sprawiało wrażenie wiekowego, jednak nie mogło być bardzo stare, skoro miało zamontowane blokady w tylnych

drzwiach chroniące dzieci przed wypadnięciem. Tapicerka sąsiedniego fotela była rozerwana w jednym miejscu. Posuwały się w kierunku wschodnim – pokonały Islington, potemjechały Essex Road, a teraz dotarły do Hackney. Niedaleko znajdował się Victoria Park. Brnęły dalej zakorkowanymi ulicami, pokonywały kilka metrów, by zaraz znowu stanąć. Na długi czas przyblokował je autobus, potem minęły z boku Hackney Marshes. W końcu dotarły do East London, odnalazły dzielnicę Leyton, przycupniętą pod ponurym zimowym niebem, i zatrzymały się w zacisznej bocznej uliczce. Obok stał budynek, w którym kiedyś mieścił się jakiś sklep, a także dom o zabitych deskami drzwiami. Ogród przed domem był zapuszczony, wybujała roślinność zdawała się wylewać zeń na ulicę.

Blondyna wysiadła. Okrążyła samochód i otworzyła drzwi z tyłu.

– Wysiadaj – warknęła, dźgając nożem powietrze w stronę Laury.

Obeszły dom. Na tyłach ogród jeszcze bardziej przypominał dżunglę niż od frontu. W tylnych drzwiach brakowało paru szybek. Kobieta wetknęła rękę przez dziurę i otworzyła drzwi od środka. Znowu dźgnęła nożem powietrze, nakazując Laurze, by weszła.

Przez głowę przelatywały jej myśli o ucieczce. Ale już drugi raz tego dnia nogi nie usłuchały mózgu.

Zaraz zginę, pomyślała. Z zaskoczeniem odkryła, że taka perspektywa nie napawa ją strachem. Uznała, że śmierć nie byłaby wcale najgorszym rozwiązaniem. Zasłużyła na taki koniec.

We wnętrzu domu panował mrok. W powietrzu zaś unosił się smród zgnilizny –

w stanie rozkładu

– w oprawkach brakowało żarówek. Kobieta zaprowadziła ją do przestronnego salonu. Okna zakryto tu czarnymi workami na śmieci, przez co w środku było całkiem ciemno.

– A teraz gadaj, gdzie on jest, do cholery – warknęła blondyna.

Jaki on?, myślała gorączkowo Laura.

Diabeł, szepnął jakiś głos w jej głowie.

Teraz była już naprawdę przerażona.

Blondynka zmeła w ustach przekleństwo i włączyła telefon. Poświeciła i w bladym świetle zaczęła przetrząsać jakąś szufladę. Po chwili wyciągnęła z niej dwie świece i paczkę zapalek.

Nie grozi mi teraz nożem, uświadomiła sobie Laura. To idealny moment, by rzucić się do ucieczki. Ale znowu, mimo że wydawała im wyraźne polecenie, nogi jej nie posłuchały. Jej uwagę zbyt absorbowało otoczenie – dziwne domostwo, woń, świece, meble z ciemnego drewna. Zupełnie jak w tamtym domu, w którym mieszkało zło...

Kiedy w końcu kobieta odwróciła się do niej, usta wykrzywił jej okrutny uśmiech.

– Wygląda na to, Lauro, że jesteśmy tu tylko ty i ja. Z mężczyzną nie ma żadnego pożytku. – Zaśmiała się gorzko i znów uniosła nóż, kierując jego ostrze w stronę Laury. Gestem wskazała sofę, wyglądającą jak coś znalezionego na wysypisku śmieci. – Siadaj.

– Kim jesteś? – wydusiła z siebie w końcu Laura. – Czego chcesz?

– Chcę cię o coś spytać.

Na podłodze leżała torba Prady – podróbka. Kobieta ukucnęła, otworzyła ją i wyciągnęła ze środka kajdanki. Chwyciła Laurę za ramię, obróciła ją i spięła jej ręce.

– Spróbuj teraz obgryzać paznokcie.

Czubek ostrza noża znalazł się teraz na wysokości jej twarzy.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie. I ani słowa. Zadam ci pytanie, a ty udzielisz mi na nie zgodnej z prawdą odpowiedzi. Jeśli nie, zrobię ci coś, co będzie bolało. I to bardzo. – Po tych słowach chwyciła spód swetra Laury i zadarła go w górę, odsłaniając stanik. – Odetnę ci sutki. Potem wydłubię oczy. A na koniec cię obrzeżam.

Opanowała ją tak wielka zgroza, że nie była w stanie mówić. Powtarzała tylko w myślach: Nie takie rzeczy widziałas. Dasz sobie radę. Pogadaj z nią, spróbuj przemówić jej do rozsądku. To przecież kobieta. Puści cię wolno. Niestety, język, podobnie jak wcześniej nogi, odmawiał współpracy.

– Jeśli mi odpowiesz... – powiedziała kobieta – jeśli powiesz prawdę, wyjdiesz stąd w jednym kawałku. Zrozumiałas?

Mimo że w pokoju panował ziąb, Laura poczuła w tej chwili, że po plecach spływa jej strużka potu. Policzki też miała mokre. Łzy. Bezgłośnie płakała.

– Słuchaj, oto moje pytanie. Kiedy wróciliście z Rumunii, mieliście ze sobą dwa plecaki. Gdzie one teraz są? I co zrobiliście z ich zawartością?

Laura wytrzeszczała oczy na nieznajomą, jakby nie dosłyszała pytania.

– Plecaki?

Z ciężkim westchnieniem blondyna znowu zadarła jej sweter i wsunęła czubek noża pod stanik, w miejscu, gdzie łączyły się dwie miseczki. Laura poczuła na skórze dotyk zimnej stali. Kobieta poruszyła ręką, rozcinając materiał. Miseczki opadły, odsłaniając piersi. Nieznajoma chwyciła ją za prawą pierś i ścisnęła sutek. Laura krzyknęła z bólu.

– Gdzie one są?

– Plecaki? Zostawiliśmy je na posterunku policji. W Brevie.

Kobieta wpatrywała się w nią przez chwilę.

– Nie wierzę ci. – Teraz czubek ostrza powędrował do gardła Laury. – Sprzedałaś to, prawda? Po prostu przyznaj się i będzie po wszystkim.

– Nie wiem... nie wiem, o czym mówisz.

– Kłamiesz! – wrzasnęła jej prosto w twarz kobieta. Laura poczuła, jak kropelki śliny opryskują jej czoło. – Jeśli nie powiesz prawdy, zabiję cię.

– Zostawiliśmy plecaki w Brevie. Przysięgam. Nie rozumiem... Nie wiem, czego właściwie szukasz.

Przez kilka długich sekund kobieta wpatrywała się w nią, w końcu cofnęła się i ku zdumieniu Laury wybuchła histerycznym śmiechem. Dosłownie zwijała się ze śmiechu, z trudem łapiąc oddech. Po chwili uniosła spojrzenie na Laurę.

– Mówisz prawdę?

– Tak. Słowo honoru.

Wtem, równie niespodziewanie jak się pojawił, uśmiech znikł z jej ust.

– Po tym wszystkim. Zostawiliście to w Rumunii. I nie wiesz nawet, o czym mówię, tak? Mój Boże. – Wypowiedziała półgłosem parę słów w obcym języku. Po chwili znów zwróciła się do swojego więźnia: –

W porządku. Zaczekamy, aż tu dotrze, i wtedy sama mu to powiesz. A on zadecyduje, co z tobą zrobić. Ja już wymiękam.

Łup, łup, łup.

Blondyna odwróciła głowę w stronę, z której dobiegał hałas.

– To pewnie on. Nareszcie. Po co ten kretyn tak się dobija? Sam przecież może otworzyć sobie drzwi.

Wyszła z pokoju. Rozległ się szcęk otwieranych drzwi wejściowych. A chwilę potem Laura usłyszała jej krzyk i głuchy odgłos upadku.

Do pokoju wszedł mężczyzna. Wspominając te chwile po fakcie, Laura dziwiła się, że na jego widok nie popuściła w majtki.

To był on.

Diabeł.

– Witaj, Lauro – odezwał się stary mężczyzna.

W dłoni ścisnął żelazną sztabę. Przez długą chwilę, oblizując usta, gapił się na jej obnażone piersi. Wreszcie opuścił sweter, zakrywając goliznę.

– Klucz – szepnął i gdzieś poszedł.

Wrócił niedługo potem, żeby rozpiąć jej kajdanki.

– Chodź ze mną – powiedział. – Zabiorę cię do domu.

Złapał ją za nadgarstek i pociągnął do góry. Następnie objął Laurę ramieniem i ruszyli ku drzwiom. Kręciło jej się w głowie, ledwo mogła ustać prosto. Posuwała się ze wzrokiem utkwionym w podłogę, koncentrując się na tym, żeby nie upaść. Kiedy dotarli do drzwi pokoju, usłyszeli miękki głuchy odgłos, jakby ktoś upuścił na podłogę ciężką torbę.

– Camelia? – odezwał się głos, który Laura już skądś знаła.

Podtrzymujący ją stary mężczyzna z westchnieniem zabrał rękę. Schylił się i podniósł żelazną sztabę.

– Zaczekaj tu – polecił.

ROZDZIAŁ 41

Krążyłem po mieszkaniu, podczas gdy niebo za oknem stopniowo ciemniało. Łamałem sobie głowę nad tym wszystkim, o czym rozmawiałem z Edwardem. Od Claudii Sauvage wiedziałem, że do pokonania zespołu stresu pourazowego niezbędne jest, abym stawił czoło traumatyzującym przeżyciom, usuwał kolejne warstwy ochronne, jakimi obudowałem to wspomnienie w swoim umyśle. Terapeutka twierdziła, że dopiero wtedy będę w stanie naprawdę skonfrontować się z wydarzeniami, które tak mną wstrząsnęły.

Jednak w praktyce wyszło zupełnie inaczej. Kolejne warstwy zostały ze mnie zerwane, spalone, jakby trafił je koktajl Mołotowa ciśnięty do biura Edwarda. I teraz czułem się trochę jak ten facet w Mechanicznej pomarańczy – związany, zmuszony do patrzenia na najstraszliwsze akty przemocy, uchylające zasłonę skrywającą najmroczniejsze zakamarki ludzkiego serca. Bez żadnego ostrzeżenia moje życie obróciło się w koszmar. Kiedy patrzyłem na oprawione zdjęcia wiszące na ścianie w moim pokoju, od razu przypominały mi się tamte polaroidy w domu w lesie. Stając na progu sypialni, widziałem wyniszczone ciało tamtej kobiety przykute łańcuchem do mojego łóżka. Kobieta wykrzywiała usta w uśmiechu, eksponując swoje niekompletne uzębienie. A gdy zza ściany dobiegał płacz dziecka sąsiadów, wyobrażałem sobie, że leży w małej trumience i uderza piąstkami od spodu w pokrywę, próbując się wydostać.

W końcu powlokłem się do kuchni. Dałbym się pokroić za kroplę alkoholu. Niestety, cały jego zapas wcześniej wylałem do zlewu. Ukryłem twarz w dłoniach i przez chwilę oddychałem głęboko, żeby się uspokoić.

Może jeśli skoncentruję się na rozwiązywaniu naszej łamigłówki, przestanie mną tak telepać. Camelia – czego może chcieć? Poszukałem

czystej kartki z zamiarem podsumowania tego, co już wiemy – czy też raczej tego, co – jak sądzimy – wiemy.

Camelia i jej wspólnik dysponowali kluczami do mojego mieszkania. Zapewne zdobyli je w Rumunii, co wskazywałoby, że to ci sami ludzie, którzy okradli nas w pociągu.

Włamali się, przeszukali mieszkanie, ukradli, po czym zwrócili laptopa. Zapewne przeglądali jego zawartość, jednak nadal otwarte pozostawało pytanie: dlaczego go oddali? Odzyskawszy komputer, przeskanowałem system i dane pod kątem wirusów i oprogramowania szpiegującego i nie znalazłem nic niepokojącego.

A potem przyprowadzili psa.

Wreszcie, Camelia dwukrotnie próbowała mnie uwieść. Za drugim razem jej się udało. Kiedy jednak okazało się, że nie jestem w stanie udzielić informacji, na jakich jej zależało, straciła mną zainteresowanie.

Czego chciała się ode mnie dowiedzieć?

Miało to związek z działaniem niezgodnym z prawem.

Zamknąłem oczy i wróciłem w myślach do nocy, gdy wylądowaliśmy w przedziale sypialnym. Złodziej – Camelia – zabrał wtedy nasze paszporty, pieniądze, bilety i klucze. W plecakach przewoziliśmy również inne wartościowe rzeczy, dlaczego zatem nimi wzgardził? Kiedy spałem, zostawiłem telefon leżący na mojej piersi. Nic prostszego, niż go zabrać, jednak złodziej z jakiegoś powodu go zostawił.

Dlaczego?

Ponieważ... Wyczuwałem, że jestem o krok od znalezienia odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. Dlaczego zniknęły wyłącznie przedmioty, bez których nie mogliśmy kontynuować naszej podróży po Europie? Utrata paszportów oznaczała, że będziemy musieli wrócić do ojczyzny. Czy złodziejom zależało na sprowadzeniu nas z powrotem tutaj? A może na tym, abyśmy opuścili Europę Wschodnią? Sprawiało to niemal wrażenie psikusa, czegoś zrobionego dla żartu. No bo jaki interes złodzieje mogli mieć w wysyłaniu nas z powrotem do Anglii?

Usiadłem, tknięty nagłą myślą. Czy to znaczyło, że kradzież była tylko zmyłką?

Przywołałem w pamięci nagranie z kamery monitoringu. Jeden z włamywaczy przeszukujący szuflady, zaglądnący do szafek, podczas gdy drugi trzymał psa na smyczy. Czy na pewno przyprowadzili zwierzę, żeby mnie zaatakowało? Po co takie kombinacje, skoro jeśli chcieli mnie dopaść, mogli to zrobić w dowolny sposób? Po jaką cholere angażować w to psa? Przypomniałem sobie tamten lekko ziarnisty obraz – węszący pies na napiętej smyczy.

– Kurwa mać! – krzyknąłem.

Ten pies węszył.

W końcu to do mnie dotarło.



Gdy czekałem na Edwarda, czas włókł się niemiłosiernie. W końcu usłyszałem, jak jego wóz hamuje przed domem, a chwilę potem zadzwonił domofon. Do tego czasu zyskałem już pewność, że moje domysły są słuszne. Wiedziałem, czego szukała Camelia. Wiedziałem, o co w tym wszystkim chodzi.

Narkotyki.

To stanowiło najlepsze wyjaśnienie tych dziwnych wypadków. Camelia i jej wspólnik podrzucili Laurze i mnie do plecaków narkotyki. Następnie zabrali nam paszporty, bo w ten sposób zyskiwali pewność, że wrócimy do Anglii. Byliśmy idealnymi kurierami – dwoje Anglików z klasy średniej, o wyglądzie budzącym szacunek, niczym się niewyróżniających, zachowujących się naturalnie, ponieważ błogo nieświadomych tego, co przewożą. Zapewne plan przewidywał, że handlarze przechwycą nas po powrocie do Londynu i odbiorą nam narkotyki, zanim sami je znajdziemy.

Oczywiście nie spodziewali się, że zostaniemy wyrzuceni z pociągu. Ani że zostawimy plecaki na posterunku policji w Brevie. Nie umiałem opanować śmiechu, gdy się teraz nad tym zastanawiałem. Ile bym dał, by zobaczyć ich miny, gdy zrozumieli, co się stało. A potem uderzyła mnie inna myśl – co by się stało, gdybyśmy nie zostawili plecaków na posterunku policji. Śmiech zamarł mi na ustach, kiedy zrozumiałem, co by

nas czekało, gdybyśmy zostali przyłapani na próbie przeszmugłowania narkotyków.

Jeszcze raz przeanalizowałem fakty. Złodzieje włamali się do mnie, przeszukali mieszkanie, potem wrócili z psem w nadziei, że zdoła wywęszyć narkotyki. Kiedy czworonóg nic nie znalazł, sfrustrowani postanowili, że go zostawiają, może żeby w ten sposób mnie ukarać. Potem Camelia próbowała podejść mnie z innej strony, zapewne przekonana, że sprzedam narkotyki. I to właśnie było owo niezgodne z prawem działanie, o które ciągle mnie wypytywała.

W uniesieniu, w jakie wprawiła mnie świadomość, że rozwikłałem tę zagadkę, pominąłem jednak pewną zasadniczą kwestię: jaki to miało związek z całą serią innych osobliwych i przerażających wypadków, których byłem świadkiem? Na przykład co napastnicy chcieli osiągnąć, wrzucając do biura Edwarda koktajl Mołotowa? Czy zamordowali Jake'a? A jeśli tak, to dlaczego? I po co mieliby próbować wepchnąć Laurę pod tory nadjeżdżającego pociągu, zamiast wydobyć od niej cenne informacje? Gdybym zastanowił się nad tym, musiałbym dojść do wniosku, że te akty przemocy nie pasowały do reszty układanki. Poza tym gdybym był bezwzględnym handlarzem narkotyków, nie bawiłbym się w takie ceregiele. Ktoś taki zacząłby się tutaj na mnie, porwał i poddawał torturom, dopóki nie wyśpiewałbym prawdy.

To jednak nie zmieniało faktu, że rozgryzłem zagadkę włamań. Niepokoiło mnie jeszcze coś: dlaczego tak długo czekali, nim przystąpili do działania? Przecież od naszego pobytu w Rumunii minęły trzy miesiące. Jak wytłumaczyć tę zwłokę?

Wreszcie w mieszkaniu zjawił się Edward. Zanim zdążyłem otworzyć usta, żeby podzielić się z nim moim odkryciem, oświadczył:

– Nie zgadniesz, co widziałem.

Zaprowadził mnie do salonu, jak gdyby to było nie moje, lecz jego mieszkanie. Rzucił się na tapczan, ja natomiast nadal stałem.

– No więc... poszedłem pod ten adres Laury, który mi podałeś. Zaparkowałem i zobaczyłem kobietę stojącą przy furtce. To była ona – stwierdził, wskazując palcem zdjęcie Laury wiszące na ścianie. – Zamierzałem wysiąść z auta i zawołać ją, ale nie zdążyłem, bo skierowała

się do ogrodu. Zachowywała się... Cóż, nie znam jej, nie wiem, jaka jest na co dzień. Jednak jej zachowanie było ewidentnie dziwne, jakby była w szoku. Sprawiała wrażenie, jak gdyby nie docierało do niej, gdzie jest. Podszedłem do furtki. Z ogrodu dolatywał głos kobiety, ale nikogo tam nie widziałem. Nie chciałem jej przestraszyć, bo wtedy straciłbym szansę na rozmowę z nią. Ale równocześnie byłem ciekaw, co właściwie robi. Rozmawiała z kimś? Słyszałem tylko głos jednej kobiety. Brzmiał, jakby była przerażona... wręcz na granicy hysterii.

– Ostatnio przez cały czas taka jest.

– Otworzyłem furtkę i zacząłem skradać się do ogrodu. Teraz widziałem ją już dokładnie. Gestykulowała z ożywieniem, jakby chciała na migi pokazać moment, gdy jedna osoba uderza drugą. I wtedy uświadomiłem sobie, że ona z kimś rozmawia...

Edward zrobił dramatyczną pauzę.

– Opisz mi wygląd Aliny – poprosił.

– Wysoka, szczupła, blada. Czarne włosy z czerwonymi pasemkami. Miała na sobie czarną skórzaną kurtkę i czarne jeansy. W sumie całkiem atrakcyjna, o ile ktoś gustuje w gotkach. A czemu pytasz?

– Bo to z nią rozmawiała Laura.

– Co takiego? Ale przecież...

– Danielu, Alina żyje. Widziałem ją na własne oczy. No chyba że nauczyłem się dostrzegać duchy, co jest raczej mało prawdopodobne.

CZĘŚĆ PIĄTA

RUMUNIA

SIERPIEŃ–LISTOPAD 2013

ROZDZIAŁ 42

Kiedy Alina znalazła się pośród drzew, zatrzymała się i zadarła głowę. Czarne splecione gałęzie na tle nieba, z którego sączyła się błada, wodnista księżycowa poświata. Była dziewczyną wychowaną w mieście. Niestraszne były jej mroczne przejścia podziemne ani owiane złą sławą blokowiska Sybina. Wolała najgorsze zakamarki miasta od tego przyprawiającego o ciarki miejsca, w którym panowała złowieszcza cisza.

No ale teraz chciało jej się łąć. A sikanie na oczach tej angielskiej parki nie wchodziło w grę, mimo że oboje obiecali, że odwrócą wzrok. Alina postanowiła, że wejdzie tylko parę kroków w głąb lasu, tuż przy jego granicy. A potem podejmą marsz, a ona spróbuje jakoś uratować pierwotny plan, mimo że zaszyły nieprzewidziane okoliczności.

Ten plan to był pomysł Iona. Ten cały Ion... nadal nie mogła się zdecydować, czy lubi tego gościa, czy nie bardzo. Jasne, był przystojny, pewny siebie i radził sobie w łóżku – facet bez kompleksów, w przeciwieństwie do niektórych wrażliwców, pisarzy i artystów, z którymi zadawała się wcześniej. Kiedy Ion w rozmowie z Danielem stwierdził, że pisze książkę, mało brakowało, a parsknęłaby śmiechem. To była gadka, którą stosował były facet Aliny. Ion podpatrzył ją u niego, mimo że regularnie się z niego nabijał. Teksty o rzekomej współpracy przy tworzeniu powieści graficznej też były ściemą. Iona guzik obchodziła twórczość plastyczna Aliny. Podobało mu się, kiedy rysowała gołe laski. Namawiał ją wtedy, żeby dorysowała im obfitsze biusty i większe tyłki. W sumie to był z niego zwyczajny kretyn. Miał gadane, ale to wszystko. W gruncie rzeczy to tylko cwaniaczek z ambitnymi planami. Nie był typem agresywnego bandziora. W przeciwnym razie Alina by się z nim nie związała.

Postanowiła już, że gdy będzie po wszystkim i dostanie swoją dolę, zerwie z nim. Kasa pozwoli jej doprowadzić prace nad powieścią graficzną do końca. Zatytułowana była Mirela, opowiadała o dziewczynie, która zostaje zamordowana przez szajkę seryjnych morderców, a potem ożywa i szuka zemsty. Odnajduje po kolei swoich oprawców i morduje ich na przeróżne niezwykle wymyślne sposoby. Pracowała nad nią już dwa lata, zanurzając się w świecie opowieści o krwi i odkupieniu. Poświęcała temu każdą wolną chwilę, na jaką pozwalała jej główniana praca kelnerki.

Podjeżdżała, że kiedy porzuci Iona, facet nawet tego nie spostrzeże. Ion będzie wtedy przy kasie. Alina zdawała sobie sprawę, że leci na Camelię, która w zeszłym roku wyjechała do Londynu, marząc o dorobieniu się tam majątku. Podobno znalazła tam robotę w klubie ze striptizem. Właściwy człowiek na właściwym miejscu. Ta laska już w wieku czternastu lat nie miała żadnych oporów, by obnażać się przed chłopakami za kasę. Już wtedy handlowała swoją urodą – dość wulgarną, charakterystyczną dla dziwek. Alina wróżyła jej dwie drogi: albo hajtnie się z jakimś milionerem, albo ktoś ją zaciuka w ciemnym zaułku. Tak czy inaczej, o losie Camelii mieli rozstrzygnąć mężczyźni.

Alina była inna. Zależało jej na tym, by samodzielnie decydować o swoim życiu. Jej sukcesy i porażki zależały wyłącznie od talentów i szczęścia. Pogodziła się już z myślą, że niekiedy w jej pogoni za spełnieniem muszą ucierpieć osoby postronne. Przykładowo, żałowała, że zrujnowała tej angielskiej parze wyjazd, lecz wyrzuty sumienia nie spędzały jej snu z oczu. Ci ludzie mieli kasę, byli w czepku urodzeni i nawet nie zdawali sobie sprawy z tego, jak bardzo są uprzywilejowani. Cechowała ich miękkość, łatwowierność. Poza tym cóż im groziło? Jak słusznie zauważył Ion, ludzi tego pokroju – przyzwoitych Anglików z klasy średniej – ochrona nie przeszukuje na lotniskach. Teraz, gdy stracili paszporty, ich wielka podróż zostanie przedwcześnie przerwana. Ach, wielka tragedia! Wrócą do ojczyzny, wezmą ślub, dorobią się dzieciaków i wkrótce zapomną o całej sprawie. A najlepsze w tym planie było to, że nigdy nie dowiedzą się, co przesmuglowali przez odprawę celną. Będą żyć w błogiej nieświadomości, podczas gdy Ion, Alina i – niestety – Camelia wreszcie dowiedzą się, co to znaczy mieć pieniądze.

Zaczął się od szczęśliwego trafu. Ion znał niejakiego Krisa, który obrobił dilerów w Sybinie. Kris dał skradzioną kokainę Ionowi na przechowanie, podczas gdy sam starał się przekonać dilerów o swojej niewinności. Ion, który zawsze marzył o życiu gangstera, ale nie miał odwagi, żeby coś zrobić w tym kierunku, przystał na plan Krisa. Myślał, że przy okazji zaimponuje swoim koleżkom. Oczywiście okradziony diler i ludzie z jego gangu zaczęli torturować Krisa, a w końcu go zabili. Ion, przekonany, że jest następny na liście do odstrzału, zaproponował Alinie, żeby na jakiś czas zmyli się z kraju. Ich wyjazd przedstawił jako romantyczny wypadek we dwoje.

I właśnie wtedy los się do nich uśmiechnął. Dotarli na Węgry, kiedy Iona doszły słuchy, że dilerzy zostali aresztowani i oskarżeni o morderstwo Krisa. To oznaczało, że spędzą sporo czasu za kratkami. Ion poinformował wtedy Alinę, że w walizce przewozi pół kilo czystej kokainy.

Alina wpadła w furję. Jej partner, niczego jej nie mówiąc, przeszmuglował narkotyki przez węgierską granicę. Czy naprawdę był tak tępym, że nie zdawał sobie sprawy, co im groziło, gdyby złapano ich z taką ilością kokainy? Dożywocie. Obojgu.

Ale Ion miał plan i wtajemniczył Alinę w jego szczegóły. Przewidywał udział Camelii, co momentalnie zraziło Alinę. Jak się jednak okazało, Ion porozmawiał już z tą kurewką, a ona zapewniła go, że poznała w klubie ze striptizem kogoś, kto byłby zainteresowany zakupem towaru.

– Nie mogę odesłać go z powrotem do Rumunii – stwierdził Ion. – Za duże ryzyko. Gdyby dowiedzieli się o tym ludzie z gangu, do których pierwotnie należały te prochy, byłbym trupem.

Dlatego niezbędne było wysłanie kokainy do Londynu.

Alina wpatrywała się zdumiona w swojego partnera. Wywiezienie prochów na Węgry już było debilnym pomysłem. A teraz mieliby je przetransportować samolotem albo łodzią do Wielkiej Brytanii? Czyste szaleństwo. Podczas kłótni na temat pociągów linii Eurostar, gdy spierali się o to, jak ryzykowne jest przewożenie nimi narkotyków, Ion powiedział coś, co wprowadziło Alinę w osłupienie. Stwierdził, że jego na pewno by trzepali podczas odprawy celnej, bo już kiedyś został skazany za posiadanie narkotyków, o czym ona nie miała dotąd pojęcia.

– Ale ty mogłabyś je przesz muglować – powiedział. – Jeśli naprawdę mnie kochasz...

– A skąd ci przyszło do głowy, że cię kocham? – oburzyła się. – Nie zrobię tego. Nie mam zamiaru wylądować w więzieniu.

Ich sprzeczka trwała jeszcze jakiś czas, wreszcie Ion stwierdził:

– W takim razie musimy znaleźć kogoś, kto przeniesie dla nas towar.

Postanowili, że w tym celu wrócą do Sybina w Rumunii. Oznaczało to konieczność ponownego przekroczenia granicy, ale pocieszali się myślą, że pogranicznicy w tym pociągu są zaspani. Jeśli w drogę powrotną udadzą się nocnym kursem, powinni dać im spokój.

Parę Anglików zauważyli na Dworcu Keleti w Budapeszcie. Nie przypominali typowych młodych Europejczyków z plecakami. Sprawiali wrażenie nadzianych: wydawali się schludniejsi, facet obnosił się z kosztownym aparatem fotograficznym. Ion przytulił Alinę i szeptem zdradził jej swój pomysł. Plan wydał jej się wariacki.

– Możemy przecież pojechać na lotnisko i tam znaleźć parę Anglików – zaproponowała.

Ion pokręcił z powątpiewaniem głową.

– I niby jak podrzucimy tam komuś narkotyki? Teraz nadarza się idealna okazja.

Znowu długo się spierali. W końcu Ion z westchnieniem powiedział:

– Zobaczmy, jak rozwinie się sytuacja.

Alina się zgodziła. Była niemal pewna, że nic z tego nie będzie: wrócą do Rumunii, a prochy razem z nimi.

Ale niedługo potem los się do nich uśmiechnął. Ion zagadał do Anglików, wcisnął im gadkę o tym, jak to wybierają się na spotkanie z rodzicami Aliny. Nawiasem mówiąc, nieżyjącymi. Na początku Alina czuła się niezręcznie, ci zamożni Brytyjczycy onieśmielali ją. Ale w końcu dotarło do niej, że nie ma powodu, by tak się czuć. Postanowiła, że będzie odgrywać swoją rolę i zachowywać się przyjaźnie. W sumie to całkiem polubiła tych dwoje, zwłaszcza Laurę, która okazała się sympatyczna i wcale nie zadzierała nosa, o co na początku posądzała ją Alina. Kiedy tamten obleśny koleś gapił się na Laurę, szczerze jej współczuła. Daniel też

był w porządku, choć ewidentnie lubił, kiedy rozmowa dotyczyła jego. Ale nawet wtedy Alina nie wierzyła, że nadarzy się sposobność, by podrzucić kokainę tej parze. No chyba że udałoby się zwabić ich do wagonu barowego albo oboje w tym samym czasie wyszliby do toalety, pozostawiając bagaże pod opieką swoich nowych znajomych.

Sytuacja zmieniała się, gdy Ion zwrócił uwagę na wolny przedział sypialny. Zdołał nakłonić Anglików, by przespali się chwilę, obiecując przy tym, że w tym czasie on i Alina będą pilnować, czy nie nadchodzą pogranicznicy. Kiedy Anglicy zniknęli w przedziale, przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. W końcu Ion rzucił:

– Zaczekaj tu.

Wstał i gdzieś poszedł, zabierając ze sobą swoją torbę. Wrócił spocony pięć minut później.

– No i? – spytała szeptem Alina.

– Zrobione – odparł, również szeptem. – Śpią jak susły. Do każdego plecaka włożyłem dwieście pięćdziesiąt gramów towaru. Oboje na dnie plecaków trzymali reklamówkę z brudną bielizną. To właśnie tam ukryłem prochy.

– W brudnej bieliźnie?

– Właśnie. Zastanów się, raczej mało prawdopodobne, żeby w drodze do domu chcieli im się robić pranie. Gwizdnąłem im paszporty, bilety i karty kredytowe. Mam też klucze, na wypadek gdyby Camelia ich potrzebowała. I telefon tej laski, całkiem fajny Samsung. Telefonu Daniela nie wzięłem, bo korzysta ze starego i mocno przechodzonego iPhone'a 5 z pękniętym ekranem dotykowym. Nie rozumiem, dlaczego ludzie bardziej nie dbają o swoje gadżety...

Alina pokręciła zdecydowanie głową.

– Co ty gadasz? A co z pogranicznikami? Co się stanie, gdy zażądają od nich paszportów? Przecież mogą zostać aresztowani.

– Niby za co mieliby ich aresztować? Właśnie na tym polega genialność tego pomysłu. Pogranicznicy poinstruuja ich, że muszą opuścić terytorium Rumunii. Będą mogli dojechać pociągiem do stacji docelowej, po czym natychmiast zwijać manatki i wracać do ojczyzny. Podejrzewam, że

odwiozą ich na lotnisko i wsadzą do najbliższego samolotu lecącego do Anglii. W każdym razie będą musieli wracać do domu.

– Faktycznie genialne – parsknęła. Ion zrobił obrażoną minę.

– Dlaczego ciągle się mnie czepiasz? Kiedy dostaniesz kasę, nie będziesz tak wydziwiał.

Ta uwaga sprawiła, że poczuła lekką skruchę.

– Przepraszam.

Odchrząknąwszy głośno, Ion stwierdził:

– No dobra. Umieram z głodu. Wagon barowy powinien już być otwarty. Pójdę wrzucić coś na ruszt. A pod moją nieobecność możesz zastanowić się, dlaczego zachowujesz się wobec mnie jak wredna suka.

Odprowadziła go wzrokiem, gdy ruszył w przeciwnym kierunku do tego, gdzie znajdowały się wagony z kuszetkami. Odczuwana przed chwilą skrucha obróciła się w złość. Miała dość bycia nazywaną suką. Może powinna umieścić Iona w swoim komiksie, pośród mizoginów ginących z ręki Mireli...

Parę minut po zniknięciu Iona w wagonie zjawili się funkcjonariusze straży granicznej. Obudzili paru drzemających pasażerów i sprawdzili im paszporty. Dłuższy czas rozmawiali przyciszonymi głosami z jednym z pasażerów, którego Alina nie widziała ze swojego miejsca.

Była spięta, spociła się z nerwów. W przeciwieństwie do Iona wcale nie była pewna, co się stanie, gdy pogranicznicy odkryją, że para Anglików podróżuje bez paszportów. A co, jeśli przeszukają ich bagaże? Ich plan spaliłby na panewce, nim na dobre wszedł w fazę realizacji. Inna sprawa, że nie dało się w żaden sposób powiązać jej i Iona z narkotykami. No ale musieliby się pożegnać z pieniędzmi, na które Alina bardzo liczyła. Starła się uspokoić, jednak gdy pogranicznicy podeszli do niej, ręce jej się trzęsły i upuściła paszport na podłogę, co oczywiście poirytowało funkcjonariuszy. Z jakiegoś powodu byli w fatalnym nastroju i zachowywali czujność. Przewidywanie Iona, jakoby pogranicznicy w nocnym pociągu relacji Węgry–Rumunia mieli być półprzytomni, można było włożyć między bajki. W momencie gdy podnosiła paszport, ktoś minął jej miejsce,

zmierzając w stronę przedziałów sypialnych. Schylona Alina zobaczyła tylko nogi nieznanego.

Zadawszy jej kilkanaście pytań, od których spociała się jak ruda mysz, strażnicy dali jej spokój i ruszyli w kierunku wagonu z kuszetkami. Gdzie podziewał się Iona? Pewnie podrywał jakąś panienkę w wagonie barowym. Alina wstała, przeszła na drugi koniec wagonu i zajrzała do sąsiedniego, jednak Iona tam nie było. Kiedy się odwróciła, zobaczyła mężczyznę w podeszłym wieku, któremu pomogła wsiąść na stacji. Szedł w jej stronę, zapewne wracał na swoje miejsce po wizycie w toalecie, znajdującej się tuż przed wagonem z kuszetkami. Uśmiechnęła się do niego i zaczęła, aż zajmie miejsce. Potem ruszyła w stronę wagonu z przedziałami sypialnymi i zajrzała do środka przez brudną szybę.

Dostrzegła pograniczników stojących przed drzwiami do jednego z przedziałów – czyżby tego, w którym spali Daniel i Laura? W pewnym momencie jeden ze strażników biegiem ruszył w stronę Aliny. Mało brakowało, a zderzyłby się z nią, wpadając przez drzwi. Przebiegł cały wagon i zniknął na jego końcu. Alina wróciła na swoje miejsce i czekała na Iona. A co, jeśli jej facet pomylił się w przewidywaniach na temat tego, jak zachowają się pogranicznicy? Co, jeżeli aresztowali Anglików i przeszukali ich bagaże? Nagle dopadły ją wyrzuty sumienia. Polubiła tę parę. Zrobili na niej wrażenie sympatycznych, nieszkodliwych młodych ludzi. Szczęśliwa parka z widokami na przyszłość – planująca ślub i założenie rodziny. Przecież gdyby pogranicznicy znaleźli przy nich prochy, oznaczałoby to dla nich katastrofę. A także, pomyślała egoistycznie, pieniądze obiecane jej przez Iona wyparowałyby bezpowrotnie.

Po chwili w wagonie znów zjawił się funkcjonariusz straży granicznej, w towarzystwie konduktora. Alina przytrzymała drzwi łączące wagony i usłyszała dolatujące z sąsiedniego podniesione głosy. Rozpoznała głos Daniela, który głośno protestował. Jak powinna się zachować? Paszporty i bilety Anglików znajdowały się w torbie Iona. Teoretycznie mogłaby je zanieść pogranicznikom i wyjaśnić, że wypadły Brytyjczykom i zostały na fotelach, które wcześniej zajmowali.

A może powinna pogadać z mundurowymi, przekonać ich, że widziała wcześniej, jak Anglicy okazują bilety i paszporty ich węgierskim kolegom. Może zdołałaby im wytłumaczyć, że młodzi ludzie rzeczywiście padli

ofiara kradzieży oraz że jako niezorientowani w miejscowych obyczajach obcokrajowcy nie wiedzieli, że nie powinni korzystać z przedziału sypialnego... Uznała, że ten pomysł ma największe szanse powodzenia. Weszła do sąsiedniego wagonu i dołączyła do grupy stojącej u drzwi przedziału.

Tylko że w praktyce wyszło inaczej, niż chciała.

Oględnie rzecz ujmując.



Zagłębiając się w las, słyszała trzaski pękających pod jej butami gałązek. Szła ze wzrokiem utkwionym w miejsce parę kroków dalej, w którym będzie mogła się wysikać. Na wspomnienie przebiegu rozmowy z pogranicznikami chciało jej się śmiać. Zachowywali się agresywnie, nazwali „brudną punkową”. No i wtedy się wkurzyła, straciła panowanie nad sobą i rzuciła im w twarz, że są „faszystowskimi sługusami”. Mężczyźni w mundurach mieli dość, została zaprowadzona do swojego wagonu – Ion nadal nie wrócił – poczuła, jak pociąg hamuje, a już po chwili ona i Anglicy wylądowali na stacyjce na zadupiu. Została bez telefonu i bez pieniędzy. Nie mogła się doczekać, aż znajdzie automat telefoniczny. Przedzwoni do Iona, żeby powiedzieć mu, że ma go za skończonego idiotę i że jest winny wszystkiemu, co się stało.

Rozpięła jeansy i opuściła je. Kucanie w tak ciasnych spodniach wymagało ciągłego balansowania dla zachowania równowagi – z jednej strony groziło, że przewróci się do tyłu, z drugiej, że obsika sobie ciuchy. Cóż za kuriozalna sytuacja. W końcu rozwiązała sznurówki jednego buta i ściągnęła go, po czym wyswobodziła nogę z nogawki. W porządku, to powinno wystarczyć. Dobrze, że znalazła ustronne miejsce. Sikanie ze ściągniętymi do połowy spodniami na oczach Anglików byłoby krępujące.

Kiedy znów kucnęła, pomyślała, że pomimo nieprzewidzianej przeszkody sytuacja nie była beznadziejna. Ich pierwotny plan nadal mógł się powieść. Nikt nie odkrył kokainy w plecakach Daniela i Laury. A teraz, pozbawieni paszportów i dostępu do pieniędzy, będą musieli wrócić do ojczyzny. Kiedy dotrą do miasteczka, złapią stopa albo sprzedadzą ten swój fikuśny aparat fotograficzny i za uzyskane pieniądze kupią bilety kolejowe.

Alina pojedzie z nimi do Bukaresztu, dopilnuje, żeby wsiedli na pokład samolotu lecącego do Londynu, i przekaze Camelii numer lotu. Camelia będzie musiała przechwycić ich na miejscu, w czym pomoże jej któryś z szemranych znajomych. Raczej mało prawdopodobne, by Daniel i Laura stawili opór parze uzbrojonych w noże rabusiów.

Tak, to mogło się udać. A wówczas Alina zyska swoją dolę. I nikt nie ucierpi, jeśli nie liczyć pechowej pary Anglików, której zrujnowali wakacyjny wyjazd.

Kiedy skończyła sikać, wstała, podciągnęła majtki i wsunęła nogę z powrotem do nogawki. Kiedy sięgnęła po but, usłyszała hałas. Serce jej zamarło.

Czy ktoś tam był? Wbiła wzrok w otaczającą ją ciemność. Kolejne hałasy – trzaski, szelest, dźwięk pęknięcia. Zanim zdążyła krzyknąć, czyjeś dłonie wynurzyły się z mroku: jedna zatkała jej usta, druga zacisnęła się na gardle. Poczła ciepły oddech przy swoim uchu i głos szepnął, że jeśli będzie się wyrywać albo spróbuje zawołać, zginie.

ROZDZIAŁ 43

Gdzie, do kurwy nędzy, podziewała się Alina?

Odkąd Ion wrócił do Sybinu, to pytanie nie dawało mu spokoju. Towarzyszyło mu przy jedzeniu, w kiblu, nawiedzało go nawet we śnie. Minęły już ponad dwa dni, odkąd widział ją stojącą na peronie. Jej postać stawała się coraz mniejsza, w miarę jak pociąg przyspieszał. Obok niej stała para Brytoli, z plecakami u stóp. Ion wbijał spojrzenie w bagaże, w których kryły się warte fortunę narkotyki. Kiedy w końcu plecaki znikły mu z oczu, z nerwów rozboleł go brzuch.

W obawie, że ściągnie na siebie uwagę pograniczników, w końcu oderwał się od okna i usiadł. Powtarzał sobie, że sytuacja jest jeszcze do naprawienia. Alina będzie mieć Anglików na oku. Dopilnuje, żeby polecieci do Londynu. Ponieważ nie mieli pieniędzy, możliwe, że minie trochę czasu, nim dotrą do Bukaresztu i złapią lot. Ale Alina to obrotna dziewczyna. Mimo że ciągle przekonywał ją o swoim geniuszu, Ion zdawał sobie sprawę, że góruje nad nim inteligencją. Żałował, że jego też pogranicznicy nie wyrzucili z pociągu albo że nie zorientował się w porę, co się dzieje, bo wówczas mógłby sam wyskoczyć. Niestety, zbyt pochłonęło go bajerowanie fajnej laski w wagonie barowym. Całe szczęście, że pogranicznicy nie wyrzucili samych Brytoli. Gdyby znaleźli się sami w tej głuszy, pewnie poleźliby w las i zżarłyby ich niedźwiedzie.

Pozostawało mu czekać. Spał teraz bardzo dużo, żeby uciec przed stresem, zupełnie jak domowy kot. Pilnował, żeby bateria w telefonie była stale naładowana i żeby mieć przy sobie aparat. Kiedy zachciało mu się maryśki, sprzedał Samsunga podwędzonego tej Brytyjce. A potem spędził parę błogich godzin w krainie konopi. W tym czasie oglądał sporo

pornosów na swoim starym komputerze. I czekał, aż Alina zadzwoni albo zapuka do drzwi.

Ale czas mijał, a ona nie wracała.

Gdzie ona, do kurwy nędzy, się podziewała?

ROZDZIAŁ 44

Alina obudziła się i próbowała obrócić się na drugi bok. I znowu odkryła, że ma związane nogi. Tak wyglądał u niej teraz każdy poranek – próbowała poruszyć nogami i nagłe szarpnięcie wyrywało ją ze snu, zaraz też przypominała sobie, że nogi na wysokości kostek przykute ma łańcuchem do łóżka. Widziała światło dnia sączące się przez szpary między deskami, którymi zabito okna, i błyskawicznie wracała do niej cała groza sytuacji, w jakiej się znajdowała.

Kiedy mijał pierwszy szok, zawsze siadała na łóżku – łańcuch był na tyle długi, że mogła usiąść – i zerkła do dziecięcego łóżeczka, żeby upewnić się, że z małym Luką wszystko jest w porządku. Wiedziała, że lada chwila zjawi się potwór, wyciągnie malca z łóżeczka i poda jej. A ona weźmie dzieciątko na ręce i będzie je tulić, zasypując pocałunkami jego główkę, miękką wrażliwą skórę widoczną pod meszkiem. I nawet gdy niemowlę będzie zanosić się płaczem, nie będzie jej to przeszkadzać. Mimo wszystko – mimo okropieństw, jakie wycierpiała z ręki potwora, mimo paralizującego lęku, że prędzej czy później podzieli los matki Luki – dopóki mogła opiekować się niemowlęciem, wiedziała, że przetrwa wszystko.

Kiedy usłyszała kroki na schodach, spięła się w sobie. Czasami mężczyzna przynosił jej śniadanie: bułki, wodę, mięso. Podejrzewała, że mięso pochodzi od zwierząt, które upolował w lesie. Podczas gdy jadła, gospodarz krążył po pokoju. Przeglądał polaroidowe zdjęcia na ścianie niczym zwiedzający jakąś koszmarną wystawę. Pierwszej nocy w pokoju stała trumienka, ale potem zniknęła.

Potwór był niższy od niej, podobnie jak Ion. Miał garbaty nos i pozlepiane w strączki włosy w szurzym kolorze. Czubek czaszki był

łyse, a pokrywająca ją skóra pełna była blizn. Jej bladość pozwalała się domyślać, że człowiek ten nigdy nie wychodzi na słońce. Dodatkowo skórę wiecznie pokrywała warstwa brudu. Między żółtymi zębami ziały szpary, jego język miał biały nalot.

Czasami, kiedy przychodził na górę, nie zwracał na nią uwagi. Podawał jej dziecko, butelkę mleka, a zanim sobie poszedł, zdejmował łańcuch krępujący jej nogi. Mogła wówczas swobodnie poruszać się po pokoju, bawić się z Luką. Starła się unikać oglądania polaroidów, ukazanych na nich dzieci i kobiet, które zmarły w tym domu. Wiedziała, że pośród tych fotografii znajduje się też zdjęcie Luki. Wprawdzie potwór jednego ranka pochylił się nad nią i błysnął flesz aparatu, jednak na razie nie dodał do kolekcji polaroida z Aliną. Może czekał, aż umrze. Może tak to się zawsze odbywało.

Potwór zostawiał jedzenie dla Luki – dziecięce przeciery w słoiczkach – a także szampon, maści i pampersy. Do jej zadań należało pilnowanie, aby dziecko było nakarmione, czyste i zdrowe. Alina szybko się zorientowała, że na tym będzie odtąd polegać jej rola: została nianią niewolnicą. I w sumie mogłaby to jakoś znieść – jasne, jej położenie było nie do pozazdroszczenia, ale do wytrzymania – gdyby nie inna rola, jaką przydzielił jej potwór.

Zdarzały się bowiem poranki, raz czy dwa razy w tygodniu, gdy zdierał z niej koc, przywiązywał nadgarstki do rdzewiejących metalowych elementów łóżka. Następnie wyciskał na siebie z tubki trochę lubrykantu, po czym kładł się na niej i rozwierał jej uda. Alina zamykała oczy i wstrzymywała oddech, by chronić się przed cuchnącym powietrzem z jego ust i odorem niemytego ciała. Kiedy było po wszystkim i potwór zląził z niej, próbowała jak najszybciej dostać się do miednicy stojącej w kącie pokoju, żeby umyć się między nogami mydełkiem dla dzieci. Jednak on na to nie pozwalał – za każdym razem unosił jej tyłek i kładł pod spód poduszkę. W takiej pozycji, gwarantującej, że sperma nie wypłynie, pozostawała przez godzinę. Leżała naga i bezbronna, z dłońmi i stopami przywiązanymi do łóżka. Po godzinie potwór wracał i zdejmował więzy. Czasami zdarzało się, że podczas takiej godziny zlatywały się do niej muchy. Alina rzucała się wtedy na łóżku, bezskutecznie próbując przepłoszyć owady, które smakowały jej ciało.

A potem godzinami łkała, tuląc do piersi małego Lukę. Modliła się żarliwie, aby nasienie potwora nie znalazło w niej żyznej gleby. Aby jej ciało je odrzuciło.

ROZDZIAŁ 45

Ion wysiadł z autokaru i otulił się szczelniej kurtką. Popatrzył w głąb ulicy, przy której stały domy z prefabrykatów, spacerowały ponure kobiety z wózkami i parkowały samochody z tablicami rejestracyjnymi z innej epoki. Wcześniej poszukał w internecie informacji o Brevie: kiedyś, w okresie świetności, gdy wydobywano tu złoto, miasto tętniło życiem; pamiątkę po tych dostatnich czasach stanowiło działające również teraz muzeum złota. Ion parsknął pozbawionym wesołości śmiechem na myśl o turystach, którzy z własnej woli zajrzeliby tu teraz. Mało prawdopodobne, żeby Daniel i Laura uwzględnili to miasto duchów w swoim planie podróży.

Kiedy mijały dni, a Alina nadal nie dawała znaku życia, Ion zaczął naprawdę się niepokoić. Przedzwonił do Camelii w Londynie i poprosił, żeby upewniła się, czy Daniel i Laura wrócili do ojczyzny. Zgodziła się, acz dość niechętnie, i po jakimś czasie oddzwoniła z informacją, że w ich mieszkaniu się świeci i widać, że ktoś po nim chodzi. Kręciła się wokół budynku, dopóki przed dom nie wyszedł ktoś o twarzy przypominającej rysopis Daniela, żeby wyrzucić śmieci.

A zatem Angole wrócili bezpiecznie do domu.

– Prześlę ci klucze – poinformował Ion Camelię. – Wejdiesz do środka i sprawdzisz, co mają w plecakach. Pewnie zdążyli już znaleźć towar... – Ion wystrzegął się używania słowa „narkotyki” w rozmowie telefonicznej; miał na tym punkcie paranoję. – Sprawdź wiadomości prasowe w języku angielskim. Może znajdziesz jakąś wzmiankę na temat turystów, którzy w plecakach znaleźli... towar.

Recht Camelii sprawił, że poczuł się nieswojo.

– Ion, jesteś niesamowity.

– O co ci chodzi?

– Naprawdę wydaje ci się, że ta twoja dziewczyna – ostatnie słowo wypowiedziała z pogardą – zrealizowała plan do końca? Co ty byś zrobił na jej miejscu? Sprzątnąłbyś towar i tyle by cię widziała. Opchnąłbyś to potem i wszystkie pieniądze zatrzymał dla siebie.

– Nieprawda.

– No dobra, ja bym tak zrobiła. I Alina postąpiłaby dokładnie tak samo. Kasa przydałaby jej się do zakupu ołówceczków i zeszytów, bo potrzebuje ich do rysowania tych swoich kretyńskich komiksów. Założę się z tobą o tysiąc funtów, że tak właśnie postąpiła. Nie ryzykowałaby posłania tej pary Anglików na odprawę na lotnisku. Powiedzmy sobie szczerze: to był kuriozalny pomysł, pewnie najgłupszy z twoich dotychczasowych, a to już sporo.

– Ejże, ten plan był genialny.

Camelia jeszcze trochę się pośmiała. Ion nie mógł się sobie nadziwić: nawet w takich chwilach, gdy otwarcie się z niego nabijała, oczami wyobraźni widział jej śliczne cycuszki, które pokazała mu raz w zamian za działkę ziola.

– Ion, spójrz prawdzie w oczy. Narkotyki...

– Halo? Kto mówi?

– Towar dawno przepadł. Twoja księżniczka punkowa zaopiekowała się nim i już nigdy go nie zobaczysz. A tak się składa, że obiecałeś mi kasę za te prochy, i teraz utknęłam tutaj, pracując jako tancerka na rurze, za klientów mając zboków o sflaczałych wackach. Wielkie dzięki.

I rozłączyła się.

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej uświadamiał sobie, że Camelia ma rację. Psiakrew, przecież Alina mogła sama sprowokować sytuację, gdy zostaje razem z Anglikami wyrzucona z pociągu. Pewnie celowo wdała się w sprzeczkę z pogranicznikami i wkurzyła ich do tego stopnia, że nie widzieli innego sposobu, jak pozbyć się z pociągu uciążliwych pasażerów. A potem ukradkiem wyciągnęłaby kokę –

spokojnie, może używać tego słowa, przecież policja nie podsłuchuje jego myśli – z plecaków i poszukała kupca.

Wściekły poszedł do pokoju, w którym Alina zostawiła trochę swoich rysunków i komiks, nad którym pracowała od wielu miesięcy. Podarł to wszystko na strzępy. Ponieważ nie poczuł się wcale lepiej, na koniec rąbnął pięścią w ścianę. To zabolalo, i to bardzo. Krzyknął, płosząc kota, który wyskoczył z pokoju. Omiótł spojrzeniem norę, w której żył. Potrzebował kasy. Zaplanował już, co sobie za nią kupi. Nowy telewizor, fotel do grania, dywan ze skóry niedźwiedzia. Dotarło do niego, że został okradziony.

Nie może puścić jej tego płazem.



W Brevie wynajął ciasny tani pokój w motelu, w którym cuchnęło kapustą i pierdami po kapuście. Rzucił torbę na łóżko. Czuł się niemalże niczym łowca nagród na tropie Aliny.

Wcześniej odwiedził już stacyjkę, na której wysiedli Alina i Brytole. Było to dość przerażające miejsce – wokół ani żywej duszy, tylko psy kręcące się nieopodal. Jeden warknął na niego, ale wystarczyło, że Ion rzucił w niego kamieniem, a czworonóg zaskomlał i uciekł. W budynku nieczynnej poczekalni przez okno wypatrzył mapę. Otworzył drzwi kopniakiem, żeby bliżej jej się przyjrzeć.

Dokąd mogli się stąd udać?

Przespacerował się po pustej drodze, pooglądał z daleka opuszczoną wioskę nieopodal. Teoretycznie mogli złapać stopa, ale jaki tu mógł być ruch w środku nocy? Żaden. Pewnie zatem skierowali się do najbliższego miasteczka, czyli Brevy. Wyobraził sobie, że siedzą na stacyjce, czekając na świt, a potem ruszają drogą. Tak w każdym razie postąpiłby on.

Las, przez który wiodła szosa, w świetle poranka był przepiękny. Alina tu była, wyczuwał jej obecność. Miał ze sobą jej zdjęcie, a po dotarciu do miasta zaczął obchodzić knajpy i sklepy, rozpytując wśród miejscowych, czy ktoś ją widział. Ludzie patrzyli na zdjęcie, ale nikt jednak nie przypominał sobie tej kobiety. Młodzi pytali go, jak się żyje w dużym mieście. Opowiedział im o bogactwach, o tym, że to miejsce, w którym

spełniają się marzenia. Zabrał panienkę o przerażonym spojrzeniu do swojej cuchnącej nory i potem pod kocem demonstrował jej swój niezaprzeczalny geniusz, dopóki sąsiad z przylegającego pokoju nie zaczął walić w ścianę. Nazajutrz sprowadził sobie inną dziewczynę, a kolejnej nocy wrócił do pokoju z dwiema. Planował posiedzieć w Brevie przez parę dni, dopóki nie zdobędzie cennych informacji o Alinie albo nie dojdzie do wniosku, że wszystko stracone. Koniec końców spędził tam ponad miesiąc.

W swoim rodzinnym mieście był nikiem, mrówką w mrowisku. Tutaj natomiast mógł pozować na tajemniczego nieznanego z dużego miasta. Nareszcie poczuł się kimś, i bardzo mu to odpowiadało. A może powinien zostać tu na zawsze, przespać się ze wszystkimi miejscowymi dziewczuchami, chociaż była to dość ryzykowna zabawa. Musiał przycząić się na parę dni, gdy chłopak jednej z jego panienek dowiedział się o niewierności swojej wybranki i zaczął szukać przybysza z innego miasta. Wprawdzie Ion był przypakowany, jednak bał się fizycznej konfrontacji; to jeden z powodów, dla których żaden z gangów w jego rodzinnej miejscowości nie był zainteresowany przyjęciem go w swoje szeregi. Jednak zazdrosny chłopak nie był jedynym kłopotem, jaki spędzał mu sen z powiek: zaczynała mu się kończyć kasa. A w Brevie nie było żadnej pracy, którą mógłby podjąć, o ile oczywiście pracowanie leżałoby w ogóle w zasięgu jego zainteresowań.

Potrzebował pieniędzy ze sprzedaży tej kokainy. A jeśli okazałoby się, że Alina sprzedała już prochy i wydała kasę, zadowoli się zemstą na tej dziwce.

Szkopuł w tym, że nie był w stanie jej namierzyć; nie natrafił na żaden trop, który mógłby go do niej zaprowadzić. Sytuacja zmieniła się, gdy poznał gliniarza.

ROZDZIAŁ 46

Czterdzieści dziewięć dni – tyle Alina spędziła w niewoli. Liczyła zachody słońca. Kilka razy miała wrażenie, że zapomniała, ile minęło dni, i wpadała w panikę. Zawsze jednak po jakimś czasie sobie przypominała. Luka niemal już raczkował. Umiał przewracać się z boku na bok i uśmiechać do niej. Widziała, że wyrośnie na dużego, silnego chłopaka. Ta myśl sprawiała, że pękała z dumy.

Dzień wcześniej dostała okres. Kiedy potwór zobaczył krew, uderzył ją. A potem poprawił, gdy śmiała mu się w twarz i drwiącym głosem powtarzała, że woli umrzeć, niż urodzić mu dziecko.

Obserwując, jak Luka bawi się w łóżeczku drewnianą grzechotką przyniesioną przez potwora, zastanawiała się, co porabia w tej chwili Ion. Co zrobił, gdy pociąg dotarł do Sybina? Czekał, aż Alina do niego przedzwoni? Czy zaczął się niepokoić, kiedy się nie odezwała? Czy w ogóle zaprzętał nią sobie głowę? Zdawała sobie sprawę, że z powodu kokainy Ion nie zgłosiłby jej zaginięcia na policję – za bardzo obawiałby się niewygodnych pytań. Co z ich planem? Jak poradziła sobie para Anglików? Czy nieświadomie wwiozła narkotyki na teren Wielkiej Brytanii? Czy na miejscu oskubała ich Camelia, tak jak planowali? Alina wyobraziła ich sobie teraz razem: Iona i Camelię, jak dzielą między siebie pieniądze za towar, zadowoleni, że pozbyli się niewygodnej współniczki. Kiedy potwór ją gwałcił, przypominała sobie swojego chłopaka i nienawiść, jaka się w niej rozpałała, była niczym pole siłowe chroniące ją przed konfrontacją z tym, co naprawdę się działo. Wszystko, co ją spotkało, było następstwem debilnego pomysłu Iona. To jego wina. Leżała w łóżku pod potworem i w szale nienawiści, jaki ją ogarniał, wyobrażała sobie, jak tłucze cegłówką twarz mężczyzny – momentami miał rysy potwora,

momentami jej chłopaka. Po pewnym czasie oba oblicza w jej umyśle stały się jednym. Kiedy potwór ją uderzył, miała wrażenie, że bije ją Ion. Kiedy potwór rozsuwał jej nogi, przypominała sobie, że Ion robił to samo. Żałowała teraz każdej sekundy spędzonej z tym człowiekiem.

A co z Danielem i Laurą? Na początku była pewna, że poszukają pomocy, zwrócą się na policję. Przecież przyszli aż tutaj, szukali jej, a potem uciekli – dzięki niej! Była pewna, że przyślą tu kogoś, żeby ją uratować. Tamtej nocy potwór zastrzelił dwie kobiety w pokoju i umieścił w nim ją. Patrzyła, jak wywleka ich ciała na korytarz.

Pierwszego pełnego dnia tutaj, gdy tkwiła przykuta łańcuchem do łóżka i próbowała być dzielna, nie poddawać się, usłyszała dobiegające z parteru głosy. Najpierw pomyślała, że to policja. Zaczęła krzyczeć, wydzierając się na cały głos, aż pozdzierała sobie gardło. Jednak nikt nie przyszedł, a po paru godzinach w pokoju zjawiał się on, potwór. To wtedy pierwszy raz ją pobił, a Luka wszystko widział spomiędzy sztachetek łóżeczka. Ocknęła się w nocy i wyczuła, że ktoś stoi przy jej łóżku. Była pewna, że były to dwie osoby. Ponieważ nie doszła do siebie po laniu, jakie sprawił jej potwór, wkrótce znów straciła przytomność.

Czekała potem szereg dni, ale nikt więcej nie przyszedł.

Z każdym mijającym dniem rosła w niej nienawiść do pary Anglików.



Światło sączące się przez deski na oknach podpowiedziało jej, że słońce jest już całkiem wysoko. Mimo to potwór nie nadchodził. Głodny Luka zanosił się płaczem i wyciągał do niej ręce z łóżeczka. Serce jej się krajało, kiedy widziała go w takim stanie. Ale równocześnie poczuła też coś innego – nadzieję. Może potwór zostawił ich, może nie żyje. Jasne, nogi miała przykute łańcuchem do łóżka. Jednak Alina była pewna, że jeśli poświęci dostatecznie dużo czasu, zdoła się uwolnić.

W końcu jednak, jak zawsze, drzwi do pokoju otworzyły się, a ona instynktownie przygotowała się na spotkanie z potworem. Czyżby zorientował się, że dostała okres? Luka załkał, kiedy ktoś wszedł do pokoju i zaświecił lampę.

To nie był potwór. Mężczyzna, który przyszedł, był starszy, miał łysą głowę. Jak na swój wiek sprawiał wrażenie wysportowanego – był barczysty i nosił na sobie więcej mięśni niż sadła. Alina miała wrażenie, że skądś go zna. Ale była zbyt otumaniona, by przypomnieć sobie skąd.

Zaczęła wyrzucać z siebie potoki słów.

– Musisz mi pomóc. Jestem tu więziona. Porwał mnie mężczyzna. Jesteś policjantem? O Boże, błagam, przyszedłeś, żeby mnie uwolnić?

Mężczyzna, nie zwracając na nią uwagi, podszedł do łóżeczka i wyjął z niego niemowlę. Głaskał Lukę po głowie i wydawał miłe dla ucha dźwięki, żeby go uspokoić. Luka, jak przystało na grzecznego chłopca, po chwili przestał płakać. Mężczyzna obejrzał go sobie ze wszystkich stron. Wreszcie, skinąwszy głową, odłożył do łóżeczka. Podał dziecku butelkę z mlekiem i patrzył, jak maluch pije.

Kiedy odwrócił się do niej, Alina odniosła wrażenie, że ma rozbawioną minę. Skąd znała tego człowieka? Wydawało jej się, że jest o krok od rozwiązania tej zagadki. Jednak odpowiedź nadal pozostawała nieuchwytna.

Mężczyzna usiadł na brzegu jej łóżka, pogłaskał ją po twarzy.

Kiedy otworzył usta, okazało się, że mówi w jej ojczystym języku.

– Dobrze się spisałaś, opiekując się tym dzieckiem. Dobra robota – pochwalił, klepiąc ją po dłoni.

– Luka – wyszeptała.

– Nadałaś mu imię? – Uśmiechnął się. – Całkiem ładne. Ale niedługo i tak dostanie nowe.

Alina zamrugnęła. Była przeraźliwie słaba, wygłodzona, pozbawiona woli życia i energii. Zdawała sobie sprawę, że jest brudna. Marzyła o gorącej kąpieli, możliwości korzystania z tamponów i czystych ubraniach. Po pokrytych warstwą brudu policzkach spływały łzy.

– Przyszedłeś, żeby mnie uwolnić?

Mężczyzna znów pogłaskał ją po twarzy. Starł łzę i zaraz skrzywił się na widok brudu, jaki pozostał na jego kciuku.

– Obawiam się, że nie – odparł. – Nie ciebie. Nie teraz. Jestem, żeby zabrać Lukę.

Alina szarpnęła całym ciałem, próbując podeprzeć się na łokciach.

– Nie!

Mężczyzna syknął, próbując ją uciszyć.

– Nie martw się o niego. – Położył dłoń na jej odkrytym brzuchu. – Niedługo, jeśli wszystko dobrze pójdzie, sama doczekasz się dziecka, o które będziesz musiała się troszczyć.

Wstał, czemu towarzyszyło skrzypienie starego materaca, podszedł do dziecięcego łóżeczka, schylił się i wyjął z niego Lukę. Dzieciak zdążył opróżnić butelkę, na jej plastikowych ściankach została tylko piana po mleku.

Mężczyzna ruszył w kierunku drzwi.

– Proszę, nie zabieraj go! – zawołała Alina. – To moje dziecko. Luka!

Zatrzymał się i popatrzył na jej zalaną łzami twarz. Alina pomyślała wtedy, że to spojrzenie, jakim hodowca obrzuca należące do niego zwierzęta. Przez chwilę wydawało jej się, że nieznajomy zmieni zdanie i pozwoli jej zachować dziecko. Ale zaraz potem mężczyzna uniósł rączkę Luki i poruszył nią w taki sposób, jakby chłopiec machał jej na pożegnanie.

– Pa, pa, mamusiu – rzekł, imitując piskliwy głosik dziecka.

Nie zwracając więcej uwagi na szlochającą Alinę, mężczyzna ze śmiechem wyniósł dziecko z pokoju. Słyszała jego oddalające się kroki na schodach.



Przez parę dni nie była w stanie zasnąć, tak bardzo przyzwyczała się do dźwięków wydawanych przez małego Lukę. Rozpacała, jak gdyby naprawdę była jego biologiczną matką. Kiedy udawało jej się nie myśleć o dziecku, starała się przypomnieć sobie, gdzie widziała wcześniej starego mężczyznę, który zabrał Lukę. Wszystkie jej myśli spowijała jednak mgła, wiele razy wydawało jej się, że zaraz sobie przypomni, lecz mimo to odpowiedź nadal pozostawała nieuchwytna.

Trzy dni po stracie Luki, zaraz po świcie, z dołu dobiegł dźwięk pukania. Ktoś dobijał się do drzwi. Alina chciała zawołać, powstrzymywał ją jednak strach przed gniewem potwora. Zachowywała się więc cicho i po chwili usłyszała męskie głosy. Naliczyła trzech rozmawiających mężczyzn. To byłoby zresztą logiczne: potwór, stary mężczyzna i jakiś nowy.

Porozmawiali trochę, a niedługo potem usłyszała kroki na schodach. Szło do niej co najmniej dwóch mężczyzn. Przykryła się lichym kocem po samą brodę, mentalnie była gotowa na najgorsze.

Pierwszy w pokoju zjawiał się stary mężczyzna i zapalił światło. Za nim wszedł grubas w policyjnym mundurze. Na chwilę w sercu Aliny rozbłysła iskra nadziei.

– Ładna jest – ocenił tłusty gliniarz.

Stał blisko łóżka. Miał duże dłonie, Alina zwróciła uwagę na popękane naczynia krwionośne na nosie. Pijak. Jej ojciec miał identycznie wyglądający nos.

– Co nie? – przyznał starszy mężczyzna. – Jedna z lepszych sztuk, jakie nam się trafiły. – Ściągnął okrywający ją koc. – Rozbieraj się.

Alina pokręciła energicznie głową.

– Rób, co mówię – warknął, unosząc pięść jak do ciosu.

Gliniarz, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, przypatrywał się z boku.

Drżącymi rękami Alina ściągnęła suknię przez głowę. Była teraz naga. Założyła ramiona na piersi, żeby się ogrzać – powietrze w pokoju było lodowate.

– Chcesz wypróbować? – spytał stary mężczyzna.

– Nie, daruję sobie. Trochę za wczesna godzina jak dla mnie – zarechotał policjant. – Poza tym ostatnio najbardziej lubię sobie popatrzeć.

Jest za tłusty i zbyt słaby, żeby mu stanął, domyśliła się Alina.

Stary mężczyzna skinął głową ze zrozumieniem.

– No dobra, to skoro już zobaczyłeś, co tu mamy, wracajmy na dół, gdzie jest ciepło.

– To naprawdę konieczne? – zastanowił się grubas, ślizgając się spojrzeniem po ciele Aliny. – Może pogadamy tutaj?

Stary roześmiał się.

– Jasne – rzucił z machnięciem ręki. – Nikomu nie powtórzysz, co, Alina? – Znów się zaśmiał. – Opuść ramiona, dziewczyno. Pokaż, co tam masz. O, właśnie.

Policjant wydał dźwięk cmokania, jak gdyby ssał piersi, które teraz pożerał wzrokiem.

Stary mężczyzna podszedł do drzwi i zawołał:

– Dragoș! Przynieś flaszkę wódki i dwa kieliszki. – Zwracając się do tłuściocha, spytał: – Mam nadzieję, że pora nie za wczesna dla ciebie, Constantin?

– Skąd! Na to nigdy nie jest za wcześnie.

Po chwili potwór – Alina poznała nareszcie jego imię: Dragoș – niczym kamerdyner w staromodnym czarno-białym horrorze, pojawił się z alkoholem i kieliszkami. Przyniósł też dwa krzesła. Kiedy Dragoș poszedł, obaj mężczyźni rozsiedli się, ustawiając krzesła w taki sposób, by mieć dobry widok na rozebraną dziewczynę na łóżku, i otworzyli butelkę.

– Jak interesy? – zagadnął Constantin, nie odrywając wzroku od Aliny.

Jezu, pomyślała. Chyba nie będzie się tu teraz brandzlować?

– Całkiem nieźle. Dopiero co dopięliśmy jedną transakcję. Ale przydałoby się trochę nowego towaru.

– Dam znać, jeśli trafi się ktoś odpowiedni – obiecał Constantin.

– Jeszcze nigdy nie było takiego popytu na jakościowy produkt. Zwłaszcza wśród Ruskich.

– Ale teraz masz na stanie tylko tę maciorę?

Staruch skinął głową. Alina zamrugła oczami z niedowierzaniem. Czy się przesłyszała, czy policjant określił ją mianem, jakim nazywa się samicę świni? Najchętniej naplułaby mu w twarz, ale się powstrzymała. Gdyby tylko zdołała zerwać ten łańcuch i chwycić jakąś broń... Jej umysł opanowały krwawe wizje, co by zrobiła z tym spaślakiem, gdyby miała do dyspozycji naostrzony patyk i nożyk. Lubię sobie popatrzeć. Wydłubałaby mu oczy. Obeszłoby się bez obcinania sflaczałego fiutka.

– No to opowiadaj, co słychać w mieście – odezwał się staruch. – Bo o tym chyba chciałeś pogadać, prawda?

– Jakiś młody facet łązi po Brevie i rozpytuje się o tę tutaj. – Constantin wskazał Alinę.

– Serio? Jak wygląda?

– Taki przypakowany. Metr siedemdziesiąt wzrostu, może trochę więcej. Dwadzieścia kilka lat.

Ion! O Boże, a więc szuka jej. Nie zapomniał o niej. Alina starała się zachować kamienną twarz. Stary mężczyzna wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu.

– Wygląda na to, że to ten twój chłoptaş z pociągu. Jak miło z jego strony. Przyjechał tutaj, żeby cię znaleźć. Uratować.

Policjant zerknął na Alinę, która nadal starała się nie dać po sobie poznać, jak się cieszy. Nareszcie nie musiała już czuć się całkiem sama. Ionowi naprawdę na niej zależało. Od razu poczuła, jak wstępują w nią nowe siły.

– Ale spokojnie, już się wszystkim zająłem. Pokierowałem go tak, że będzie szukać wiatru w polu.

Alina przełknęła nerwowo ślinę.

– To dobrze – rzekł staruch. – A co z tą... parą Anglików? Do Brevy zawitali ostatnio jacyś Brytyjczycy?

Kiedy zadawał to pytanie, schylił się, żeby podnieść butelkę wódki. Dlatego nie widział, jak zmienił się wyraz twarzy Constantina.

– Nie. Czemu pytasz?

Stary mężczyzna usiadł znów prosto i dolał sobie wódki.

– Po prostu obilo mi się coś o uszy.

Constantin pokręcił głową i z uśmiechem powiedział:

– Żadnych angielskich zwiedzających w Brevie. Jakiś czas temu mieliśmy paru entuzjastów lokomotyw parowych. Poza tym jedna, może dwie osoby chętne do zwiedzenia Muzeum Złota. No i facet, który miał bzika na punkcie wilkołaków.

– W porządku. To dobrze.

Wreszcie, pijani i poklepujący się wzajemnie po plecach, mężczyźni zaczęli się zbierać. Na odchodnym Constantin rzucił jeszcze ostatnie wygłodniałe spojrzenie impotentna na ciało Aliny. Kiedy została sama w pokoju, naciągnęła przez głowę swoją brudną sukienkę. Wyciągnęła rękę po koc, ale nie mogła go dosięgnąć. Założyła ramiona na piersi, dygocząc z zimna.

Dlaczego policjant skłamał na temat Daniela i Laury? Widziała jego twarz, kiedy padło to pytanie. Było jasne, że ich spotkał. Czy próbowali zgłosić na policję to, czego byli świadkami? Łatwo mogła sobie wyobrazić, że porozmawiali z Constantinem, a on obiecał, że się tym zajmie. Naiwni Brytole ufający skorumpowanemu policjantowi.

Może uznali, że dość już zrobili. Ta myśl sprawiła, że zacisnęła pięści, wbijając paznokcie we wnętrze dłoni. Żałosne, przecież ona nadal tu tkwiła. Tymczasem oni wrócili do domu, cali i zdrowi. Alina była pewna, że prędzej czy później umrze tutaj, zarżnięta niczym maciora w rzeźni.

ROZDZIAŁ 47

Ion siedział na łóżku w swoim mieszkaniu w Sybinie. Zaraz po tym, jak wrócił do domu, przygnębiony i wykończony, spróbował zawołać swojego kota przez okno. Ale zwierzak po dwóch miesiącach znalazł sobie chyba innego żywiciela.

Za radą uczynnego policjanta Constantina wybrał się do Bukaresztu, żeby tam szukać Aliny. Gliniarz twierdził, że niedługo po incydencie w pociągu przez krótki czas bawiła w Brevie. Policjant, nawiasem mówiąc znacznie przyjaźniej nastawiony od drani w mundurach w Sybinie, wybrał się z Ionem na stację kolejową. Tam pogadał z facetem sprzedającym bilety w kasie, który przypominał sobie, że dziewczyna odpowiadająca rysopisowi Aliny kupiła u niego bilet na pociąg do Bukaresztu.

I tak Ion znalazł się w stolicy. Od zniknięcia Aliny minęło już siedem tygodni. Poszukiwania w Bukareszcie posuwały się w ślimaczym tempie. Ion włóczył się po barach i obskurnych klubach nocnych, pokazując fotografię Aliny imprezowiczom i bramkarzom. Po tygodniu ćpun heroinista, którego Ion poznał w hostelu, powiedział mu, że widział Alinę, jak handlowała narkotykami w klubie o nazwie Sapphire w dzielnicy Dristor. Ion zmarnował kolejny tydzień, przesiadując w tym obskurnym lokalu, ale przez cały ten czas nie napotkał nikogo, kto by potwierdził, że widział tam dziewczynę. Zaświtała mu w końcu myśl, że ćpun go okłamał.

A potem sprawy mocno się skomplikowały. Zainteresowali się nim członkowie miejscowego gangu, którzy podejrzewali, że próbuje robić interesy na ich terytorium. Dostał od nich potężne lanie, po którym dwa tygodnie spędził w szpitalu. Kiedy poczuł się lepiej i nie potrzebował już co cztery godziny faszerować się środkami przeciwbólowymi, wrócił do Sybina.

Wyczerpany i zdruzgotany bezowocnymi poszukiwaniami, za ostatnie pieniądze kupił sobie torebkę doprawianego mocną chemią zioła. Zaszył się w domu i przez długi czas nie odrywał się od xboxa. Mógłby nie ruszać się ze swojej nory, dopóki głód nie zmusiłby go do poszukania pracy, wzięcia się za bary z życiem.

Nieoczekiwanie zadzwoniła do niego Camelia.

– I jak? – spytała. – Znalazłeś ją?

– Nie – jęknął do telefonu. – Przepadła bez śladu. Gliniarz w Brevie...

– Gdzie?

– To taka zabita dechami dziura w Transylwanii. No więc ten gliniarz twierdził, że pojechała do Bukaresztu. Ale równie dobrze mógłbym szukać dziewczicy na... – Tu podał nazwę osiedla, na którym on i Camelia się wychowali.

– Kurwa mać – westchnęła kobieta. A chwilę później mówiła już tonem, który doskonale znał: głosem uroczej, uwodzicielskiej Camelii. – Możesz mi wyświadczyć przysługę? Pożyczyłbyś mi trochę grosza?

Ion parsknął śmiechem.

– Camelia, jestem spłukany. Mam zero kasy. Wczoraj dostałem nakaz eksmisji. Muszę zakręcić się za jakąś robotą. Na szczęście znam dilerów, tylko że...

– Tak się składa, że ja też mam problemy finansowe – weszła mu w słowo Camelia. – Wiszę sporo szmalu gościom, którzy pomogli mnie tu sprowadzić, pamiętasz? Spłacam ich, pracując w klubie. Ale teraz zaczęło im się spieszyć, chcą, żebym płaciła im w gotówce. Nalegają, żebym dołączyła do ich biznesu.

– No tak.

– Ion, zostanę prostytutką.

– To... nieciekawie.

– Pierdol się – wyrzuciła z siebie. Brzmiała teraz, jakby zaraz miała się poryczeć. Ion zaczekał, aż weźmie się w garść. Po chwili kobieta spytała: – Znalazłeś dowody na to, że Alina zaopiekowała się towarem? Albo że próbowała go sprzedać?

– Nie.

– Cholera. Może się myliłam. Może ta para Angoli faktycznie przywiozła go tutaj.

– Ale przecież mówiłaś...

– Tak – przerwała mu obcesowo. – Wiem, co mówiłam. Sądziłam, że to najrozsądniejsze wytłumaczenie... Halo, jesteś tam jeszcze?

– Tak. Zamyśliłem się. Jeśli Alina nie zabrała towaru, to co się z nią stało? Gdzie ona się podziewa?

– Nie mam, kurwa, bladego pojęcia. Ale założę się, że nasi angielscy przyjaciele wiedzą. Byłam pewna, że uda ci się ją odnaleźć, że zostawiła za sobą ślad jak jakiś brudny ślimak. Ale teraz... ci Brytole są naszą jedyną szansą, by odzyskać tę kasę. Zgadzasz się?

Ion skinął głową.

– No co?

– Wybacz, kiwnąłem głową na „tak”.

Camelia prychnęła gniewnie.

– Ion, grunt mi się pali pod nogami. Jeśli nie zdobędę szybko kasy, będę musiała uciekać. – I w końcu się poryczała. Ion nie mógł znieść tego dźwięku. – Nie wiem, co robić.

– Spokojnie. Już dobrze.

– Masz klucze do ich chaty, tak? Prześlij mi je. Kiedy nie będzie ich w domu, wślizgnę się i rozejrzę. Nawet jeśli nie znajdę tam towaru, ci ludzie na pewno mają sporo wartościowych rzeczy, które będę mogła sprzedać. Ten gostek wygląda mi na takiego, co używa najnowocześniejszego kompa. Panienska pewnie ma biżuterię. Może znajdę też gotówkę. Proszę, Ion.

Obiecał, że oddzwoni. Po skończonej rozmowie rozejrzał się po swoim mieszkaniu – uświnionym dywanem, tandetnych meblach. Jego wzrok padł na nakaz eksmisji leżący na stoliku. Oczami wyobraźni widział już, jak będzie wyglądało jego życie, gdy zajmie się dilerką – jakiś palant, u którego się zatrudni, będzie się nim wysługiwał jak niewolnikiem. Może udałoby mu się zebrać dość grosza, by starczyło na bilet do Anglii? Może

przejazd pociągiem wyszedłby najtaniej? Jasne, potrwałoby to znacznie dłużej. Sprzeda xboxa, resztkę trawy, wpadnie w odwiedziny do ciotki i zwinie jej trochę biżuterii...

Zmeł w ustach przekleństwo na myśl o tym, że zmarnował ostatnie trzy miesiące. Ci Brytole na pewno coś wiedzą. Włączył internet i zaczął przeszukiwać wiadomości na angielskich portalach. Nigdzie nie znalazł żadnej wzmianki na temat pary Brytyjczyków wracających z Europy, u których znaleziono by kokainę. Był pewien, że to coś, o czym rozpisywałyby się portale internetowe. A zatem wszystko wskazywało na to, że nie zostali aresztowani przy odprawie na lotnisku. Wniosek: wciąż jest szansa, że mają przy sobie narkotyki. Albo pieniądze z ich sprzedaży. Sprawdzenie tego tropu i tak będzie lepsze niż siedzenie z założonymi rękami. Koniec końców może się jeszcze okazać, że będzie bogaty.

Poza tym zawsze chciał odwiedzić Anglię.

– Czekaj tam na mnie – powiedział, kiedy oddzwonił do Camelii. – Twój rycerz w lśniącej zbroi nadjeżdża.

ROZDZIAŁ 48

Alina postanowiła, że dzisiaj ze sobą skończy. Położy kres temu koszmarowi. Nie umiała opanować śmiechu na myśl o minie potwora, gdy wejdzie do pokoju i zobaczy ją leżącą w kałuży krwi. Jak zareaguje? Rozpłacze się? Ta myśl sprawiła, że znowu zachichotała. Śmiech zdawał się tryskać z niej niczym woda z odetkanej rury. Przez ostatnie miesiące pogodziła się z myślą, że nigdy już się nie roześmieje – była to kolejna z rzeczy na długiej liście, które na zawsze zostały jej odebrane, takich jak piwo, pizza, miękka pościel, zakupy, jazda autobusem, farbowanie włosów, przyjaciele, plaże, telewizja, książki, muzyka, przytulasy, szczęście. Jednak teraz, gdy w końcu zdobyła się na śmiech, nie mogła przestać chichotać. Krew, krew, wspaniała krew – nuciła na melodię angielskiej piosenki, której słuchała w dzieciństwie, gładząc się po żyłach na nadgarstku. Zachodziła przy tym w głowę, czy będzie bolało i czy wtedy w ogóle będzie ją to obchodzić. Po jakimś czasie, równie niespodziewanie jak przyszedł, śmiech się urwał.

Straciła rachubę, ile dni spędziła w uwięzieniu. Odkąd stary mężczyzna zabrał Lukę (nie potrafiła już sobie przypomnieć zapachu maluszka; pamiętała jego twarz, ale też jakby przez mgłę), przestała liczyć zachody słońca. Wszystkie te dni, długie i zarazem takie krótkie, w jej pamięci były zamazane, zniekształcone niczym malowidło na deszczu. Zdawała sobie sprawę, że w pokoju robi się coraz chłodniej. Drżała z zimna, mimo że leżała opatulona we wszystkie koce. Była pewna, że minęły już święta Bożego Narodzenia. Rozpoczął się nowy rok.

Każdy dzień upływał jej na rojeniach o zemście. Tego gliniarza, Constantina, chętnie zrzuciłaby z wielkiej wysokości, tak by spadł na balustradę z kolcami. Wyobrażała sobie, jak kolce przebijają mu odbyt,

patroszą go, a ona przypatruje się temu z boku, zanosząc się śmiechem. Dla Daniela i Laury, za ich pożałowania godną próbę ratowania jej, obmyśliła inny plan – zmusi Daniela, by patrzył, jak będzie podrzynać gardło jego przyjaciółce i skąpie się w jej krwi. A potem obetnie mu fiuta i zmusi, by go zjadł. Na koniec wbije dwudziestocentymetrowy gwóźdź w jego wąty tors. Dla starego mężczyzny – który nie zachodził już od dawna do jej pokoju – przygotowała coś ekstra. Całymi godzinami fantazjowała o kwasie solnym, nożach, occie lanym na rany, a także sznurach, młotkach i obcęгах. Czasami przyłapywała się na tym, że wypowiada te rojenia na głos. W takich chwilach często okazywało się, że potwór przysłuchuje się tym okropieństwom. To, co słyszał, wyraźnie go podniecało i zaczynał się rozbiierać. To były najgorsze momenty.

Potwór nachodził ją teraz w łóżku dwa, trzy razy w tygodniu. W środku miesiąca jego wizyty stawały się częstsze. Kiedy ją posuwał, co na szczęście nigdy nie trwało długo, wyobrażała sobie ich oboje w piekle. Tyle że potwora obsadzała w tych wizjach w roli potępionego grzesznika, podczas gdy sama była upadłym aniołem, żołnierzem w armii szatana. W takich rojeniach poddawała go torturom aż po kres czasów.

Dzień po dniu liczyła, że wreszcie ją zabije. Uda się wtedy do piekła i tam na niego zaczeka.

Czasami, gdy na niej leżał, spoglądała ponad jego ramieniem i wydawało jej się, jakby przez środek pokoju szło pęknięcie, pulsująca na brzegach wyrwa w materii rzeczywistości. Wyobrażała sobie, że wstępuje w nią i ucieka ze świata. W takich wizjach nie trafiała jednak do piekła, lecz wracała do życia, jakie kiedyś wiodła, do swojego miasta. Biegła ulicami, unikając potrącenia przez samochody. Roześmiana, oszołomiona wszechobecnymi światłami, odurzona cudownie pachnącymi spalinami. Było to miejsce, do którego potwór nie miał wstępu. Czasami wyrwa ukazywała się, gdy nie było go w pobliżu – w trakcie czterdziestu pięciu minut wolności, jakie przysługiwały jej co dzień. Ilekroć jednak próbowała zbliżyć się do szczeliny, ta zamykała się i znikala.

Tego ranka znów dostała okres. Dragoś jeszcze tego nie odkrył. O świcie, jak co dzień, przyniósł jej śniadanie na tacce: wodę i owsiankę. Rozpiąwszy klamry krępujące jej kostki, wyszedł z pokoju. Alina miała teraz trzy kwadransy, w trakcie których mogła poćwiczyć i się umyć.

Domyślała się, że kiedy potwór wróci, zbada ją, żeby sprawdzić, czy zaszła w ciążę. Krew zawsze budziła w nim odrazę. Ona sama, jej kobiecość, brzydziła go. Wyraz jego twarzy nie pozostawiał co do tego żadnych wątpliwości. I pewnie dlatego nigdy nie został w pokoju, żeby patrzeć, jak się myje albo załatwia. Całe szczęście, bo musiałyby wstrzymać mocz i pęcherz moczowy pewnie by już jej pękł.

Przez jakiś czas po tym, jak stary mężczyzna zabrał Lukę, Alina łudziła się, że zdoła zjednać sobie sympatię potwora. Może nakłoni go, by puścił ją wolno. Jednak ilekroć próbowała z nim rozmawiać, miała wrażenie, jakby mówiła w obcym języku: potwór nie reagował. Ale nie rezygnowała – opowiadała mu o sobie, o swojej rodzinie, starała się wydać bardziej ludzka z jego oczach, stworzyć emocjonalną więź. Któregoś ranka, kiedy mówiła, potwór niespodziewanie uderzył ją pięścią w usta, rozcinając wargę. Potem już nie próbowała z nim rozmawiać. Nie odzywała się całymi tygodniami.



Umyła się i załatwiła do muszli klozetowej w rogu pokoju. Zastanawiała się, ile czasu jej zostało, nim potwór wróci i przykuje ją ponownie do łóżka. Niewiele. Musiała niezwłocznie działać. Na myśl o tym, jak ją znajduje, znów zaczęła chichotać, ale szybko się opanowała. W myślach, niczym fragment zapętlonej piosenki, nuciała bez przerwy: Krew, krew, wspinała krew. Szczelina, znów widoczna na środku pokoju, nęciła złudną obietnicą ucieczki. Postanowiła nie zwracać na nią uwagi. Mogła się stąd wydostać tylko w jeden sposób.

Podeszła do okna i zaczęła nasłuchiwać. W lesie panowała cisza, żadne ptaki nie śpiewały. Dom też był cichy. Zazwyczaj mniej więcej o tej porze słychać było szum spłukiwanej wody w klozecie. To potwór stawiał porannego klocka.

Okno zabite było trzema nierówno przyciętymi dechami. Ustawione pionowo, każda przymocowana była w obu końcach do framugi okiennej. Zrobione to było na odwal się, gwoździ nie wbito dokładnie. Przez ostatnie tygodnie, wykorzystując codzienne czterdzieści pięć minut wolności, Alina majstrowała przy środkowej desce. Albo starała się odciągać boki sztachetki, albo chwytła za główki gwoździ i ignorując pieczenie

w opuszkach palców, próbowała je wydłubać. Mimo tylu dni pracy gwoździe ani drgnęły. Jednak w końcu, niczym kamień poddany działaniu morza, pierwszy gwóźdź, nad którym konsekwentnie się trudziła, nieco się poluzował. Dodatkowo zmobilizowana, zdwoiła wysiłki i po pewnym czasie doprowadziła do tego, że kolejny gwóźdź zaczął się ruszać. Po nim następny, wreszcie ostatni. Praca była bardzo czasochłonna, musiała bowiem poszerzyć każdy otwór na gwóźdź w taki sposób, aby nie tylko dało się go wyjąć, ale też wcisnąć go z powrotem na miejsce; tylko pod takim warunkiem mogła liczyć na to, że potwór przedwcześnie nie zorientuje się w jej podstępnie. Kiedy poluzowała już wszystkie gwoździe, a następnie wsunęła palce pod deskę, mogła podważać ją z większą siłą.

Aż wreszcie, wczoraj rano, deska wraz ze wszystkimi gwoździami ustąpiła.

Trzymała ją w zakrwawionych dłoniach, pochyliła się i ucałowała. Po policzku spłynęła jej łza.

Nadszedł czas.

Oderwała dechę z gwoździami od futryny okna. Widok, jaki jej się ukazał, niczym nie różnił się od tego, który ujrzała po raz pierwszy wczoraj. Jego piękno sprawiło, że do oczu napłynęły jej łzy. Oprószone śniegiem drzewa, chmury, niebo. Przywykła już do myśli, że nigdy więcej nie zobaczy świata. Jego piękno niemal raniło jej oczy, wrócił do niej fragment czytanego niegdyś wiersza: „Albowiem piękno jest tylko przerażenia początkiem”^[1]. Przez chwilę Alina oczarowana stała bez ruchu. Dopiero gdy z wnętrza domu dobiegł dźwięk spuszczonej w toalecie wody, przystąpiła do działania.

Podeszła do łóżka i ściągnęła z niego brudne prześcieradło. Z łatwością oderwała kawał materiału, owinęła nim sobie dłoń i wróciła do zaparowanego okna. Zamachnęła się i uderzyła z całej siły.

Szyba zadrzała, jednak nie pękła.

Wziąwszy głęboki oddech, spróbowała ponownie. Tym razem poskutkowało – w poprzek szyby, w połowie jej wysokości, ukazała się rysa pęknięcia. Oddech Aliny stał się szybszy, owinęła sobie prześcieradłem obie dłonie i naparła nimi na szkło. Po chwili jeden fragment szyby wyleciał z framugi i spadł na ziemię pod domem. Alina

wstrzymała oddech, pewna, że potwór usłyszy hałas i przybiegnie na górę. Ale w domu nadal panowała cisza. Palcami chronionymi przez materiał chwyciła tkwiące we framudze pozostałości szyby i wyciągnęła ostry kawałek. Idealny.

Jeszcze raz omiotła spojrzeniem drzwi, puste dziecięce łóżeczko. Policzyła do trzech – była zdecydowana działać szybko, nim straci odwagę. Pozostanie tu choćby jeden dzień dłużej nie wchodziło w grę. Zacisnęła powieki i ciachnęła się szkłem w poprzek ramienia. Kiedy patrzyła na lejącą się z rany i kapiącą na podłogę krew, wydawało jej się, jakby to była czyjaś ręka, nie jej.

W końcu osunęła się bezwładnie na podłogę.

ROZDZIAŁ 49

Kiedy Dragoś wszedł, jeszcze oddychała. Słyszała skrzypienie otwieranych drzwi. A potem długa chwila ciszy, podczas której wyobrażała sobie, jak potwór omiata spojrzeniem pokój: jej nieruchome ciało, częściowo przykryte brudnym prześcieradłem, część okna widoczną w miejscu, gdzie wyrwała deskę, ukazującą ośnieżone drzewa, wyciągnięte ramię, z którego przeciętych żył tryska krew, rozlewa się po podłodze w kierunku pustego dziecięcego łóżeczka. Wraz z upływem krwi, w miarę jak upragnione wyjście przysuwało się coraz bliżej, Alina wyobraziła sobie, że Dragoś krzyknie, że da wyraz swojemu szokowi, gdy zrozumie nagle, jak niemądrze postąpił, pozwalając jej poruszać się swobodnie po pokoju i licząc, że strach powstrzyma ją przed wywinieniem mu jakiegoś głupiego numeru.

Jednak nie usłyszała żadnego krzyku, mężczyzna nie zdobył się na żaden dźwięk, który świadczyłby o tym, że cierpi. W ciszy rozległy się natomiast jego zbliżające się kroki. Dragoś przez chwilę przypatrywał się jej, po czym schylił się i ujął w dwie dłonie zraniony nadgarstek. Po chwili wahania zerwał z niej prześcieradło, spod którego ukazała się druga ręka – ta, w której Alina trzymała odłamek szkła.

Z wrzaskiem, który przepłoszył ptaki przycupnięte na pobliskich drzewach, Alina zatopiła ostry kawałek szkła w szyi swojego prześladowcy. Włożyła w to całą nienawiść i wściekłość, jaką w sobie kryła.

Dragoś upadł na bok. Straszny dźwięk dławienia się, jaki wydawał z siebie, zdawał się dobiegać nie z jego ust, lecz z tego nowego otworu w szyi. Konwulsyjnie drżącymi rękami próbował chwycić szkło i wyszarpnąć je z ciała. Ale krwi było już za dużo i ślizgały mu się dłonie. Kiedy mężczyzna miotał się na podłodze, próbując zatamować krew, która

tryskała z jego rany dziesięciokrotnie obficie niż z nadgarstka Aliny, dziewczyna poderwała się z podłogi. Jej rany były płytkie – tnąc, uważała, żeby nie uszkodzić żadnej tętnicy. Z prześcieradła oderwała teraz kolejny pas materiału i ciasno obwiązała nim przedramię. Zraniona ręka piekła, ale w tej chwili Alina nic sobie nie robiła z bólu. Obwiązując ramię, zerkała na potwora, który właśnie próbował uklęknąć, ale poślizgnął się we własnej krwi i przewrócił na brzuch.

Wybiegła z pokoju i boso zbiegła po schodach. Po chwili znalazła się w holu, w którym para Angoli porzuciła ją na pastwę losu. Dopadła do drzwi i otworzyła je na oścież. Momentalnie zderzyła się ze ścianą lodowatego powietrza. I wtedy do niej dotarło, że brudna, zakrwawiona bawełniana sukienka, którą ma na sobie, to za mało, by przetrwać na zewnątrz. Gdyby spróbowała przedzierać się przez las tak ubrana, czekałaby ją rychła śmierć z wychłodzenia.

Rozejrzała się. Usłyszała głuchy łomot dobiegający z góry, zaraz po nim jęk bólu. Potwór nie wyzionął jeszcze ducha. Musiała się spieszyć. Chciało jej się wrzeszczeć, ale gardło miała ściśnięte. Dlaczego go nie dobiła? Na chwilę zamarła bez ruchu. Ubrania. Potrzebowała ciuchów, butów. Obojętne jakich.

Nie miała ochoty wracać na górę. Spróbowała się uspokoić i już po chwili przypomniała sobie pokój, do którego potwór zabrał ją pierwszej nocy, zanim do domu trafili Daniel i Laura. Rzuciła się teraz do drzwi po drugiej stronie korytarza. Nie były zamknięte na klucz. Odkąd była tu ostatni raz, minęły trzy miesiące i teraz mgliście pamiętała, że do pokoju schodziło się tam po schodach. Zbiegając po stopniach, potknęła się i postawiła niefortunnie stopę, niemal skręcając sobie nogę w kostce. Przeklęła głośno, zaraz jednak parsknęła śmiechem. Jeszcze jedno przekleństwo i weszła do pokoju.

Panował w nim półmrok, cuchnęło nieświeżym oddechem i psującym się mięsem. Pod ścianą dojrzała kilkanaście dużych drewnianych skrzyń, poustawianych w stosy. Uniosła wieko skrzyni na szczycie jednego ze stosów i ze zdumieniem odkryła w jej wnętrzu swoje ubrania: jeansy, koszulkę, skórzaną kurtkę. Bieliznę. Nawet buty – jeden, który zostawiła w lesie, drugi na ścieżce wiodącej do domu. Pierwszy musiał zostać

przyniesiony do domu przez Daniela. Drugiego zerwał jej z nogi potwór, bo próbowała go kopać, kiedy włókł ją tutaj.

Zrzuciła z siebie obrzydliwą sukienkę i przebrała się w swoje ciuchy. Czuła się dziwnie, mając je znów na sobie po tak długim czasie. Stanik był na nią za duży, jeansy zsuwały się z bioder. Alina rozglądała się w poszukiwaniu lustra. Ale równocześnie bała się, co w nim zobaczy. Założyła się, że wyglądam jak martwa kobieta, pomyślała. I ta myśl sprawiła, że coś przestawiło się w jej umyśle. Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

Wsunęła dłoń do tylnej kieszeni jeansów. Jej paszport nadal był na swoim miejscu. Przypomniała sobie, że po kontroli w pociągu zamiast do plecaka schowała go do spodni. Na razie wszystko szło nadspodziewanie dobrze.

Wtem z góry doleciał huk.

Może zamknęły się frontowe drzwi? Ale czy zostawiła je otwarte? Rozejrzała się po pokoju, zaczęła zaglądać do kolejnych skrzyń w poszukiwaniu broni. W jednej znalazła stos dokumentów. Na pierwszy rzut oka wyglądały jak lista transakcji. Wzięła kilka, złożyła je na pół i schowała do kieszeni. W następnych skrzyniach odkryła dwanaście kompletów damskiej odzieży. I nagle, w tym chłodnym pomieszczeniu, poczuła obecność ich dusz: dwanaście zmarłych kobiet. Usłyszała, jak szepczą do niej:

Zrób to dla nas.

Zdjęła pokrywę z kolejnej skrzyni. Była solidnie wykonana: każdy bok zbity z trzech desek, trzymany razem przez jedną krótszą. Pod wpływem podszeptów martwych kobiet upuściła skrzynię na podłogę, jedną stopę postawiła w poprzek dwóch desek i pociągnęła za trzecią. Jęknęła z wysiłku, krew znów poleciała z rany na nadgarstku. Ale deska w końcu ustąpiła. Uzbrojona w kawał drewna, ruszyła po schodach na górę.

U szczytu schodów przystanęła pod drzwiami. Czy przeciwnik czaił się na nią po drugiej stronie? Nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi, w drugiej ręce trzymając gotową do ciosu deskę. Jednak nie czekał tu na nią. Weszła do holu, rozglądając się na wszystkie strony.

I wtedy go zobaczyła.

Leżał niedaleko podnóża głównych schodów. Mokry ślad krwi na stopniach znaczył drogę, którą przebył. Jedną ręką przyciskał ranę na szyi, w drugiej ścisnął pistolet. Kiedy wycelował w Alinę, widać było wyraźnie, jak bardzo trzęsie mu się ręka.

Nawet teraz, pomimo położenia, w jakim się znalazł, jego twarz była pozbawiona wyrazu. Alina oceniła, że nim go dopadnie, Dragoś zdąży nacisnąć spust. Kiedy ruszyła do niego, wróciły do niej wszystkie gwałty, jakich się na niej dopuścił. Ten człowiek przykuł ją łańcuchem do łóżka, traktował jak psa, maciorę, niewolnicę. Wróciło do niej cierpienie, samotność, na jaką ją skazał. I to, jak się czuła, gdy zabrano jej Lukę. Była już w połowie holu, gdy potwór ostatkiem sił nacisnął spust. W tej samej chwili pistolet wysunął mu się z dłoni. Miała wrażenie, że kula przeniknęła ją na wskroś, nie czyniąc jednakże żadnej szkody – cud. Głosy innych kobiet wzmogły się i teraz w jej głowie rozbrzmiewał chór – Zrób to dla nas, zrób to dla nas. Alina podeszła do potwora i uniosła rękę, w której trzymała deskę.

Biła, dopóki jego twarz i cała czaszka nie zamieniły się w bezkształtną miazgę krwi i kości. W końcu upuściła deskę na podłogę i odwróciła się. Jej spojrzenie padło na dziurę w ścianie. A więc tego, że żyje, nie zawdzięczała cudowi. Z Dragośa był marny strzelec. Ot, i cała tajemnica.



Z kolejnego tygodnia zachowała tylko szczątkowe wspomnienia. Przedzierała się przez las, włamywała się do napotykanym po drodze domów, żeby kraść jedzenie i pieniądze. W pustej kafejce internetowej sprawdziła, dokąd powinna się udać. Pamiętała jak przez mgłę, że mężczyźni, którzy ją zabierali na stopa, chyba na coś liczyli. Wyraz jej twarzy, jakim reagowała na ich zaloty, wystarczył, by robili się bladzi jak ściana i dawali jej spokój. Przestała odróżniać od siebie dni, gdy się ukrywała i gdy była w drodze. Jej własne życie wydawało jej się teraz komiksem, w którym jej ciemna sylwetka przemyka między obrazkami, bez żadnych wypowiedzi w dymkach. Przekroczyła granice Ukrainy, Polski, Niemiec, gdzie zapłaciła kierowcy tira, żeby zawiózł ją do Francji. Był niskim, małomównym mężczyzną o żółtych szczurzych zębach. Przyznał

się jej, że przypomina mu jego córkę, która zaginęła w wieku dziewiętnastu lat. Mimo że minęło już sporo czasu – jak twierdził – nigdy nie stracił nadziei, że ją odnajdzie. Nadal wierzył, że pewnego dnia napisze do niego albo zadzwoni i powie, że wszystko u niej w porządku. Kiedy Alina przysłuchiwała się opowieści kierowcy, nabierała pewności, że dziewczyna nie żyje. Pewnie została zamordowana, być może przez mężczyznę siedzącego obok niej. I kiedy tylko o tym pomyślała, poczuła, jak kolejny duch dołącza do zgrai, która załęgła się w jej głowie. A więc było ich teraz już trzynaście i wszystkie podróżowały z nią przez Europę.

We Francji facet ze szczurzymi zębami wysadził ją, na do widzenia dając sto euro, za które kupiła sobie bilet do Calais. Tam pewnego mroźnego listopadowego wieczoru wsiadła na prom, który zabrał ją na drugi brzeg kanału La Manche.

Stała na pokładzie i patrzyła na przybliżający się mroczny brzeg. Była spokojna. Woda, przez którą sunął prom, burzyła się. Alina pomyślała, że ta kipiela to dobre miejsce, żeby ze sobą skończyć, gdy będzie już po wszystkim.

Kiedy już posprząta wszystkie brudy.

Do głowy przyszedł jej urywek innego wiersza: „Straszliwy jest każdy anioł”^[2]. Uśmiechnęła się do siebie. O tak, pomyślała. A ja jestem spośród nich wszystkich najstraszniejsza. Nazywam się Mirela, szepnęła. A trzynaście otaczających ją kobiet jednym głosem szepnęło: Amen.

CZĘŚĆ SZÓSTA

LONDYN

LISTOPAD 2013

ROZDZIAŁ 50

Kiedy zajechaliśmy pod dom Erin i Roba, było już całkiem ciemno. Nadal nie mogłem się pozbierać po rewelacjach Edwarda.

Alina żyła. Nie zginęła od wystrzału, który usłyszeliśmy tamtej nocy w domu. Czyżby zatem dziecko również żyło? A co z kobietami przywiązanymi do łóżek, których wspomnienie od miesiący nawiedzało mnie w snach? Chciałem wiedzieć, potrzebowałem jakiegoś dobra, którego mógłbym się ucześcić w całym tym chaosie. Odkąd zatrudniłem Edwarda, ledwo nadążałem za wszystkimi sensacjami, jakie na mnie spadały. Najważniejsze było podejrzenie, że Camelia i jej wspólnik szukali narkotyków.

W samochodzie, gdy jechaliśmy na spotkanie z Laurą, wyłożyłem Edwardowi swoje racje.

– Psa potrzebowali, żeby wywęszył narkotyki. To tłumaczy też, dlaczego Camelia zadawała mi tyle pytań o działanie wbrew prawu. Musi chodzić o prochy.

Edward zgodził się, że to sensowne wytłumaczenie.

– Jak myślisz, czy osoba towarzysząca Camelii na nagraniu... mogła być Aliną?

Pokręciłem zdecydowanie głową.

– To był mężczyzna, na sto procent. Skoro Alina żyje i jest tutaj, na nagraniu widzimy zapewne Iona. Wzrost i budowa ciała się zgadzają.

– Wszyscy troje są w tym umoczeni – stwierdził Edward.

Miałem wrażenie, jakby otaczająca nas mgła powoli rzedła. Nasze słowa przebijały się przez nią. Nadal jednak było wiele pytań, na które nie

znaliśmy odpowiedzi.

– Po co tak długo zwlekali, nim zaczęli szukać narkotyków? – zastanowił się Rooney.

– Bo Alina przez cały ten czas była uwięziona w domu. – Nadal nie mogłem uwierzyć, że żyje. – Ale jak zdołała się wydostać?

– Wkrótce będziemy mogli ją spytać – odparł Edward, ostro wchodząc w zakręt. Spoglądając ponuro na drogę, dodał: – Ten cały Ion wydaje się najbardziej prawdopodobnym sprawcą podpalenia mojego biura. Próbował powstrzymać cię przed rozmową ze mną.

– I pewnie to on obserwował Laurę w Camden Lock. Założę się... założę się, że to Ion zepchnął Jake'a z mostu. – Na myśl o tym zagotowało się we mnie ze złości. Żeby wyładować wściekłość, rąbnąłem pięścią w deskę rozdzielczą. – A to skurwiel. I pomyśleć, że zaufaliśmy jemu i Alinie. – Po namyśle dodałem: – Ale i tak nadal są kwestie, których nie rozumiem.

Skręciliśmy na kolejnym rogu, byliśmy już blisko celu.

– Pewnie Camelia była ich człowiekiem na miejscu, w Londynie – powiedział Rooney. – Planowali, że przejmie od was narkotyki, gdy wrócicie do domu. Zabrali wam paszporty, bo w ten sposób zyskiwali pewność, że wrócicie prosto do Anglii, żeby wyrobić sobie nowe. A wraz z wami przylecą prochy. Ale potem wydarzyło się coś, czego nie przewidzieli: razem z Aliną zostaliście wyrzuceni z pociągu... Chyba że ten dom był tylko na podpuchę. Ale jakoś nie chce mi się w to wierzyć. Nie składa mi się też do kupy ta sprawa z Aliną i Laurą. Alina pokazała się Laurze, nawiązała z nią kontakt. Jak sądzisz, czy Laura wie, że Alina jest człowiekiem z krwi i kości, czy raczej bierze ją za ducha?

Z jakiegoś powodu poczułem się urażony tym pytaniem. Obudziła się we mnie potrzeba chronienia Laury.

– Na pewno uważa Alinę za ducha. Posłuchaj, Laura nie jest głupia. Ale ostatnio wiele przeszła... Obecnie jest w kiepskim stanie psychicznym.

Edward skinął głową.

– Musimy z nimi pogadać. Ale podejrzewam, że Alina śledziła Laurę, szpiegowała ją, próbowała wysondować, czy nadal jest w posiadaniu

narkotyków. I w końcu Laura ją zauważyła. A ponieważ dotychczas wierzyła, że Alina nie żyje, a sama miała na wcześniejszym etapie życia doświadczenia paranormalne...

– ...to uznała, że nawiedza ją duch Aliny – dokończyłem za niego.

Modliłem się w myślach, żebyśmy zastali Alinę w okolicy domu Erin i Roba. Wówczas, nareszcie, zdobylibyśmy odpowiedzi na nurtujące nas pytania.

Wjechaliśmy na ulicę, przy której stał ich dom.

– O cholera – mruknął Edward, parkując.

Uniosłem wzrok. Przed domem Erin i Roba stał policyjny radiowóz. Momentalnie zaschło mi w ustach. Co tym razem?

Odpiąłem pas bezpieczeństwa, wyskoczyłem z samochodu i popędziłem w stronę domu. Już po chwili dobijałem się do drzwi. Rob otworzył niemal natychmiast, z pełnym nadziei wyrazem twarzy, który zniknął, gdy zobaczył mnie. W ręce trzymał zdjęcie maleńkiego Oscara. Za nim stała Erin w towarzystwie dwóch policjantów. Płakała.

– Co się stało? – spytałem.

Rob przełknął z trudem ślinę, nim odpowiedział:

– Chodzi o Oscara. Nie możemy... nie możemy go znaleźć.

ROZDZIAŁ 51

Próbowałem wyobrazić sobie, jak muszą się czuć Erin i Rob. Ale z marnym skutkiem. Panika, groza, desperacja – język w tym momencie zawodził. Wyraz twarzy Erin był bardziej wymowny od wszelkich słów.

Podeszła do drzwi. W ręce trzymała małą różową kołderkę z głową pluszowego misia. Zaciskała na niej palce z taką siłą, że zbieleły jej knykcie. Oboje rodzice mieli podkrążone oczy. Włosy Erin sterczały na wszystkie strony. Miała na sobie luźną, poplamioną na przedzie koszulkę – dopiero po chwili dotarło do mnie, że to plamy po mleku.

– Kontaktowała się z tobą? – spytała ostro. – Wiesz, gdzie jest?

– Chodzi ci o Laureę?

– Tak! O Laureę – wycodziła jej imię przez zaciśnięte zęby. – A o kogo innego? Zabrała moje dziecko. Ta... dziwka ukradła moje pierdalone dziecko.

W tym momencie podszedł do niej jeden z policjantów.

Dopiero teraz zobaczyłem, że to czarnoskóra kobieta o okrągłej, dobrotliwej twarzy.

– Na razie nie wiemy, czy panna Mackenzie dopuściła się czynu karalnego – powiedziała, kładąc Erin dłoń na barku.

Matka zaginionego dziecka odwróciła się do funkcjonariuszki. Kołderka drżała jej w dłoni.

– Ja i Ron chcieliśmy się godzinę zdrzemnąć, a ona miała przypilnować Oscara. Czułam, że to zły pomysł. Powinniśmy byli wziąć małego z nami do łóżka. – Głos jej się załamał. – Ale jestem taka zmęczona. Tak strasznie

zmęczona. Pomyślałam, że nic się nie stanie, jeśli zostawimy go na godzinę pod jej opieką.

Rob próbował objąć ją ramieniem, ale odtrąciła jego rękę.

– Co ja sobie myślałam, oddając tej stukniętej dziwce moje dziecko? Przecież ona w zeszłym tygodniu próbowała popełnić samobójstwo. Ta laska gada z duchami. Jest stuknięta.

– Duchami? – powtórzyła wyraźnie zbita z tropu policjantka.

– Tak, ona...

– Alina nie jest duchem.

Spojrzenia wszystkich skierowały się na Edwarda, który właśnie stanął w progu. Przedstawił się.

– Proszę wejść – zachęciła policjantka. – Jestem posterunkowa Elaine Davies.

Następnie przedstawiła swojego kolegę, który skinął nam głową. Edward wszedł do przedpokoju i zamknął za sobą drzwi. Pod powieszonymi na ścianie ubraniami stał wyglądający na kosztowny wózek dziecięcy w kolorze czarnym. Rob popatrzył na niego i od razu uciekł spojrzeniem, jakby widok wózka sprawiał mu ból.

– To pan jest chłopakiem Laury Mackenzie, zgadza się? – zwróciła się do mnie posterunkowa Davies.

Zaprowadziła mnie i Edwarda do salonu, podczas gdy drugi gliniarz zabrał przerażonych rodziców do kuchni. Doleciał mnie jego sztucznie beztroski ton, kiedy zasugerował, żeby napili się czegoś gorącego. W salonie panował chaos – na podłodze pośród pieluch tetrowych leżały pluszowe miśki i króliki. Zwróciłem też uwagę na powyciągane z opakowań płyty DVD, rozrzucone po pokoju. W pomieszczeniu unosił się stęchły, słodkawy zapaszek. Wydawało mi się, że wyczuwam w nim smród dziecięcej kupy.

– Tak, to znaczy byłym chłopakiem – odparłem po chwili. – Przyszliśmy, żeby z nią porozmawiać o... – Nie dokończyłem myśli. – Co się stało?

– Jak już wspomniała pani Tranham, ona i jej mąż poprosili Laurę, żeby zaopiekowała się Oscarem, podczas gdy oni zdrzemną się godzinę. Oscar

spał w swoim pokoiku na górze. Czy ma pan dzieci, panie...?

– Sullivan – podpowiedziałem. – Nie, nie mam.

– Pamiętam, kiedy urodziła się moja córka. W tym czasie kobieta myśli wyłącznie o spaniu. Staje się to wręcz jej obsesją. Po przebudzeniu pani Tranham zerknęła na zegarek i stwierdziła, że spali dwie godziny. Prosiła wprawdzie Laurę, żeby obudziła ich po godzinie. Ale uznała, że przyjaciółka pewnie pozwoliła im dłużej pospać. Poszła do pokoju dziecięcego, ale Oscara tam nie było. Nie znalazła go w całym domu. Panna Mackenzie też zniknęła.

– Może po prostu zabrała małego na spacer – podsunąłem, choć sam nie wierzyłem w takie wyjaśnienie.

– Wózek został – zauważył przytomnie Edward. Posterunkowa Davies potwierdziła skinieniem głowy.

– Zgadza się. Pani Tranham korzysta też z chusty do noszenia dziecka, ale ona też jest w domu. O ile pani Tranham była w stanie stwierdzić, Laura niczego nie zabrała ze sobą. Została torba, w której noszą pampersy, gdy zabierają dziecko na spacer. Pani Tranham wspomniała też, że zanim poszli spać, wykorzystali ostatniego pampersa w opakowaniu, a nowe nie zostało napoczęte. Widzieli panowie kołderkę. Ona też została w łóżku Oscara.

– Próbowaliście się do niej dodzwonić?

Posterunkowa Davies posłała mi pełne politowania spojrzenie. Niezbyt się dziwiłem takiej reakcji.

– Od razu włącza się skrzynka głosowa, zupełnie jakby Laura wyłączyła telefon – wyjaśniła. – A więc nie odzywała się do pana w ostatnim czasie?

Pokręciłem głową. Edward zaś odpowiedział:

– Widziałem ją dzisiaj, o szesnastej trzydzieści, dwie i pół godziny temu.

– Gdzie?

– Stała w ogrodzie. Rozmawiała z kobietą o imieniu Alina, Rumunką.

Posterunkowa Davies otworzyła notatnik.

– Alina? – upewniła się. – A wie pan może, jak ma na nazwisko?

– Nie, przykro mi.

– A jaka relacja łączy ją z panną Mackenzie?

Popatrzyłem wyczekująco na Edwarda.

– To skomplikowane – stwierdził, wzruszając ramionami.

– W porządku. Jeszcze do tego wrócimy. Wcześniej słyszałam coś o... duchach.

– Tak, Laura na wcześniejszych etapach życia miewała epizody, gdy wydawało jej się, że rozmawia z duchami. Kiedy powiedziała Danielowi, że widziała Alinę, założył, iż chodzi o ducha kobiety. Wydaje nam się zresztą, że sama Laura również w to wierzy. Tyle że Alina żyje, widziałem ją na własne oczy.

Policjantka przyglądała nam się długą chwilę, zastanawiając się chyba, czy ją nabieramy.

– Chcecie powiedzieć, że Laura Mackenzie cierpi na zaburzenia psychiczne?

– Nie! – zaprotestowałem. – To znaczy ostatnio... trochę dziwnie się zachowuje. Ale nie jest wariatką. I nigdy nie skrzywdziłaby dziecka.

– Ani nie pozwoliła, by zostało skrzywdzone przez kogoś innego? – spytała policjantka.

– To Laura zawiozła Erin do szpitala i towarzyszyła jej przy porodzie. Erin to jej najlepsza przyjaciółka. Nigdy by nie pozwoliła, żeby coś złego spotkało jej dziecko.

Davies przez chwilę notowała. Zauważyłem, że zapisuje słowa „zdrowie psychiczne”, i od razu pożałowałem, że wspomniałem o duchach.

– A więc ta Alina – odezwała się znów policjantka – była tu o godzinie szesnastej trzydzieści, zgadza się?

Edward potwierdził skinieniem głowy.

– Tak, w ogrodzie.

– Przejdźmy się tam – zaproponowała funkcjonariuszka.

Żeby dostać się do ogrodu, musieliśmy przejść przez kuchnię. Zastaliśmy tam Roba w towarzystwie drugiego gliniarza. Gospodarz trzymał przy ustach kubek z herbatą, ale nie pił. Z góry dobiegał mechaniczny warkot jakiegoś urządzenia.

– Erin musi odciągnąć pokarm – wyjaśnił Rob. – Teraz wypada pora karmienia Oscara.

– Panie Tranham, znajdziemy państwa dziecko – odezwała się posterunkowa Davies, przybierając współczujący wyraz twarzy. – Daję panu słowo. – Widziałem, że Rob rozpaczliwie pragnie jej uwierzyć. Policjantka dodała: – Chcielibyśmy teraz rozejrzeć się po ogrodzie.

Rob otworzył drzwi od podwórza i wyszliśmy przed dom. Było już całkiem ciemno, ale policjanci poświecili latarkami – dwa snopy światła skrzyżowały się w połowie trawnika.

– Zimą rzadko wychodzimy do ogrodu – przyznał Rob takim tonem, jakby się usprawiedliwiał z powodu nieprzystrzyżonej trawy i butwiejących liści zalegających wokół rabatek.

– Widziałem je tutaj – stwierdził Edward, wskazując miejsce widoczne od strony bocznej furtki. – Laura stała zwrócona twarzą do ogrodu. Alina spoglądała w kierunku domu.

– Alina? – wtrącił się Rob. – A to kto? Kiedy je widziałeś?

– Słyszałeś, o czym rozmawiają? – spytała Edwarda policjantka, kładąc dłoń na ramieniu Roba.

– Nie, Laura mnie nie zna, dlatego pomyślałem, że zawołam Daniela, żeby on z nią porozmawiał i udowodnił jej, że Alina wcale nie jest duchem, tylko człowiekiem z krwi i kości.

Davies głośno cmoknęła z dezaprobatą. Weszła na trawnik i ruszyła w głąb ogrodu, omiatając teren przed sobą latarką. Nie wiedziałem, czego właściwie szuka. Dowodu, że Laura przyniosła tu Oscara?

Edward i ja chcieliśmy pójść za nią, ale pokazała gestem, żebyśmy zostali.

– Co to za Alina, do cholery? – dopytywał Rob. – Co tu się dzieje?

Zapewniłem go, że to zbyt skomplikowane, byśmy mogli teraz się nad tym rozwodzić. Poprosiłem go o kilka minut cierpliwości. Ku mojemu zaskoczeniu Rob nie protestował, chyba miał już dość. Stał wsparty plecami o mur domu i zajął się obgryzaniem paznokci.

Blżej płotu na tyłach ogrodu rosło trochę jabłonek i stała szopa, w której gospodarze trzymali kosiarkę do trawy i sprzęt ogrodniczy. Widzieliśmy,

jak myszkuje tam snop latarki posterunkowej Davies. W pewnym momencie rozległ się trzask i łomot. Pomyślałem, że pewnie policjantka otworzyła drzwi szopy.

– Panie Tranham – zawołała.

Rob wyminął nas i skierował się do szopy. My ruszyliśmy jego śladem. Kiedy stanęliśmy przy niewielkim budynku, Davies spytała:

– Kiedy ostatni raz zaglądał pan do środka?

– Nie wiem. Chyba robiłem tu porządki latem.

– Rozpoznaje pan te przedmioty?

Oświetliła latarką wnętrze. Stałem tuż za Robem, wytyczając wzrok. Na podłodze rozłożony był śpiwór. Wokół niego leżało mnóstwo opakowań po chipsach i batonach, a także parę pustych plastikowych butelek po wodzie.

Rob z wrażenia rozchylił szeroko usta.

– Nie. To znaczy śpiwór jest nasz, zwykle wisi na kołku, tyle że w pokrowcu, obok drugiego śpiwora – wydusił z siebie. – Ale te śmieci... tego na pewno tu nie było. O Boże.

– Wygląda na to, że ktoś tu pomieszkiwał.

– Alina – domyśliłem się. Pewnie za dnia odwieszała śpiwór na miejsce i sprzątała śmieci.

Davies potarła w zamyśleniu brodę.

– Takie sytuacje zdarzają się nagminnie. Często napływają do nas zgłoszenia, że u kogoś w szopie zamieszkał na dziko bezdomny.

– Może wreszcie ktoś, do kurwy nędzy, łaskawie wytłumaczy mi, kim jest ta cała Alina? – Rob łyptał na mnie groźnie. Zaciskał i rozluźniał pięści, jakby lada moment miał się na mnie rzucić. – Czy to ona porwała Oscara?

– Za chwilę porozmawiamy, panie Tranham – odezwała się posterunkowa Davies. – Wracajmy do domu. Panie Sullivan, będę potrzebowała szczegółowego rysopisu tej kobiety.

Kiedy szliśmy do domu, wyciągnęła radio i zaczęła przekazywać do centrali podawany przeze mnie opis Rumunki, którą zostawiliśmy pamiętnej nocy w domu w lesie.

W kuchni czekała na nas Erin, z butelką pełną odciągniętego mleka. Rob delikatnie wyjął jej z rąk naczynie i włożył do lodówki. Erin miała nieobecne spojrzenie, było jasne, że jest kompletnie zagubiona. Ta przebojowa kobieta, której nic nie było w stanie wyprowadzić z równowagi, teraz wydała się sparaliżowana. Wpatrywała się w telefon, jakby liczyła, że zobaczy na nim odpowiedź na najważniejsze pytanie: gdzie jest jej dziecko?

– Jest jeszcze ktoś, o kim musicie wiedzieć – odezwał się Edward, zwracając się do stróżów prawa. – To facet Aliny, Ion. Oprócz niego jest jeszcze Camelia.

Opowiedział następnie policjantom, że podejrzewa Iona o wrzucenie koktajlu Mołotowa do swojego biura. Przekazał im również podstawowe fakty na temat pozostałych zdarzeń: wyjaśnił, w jakich okolicznościach Laura i ja poznaliśmy Alinę i Iona. Wy tłumaczył, dlaczego naszym zdaniem Rumuni nas poszukiwali. Na szczęście nie wspomniał o domu w lesie. Kiedy opowiadał, mina posterunkowej Davies stawała się coraz bardziej nietęga, natomiast Erin i Rob przyglądali się nam z niedowierzaniem. Policjantka skrzętnie notowała.

Opowiedziałem o włamaniach, o bliskim spotkaniu z psem. Wspomniałem też, że zgłaszałem większość tych incydentów na policję. Chciałem napomknąć też o śmierci Jake'a, ale uznałem, że ta sprawa odwracałaby uwagę policjantów od głównego wątku.

– Im się wydaje, że Laura wie, gdzie znajdują się prochy, które umieścili w naszym bagażu, albo jest w ich posiadaniu. Założę się, że więżą teraz Laurę i Oscara, i grożą jej, że skrzywdzą dziecko, jeśli Laura nie zacznie śpiewać.

– Skrzywdzą dziecko? – pisnęła Erin, a ja momentalnie pożałowałem swoich słów.

– Przepraszam. Nie chodzi mi... – zacząłem się plątać. Rob rzucił mi takie spojrzenie, jakby chciał mnie zamordować. Jak gdybym to ja porwał im syna. – Na razie nie posunęli się do przemocy.

– Jeśli nie liczyć podrzucenia ci agresywnego psa i wrzucenia koktajlu Mołotowa do biura twojego kolegi! – Rob był purpurowy na twarzy. Na czoło wystąpiły mu nabrzmiące żyły.

– Stary, spokojnie.

– Nie wkurwiał mnie z tym „starym”!

– Jestem pewien, że Oscarowi nic złego się nie stanie – powiedziałem, zwracając się do Erin, która opadła na krzesło, ukryła twarz w dłoniach i łkała.

– To wasza wina – warknął Rob, wskazując mnie wyciągniętym palcem. – Twoja i Laury. Podejrzewaliśmy, że podczas waszego pobytu w Rumunii coś się stało. No to teraz wiemy już co. Zadaliście się z handlarzami narkotyków. I przyprowadziliście ich aż tutaj. Naraziliście moją rodzinę na niebezpieczeństwo. – Kiedy to mówił, dźgając mnie palcem w pierś, twarz wykrzywił mu grymas wściekłości. – Dlaczego nas nie ostrzeżliście? Jeśli coś złego spotka...

Nie miałem nic na swoje usprawiedliwienie. Mogłem tylko milczeć.

W końcu interweniowała posterunkowa Davies. Stała między nami, mówiąc:

– Panie Tranham, w ten sposób pan nie pomaga. Proszę zachować spokój.

Rob próbował ominąć policjantkę, żeby mnie dopaść. Wtedy do akcji wkroczył drugi gliniarz. Chwycił Roba za ramię i odciągnął.

– Proszę pana, spokojnie.

– Gdzie oni są? Ci handlarze? – spytał Rob, rzucając mi pogardliwe spojrzenie. – Jeśli nie zaprowadzisz nas do nich, a oni skrzywdzą Oscara, słowo honoru, zatłukę cię na śmierć.

Chwilę potem poryczał się. Erin przyciągnęła go do siebie i przytuliła.

Wpatrywałem się w nich, próbując wyobrazić sobie ich cierpienie. Wiedziałem, że to, co teraz znoszą, jest znacznie gorsze od wszystkich koszmarów, jakich dotychczas doświadczyłem. Poprzysięgłem sobie, że im pomogę. Odszukam Laurę i Oscara. Doprowadzę tę sprawę do końca.

ROZDZIAŁ 52

Davies poprosiła mnie o szczegółowe rysopisy Aliny, Iona i Camelii. Wyszła do sąsiedniego pomieszczenia, żeby przedzwonić. Wróciła po chwili i poinformowała nas o postępach.

– Rozpowszechnimy teraz zdjęcia Laury i Oscara, wraz z rysopisami trojga Rumunów, o których opowiedział pan Sullivan.

Erin jęknęła cicho.

– Na razie nie mamy pewności, że ta trójka ma z tym coś wspólnego – zaznaczyła funkcjonariuszka. – Jest całkiem prawdopodobne, że panna Mackenzie wzięła Oscara na spacer i lada chwila stanie w drzwiach, zdumiona całym tym zamieszaniem.

– A ja ją wtedy własnoręcznie uduszę – oznajmił Rob.

Tak naprawdę nikt z nas nie wierzył, że Laura poszła z małym na spacer.

Davies, wzięwszy głęboki oddech, dodała:

– Niedługo zjawią się tu oficerowie specjalizujący się w tego rodzaju sprawach.

– To znaczy w sprawach porwań dzieci? – spytał Rob.

Policjantka skinęła milcząco głową.

I właśnie w tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi. Rob poszedł otworzyć i po chwili wrócił do kuchni w towarzystwie dwojga osób – mężczyzny i kobiety w garniturach. Facet, pięćdziesięcioletni, był nieogolony i miał wory pod oczami. Kobieta, o azjatyckich korzeniach, zmierzyła każdego z nas spojrzeniem skośnych oczu. Na końcu jej wzrok padł na Edwarda. Skinęła mu głową i wtedy zrozumiałem, że się znają.

– A to niespodzianka – odezwał się mężczyzna. – Człowiek przez cały rok czeka, aż trafi mu się sprawa, którą zajmuje się też Edward Rooney. A potem bum, dostaje dwie sprawy naraz.

Przedstawili się nam jako komisarz Rita Desi oraz sierżant z wydziału dochodzeniowego Simon Farrow. Posterunkowa Davies przeszła z nimi do salonu, żeby krótko poinformować ich o szczegółach sprawy.

– Jesteście w dobrych rękach – zwrócił się do Erin i Roba Edward. – W pracy często stykam się z policjantami, Desi jest jedną z lepszych w swoim fachu.

Po pięciu minutach, mimo że wydawało się, jakby upłynęło znacznie więcej czasu, detektywi wrócili do kuchni. Davies deptała im po piętach.

– To doprawdy niezwykła historia – oświadczyła Desi, obrzucając spojrzeniem najpierw Edwarda, potem mnie. – Podejrzewam, że pominęliście sporo szczegółów, zgadza się?

– Proszę mi wierzyć, pani komisarz – wyręczył mnie Edward. – Udzieliliśmy wszystkich informacji, jakie będą wam niezbędne do zajęcia się tą sprawą.

– Wolelibyśmy sami to ocenić.

– Gdybyśmy mieli opowiedzieć wszystko od początku do końca, zajęłoby to zbyt dużo czasu – wypaliłem. – Powinniśmy ich szukać, zamiast gadać. Porywaczami są Rumuni, to pewne. Kiedy ich namierzemy, znajdziemy też Oscara.

Davies wyprowadziła Roba i Erin do sąsiedniego pokoju. Rooney i ja zostaliśmy z dwojgiem detektywów.

– Pytaliście w Urzędzie do spraw Imigracji? – spytał Edward. – Podejrzewamy, że Ion i Camelia niedawno przybyli do Anglii.

– Sprawdzamy to teraz – odparła Desi. – Byłoby nam łatwiej, gdybyście znali ich nazwiska.

– A co z rumuńskim środowiskiem w Londynie? Może należałoby pogadać z liderami lokalnej społeczności? Pochodzić po rumuńskich knajpach i kawiarniach?

– Wiemy, jak wykonywać naszą pracę.

– Po prostu informuję was, jak zamierzałem postąpić – odparował Edward.

Desi wydeła z niezadowoleniem usta. A ja zacząłem się zastanawiać, czy tych dwoje kiedyś coś łączyło. Nie mogłem ustać spokojnie. Chciałem być w terenie, zajmując się tym, co przed chwilą proponował Edward: zagładaniem do miejsc chętnie odwiedzanych przez Rumunów i szukaniem tam kogoś, kto zna Alinę, Iona albo Camelię.

Odciągnąłem Rooneya na bok i zniżając głos, powiedziałem:

– Chodźmy. Tkwiąc tutaj, nic nie zdziałamy. Pojeździmy, zabierzesz mnie do miejsc, które zamierzałeś odwiedzić. Może wcześniej niż gliny znajdziemy kogoś, kto będzie coś wiedział.

Edward zerknął na detektywów. Akurat zadzwonił telefon Desi, kobieta odwróciła się, żeby odebrać, i wyszła na korytarz. Sierżant Farrow udał się do ogrodu, żeby przyjrzeć się miejscu, w którym sypiała Alina.

– No to chodźmy – zgodził się Rooney.

Wymknęliśmy się frontowymi drzwiami i wsiedliśmy do samochodu. Mogliśmy tkwić w czterech ścianach razem z odchodzącymi od zmysłów Erin i Robem i liczyć, że detektywi coś zrobią. Ale my woleliśmy działać.

– Nie powinieneś się winić za to, co się stało – powiedział Edward. – To nie ty zaprosiłeś chaos do swojego życia. On sam cię znalazł.

Puściłem tę uwagę mimo uszu.

– Poszukam rumuńskich restauracji – stwierdziłem, włączając wyszukiwarkę Google w telefonie. Poczułem, jak Edward trąca mnie łokciem. Uniosłem wzrok i zobaczyłem, jak Desi i Farrow żwawym krokiem wychodzą z domu. Wsiedli do auta i momentalnie ruszyli z piskiem opon.

– Coś musiało się stać – rzekł Rooney. A mnie momentalnie rozboleł z nerwów brzuch. – Jedźmy za nimi.

Zamknąłem oczy i modliłem się w myślach, żeby nie chodziło o znalezienie ciała, albo dwóch ciał. Przed oczami stanął mi obraz trumienki w domu w lesie.

Edward uruchomił silnik i ruszyliśmy za samochodem detektywów.

ROZDZIAŁ 53

Detektywi postawili na dachu wozu migające na niebiesko światła policyjne i włączyli syrenę. Przez cały czas siedzieliśmy im na ogonie, korzystając z faktu, że samochody na ulicach zjeżdżały na bok, żeby umożliwić przejazd policji. Na jakiś czas utknęliśmy w mrocznym przejeździe podziemnym, wreszcie wynurzyliśmy się z niego i wjechaliśmy na przelotówkę A12, która pozwoliła nam już bez większych przeszkód dostać się na wschód metropolii. Trzymałem się kurczowo fotela, za oknami migały światła mijanych budynków. W pewnym momencie taksówka gwałtownie zmieniła pas ruchu, wjeżdżając między nas i samochód detektywów. Edward wcisnął pedał hamulca, aż naszym samochodem niebezpiecznie zarzuciło.

– Dupek – mruknął, zmieniając bieg.

– Znasz te okolice?

– Średnio. Miałem jedną klientkę, którą mąż zdradzał z babką mieszkającą w okolicy Valentines Park. Wydaje mi się, że jedziemy w tym kierunku.

Proszę, modliłem się w myślach. Błagam, spraw, żebyśmy znaleźli tam Laurę i Oscara.



Kiedy zjechaliśmy z szosy przelotowej, zaczęliśmy kluczyć w labiryncie małych uliczek i wkrótce straciliśmy z oczu wóz detektywów. Edward, klnąc jak szewc, krążył po ciasnych uliczkach. Mury budynków były tu najeżone wielkimi antenami satelitarnymi, pozwalającymi odbierać obcojęzyczne kanały telewizyjne. Na innych powiewały angielskie flagi.

W końcu zabrnęliśmy w ślepią uliczkę, Edward wycofał auto i skręcił w inną.

– Tam – zawołałem, wskazując dwa radiowozy policyjne zaparkowane przed niedużym budynkiem. Obok nich stał szary volkswagen passat naszych detektywów. Wkoło zebrała się już grupka gapiów, składająca się z mieszkańców okolicznych domów. Kiedy tylko Edward znalazł miejsce do parkowania, wyskoczyłem z wozu i biegiem ruszyłem do frontowych drzwi budynku. Zacząłem się dobijać, po chwili drzwi się otworzyły i ukazała się w nich umundurowana policjantka.

– Są tutaj? – wyrzuciłem z siebie.

Twarz funkcjonariuszki była popielata, jak gdyby przed chwilą zobaczyła coś, o czym wołałaby jak najszybciej zapomnieć.

– To miejsce przestępstwa, proszę pana. Proszę się nie zbliżać do budynku.

Edward dogonił mnie, a w tym samym momencie w progu stanęła Desi. Jej mina była równie niepokojąca jak ta, którą zobaczyłem na twarzy funkcjonariuszki w mundurze.

Strach walczył we mnie z potrzebą zobaczenia, co jest w środku. Próbowałem przepchnąć się między kobietami, ale zagrodziły mi drogę.

– Nie możesz tam wejść – oznajmiła Desi.

– Co się dzieje? – spytał Edward. – Widzieliśmy, że nagle wybiegliście z domu Erin i Roba...

– I postanowiliście nas śledzić. Typowe. Dostaliśmy zgłoszenie... Sąsiad usłyszał, jak ktoś wzywa pomocy. Włamał się do budynku, po czym zadzwonił na policję.

Miałem wrażenie, jakby na dnie mojego żołądka spoczywała kula lodu.

– Jest tu dziecko? Laura?

Desi minęła funkcjonariuszkę i stanęła na zarośniętej ścieżce wiodącej do drzwi. Potarła dłońmi twarz i powiedziała:

– Nie, nie ma ich tutaj. Znaleźliśmy za to Iona. I kobietę.

Zaczerpnęła lodowatego powietrza, po czym wypuściła z ust biały kłęb.

– Ion mocno oberwał, ale żyje. Kobieta nie przeżyła. Ktoś zatłukł ją na śmierć.

Słuchałem z otwartymi szeroko ustami. Boże, tylko nie to...

– Jak wygląda? – spytał Edward. – Ma czarne włosy z czerwonymi pasemkami? Image punkowy?

– Nie.

Nie umiałem dłużej się powstrzymać. Wyminąłem komisarz Desi, potem odwróconą do nas tyłem funkcjonariuszkę i wbiegłem do środka.

– Ejże! – krzyknęła za mną Desi. Słyszałem, że próbuje mnie gonić, ale byłem szybszy.

Usłyszałem głosy dobiegające z pokoju naprzeciw. Wpadłem tam, nie zważając na to, że swoim wtargnięciem mogę zatrzeć dowody i utrudnić pracę technikom kryminalnym. Znajdujący się w pokoju policjanci stali odwróceny do mnie plecami. Patrzyli na zwłoki kobiety leżące na podłodze.

Nie widziałem jej twarzy. Ponieważ w pokoju było ciemno, nie umiałem powiedzieć, jakiego koloru są jej włosy – blond jak u Camelii czy raczej truskawkowy blond jak u Laury. Wstrzymując oddech, zakradłem się bliżej.

To była Camelia.

Jęknąłem. Jeden z gliniarzy odwrócił się i coś krzyknął.

Po chwili w pokoju zjawiła się Desi i wspólnie z innym funkcjonariuszem wywlekli mnie z domu.

– Ty pieprzony idioto – warknęła, kiedy znaleźliśmy się na trawniku.

– Musiałem przekonać się, kim jest denatka. Musiałem upewnić się, że to nie Laura – tłumaczyłem. Zwracając się do Edwarda, powiedziałem: – To Camelia.

Desi wyrzuciła w górę ręce w geście desperacji, po czym ruszyła z powrotem do domu. Nie omieszkała na odchodnym rzucić do mnie jadowitym głosem:

– Trzymaj się z daleka.

Edward objął mnie ramieniem i wyprowadził z ogrodu przed domem na chodnik. Przybywało tu teraz coraz więcej radiowozów, gliniarze odgradzali miejsce przestępstwa taśmą, zaklejając nią drzwi wejściowe do

domu. Dwóch funkcjonariuszy zajęło się powstrzymywaniem napierającego tłumu gapiów, których stale przybywało. Po ulicy ganiały się miejscowe dzieciaki, podniecone niecodziennym zbiegowiskiem, podczas gdy ich rodzice wyciągali szyje, żeby zobaczyć, co się dzieje. Edward zaprowadził mnie na drugą stronę ulicy, z dala od tłumu.

Rozległo się wycie syreny i po chwili przed dom zajechała karetka pogotowia. Syrena umilkła, z wozu wyskoczyło dwóch ratowników medycznych, którzy biegiem skierowali się do budynku. Niedługo potem pokazali się znowu, wzięli z karetki nosze i pobiegli z powrotem.

– Chodźmy – odezwał się Edward i podeszliśmy od tyłu do karetki.

Po chwili ratownicy medyczni wynieśli na noszach Iona, tuż za nimi szła komisarz Desi. Ion leżał na plecach, oczy miał zamknięte. Na jego widok przeszedł mi po plecach lodowaty dreszcz. Musiałem przytrzymać się karoserii karetki, bo nagle nogi się pode mną ugięły. Gapie filmowali scenę trzymanymi wysoko w górze telefonami. Jakaś kobieta krzyknęła coś o obcokrajowcach i hołocie zajmującej pustostany.

Kiedy ratownicy donieśli nosze do karetki, Ion otworzył nagle oczy i utkwiał we mnie spojrzeniem.

– Cześć, Danielu.

Medycy próbowali wsunąć nosze do wozu, ale Desi powstrzymała ich uniesieniem ręki.

– Chwileczkę.

Ion nie spuszczał ze mnie wzroku. Po jego ustach błąkał się blady uśmiezek. Kiedy otworzył usta, żeby coś powiedzieć, skrzywił się z bólu.

– Chciałem. Po prostu. Zarobić. Trochę grosza.

Miałem ochotę chwycić go teraz i sprawić, by cierpiał – za to wszystko, co zrobił, na co nas naraził. Nadal zmagaliśmy się z konsekwencjami jego działań. Edward musiał zobaczyć, co się ze mną dzieje, bo mnie przytrzymał.

– To nic osobistego – dodał Ion, zamykając oczy.

– Gdzie Alina? – spytał Edward.

Ion uniósł jeszcze raz powieki. Nadal patrzył tylko na mnie.

– Alina? – Próbował się roześmiać, ale jego ciało przeszły kolejna fala bólu. Ratownicy przestąpili z nogi na nogę i spróbowali wsunąć nosze do karetki. Ale Desi znów im nie pozwoliła.

– Tak. Gdzie ona jest? Proszę, powiedz nam.

– Sam chciałbym wiedzieć.

– Musimy go niezwłocznie zawieźć do szpitala – oświadczył jeden z ratowników.

Nie czekając na naszą reakcję, razem z kolegą włożyli nosze na tył karetki i zatrzasnęli drzwi. Po chwili odjechali na sygnale.

– Co ci powiedział? – spytał Edward, zwracając się do Desi. – Kto to zrobił?

Pani komisarz zignorowała Rooneya.

– Panie Sullivan, czy wiadomo panu coś na temat starego mężczyzny? – spytała. – Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat. Łysy. Błękitne oczy. Narodowości rumuńskiej. Czy to panu coś mówi?

Wpatrywałem się w nią oniemiały.

– Tak Ion opisał mężczyznę, który go zaatakował: facet w podeszłym wieku, mówiący po rumuńsku.

– A czy ten stary facet coś mu powiedział?

– Spytał: „Pamiętasz mnie?”. Ale Ion go nie kojarzył. Przysięga, że nigdy w życiu go nie spotkał.

– Spytałaś Iona o Oscara? – chciał wiedzieć Edward.

– Naturalnie. To było moje pierwsze pytanie. Nic nie wiedział na jego temat. Wierzę mu. Leżał tu przez wiele godzin. Niemożliwe, żeby ta trójka miała związek ze zniknięciem Oscara Tranhama.

– Tylko że...

Desi od razu weszła mu w słowo:

– Idźcie do domu, obaj. Zostawcie to zawodowcom. A ty – wskazała mnie palcem – zostań w domu, nigdzie nie wychodź. Wygląda na to, że jesteś w samym centrum tej popieprzonej sprawy. Pogadamy później.

Po tych słowach skierowała się do domu, odprowadzana błyskami telefonów.

ROZDZIAŁ 54

W stanie rozkładu w stanie rozkładu w stanie rozkładu w stanie rozkładu...

Laura siedziała na tylnym fotelu w samochodzie diabła. Oscarek spał, z główką opartą na jej piersi. Siedząca obok niej Alina wpatrywała się w okno, za którym śmigwały wyprzedzane przez nich samochody. Diabeł kierował, od czasu do czasu patrzył na nie w lusterko wsteczne: lodowate spojrzenie głęboko osadzonych oczu. Laura zwróciła uwagę, że Alina przypięła się pasem bezpieczeństwa. Dość nietypowe zachowanie jak na ducha. Czyżby diabeł użyczył jej ludzkiej postaci, dał nowe ciało, tak by mogła znowu stąpać po ziemi? Miała ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć Rumunki, żeby przekonać się, jaka w dotyku jest jej skóra: ciepła czy zimna. Nie zrobiła tego jednak, za bardzo się bała.

...w stanie rozkładu w stanie rozkładu w stanie rozkładu...

Cofnęła się w myślach do wcześniejszych wydarzeń. Kiedy jej umysł odtwarzał je na nowo, odkryła, że nie czuje z nimi żadnego związku. Zupełnie jakby z dużej odległości oglądała film na swój temat. Mogłaby z łatwością uwierzyć, że była aktorką odgrywającą rolę w jakimś dziwnym, przerażającym filmie. Jednak w takich chwilach Oscar zaczynał się wiercić i zyskiwała pewność, że to wszystko prawda. Nie mogła wycofać się do świata rojeń, nie umiała udawać, że to się nie dzieje w rzeczywistości. Nie pozwalało jej na to niemowlę jej najlepszej przyjaciółki. Jakby czytając jej w myślach, Oscar otworzył oczy i utkwiał w niej spojrzenie. Nieświadomy sytuacji, w jakiej się znajdował, ufny, niewinny. Laura wiedziała, że musi trzymać się w garści. Nie dla siebie, lecz dla niego.

Mniej więcej o szesnastej trzydzieści, po tym, jak diabeł uwolnił Laurę z rąk tej stukniętej Rumunki, zawiózł ją z powrotem przed dom Erin i Roba.

Tam, w ogrodzie, porozmawiała z Aliną i opowiedziała jej o tym, co się stało. Alina wypytywała ją o kobietę i starego mężczyznę. Zwłaszcza o niego. Laura odniosła wrażenie, że Alina jest przerażona.

Czy duch może odczuwać strach?

Potem Laura usłyszała, jak woła ją Erin, i weszła do domu. Dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, że wchodząc do środka, zapomniała zamknąć drzwi do ogrodu na klucz. Erin skarżyła się jej, że razem z Robem ślaniają się na nogach z wyczerpania. Spytała, czy Laura mogłaby przez godzinę zaopiekować się Oscarem. Zgodziła się, rzecz jasna. Rodzice poszli do swojego pokoju, a Laura usiadła na krześle przy łóżeczku dziecięcym i przez jakiś czas patrzyła na śpiące niemowlę. Starła się nie myśleć o tym, co zdarzyło się wcześniej. Zastanawiała się, czy powinna przedzwonić do Daniela. Zdawała sobie sprawę, że to dobry pomysł. Szkopuł w tym, że zdaniem Daniela odbiło jej. Gdyby opowiedziała mu, że diabeł ocalił jej życie, na pewno by jej nie uwierzył. Pewnie skontaktowałby się z jej rodzicami i wkrótce odwiedziłaby ją matka w towarzystwie lekarza. A potem Laura zostałaby umieszczona w szpitalu i podano by jej środki usypiające.

Wolała zaryzykować pozostanie tutaj, z czającymi się przed domem diabłem i duchem zamordowanej kobiety, niż wracać do szpitala.

Co stało się potem? Poczula jakiś nieprzyjemny słodkawy zapaszek. Okazało się, że Oscar narobił w pieluchę. Laura chciała pomóc przyjacielom, zależało jej, żeby przespali się dłużej niż godzinę. Pomyślała, że może uda jej się zmienić pampersa bez budzenia Oscara... Obserwowała kiedyś, jak Erin go przewijała; wiedziała, co robić. Tylko że czyste pieluchy i nawilżane chusteczki były w salonie. Ostatni raz rzuciła okiem na śpiące niemowlę, po czym na palcach wyszła z pokoju dziecięcego.

Kiedy wróciła, łóżeczko Oscara było puste.

Starła się nie panikować. Pewnie Erin albo Rob zabrali dziecko do innego pokoju. Zbiegła po schodach do kuchni, spodziewając się, że zastanie tam któreś z rodziców z Oscarem. Zamiast tego zobaczyła otwarte na oścież drzwi do ogrodu. Przed domem stali diabeł i Alina.

Diabeł trzymał na rękach małego Oscara. Laura przeniosła spojrzenie na Alinę. Kobieta duch stała nieruchomo, z jej spojrzenia wyzierała groza.

A zatem duchy jednak odczuwają strach. W sumie to logiczne: nic dziwnego, że duch lęka się diabła. Laura słyszała, jak mocno bije jej serce: bum, bum, bum.

W końcu diabeł przemówił cichym, lecz tubalnym głosem:

– Chodź ze mną.

Laura otworzyła usta.

– Jeśli zaczniesz krzyczeć albo narobisz hałasu, zabiję dziecko. To nie będzie pierwszy dzieciak, jakiego mam na sumieniu – ostrzegł.

Po tych słowach skierował się ku furtce. Oscara trzymał teraz na jednej ręce, drugą chwycił nadgarstek Aliny i pociągnął ją za sobą. Laura ruszyła ich śladem, a dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że w rękach nadal ściska pampersy i opakowanie nawilżanych chusteczek. Kiedy wsiedli do samochodu, diabeł powiedział:

– Żebyśmy się dobrze zrozumieli: jeśli spróbujesz uciec, dzieciak zginie.

Po jakimś czasie zatrzymali się, żeby Laura mogła zmienić pampersa Oscarowi. Diabeł obserwował ją, kiedy się tym zajmowała. Chłopczyk obudził się i zaczął płakać, dając znać, że jest zmęczony albo głodny. Kupa noworodka miała słodkawą woń, przywodzącą na myśl zapach słodzonego mleka. Diabeł poprosił Laurę, żeby podała mu brudnego pampersa.

Wysiadł na chwilę z wozu, żeby wyrzucić pieluchę.

– Co on z nami zrobi? – zwróciła się szeptem do Aliny. – Co zrobi Oscarowi?

Alina zadrżała. Mimo że jej oczy były szeroko otwarte, Laura była pewna, że kobieta nie widzi ani jej, ani wnętrza samochodu. Co w takim razie widziała? Dom, w którym umarła? Czy to tam po raz pierwszy spotkała diabła?

– Obserwuję was wszystkich od jakiegoś czasu – stwierdził diabeł, gdy wrócił i usiadł za kierownicą. – Setnie się przy tym ubawiłem. Uwielbiam młodych. Wydaje wam się, że wszystko wiecie najlepiej, że rozumiecie, jak działa świat. Na ludzi w moim wieku patrzycie z politowaniem albo obojętnością.

Laura poczuła się dezorientowana. Były to dość osobliwe słowa jak na diabła.

– Czeka was jeszcze sporo nauki – dodał, szczerząc zęby w uśmiechu. – O tak, bardzo dużo.

Mknęli autostradą, gdy Oscar znów się obudził. Wcześniej, kiedy wyjechali z Londynu i znaleźli się w hrabstwie Essex, zasnął, jednak teraz znów płakał i zaczął ocierać się główką o pierś Laury, bezskutecznie szukając sutka. Laura próbowała go uciszyć; żałowała, że nie ma dla niego nic do picia.

– Jest głodny – stwierdziła.

Diabeł roześmiał się.

– W domu mamy mleko. Zaraz będziemy na miejscu. Do tego czasu pilnujcie, żeby był cicho.

Popatrzył w lusterko wsteczne – najpierw na Laurę, potem na Alinę.

– Potrzebna mi będzie tylko jedna z was. Pamiętajcie o tym. Żebym mógł rozkręcić biznes od nowa, wystarczy mi jedna.

Alina wybuchła płaczem. Dla Laury to był wstrząs: Alina i płacz?

Instynktownie wyciągnęła rękę, żeby pocieszyć martwą kobietę. I nagle doznała szoku, gdy jej dłoń napotkała ciepłe ciało.

ROZDZIAŁ 55

Wróciliśmy do samochodu Edwarda i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Ogarnął mnie dziwny spokój. Wiele razy, gdy w życiu zawodowym stawałem w obliczu trudnego problemu – na przykład opornego fragmentu kodu, elementu projektu strony internetowej albo konieczności zadbania o przystępność aplikacji dla użytkownika – początkowo fiksowałem się na nim i zaczynałem stresować, ale zawsze prędzej czy później na powrót odnajdywałem spokój. Nie było problemu, którego nie dało się rozwiązać, kierując się logiką.

Policjanci, w przeciwieństwie do mnie, nie znali Laury. A to stawiało mnie w uprzywilejowanej pozycji, jeśli chodzi o szanse na znalezienie Oscara. Poza tym nikt oprócz mnie, i Edwarda, nie znał całej historii. Podzieliłem się z nim tą myślą.

– Ale zauważ, że nasza wiedza też jest niepełna – zastrzegł, unosząc brew. – Na przykład nie wiemy, kim jest stary mężczyzna.

– Zastanówmy się. Wcześniej sądziliśmy, że Ion i Camelia porwali Laurę i dziecko, żeby szantażować nas i zmusić do powiedzenia, co zrobiliśmy z narkotykami. Ale teraz wiemy już, że jest inaczej. – Po chwili namysłu dodałem: – Ion twierdził, że nie wie, gdzie jest Alina. Może mówił prawdę.

Edward zwiesił głowę, chyba był wykończony. Ja dla odmiany w ogóle nie czułem zmęczenia. Byłem nabuzowany od adrenaliny. Nie czułem się tak od dawna. Odkąd przed trzema miesiącami Laura i ja wybiegliśmy z lasu, przez cały czas byłem oszołomiony, niespokojny, nie potrafiłem myśleć logicznie. Jeszcze tydzień temu moją instynktowną reakcją byłoby upić się, zaszyć w ciemnym kącie i liczyć, że jakoś to będzie. Teraz jednak wiedziałem ponad wszelką wątpliwość, że cała ta popieprzona sytuacja,

w jakiej się znajdowaliśmy, ten chaos i historia rodem z horroru, w którą zostaliśmy wplątani, była wynikiem jednego popełnionego przeze mnie bezwiednie błędu: decyzji, by nie zakupić biletów na miejsca w wagonie sypialnym. To był moment, od którego wszystko się zaczęło. A teraz nadarzała się szansa, bym to naprawił.

Od momentu gdy Edward odkrył, że Alina żyje i jest w Londynie, coś nie dawało mi spokoju. Nigdy wcześniej nie dopuszczałem myśli, że mężczyzna z domu mógłby szukać Laury albo mnie. Ale teraz, gdy wiedziałem już, że robił to Ion, zrodziło to we mnie podejrzenia. Czyżby ktoś jeszcze przybył za nami do Anglii? A może... przecież była tu Alina. Wszystko wskazywało na to, że uciekła. A co, jeśli porywacz ruszył jej tropem i dotarł aż tutaj, po drodze mordując Constantina? Fakt, że gliniarz z Brevy przepadł bez śladu akurat teraz, był zastanawiający; nie chciało mi się wierzyć, że to zbieg okoliczności. Od początku podejrzewałem, że Constantin jest umoczony i wie o istnieniu domu; to dlatego daliśmy nogę z Brevy. Moment jego zaginięcia pokrywał się z czasem, gdy tutaj, w Londynie, w życiu moim i Laury zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Jednak co właściwie wydarzyło się w Rumunii? Czyżby Constantin próbował uratować Alinę? A może to ona go zabiła? W każdym razie Constantin przepadł bez wieści, a niedługo potem Alina zjawiała się w Londynie – to nie mógł być przypadek.

Być może kiedy uciekła, jej porywacz ruszył za nią w pogoń. A teraz przystąpił do działania: zabił Camelie, poturbowanego Iona zostawił w opuszczonym budynku na pewną śmierć. Potem porwał Laurę, pewnie również Alinę. I Oscara.

Edward o coś spytał. Uciszyłem go uniesieniem dłoni. Potrzebowałem jeszcze chwili spokoju, żeby pomyśleć.

Jeden szczegół w tej teorii szwankował: Ion wspominał o starym mężczyźnie, natomiast ten, którego widzieliśmy w domu w lesie, wcale nie był stary, miał trzydzieści kilka lat. Ale przecież mógł mieć współnika – kogoś mieszkającego na stałe w Londynie albo osobę, którą tu przysłał.

– Przedzwoń do gliniarza w Rumunii, z którym wcześniej rozmawiałeś – poradziłem. – Chyba już wiem, dlaczego dom w lesie jest teraz pusty.

Wyłożyłem mu swoją teorię.

– No nie wiem...

– Edwardzie, zrób to – nalegałem. Widziałem, że moja nowo odkryta pewność siebie go zaskoczyła. – Musimy się dowiedzieć, kto mieszkał w tamtej chacie.

Podczas gdy Rooney dzwonił, skupiłem się na obserwowaniu opuszczonego budynku. Oczywiście z racji tłumu gapiów nie było to łatwe. Już jakiś czas temu podjechała kolejna karetka i przeniesiono do niej zwłoki Camellii. Błysnął mi wtedy taki obraz: Camelia siedząca na mnie okrakiem, jej obnażone do połowy zakrwawione ciało, wgnieciona u szczytu czaszka. Wzdrygnąłem się i zacisnąłem powieki, odpychając od siebie tę wizję.

Zacząłem przysłuchiwać się Edwardowi, który rozmawiał już z mówiącym po angielsku policjantem w Brevie. Umierałem z ciekawości, co przekazuje mu człowiek po drugiej stronie linii. Edward zanotował coś na kartce, powtórzył parę razy „w porządku”. Wreszcie zakończył rozmowę.

– No i?

– Chciał wiedzieć, dlaczego nas to interesuje. Przedstawiłem mu twoją teorię, że porywacz i morderca wybrał się do Londynu. Nawiasem mówiąc, rumuńska policja nie wierzy nawet, że ktoś taki w ogóle istnieje.

– I jak zareagował?

– Powiedział, że zdołali ustalić, do kogo należy dom. A raczej, do kogo należał.

Pokazał mi kartkę, na której zapisał personalia: Nicolae Gabor.

– Powiedziałeś „należał”. Nie żyje?

– Przepadł bez wieści, został uznany za zmarłego. Podobno w epoce komunistycznej pracował w policji. Mój nowy znajomy w Brevie twierdzi, że Gabor to ktoś znany... Kiedy próbowałem go pociągnąć za język, zasugerował, żebym poszukał informacji o nim w internecie. W każdym razie policja wychodzi z założenia, że faktycznie był właścicielem domu, ale nigdy w nim nie mieszkał. A po jego śmierci nieruchomość popadała w ruinę. Porzucony dom w środku lasu.

Kiedy mówił, wziąłem do ręki telefon i wpisałem do wyszukiwarki hasło „Nicolae Gabor”. Jeden z pierwszych wyników prowadził na witrynę

o nazwie „Złoczyńcy komunistycznej Rumunii”. Strona, zawierająca długą listę „zbrodni przeciwko narodowi rumuńskiemu”, była w języku rumuńskim. Uciekłem się do pomocy Tłumacza Google.

Zacząłem czytać na głos, wygładzając niezbyt naturalnie brzmiące fragmenty automatycznego tłumaczenia:

– „Był członkiem Securitate, tajnej policji w komunistycznej Rumunii. Podobnie jak wielu jego towarzyszy, Gabor był człowiekiem skorumpowanym i w sposób bezwzględny wykorzystywał swoją wysoką pozycję w Securitate do terroryzowania ludności i bogacenia się jej kosztem. Po rewolucji w 1989 roku mnóstwo kobiet przyznało, że Gabor gwałcił je i torturował. Dla jego podwładnych, z inicjatywy przełożonego, gwałt stał się narzędziem służącym do zastraszania całych rodzin”.

– Przyjemniaczek – skomentował z kamienną twarzą Edward.

Czytałem dalej:

– „Po zdelegalizowaniu w 1966 roku aborcji wiele dzieci spłodzonych przez Gabora i bandę gwałcicieli na jego rozkazach trafiało do owianych złą sławą rumuńskich sierocińców, gdzie czekał je straszny los”.

Umieszczony w tekście link prowadził na stronę opisującą rumuńskie sierocińce w epoce komunistycznej. Już wcześniej czytałem o nich, w przewodniku po Europie Wschodniej poświęcono im akapit. Próbowałem czytać ten fragment Laurze – opisy dzieci przykuwanych łańcuchami do łóżeczek, znęcania się i zaniedbywania podopiecznych przez personel – ale już po paru zdaniach miała łzy w oczach i zrezygnowałem. Okropieństwa, których doświadczyły te dzieci, były zbyt straszne, by o nich myśleć.

Teraz na historii z sierocińców spoglądałem inaczej – przez pryzmat tego, co na własne oczy zobaczyliśmy w domu w rumuńskim lesie. Tutaj to matki były przykute do łóżek i wychudzone, dzieci natomiast, przynajmniej takie odnieśliśmy wrażenie, wydawały się stosunkowo zdrowe i zaopiekowane. A w każdym razie te dzieci, które widzieliśmy. Nie mieliśmy pojęcia, jaki los spotkał pozostałe – widziana przez nas trumienka kazała się spodziewać najgorszego.

– „Po rewolucji Gabor przepadł bez śladu. Uznano, że zamordowała go w ramach zemsty jedna z jego ofiar. Ale nigdy nie znaleziono ciała”.

Uniosłem wzrok znad telefonu.

– On wcale nie umarł. Zamieszkał w tym domu i dalej gwałcił kobiety, zapładniał je.

– Ale to nie ten facet, którego tam widziałeś. Gabor musiałby być o wiele starszy.

Według informacji podanych na stronie Gabor, gdyby żył, miałby teraz siedemdziesiątkę na karku. Pokręciłem głową.

– Ten, którego widzieliśmy, to pewnie jego współnik.

– W internecie jest jakieś zdjęcie tego Gabora? – zainteresował się Edward.

Na stronie, którą czytałem, nie znalazłem jego fotografii. Spróbowałem poszukać w Google, ale też bez skutku.

– Pojadę teraz do Sophie. Sprawdzę, jak się czuje – powiedział Edward.
– Mogę podrzucić cię do domu po drodze.

– Ale ja wcale nie wybieram się do domu. Chcę dalej działać.

Edward puścił moje słowa mimo uszu. Przekręcił kluczyk w stacyjce i powiedział:

– Danielu, w tej chwili i tak nie możemy nic więcej zrobić. Musimy zostawić tę sprawę policji.

– Nie. Chcę pojechać do szpitala i pogadać z Ionem. Muszę dowiedzieć się więcej na temat tego mężczyzny w podeszłym wieku, o którym mówił. Spytać Iona, czy go pamięta. Może wróci mu pamięć, kiedy podsunę mu historię Gabora. Może okaże się, że Ion wie, jak go znaleźć.

– Policja nie pozwoli ci na odwiedzin. Poza tym nie wiemy nawet, czy Ion przeżył.

– Guzik mnie to obchodzi. Nadal pracujesz dla mnie, prawda?

Podczas gdy się spieraliśmy, nie przestawałem przeglądać wyników wyszukiwania. W pewnym momencie moją uwagę przyciągnął tytuł „Ludzie Securitate na zdjęciach”. Kliknąłem w link, poczekałem, aż cała strona się załaduje, po czym zjechałem niżej. Moim oczom ukazał się szereg fotografii przedstawiających mężczyzn w mundurach Securitate, wszyscy spoglądali w obiektyw, marszcząc brwi. Po chwili znalazłem

zdjęcie Nicolae Gabora, zrobione pod koniec lat osiemdziesiątych, niedługo przed wybuchem rewolucji. Był z niego całkiem przystojny mężczyzna o kwadratowej szczęce. Spoglądał gniewnie w obiektyw, najwyraźniej nie był zachwycony, że ktoś robi mu zdjęcie.

Kiedy przyglądałem się tej fotografii, miałem dziwne wrażenie, jak gdyby uwieczniony na niej mężczyzna wpatrywał się we mnie, zaglądał mi w głąb duszy. I nagle uświadomiłem sobie, że widziałem kiedyś tego człowieka.

ROZDZIAŁ 56

Po dwudziestu minutach zajechaliśmy na parking przed szpitalem. Zasugerowałem Edwardowi, że ja pójdę przodem; nie zgłaszał obiekcji. Przez cały dzień nie miałem nic w ustach – było jasne, że wkrótce adrenalina przestanie działać i dopadnie mnie zmęczenie. Na razie jednak nadal byłem nakręcony.

Nie miałem żadnego planu, jak namierzyć Iona. Ale kiedy tylko weszliśmy do szpitalnego holu, rozpoznałem policjantkę, którą wcześniej widziałem w opuszczonym budynku. Kobieta skierowała się do windy, a ja, zachowując bezpieczny dystans, ruszyłem jej śladem; Edward posuwał się parę kroków za mną. Nadjechała winda, funkcjonariuszka weszła do środka. Przyspieszyłem kroku i zanim drzwi się zamknęły, dojrzałem, jak wdusza przycisk czwartego piętra.

Klatka schodowa znajdowała się tuż obok wind. Nie oglądając się na mojego partnera, wbiegłem po schodach na czwarte piętro. Nawet się nie zasapałem. Kiedy dotarłem do celu, policjantka stała już w głębi korytarza i naciskała guzik w panelu przy dwuskrzydłowych drzwiach. Rozległ się brzęczek zdalnego otwierania zamka, kobieta pchnęła drzwi i weszła.

Po chwili ja też stanąłem pod drzwiami. Po naciśnięciu czerwonego guzika zostałem wpuszczony do środka. Ale zaraz z dyżurki wyszła pielęgniarka o azjatyckiej urodzie i zagroziła mi drogę.

– Wizyty skończyły się godzinę temu.

– Jestem z policji – odrzekłem, siląc się na najbardziej władczy ton, na jaki było mnie stać. Jeśli chcesz, żeby ludzie wierzyli w twoje kłamstwa, wystarczy, że będziesz przekonujący. To naprawdę nie jest wielka filozofia.

W tym przypadku pomogłoby też, gdyby moje zachowanie sugerowało, że na wszelkie oznaki sprzeciwu będę reagować agresywnie.

– Przyszedłem do Iona... – zawiesiłem głos, gdy nagle uświadomiłem sobie, że przecież nadal nie znam jego nazwiska. – Ofiary ataku nożownika. To pilna sprawa.

– Aha, tak... – Pielęgniarka zawahała się.

Cholera, za chwilę poprosi mnie o okazanie odznaki policyjnej. Moje próby roztaczania wokół siebie aury człowieka dysponującego władzą to najwyraźniej za mało. W tej chwili na korytarzu zjawiała się inna pielęgniarka. Ona też użyła słowa „pilne” i Azjatka pospiesznie ruszyła za nią.

– Siostró, które łóżko? – zawołałem jeszcze.

– Numer czterdzieści – rzuciła, znikając za zakrętem w korytarzu.

Po chwili po drugiej stronie drzwi stanął Edward. Wpuściłem go do środka.

– Łóżko numer czterdzieści – oświadczyłem. – Gdyby ktoś pytał, jesteśmy z policji.

– Co? – spytał zdezorientowany. Zaraz jednak się zreflektował: – Aha, rozumiem.

Ruszyliśmy w głąb oddziału, wypatrując łóżka numer czterdzieści. Znaleźliśmy je z łatwością. Oddział podzielony był na kilka mniejszych części. Iona umieszczono w tej najbardziej oddalonej od dyżurki, a wartę przy jego łóżku trzymała widziana przez nas wcześniej policjantka. Siedziała na krześle, kartkując jakieś czasopismo. Ion spał albo był nieprzytomny. Miał podłączoną kroplówkę, a stojące obok urządzenie monitorowało akcję serca. Domyśliłem się, że stracił dużo krwi.

– Musimy jakoś ją stamtąd wywabić – powiedziałem.

Edward namyślał się przez chwilę, przygryzając wargę. W końcu powiedział:

– No dobra, zaczekaj tutaj. Ale będziesz mieć tylko pięć minut, żeby z nim pogadać.

Cofnąłem się i przycupnąłem za dużym pojemnikiem na kółkach na brudną pościel. Inni pacjenci, zaalarmowani moim dziwnym zachowaniem, przyglądali mi się podejrzliwie, ale nie zwracałem na nich uwagi. Edward podbiegł tymczasem do policjantki, wymachując rękami. Żywo gestykulując, pokazywał, żeby poszła z nim. Kobieta przez chwilę się wahała, zerknęła na Iona. W końcu ruszyła za Edwardem. Kiedy minęli moją kryjówkę, podszedłem do łóżka. Chciałem zaciągnąć zasłonę, żeby zapewnić nam minimum prywatności. Obawiałem się jednak, że narobiłbym za dużo hałasu. Poza tym mógłbym wtedy nie zauważyć, że ktoś nadchodzi.

Ion miał obandażowany tułów. Oddychał chrapliwie, jego blada twarz była mokra od potu. Na głowie także miał opatrunek, wokół jednego oka widać było paskudnego fioletowego sińca. Kiedy patrzyłem na niego, poczułem, jak przepełnia mnie nienawiść. Cieszyłem się jednak, że nadal żyje. Wokół mnie ostatnio było tyle śmierci, tyle krwi. Ion, jakimś cudem, przeżył. A teraz miał szansę naprawić swoje błędy.

Położyłem dłoń na jego ramieniu – zimnym i wilgotnym – potrząsnąłem nim. Drgnął, a jego twarz wykrzywił grymas bólu. Ale mimo że się obudził, nie otwierał oczu. Spróbowałem jeszcze raz, ale teraz nachyliłem się i szepnąłem mu do ucha jego imię. Byłem świadomy, że tracę drogocenne sekundy. Lada moment przy łóżku mogli pojawić się policjantka, pielęgniarka albo lekarz.

– Ion – powtórzyłem szeptem.

Dopiero wtedy uchylił jedno oko. Upłynęła chwila, nim zdołał skoncentrować się na tyle, by mnie zobaczyć. Lekarze nafaszerowali go chyba silnymi środkami przeciwbólowymi, ale nawet one okazały się niewystarczające.

– Szczęściarz ze mnie – powiedział. Musiałem nachylić się, żeby go zrozumieć. – Mam twardy łeb – dodał ze śmiechem. Zaczął kaszleć, a twarz wykrzywił mu grymas bólu. – Moje żebra...

– Chcę, żebyś się skupił – powiedziałem. – Laura i małe, niewinne dziecko zaginęły. Muszę zadać ci kilka pytań.

Ion patrzył na mnie spod na wpół opuszczonych powiek. Po jego ustach błąkał się blady uśmiech. Może miał fazę po silnych lekach. A może ta cała

sytuacja go bawiła.

– Ten stary mężczyzna, który cię zaatakował... czy to ten?

Pokazałem mu zdjęcie Nicolae Gabora na telefonie.

Ion niemal niedostrzegalnie skinął głową. A więc potwierdziły się moje przypuszczenia: Gabor był w Londynie. Wszystkie ostatnie wydarzenia miały związek z tym, co widzieliśmy w domu w lesie.

– Należał do waszej szajki? Pracowałeś dla niego?

Roześmiał się, wydając z siebie syczący dźwięk. Widziałem po jego twarzy, że znów cierpi.

– Ten staruszek? Widziałem go tutaj pierwszy raz w życiu.

– Nie kłam.

Ion zmarszczył brwi, jakby wyęczał umysł.

– On był tam, w pociągu. Alina pomogła mu wnieść bagaż.

– Wnieść bagaż... – powtórzyłem. I nagle mnie olśniło. – O Boże. Nie rozpoznałem go. Zapomniałem o tym.

Uwierzyłem mu. To musiała być prawda, chyba że wcześniejsze słowa Iona o tym, jakoby starszy mężczyzna pytał, czy go pamięta, też były kłamstwem. Mój mózg pracował teraz na najwyższych obrotach, próbując poskładać te wszystkie fakty w całość. A więc Gabor podróżował tym samym pociągiem co my. Zostaliśmy wyrzuceni niedaleko jego domu. Niemożliwe, żeby to był zbieg okoliczności. Musiał to sam jakoś zaaranżować.

Uznałem, że zastanowię się nad tym potem. Na razie musiałem skupić się na paru kwestiach wymagających potwierdzenia przez Iona.

– Co wydarzyło się tamtej nocy w pociągu? Podrzuciłeś narkotyki do plecaków mojego i Laury?

Znów twarz Iona przeciął grymas bólu.

– Znaleźliście je? Znaleźliście kokainę?

Puściłem jego pytanie mimo uszu.

– A potem zleciłeś Camellii ustalenie, co się stało z prochami?

– Tak. Wiesz... – Znowu się rozkaszała. – Po tym, jak sprawdziliśmy stan twojego konta w banku, powinienem być posłuchać Camelii. Oszczędziłbym sobie sporo trudu. Okazało się, że masz niewiele pieniędzy na koncie, dlatego uznaliśmy, że kokę albo kasę z jej sprzedaży musisz mieć przy sobie. Camelia nalegała, żebyśmy zrobili włam na twoją chatę: związali cię, przystawili nóż do gardła i zmusili, żebyś wyśpiewał, gdzie są prochy, co z nimi zrobiłeś. – Pokręcił głową. – Ale ja, Danielu, stronię od przemocy. – Postukał się w bok czaszki i od razu wykrzywił usta. – Zamiast pięści wolę używać mózgowicy.

– Ion, nigdy nie mieliśmy tej kokainy. Dopóki teraz nie potwierdziłeś, że faktycznie podrzuciliście ją nam, nie miałem nawet pewności, czy w ogóle były jakieś narkotyki. Plecaki, zapewne z prochami w środku, zostały w Rumunii, na posterunku policji. U gliniarza o imieniu Constantin.

– A to drań. – Ion otworzył szerzej oczy.

W tym momencie rozległ się męski głos – jakiś facet w średnim wieku z drugiego końca oddziału wołał pielęgniarkę. Nie zostało mi wiele czasu. Musiałem przejść do rzeczy.

– Ion, wiesz, gdzie oni są?

– Kto?

– Laura i dziecko. I Alina.

Jego twarz zdradzała, że nie ma pojęcia.

– Czy Gabor wspominał o nich?

– Nie – odrzekł, kaszłąc. – Był za bardzo skupiony na okładaniu mnie żelazną sztabą, żeby wdawać się w pogawędki.

– Nie mówił nic o porwaniu Laury i Aliny?

– Dlaczego ciągle pytasz o Alinę?

– Bo... Jak to dlaczego?

– Nie widziałem jej od tamtej nocy w pociągu. – Ion pokręcił głową. Kiedy znów popatrzył na mnie, odniosłem wrażenie, że spogląda nieco przytomniej.

Z wrażenia otworzyłem szeroko usta.

– Nie wiedziałeś, że ona tu jest?

Jeśli rzeczywiście nie widział jej od tamtych wydarzeń, oznaczałoby to, że nie wiedział też, co ją spotkało. Teraz nie miałem już czasu, żeby mu o tym opowiedzieć.

– Co się stało po tym, jak pogranicznicy wyrzucili was z pociągu? – spytał. – Wy wróciliście do Anglii, ale gdzie podziała się Alina?

Nie odpowiedziałem. Myślni byłem gdzie indziej. Nadal nie wiedziałem, kto stoi za porwaniem Laury i Oscara. Wtem do głowy przyszła mi przyprowadzająca o mdłości myśl: a co, jeśli porwała je Alina, chcąc się zemścić na mnie i Laurze za to, że zostawiliśmy ją w domu? A może było inaczej – może Alina wiedziała, że Gabor próbuje je dopaść, i dlatego razem gdzieś się ukryły. Ale po co miałyby zabierać dziecko?

Wprawdzie Edward i policjantka nie wracali, ale wkrótce pojawiła się pielęgniarka. Stała plecami do mnie, jednak w każdej chwili mogła się odwrócić. Wiedziałem, że kiedy mnie zobaczy, każe mi się wynosić.

– Muszę już iść – powiedziałem.

Wizyta w szpitalu, mimo że potwierdziła moją teorię na temat narkotyków, okazała się stratą czasu.

Było też coś, co nie dawało mi już od dawna spokoju. Na odchodnym pomyślałem, że spytam o to Iona.

– Dlaczego ty i Camelia zwróciliście mi laptopa?

– Co? Nic podobnego. Za pieniądze z twojej karty kupiłem sobie nowego. Twój stary został u Camelii.

– A więc to ona mi go odniosła?

– Nie, sprzedała go.

– Ale przecież... jakiś czas później komputer wylądował z powrotem u mnie na chacie. Ten sam.

Ion popatrzył na mnie obojętnie.

– Kto go od niej kupił? – spytałem szybko.

Pielęgniarka odwróciła się i szła do nas. Jej nachmurzona mina nie zapowiadała nic dobrego.

Ion namyślał się przeraźliwie długo. Kiedy pielęgniarka była już niemal przy łóżku, powiedział:

– Jakiś starszy facet, którego poznała w klubie ze striptizem. Sprzedała mu też twoją konsolę PS4 oraz twojego iPada. Bawiło ją, że taki stary piernik będzie grać w Call of Duty...

– Czy to możliwe, żeby sprzedała mojego laptopa Gaborowi?

– Nie wiem. Nigdy nie widziałem kupca. Ale to Rumun, jak my. Tylko tyle wiem na jego temat.

– Przepraszam, nie wolno panu tu być.

Pielęgniarka skrzyżowała ramiona na piersi i stuknęła niecierpliwie podeszwą buta.

– Chwileczkę. – Chwyciłem Iona za rękę. Jego skóra była zimna, lepka. Kątem oka widziałem, że pielęgniarka jest coraz bliżej. – Jesteś pewien?

– Tak, teraz sobie przypominam. Camelia wspominała, że opchnęła twój sprzęt facetowi, który nagabywał ją w pracy. Mówiła, że to w sumie dziwny zbieg okoliczności: dzień po tym, jak... odwiedziliśmy twoje mieszkanie, ten gość stwierdził, że potrzebuje laptopa, i spytał, czy przypadkiem zna kogoś, kto chciałby się pozbyć swojego.

Zbiegi okoliczności nie istnieją, pomyślałem.

– To musiał być Gabor. Pewnie obserwował ją... Widział, jak wychodzi z mojego domu...

– Proszę pana, bardzo proszę opuścić oddział. Inaczej będę zmuszona wezwać ochronę.

Uniosłem na nią wzrok. Byłem tak wstrząśnięty tym, czego dowiedziałem się na temat laptopa, że prawie jej nie dostrzegałem. Jednak zdałem sobie sprawę, że zbliża się do nas ktoś jeszcze – policjantka. Za nią stał Edward, na migi pokazujący, żebym się pospieszył.

Poderwałem się z plastikowego krzesła, ominąłem pielęgniarkę. Policjantka próbowała mnie zatrzymać, ale zrobiłem unik, chwyciłem Edwarda za ramię, drugą ręką wduśliłem przycisk otwierający drzwi i zaciągnąłem go na korytarz po drugiej stronie. Po chwili zbiegaliśmy już po schodach, a nasze kroki odbijały się echem.

– Jaki kit wcisnąłeś tej funkcjonariuszce?

Edward machnął lekceważąco ręką.

– Powiedziałem, że przed chwilą na moich oczach ktoś próbował ukraść starszej pani torebkę. Przez jakiś czas wspólnie szukaliśmy wiatru w polu, uganiając się po szpitalnych korytarzach. Jeśli nasze sprawki wyjdą na jaw, będę mieć przekichane u gliniarzy. Zdajesz sobie sprawę, że w moim fachu muszę utrzymywać dobre stosunki z policją?

– Ciekaw jesteś, czego dowiedziałem się od Iona?

Zeszliśmy już na dół schodów i znaleźliśmy się w holu.

– To nie Camelia podrzuciła mi z powrotem skradzionego laptopa. Sprzedała go Gaborowi.

Edward stanął jak wryty.

– Co takiego?

– To on go odniósł. Ale skąd miał klucz do mojego mieszkania? Chryste, wygląda na to, że dosłownie wszyscy mają do mnie klucze. Połowa populacji Rumunii przewinęła się przez mój dom.

– Ale dlaczego Gabor miałby zwrócić twój komputer? – zastanowił się Edward, kiedy wyszliśmy z budynku szpitala. – Kiedy go odzyskałeś, sprawdziłeś go pod kątem oprogramowania szpiegującego, prawda?

– No tak. Tylko że... O cholera...

– Co znowu?

Ruszyłem biegiem do samochodu.

ROZDZIAŁ 57

Laura patrzyła przez okno na autostradę. Wydostali się z Londynu i teraz mknęli przez hrabstwo Essex. Diabeł trzymał się pasa szybkiego ruchu, momentami szybkościomierz wskazywał sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. W końcu wjechali do miasta i utknęli w korku. Diabeł posykiwał z irytacją, kłął pod nosem i stukał knykciami w kierownicę.

Na szczęście Oscar spał, z twarzą wtuloną w pierś Laury. Od czasu do czasu pociągał nosem, wydając przy tym dźwięk, od którego Laurze krajało się serce. Zanosił się płaczem, gdy wyjeżdżali z Londynu. W końcu, wyczerpany, usnął. Laura odetchnęła z ulgą, bo diabeł źle znosił zawożenie dziecka. Huśtała Oscara na rękach i szeptała do niego. Diabłu wytłumaczyła, że dzieciak jest głodny i trzeba go nakarmić.

– Dostanie, jak dotrzemy na miejsce.

– On jest karmiony piersią. Nie wypije mleka modyfikowanego.

Diabeł parsknął z irytacją.

– Jak zgłodnieje, to wypije. – Odwrócił się i otaksował wzrokiem jej biust. Laura poczuła, jak cierpnie jej skóra. – Z tych twoich dużo by nie pojadł. Ale biodra masz dobre. Zdrowa jesteś, przynajmniej jeśli chodzi o stronę fizyczną. Cycki urosną ci, gdy trzeba będzie.

Alina przez całą drogę siedziała nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Zachowywała się jak przystało na ducha, zjawę. Jednak smród potu z dawno niemytego ciała, jaki roztaczała wokół siebie, był jak najbardziej realny. Skóra Aliny zdawała się wydzielać ostrą woń strachu. Nie, to nie był duch, lecz żywa osoba. A skoro Alina była człowiekiem z krwi i kości, wynikało z tego, że stary mężczyzna za kierownicą również nie stanowił bytu nadprzyrodzonego. Był zwyczajnym człowiekiem.

Stali w korku długi czas, i z każdą chwilą mężczyzna niecierpliwił się coraz bardziej. W pewnym momencie Laura pomyślała, że mężczyzna wysiądzie i zacznie okładać pięściami samochód stojący przed nimi. W końcu ruszyli. By się uspokoić, Laura zaczęła liczyć punkty odblaskowe na jezdni. Kiedy była mała, podczas rodzinnych przejażdżek za miasto liczyła białe samochody i czerwone, taką miała zabawę. Jeśli czerwonych było więcej niż białych, znaczyło to, że stanie się coś złego: zachoruje albo jedna z dziewczyn znęcających się nad nią w szkole będzie wyjątkowo wredna. Jeśli zwyciężały białe samochody, Laurę spotka coś miłego: mama zostawi ją samą na cały dzień, Beatrice przyjdzie do niej z wizytą.

Teraz liczenie samochodów nie miałooby sensu. Najgorsze już się stało, Laura pogodziła się z tą myślą. Pozostawało wierzyć, że zdoła ochronić Oscara. Gdyby udało jej się przekonać starego człowieka, żeby oddał dziecko Erin i Robowi, gotowa była zrobić wszystko, co jej każe – przyjmując każdą karę.



Zjechali z autostrady M11, minęli miejscowość Bishop's Stortford i skierowali się dalej na wschód. Laura zauważyła znak Hatfield Forest i wkrótce znaleźli się na mniej uczęszczanej szosie, potem wjechali na jeszcze inną, obsadzoną po obu stronach bezlistnymi drzewami. Posuwali się teraz przez nieprzeniknioną ciemność, w świetle reflektorów drzewa zdawały się wyciągać do nich swoje nagie, pokrzywione ramiona.

Szosa wiodła coraz głębiej w las. Laura zamknęła oczy i przyciskała Oscara do piersi. Ze strachu wstrzymywała oddech. Kiedy samochód zwolnił, odważyła się unieść powieki. Z mroku wyłonił się duży dom, częściowo ukryty wśród drzew. Oscar zapłakał i Laura zdała sobie sprawę, że za mocno go ścisnęła.

Siedząca obok Alina też wydawała się przerażona. Była blada jak ściana, niemal przezroczysta.

Samochód zatrzymał się przed domem. Diabeł wyłączył silnik, ale nie gasił reflektorów.

Laura słyszała przyspieszony oddech Aliny. O dziwo świadomość strachu Aliny dodawała odwagi Laurze – zmuszała do przyjęcia roli tej

silniejszej. Zabytkowy dom o białych murach sprawiał wrażenie, jakby stał tu od tak dawna, że wrósł w otaczający go las. Był w kiepskim stanie: niektóre okna miały powybijane szyby, dach w paru miejscach się zawalił. Wokół nie było widać innych zabudowań.

– Prawie jak w domu – odezwał się stary mężczyzna. Uśmiechnął się szeroko najpierw do Laury, potem przeniósł spojrzenie na Alinę. Wprawdzie mówił z wyraźnym akcentem, jednak jego angielszczyzna była nienaganna. Brzmiał jak człowiek, który przez długi czas uczył się języka.
– Sądziłaś, że mi uciekniesz, co?

Alina nie patrzyła w jego stronę.

– Pamiętasz, jak przyszedłem po małego... jak go nazwałaś? Po małego Lukę. Powinniśmy byli zabić cię wtedy. Dragoś słabował, jego nasienie też traciło moc. Chyba że to ty jesteś niepłodna. – Na jego ustach zjawił się okrutny uśmiech. – Wkrótce się przekonamy. Teraz na mnie spada ten obowiązek. – Pogłaskał się po kroczu. – Kuśka jeszcze mi staje.

Laurze zebrało się na wymioty. Jej umysł wzdragał się przed skupieniem się na sensie kryjącym się za słowami wypowiedzianymi przez mężczyznę. Jedno nie ulegało wątpliwości – tego człowieka coś łączyło z tamtym strasznym domem w rumuńskiej głuszy.

Mężczyzna przeniósł spojrzenie na Oscara, przez co Laura musiała ponownie skupić się na tu i teraz.

– Za tego dostaniemy sporo grosza. Znam pewną parę, która będzie zainteresowana. To Rosjanie, moi starzy znajomi, którzy przeprowadzili się do Londynu. Są już w takim wieku, że sami nie mogą mieć dzieci.

Nagle Laura usłyszała skowyt, który dobył się z gardła Aliny. A może to ona sama łkała? Przycisnęła Oscara mocniej do piersi.

– O czym ty mówisz?

Przy zgaszonym silniku i wyłączonym ogrzewaniu kabina auta szybko się wychładzała. Przy każdym słowie z ust mężczyzny unosiły się białe obłoczki. Błysk w jego oczach zmroził Laurę nawet bardziej niż wypowiedziane przez niego słowa. Zachowywał się jak człowiek przekonany o własnej niezniszczalności.

– Twoja koleżanka zabiła mojego syna. Był z niego bękart, no ale to nie zmienia faktu, że krew z mojej krwi. Wszystko popsuka. Wiesz, jak długo mieszkaliśmy w tamtym domu, prowadząc z powodzeniem nasz biznes? Dwadzieścia cztery lata. Od momentu, gdy ta cholerna rewolucja zmusiła mnie, bym zostawił starą robotę.

Alina przysłuchiwała mu się z uchylonymi ustami, w których widać było szparę między zębami.

– Wcześniej fucha policjanta to było coś. Gliniarz miał prawdziwą władzę. Kobiet na pęczki – mówił tęsknym tonem diabeł, oczarowany własną opowieścią. – Większość spłodzonych przeze mnie dzieciaków trafiała do sierocińców. Ale gdy matka Dragośa zaciążyła, zacząłem myśleć o swojej spuściźnie. Kiedy urodził się chłopak, postanowiłem go zatrzymać. Jego matka była... strasznie pyskata, ta kobieta nigdy nie wiedziała, kiedy zamknąć... – Tu wskazał swoje usta. – Po tym, jak... jej się zmarło, kupiłem stary dom w Hunedoara, w którym zamieszkał Dragoś razem z moją matką, świeć Panie nad jej duszą. To ona go wychowywała, a po latach, gdy Dragoś był starszy, wybuchła rewolucja. I musiałem zniknąć.

Oczy mężczyzny jarzyły się w mroku. Przypominał Laurze w tej chwili, w dość przewrotny sposób, jej dziadka, który nie przepuścił żadnej okazji, by powspominać stare dzieje.

– Z początku strasznie się nudziłem. Moje nowe życie było pozbawione rozrywek, jakie zapewniała mi stara praca. Ale pewnego dnia, Dragoś był już nastolatkiem, przydarzyło się coś cudownego. Zgadnicie, co takiego?

Przeniósł spojrzenie z Laury na Alinę i z powrotem. Po chwili mruknął ze wstrętem:

– Cóż za brak wyobraźni! Do drzwi naszego domu zapukała para wycieczkowiczów. Młody mężczyzna i młoda kobieta, którzy zgubili się w lesie, całkiem jak Jaś i Małgosia z bajki. Pytali nas o drogę. Związałem ich, a potem ja i Dragoś zabawiliśmy się z dziewczyną. Była już najwyższa pora, żeby mój syn popróbował, jak to jest z babą. – Zamilkł na chwilę. – Nie pamiętam już, czy zmusiliśmy, żeby Jaś patrzył, jak posuwamy jego Małgosię. Potem postanowiłem, że dziewczyna zostanie z nami. Wreszcie mieliśmy jakąś rozrywkę.

Laura przełknęła z trudem ślinę. Oscar poruszył się niespokojnie.

– A potem – podjął po chwili tonem, jakby jego własna opowieść zaczynała go nużyć – Gretel zaszła w ciążę. Może dzieciak był mój, a może Dragoşa, trudno powiedzieć. Zamierzałem zabić dziewczę, ale potem przyszedł mi do głowy genialny pomysł. Akurat kończyły nam się pieniądze. A mnie dokuczala nuda, mimo że miałem teraz ładną młodą dziewczuchę do rżnięcia. Skontaktowałem się ze znajomymi ze starych dobrych czasów, z ludźmi majątynymi. Reszty historii łatwo się domyślić.

Nagle odezwała się Alina. Laura z wrażenia aż podskoczyła.

– Jesteś takim samym potworem jak twój syn.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– A jednak umiesz mówić! Nie, jestem człowiekiem interesu. Jeśli jest popyt, dostarczam towar.

Laura chwyciła Alinę za rękę i ścisnęła lekko. Po chwili Alina odwdzieczyła jej się tym samym.

– Determinacji ci nie brakuje, muszę przyznać – zwrócił się mężczyzna do Aliny. – Wiedziałem, że prędzej czy później trafisz tu, do Anglii. Bo pragnęłaś zemsty, nieprawdaż? – Wskazując Laurę, dodał: – Chciała zemścić się na tobie, za to, że uciekliście bez niej; że zostawiliście ją tam, by zgniła. Dobrze mówię, Alino?

Rumunka spuściła wzrok. Milczała.

– Constantin, ten skurwysyn, okłamał mnie. Sama jesteś świadkiem, że tak było, Alino. Oszukał mnie, bo nie chciał, żebym dowiedział się o narkotykach, które znalazł w twoim plecaku, Lauro. Zapłacił już za to. Pochowałem go w lesie. Zanim skołał, wyśpiewał mi, jak się nazywacie, ty i twój chłoptaş. Myślał, że w ten sposób uratuje tyłek.

Mężczyzna wyciągnął rękę i pogłaskał Oscara po puszkę na głowie.

– Ten mały nie był częścią mojego planu. To coś ekstra, kolejny znak od Boga. – Znowu pogłaskał niemowlę. Laura musiała się powstrzymać, żeby nie zasłonić Oscara swoim ciałem. – Ależ się ucieszyłem, kiedy zobaczyłem, że opiekujesz się tym malcem, Lauro, a jego rodzice śpią.

Przycisnęła dziecko do piersi. Wcześniej zachodziła w głowę, po co właściwie stary mężczyzna zawiózł ją do domu Erin i Roba po tym, jak

znalazł ją w opuszczonym budynku. Sądziła, że chodziło o porwanie Oscara. Ale teraz z jego słów wynikało, że dzieciak był „czymś ekstra”...

– Po co zawiozłeś mnie do domu, skoro nie zamierzałeś zabrać Oscara?

Stary mężczyzna, szczerząc zęby w uśmiechu, wskazał Alinę.

– Bo ta niegrzeczna dziewczynka chowała się przede mną. Czekałem, aż się pokaże.

Teraz zrozumiała. Kiedy opowiedziała Alinie o diable, który uratował ją z rąk Iona i rumuńskiej dziewczyny, Alina w końcu wyszła ze swojej kryjówki. I pokazała się człowiekowi, który na nią polował.

Z rozmyślań wyrwał ją głos starego mężczyzny.

– Alino, zniszczyłeś mój biznes w Rumunii. Ale nie szkodzi. – Uśmiechnął się przebiegle. – Mogę zacząć od nowa. Ale tutaj, w Anglii. Mam już nawet pierwszego prosiaczka, którego mogę zanieść na targ.

ROZDZIAŁ 58

Poprosiłem Edwarda, żeby podczas gdy uruchamiałem laptop, zaparzył nam kawę. Nie tracąc czasu, wziąłem kartkę i zacząłem szkicować na nim zachodzące na siebie koła diagramu Venna. Schematyczne rysunki postaci symbolizowały poszczególne osoby. W jednym okręgu umieściłem niedoszłych rumuńskich handlarzy narkotyków: Iona, Alinę i Camelię. W drugim – Gabora i jego anonimowego współnika, czyli mężczyznę z domu w lesie. Na obrzeżach naniosłem symbole osób, które zostały niechcący wplątane w całą intrygę: Erin, Roba i Oscara. Do tej grupy zaliczyłem również rumuńskiego policjanta, Constantina, a także Edwarda. Na środku, tam gdzie wszystkie kręgi zachodziły na siebie, znajdowaliśmy się my dwoje: Laura i ja.

Camelia sprzedała laptopa Gaborowi, a więc było pewne, że podrzucenie komputera z powrotem do mojego mieszkania to jego sprawa. To jedyny mężczyzna w podeszłym wieku, jaki przewijał się w tej sprawie. Wiedziałem już, w jaki sposób grupa Iona dostała się do mojego mieszkania: użyli kluczy zabranych z plecaka Laury. Zagadką pozostawało, skąd klucz miał również Gabor. A może wcale nie miał, tylko użył wytrychu. Zresztą w tym momencie nie miało to większego znaczenia.

– Co robisz? – spytał Edward, siadając obok mnie.

– Sprawdzam, czy na komputerze nie ma oprogramowania szpiegującego.

– Przecież już to robiłeś, prawda?

– Owszem, zaraz po tym, jak zwrócono mi laptop. Jest jednak coś jeszcze, o czym ci nie wspomniałem.

Opowiedziałem Rooneyowi o zdjęciach z pociągu, znikających na moich oczach z komputera.

– Na litość boską, Danielu, dlaczego nie powiedziałeś o tym wcześniej?

– Sądziłem, że umysł robi mi psikusy. Nie chciałem, żebyś uznał mnie za wariata.

Jeśli jednak nie oszalałem, znikanie zdjęć można było wytłumaczyć tylko w jeden sposób. Na parkingu przed szpitalem, gdy rozmyślałem nad motywem Gabora, by zwrócić mi laptop, przypomniałem sobie jeden szczegół: chwilę przed tym, jak zobaczyłem fotografie z pociągu, dostałem mail od Laury ze zdjęciem z kotkami. Mógłby się założyć, że w rzeczywistości wcale nie został wysłany przez Laurę. Pewnie gdybym przyjrzał się wtedy dokładniej tamtemu mailowi, okazałoby się, że wysłano go z innego adresu, który został tylko podpisany imieniem i nazwiskiem Laury. I że zdjęcie z kotkami kryło w sobie to, czego w tej chwili szukałem za pomocą programu do wykrywania oprogramowania szpiegującego. Gabor zapewne domyślił się, że przeskanuję komputer zaraz po tym, jak w tajemniczych okolicznościach zjawi się z powrotem w moim mieszkaniu, dlatego wirusa podesłał dopiero później.

Wyjaśniłem to Edwardowi, podczas gdy program antywirusowy przeprowadzał skanowanie.

Wreszcie skanowanie dobiegło końca, na ekranie pojawiło się pulsujące ostrzeżenie.

– Kurwa mać – jęknąłem, ukrywając twarz w dłoniach.

– Co się stało?

– Program szpiegujący – wyjaśniłem, stukając palcem w monitor laptopa.

Dzięki niemu ktoś zyskał zdalny dostęp do mojego komputera. Ktoś taki widział wszystko, co piszę. Mógł nawet dodawać i usuwać pliki.

– Czy ten ktoś widzi, co robisz teraz? – zainteresował się Edward.

Przez chwilę stukałem na klawiaturze.

– Udało mi się zablokować dostęp. Ale haker zobaczy, że go odciąłem. Jeśli obecnie śledzi aktywność na moim laptopie, zorientuje się, że wpadłem na trop jego programu.

- A możesz go namierzyć? Zlokalizować komputer tej osoby?
- Przekonajmy się.

Kiedy skupiłem się na pracy, Edward przedzwonił do domu Roba i Erin. Poprosił do telefonu posterunkową Davies i spytał, jak się trzymają rodzice.

- I co powiedziała? – spytałem, kiedy skończył rozmawiać.

Nie odrywałem wzroku od ekranu. Byłem już blisko. Komputer Gabora nadal próbował połączyć się z moim. A w tym samym czasie ja starałem się namierzyć jego IP.

– Erin siedzi w pokoju dziecięcym i wpatruje się w łóżeczko Oscara. Rob wyszedł z domu, żeby szukać dziecka. Chyba siedzenie z założonymi rękami go przerosło. Policja rozmawia teraz z sąsiadami...

- Ktoś coś widział?

– Davies nie chciała wchodzić w szczegóły. Ale Rob skrzyknął grupę poszukiwawczą wśród sąsiadów i będą teraz przeczesywać pobliskie ulice...

Nie przestawałem wpisywać komend do wiersza poleceń. Z każdą chwilą byłem coraz bliżej ustalenia IP wrogiego komputera.

– Davies powiedziała, że pokazali w wiadomościach telewizyjnych zdjęcie Laury. Podobno o porwaniu aż huczy w internecie. Użytkownicy Twittera przystąpili już do linczu: nazywają Laurę porywaczką dzieci, udostępniają na swoich profilach jej zdjęcie... Jest poszukiwana w całym kraju.

Skrzywiłem się.

- To niedobrze. Ona nigdy by tego nie zrobiła.

Znów skupiłem się na wierszu poleceń. Byłem coraz bliżej. Wyglądało na to, że Gabor używa dość prostego oprogramowania hakerskiego, nic wyrafinowanego. Pewnie opchnął mu to jakiś dzieciak napotkany w dark webie.

- Mam to – syknąłem.
- To? – zdziwił się Edward, siadając prosto.
- Adres IP.

Uruchomiłem wyszukiwarke, włączyłem specjalistyczną stronę i wkleiłem adres IP. Już po paru sekundach ukazał się wynik – region, wraz ze współrzędnymi geograficznymi.

– Co prawda nie jest to dokładny adres, ale i tak nieźle...

Odpaliłem Google Maps i poszukałem okolicy, z której operował znaleziony adres IP. Kiedy uniosłem wzrok, napotkałem utkwione we mnie spojrzenie Edwarda.

– No to znów czeka mnie wizyta w lesie – rzekłem, a po plecach przeszedł mi lodowaty dreszcz.

ROZDZIAŁ 59

Stary mężczyzna poprowadził je wijącą się ścieżką – przodem Laura, tuląca na piersi Oscara i osłaniająca go ramionami od chłodu, za nią Alina z opuszczoną głową. Laurze każdy krok przychodził z wielkim trudem. Miała wrażenie, jakby w jej żołądku zalągł się rój much.

– Szybciej – popędzał mężczyzna.

Przekręcił klucz w drzwiach, po czym chwycił Laurę za łokieć i wciągnął do środka. Był silny, Laura wzdrygnęła się na myśl, że dłonie tego człowieka mogłyby dotykać jej ciała. Po chwili tak samo potraktował Alinę – kobieta wpadła na środek holu i zatoczyła się. Wewnątrz pachniało kurzem, wydawało się też, że jest jeszcze chłodniej niż na dworze, wśród drzew. Laura próbowała nawiązać z Aliną kontakt wzrokowy, ale dziewczyna znów stała się wycofana. Laura domyślała się, że sytuacja, w jakiej się znalazły, musi być dla niej krańcowo przerażająca. Laura zdana była na domysły, co je czeka. Alina natomiast już raz tego doświadczyła, w innym domu, w innym lesie. Poza tym Laura nie martwiła się o siebie, lecz o małego Oscara.

Dziecko było nienaturalnie ciche i nieruchome w jej ramionach. Laura podejrzewała, że osłabienie i apatia były reakcją na wychłodzenie. I głód. Czy taki maluszek może doznać szoku? Potrzebował swojej mamy, jej mleka, ciepła, poczucia bezpieczeństwa. Laura pałała nienawiścią do mężczyzny, który ich tu sprowadził. Tak, był mężczyzną z krwi i kości, nie demonem. A mężczyznę można zranić.

Wskazał schody. A kiedy żadna z nich nie ruszyła się, przeklął siarczyście.

– Wolicie, żeby coś złego przytrafiło się malcowi? – spytał, wyciągając do niego rękę. Laura błyskawicznie odskoczyła, tak by znaleźć się poza zasięgiem mężczyzny. Wybuchnął śmiechem. Ale już w następnej chwili wyraz jego twarzy stał się surowy. Warknął niecierpliwie: – Na górę.

Pierwsza poszła Laura, Alina za nią. Pochód zamykał gospodarz. Kiedy wspięli się na pierwsze piętro, zamachał rękami, pokazując, żeby szły wyżej. Podobnie jak w tamtym domu, u szczytu schodów znajdowały się drzwi. Mężczyzna wyminął kobiety i nacisnął klamkę. Po chwili wszyscy weszli do pomieszczenia.

Wtem Alina stanęła jak wryta. Laura, widząc jej reakcję, położyła jej dłoń na ramieniu.

Pokój, w którym się znaleźli, do złudzenia przypominał tamten w Rumunii, tyle że ten tutaj był mniejszy i stało w nim mniej łóżek dla dorosłych i dzieci. Na ścianie nie wisały też zdjęcia polaroidowe. Przynajmniej na razie. Dwa metalowe łóżka z pościelą i kocami, z obu końców wyposażone w kajdanki i łańcuch. Laura wyraźnie słyszała, jak oddech Aliny przyspiesza. Sama starała się zachować spokój i rozglądała się po pokoju. Obok drugiego łóżka stało pomalowane na biało drewniane łóżeczko dziecięce. W środku leżała sterta wełnianych kocyków. Podbiegła do łóżeczka, porwała kocyki i zaczęła owijać nimi Oscara. Stary mężczyzna przypatrywał się jej zabiegom, chuchając w zgrabiące z zimna dłonie.

– Grzeczna dziewczyna – pochwalił.

– Naprawdę sądzisz, że ujdzie ci to na sucho? – wypaliła, odwracając się do niego. – Policja nas znajdzie.

– Lepiej go nakarm – odparł z uśmiechem.

Ruchem głowy wskazał stolik przy ścianie na drugim końcu pokoju. Na nim znajdował się cały asortyment rzeczy, jakie spotyka się w każdym domu, w którym jest niemowlę: plastikowe butelki, puszki z mlekiem modyfikowanym, pampersy i wilgotne chusteczki, tubka maści przeciw odparzeniom i opakowanie smoczków.

Okna były zabite deskami, ułożonymi w poprzek.

– Nie możemy dopuścić, żeby powtórzyła się historia z Dragošem, prawda? – zagaił stary mężczyzna, zwracając się do Aliny. Po chwili

spojrzał znów na Laurę. – Przygotuj małemu mleko, na co czekasz?

Laura zawahała się, w rękach trzymała Oscara.

– Ja go wezmę – zaproponował mężczyzna.

Wcisnęła malucha w ramiona Aliny. Rumunka pobladła.

– Weź go – powiedziała Laura.

Dziewczyna nie protestowała. Trzymała go z taką delikatnością, jak gdyby chłopiec zrobiony był z kryształu i mógł rozsypać się na kawałki od byle silniejszego dotyku.

W dzbanku Laura znalazła zimną wodę. Przełała trochę do butelki i dodała trzy płaskie łyżki mleka modyfikowanego w proszku.

Oscar nigdy dotąd nie dostawał sztucznego pokarmu. Czy wypije teraz, bez podgrzewania? Przecież może się pochorować. Odebrała dziecko od Aliny, usiadła i zbliżyła smoczek na butelce do jego ust. Po chwili chłopiec, ewidentnie przeraźliwie wygłodzony, zaczął ssać. Poczwała, jak rozluźniają się jego mięśnie. Wtem popatrzył na nią swoimi wielkimi błękitnymi oczami.

Stary mężczyzna przypatrywał się z boku.

– Wiedziałem, że będzie z ciebie dobra matka. Poczułem to, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Po tylu latach wykształcił się u mnie szósty zmysł, jeśli chodzi o te sprawy. Kiedy weszłaś bez biletu do przedziału sypialnego...

Laura posłała mu zdumione spojrzenie.

Mężczyzna zaśmiał się.

– Tak, podsłuchałem waszą rozmowę. Obserwowałem cię i myślałem, jak cudownie byłoby ściągnąć cię do mojego domu. Jakie dorodne dzieciaki byś rodziła, za które mógłbym potem dostać sporo grosza. Widziałem, jak facet tej kurewki wślizguje się do waszego przedziału. Po chwili wyszedł, a potem tych dwoje długo szeptało między sobą.

Laura zerknęła na Alinę, która zwiesiła smętnie głowę.

– A kiedy pociąg przejeżdżał przez okolicę, w której stał mój dom, i gdy pojawiło się tych dwóch pograniczników, olśniło mnie: to może się udać!

Oscar nadal pił z butelki. Laura tymczasem utkwiła spojrzenie w mężczyźnie.

– Wziąłem pograniczników na stronę i szepnąłem im o parze aroganckich Angoli, którzy bez biletu podróżują w przedziale sypialnym. Wspomniałem, że przechwalaliście się między sobą, jak to rumuńscy idioci ze straży granicznej nie wyrzucą was przecież z pociągu na pustkowiu w środku nocy. – Porwany własną opowieścią, mówił i oddychał coraz szybciej. Wskazując Alinę, dodał: – Mój plan powiódł się lepiej, niż zakładałem. Nie spodziewałem się, że tę tutaj też wyrzucą z pociągu.

– Zginiesz – odezwała się Alina.

– Ale powoli dochodzę do wniosku – roześmiał się stary mężczyzna, nie zwracając uwagi na jej słowa – że powinienem był przyprowadzić tutaj tylko Angielkę. Nie potrzebuję nikogo więcej.

Sięgnął pod kurtkę i wyciągnął nóż.

– Włóż do łóżka – rzucił do Aliny.

Laura ze zgrozą patrzyła, jak dziewczyna posłusznie podchodzi do łóżka i kładzie się na plecach. Kiedy już leżała, skrzyżowała ramiona na piersi. Twarz Aliny nie zdradzała żadnych emocji. Stary mężczyzna zapiął najpierw jedną nogę na wysokości kostki, potem drugą. To samo zrobił z nadgarstkami. Następnie przyłożył ostrze noża do gardła Aliny i nachylił się nad nią, tak że jego twarz dzieliło zaledwie kilka centymetrów.

– Zabiłaś mojego syna.

– To było wspaniałe uczucie.

Alina mówiła dalej, zniżając głos, teraz już po rumuńsku. Na jej ustach pojawił się szyderczy uśmiech. Staruch coś odpowiedział, też w ojczystym języku. Mimo że Laura nie rozumiała słów, było jasne, że Alina prowokuje go – i że jej starania przynoszą skutek. W miarę jak Alina wyrzucała z siebie obraźliwe słowa, twarz mężczyzny pąsowiła. Parsknął śmiechem, ale w pewnym momencie dziewczyna powiedziała coś, po czym staruch wyprostował się i zaskoczony spojrzał na Laurę.

Przypatrywał jej się długą chwilę, podczas gdy Oscar dopijał zawartość butelki. Wreszcie roześmiał się znowu. Próbował coś powiedzieć, ale w tym samym momencie dziecko otworzyło oczy i wybuchło płaczem. Nagłe

piskliwe zawodzenie sprawiło, że staruch zatkał sobie dłońmi uszy. Alina roześmiała się, na co on nakierował czubek noża najpierw na nią, potem na Oscara.

– Ucisz go.

Laura próbowała uspokoić malucha, szepcząc i kołysząc go na rękach.

– Dalej jest głodny – stwierdziła.

– Gównu mnie to obchodzi. Masz go uciszyć w tej chwili.

Mężczyzna zbliżył się znów do Aliny, z nożem gotowym do ciosu. Niemowlę nie przestawało się wydzierać; próby Laury uciszenia go nie przynosiły skutku i jego zawodzenie stawało się coraz głośniejsze. Tymczasem Alina zaśmiewała się histerycznie, z kącików jej oczu spływały łzy.

– Zamknij się – ryknął mężczyzna. – Zamknij ryja!

Wtem z dołu dobiegł stłumiony huk. W pierwszej chwili Laura pomyślała, że staruch ogłuszony wyciem malca nie usłyszał hałasu. Znieruchomiał jednak, przechylił na bok głowę, nasłuchując.

– Jeśli wywiniesz jakiś numer, kiedy mnie tu nie będzie, zabiję tę dziwkę i dzieciaka.

Zniknął za drzwiami, rozległ się dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Kiedy tylko mężczyzna oddalił się, Oscar ucichł, zupełnie jakby to obecność złego starucha zmuszała go do płaczu.

Alina przestała się śmiać i popatrzyła na Laurę.

– Rób dokładnie to, co ci powiem – poinstruowała.

ROZDZIAŁ 60

Wjechaliśmy w las i zaparkowaliśmy jakieś sto metrów od domu, którego szukaliśmy. Edward zgasił silnik i nagle ogarnęła nas absolutna cisza, zupełnie jakby ktoś wyłączył radio. Otworzyłem drzwi i wysiadłem, zataczając się jak stawiające pierwsze kroki po narodzinach źrebię. Widok drzew odcinających się czernią na tle nocnego nieba sprawił, że najchętniej nie oddalałbym się od samochodu. Instynkt podpowiadał mi, że powinienem wsiąść z powrotem i wynosić się stąd czym prędzej – wracać do miasta, świateł i ludzi.

I oto znowu tu jesteś, w lesie.

Czułem się jak cierpiący na lęk wysokości człowiek, który stanął na skraju przepaści. Las ożywał, drzewa wyciągały do mnie swoje nagie gałęzie, szeptały moje imię. Rozległ się szelest, gdy coś poruszyło się i zaraz czmychnęło wśród liści leżących na ziemi.

Ale tym razem nie zdołasz uciec.

– Wszystko gra? – spytał Edward, stając obok mnie.

Obliziałem suche usta.

– Myślałem... że dam radę. Ale teraz czuję się jak... – Przełknąłem z trudem ślinę. – Zupełnie jak ostatnim razem.

– Wolisz, żebym wszedł sam? – spytał, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Możesz tu poczekać.

– Nie. Nie! Muszę to zrobić. To tylko drzewa. Zwyczajny las. Miejsce, do którego się wybieramy, jest normalnym domem.

A mężczyzna, którego szukamy – zwyczajnym potworem.

– Nie wiemy na pewno, czy dobrze trafiliśmy – zastrzegł Edward.

– To jest to miejsce. Czuję to.

Edward nie skomentował moich słów. Jadąc tu, zrobiliśmy krótki postój w wiosce na granicy Hatfield Forest i zaszliśmy do pubu. Podpytaliśmy barmankę, czy słyszała o domach w lesie, które ostatnio zostały sprzedane albo wynajęte. Zwłaszcza duże, zbudowane na odludziu. Byłem pewien, że Gaborowi zależałoby na domostwie podobnym do tego w Rumunii. A jeśli planował zabrać tam Laurę i Oscara, potrzebowałby miejsca, gdzie żadni sąsiedzi nie będą mu zaglądać przez ramię.

– Chatka starej wiedźmy – odezwał się mężczyzna o dziobatej twarzy siedzący przy barze.

– Co takiego? – wyrzuciłem z siebie, odwracając się do niego.

W pamięci cofnąłem się do tamtej nocy w lesie, gdy stałem pod drzwiami domu, a głosik małego chłopca w mojej głowie przekonywał, że mieszka w nim wiedźma.

– Tak naprawdę to wcale nie jest chatka wiedźmy – roześmiała się barmanka, kobieta po czterdziestce. – Miejscowe dzieciaki opowiadały, że kobieta, która tam mieszkała, pożerała dzieci, no i z czasem przyjęła się taka nazwa. Zmarła jakieś pięć lat temu.

– Podobno ktoś kupił tę chatę – stwierdził mężczyzna o twarzy oszpeconej bliznami po trądziku.

Potem narysowali nam mapę pokazującą, jak dotrzeć do chaty. Nie pytali, w jakim celu się tam wybieramy.

– Nadal jestem zdania, że powinniśmy zawiadomić policję – oświadczył teraz Edward, gdy staliśmy na mrocznej ścieżce wiodącej w kierunku wskazanym na mapie. – To sprawa dla zawodowców. Ten skurwiel wrzucił bombę zapalającą do mojego biura, mało brakowało, a zabiłby Sophie i mnie.

Zapewne Gabor, dzięki programowi szpiegującemu, widział, jak wypełniłem formularz kontaktowy na stronie firmy detektywistycznej Edwarda, i postanowił działać. Być może to był główny powód, dla którego zainstalował oprogramowanie szpiegujące na moim laptopie – chciał wiedzieć, czy opowiem komuś o tym, co widziałem w Rumunii. Starłem się myśleć jak on. Zamordowanie mnie albo Laury wiązałoby się dla niego

z niepotrzebnym ryzykiem. Policja wszczęłaby dochodzenie, zorganizowano by obławę. Zabicie pary Anglików z klasy średniej w centrum Londynu to inny gatunkowo ciężar niż pozbawienie kogoś życia na rumuńskim odludziu. Gabor zapewne czuł się tu niepewnie, był niczym pająk zmuszony do poruszania się z dala od swojej pajęczyny. Dlatego zamiast działać pochopnie, zdał się na obserwację. Chciał się przekonać, czy zrobimy coś, co wymagałoby od niego podjęcia większego ryzyka.

– Już o tym gadaliśmy – przypominałem.

Wiedziałem, że gdybyśmy zgłosili się na policję, kazano by nam opowiedzieć ze szczegółami, jak wpadliśmy na trop Gabora. Wymagałoby to czasu, a ponieważ Laurze i Oscarowi groziło niebezpieczeństwo, był to luksus, na jaki nie mogliśmy sobie pozwolić. Istniał jeszcze inny powód: zależało mi, żeby samemu doprowadzić tę sprawę do końca. Była to dla mnie szansa na naprawienie swoich błędów.

Dysponowaliśmy jedną latarką, zupełnie jak wtedy, gdy Laura i ja szukaliśmy po lesie Aliny. Ścieżka, po której teraz się poruszaliśmy, była szersza – w gruncie rzeczy była to niemal droga z prawdziwego zdarzenia, choć nieutwardzona. Jednak cała reszta przypominała obrazy z Rumunii. Zatoczyłem pełne koło – znów znalazłem się na początku wyprawy, której wcale nie chciałem podjąć. Dzisiaj, niezależnie od tego, czy chciałem tego, czy nie, nasza podróż miała dobiec końca.

Snop latarkowego światła skakał po drzewach. Dostrzegałem w nich twarze: nie zwierząt, potworów ani wiedźm, lecz ludzi. Kobiet i dzieci o rozwartych szeroko jak do krzyku ustach. Ich czarne oczy zdawały się wpatrywać we mnie. Wydawało mi się, że widzę martwe niemowlęta powieszane na gałęziach. Wyobrażałem sobie, że zza drzew wyglądają dzieci i szepczą.

Wracaj. Jedź do domu.

Zatrzymałem się sparaliżowany strachem. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Wtem usłyszałem inny hałas, kojarzący się z warczeniem. Po chwili ucichł, przechodząc w szept, co robiło jeszcze gorsze wrażenie.

Kiedy Edward położył mi dłoń na ramieniu, krzyknąłem ze strachu.

– Danielu, spokojnie. Wszystko jest w porządku. Dasz radę.

Pokiwałem głową. Dam radę.

Ścieżka zakręcała w prawo, a gdy pokonaliśmy zakręt, Edward powiedział:

– To tutaj.

Dom wyłonił się przed nami z ciemności. Stał na polanie, skąpanej w księżycowym blasku. I znowu poczułem się, jakbym cofnął się w czasie do wydarzeń z Rumunii. Różnica polegała na tym, że tym razem byłem przygotowany. W wewnętrznej kieszeni płaszcza miałem schowany kuchenny nóż; nie wspomniałem o nim Edwardowi, bo pewnie by mi na to nie pozwolił. Wyposażony byłem też w telefon z naładowaną baterią, choć zasięg był tu marny – zaledwie pół kreski, i brak 3G.

Minęliśmy nadgryziony zębem czasu mur i wkroczyliśmy na dziedziniec przed domem. Stał tu zaparkowany czarny samochód.

– Słyszysz? – spytałem.

Edward przytaknął. Gdzieś z wysoka dobiegał ledwie słyszalny płacz dziecka.

Zajrzałem przez okno do wnętrza samochodu i szybko przywołałem gestem Rooneya.

– To Laury – szepnąłem. Na tylnym fotelu leżała gumka do włosów typu scrunchie w maki.

– Jesteś pewien?

– Na sto procent. Kupiła tę gumkę przy mnie. Nigdy się z nią nie rozstaje.

Płacz dziecka ucichł nagle.

– Wezwijmy policję.

– Nie – zaoponowałem zdecydowanie. – Nie ma na to czasu.

Edward zaczerpnął głęboko powietrza.

– Racja, w porządku. Ale nie możemy jak gdyby nigdy nic zapukać do drzwi. Lepiej przejdźmy na tyły domu, może znajdziemy tam jakieś inne wejście.

Za rogiem minęliśmy przytulony do ściany betonowy podest z równo ułożonym stosem drewna na opał. Nad stosem w murze widniało okno

w zbutwiałej framudze.

– Zajrzę do środka – stwierdził Edward.

Wspiął się na polana i chwyciwszy za parapet, zajrzał przez okno i poświecił latarką. Położyłem dłoń na piersi, nie dowierzałem, że serce może bić tak szybko i głośno.

– Nie widzę żadnego...

Nie dokończył, bo nagle kłoda na szczycie sterty, na której oparł stopę, osunęła się i cały stos się rozsypał. Uskoczyłem na bok, a Edward zawisł ponad pół metra nad ziemią, uczepiony parapetu. Polana potoczyły się po betonie z głuchym łoskotem. Rooney trzymał się jeszcze chwilę, po czym puścił parapet. Upadł na bok, podniósł się z ziemi i obejrzał swoje palce. Latarka, która spadła w trawę, zamrugała i zgasła, pogrążając nas w mroku rozjaśnianym tylko księżycowym blaskiem.

– Wzywam gliny – mruknął Edward, potrząsając głową. – Przecież to niedorzeczne.

Wyciągnął telefon i zaczął wybierać numer.

Skupiony na tym, co robi, nie zauważyłem, że zza narożnika budynku wyłoniła się męska sylwetka. Zorientowałem się, że to Gabor, dopiero w momencie, gdy celował do nas ze strzelby.

– Edward! – krzyknąłem.

Uniósł wzrok znad telefonu, a w tej samej chwili rozległ się huk wystrzału.

Edward zgiął się wpół i upadł na ziemię. Nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Na moment zamarłem bez ruchu, przypatrując się biernie, jak Gabor nakierowuje wylot lufy na mnie. Jakimś cudem zdołałem zmusić moje nogi do posłuszeństwa – rzuciłem się na prawo, z dala od domu, gdy nocną ciszę rozdarł kolejny huk. Leżałem w błocie, parę kroków od miejsca, w którym upadł Edward. Nie ruszał się. Widziałem zbliżającego się Gabora, który z ponurym wyrazem twarzy przeładowywał broń. Zerwałem się z ziemi i rzuciłem biegiem w kierunku podwórza na tyłach domu. Przez cały czas byłem pewien, że usłyszę kolejny strzał; czułem już niemal, jak ołów wwierca się w moje plecy.

Wypadłem za róg i przed sobą, na dalekim skraju trawnika, ujrzałem małą szopę na węgiel. Pognałem ku niej ile sił w nogach. Po chwili dałem za nią nura, kucałem teraz w wybijanej trawie. Widziałem, jak Gabor wychodzi zza narożnika budynku i rozgląda się na wszystkie strony.

– Widzę cię – powiedział. – Wyłaź. Oszczędzę ci życie.

Naprawdę miał mnie za skończonego idiotę? Poszukałem w kieszeni telefonu i osłaniając ciałem wyświetlacz, żeby nie zdradził mnie blask, sprawdziłem zasięg. Nadal pół kreski. Kiedy wystukiwałem numer, ręce drżały mi tak bardzo, że z trudem trafiałem w klawisze. Dziewięć. Dziewięć.

– Rzuć telefon.

Uniosłem wzrok. Gabor stał nade mną, a moją twarz od lufy dzieliło tylko parę centymetrów. Mój kciuk zawisł nad telefonem, gotowy do naciśnięcia ostatniej dziewiątki numeru alarmowego.

– Rzuć telefon, natychmiast! – warknął, dźgając powietrze lufą. – Już!

Zrobiłem, co kazał. Mężczyzna momentalnie nadepnął aparat, niszcząc całkowicie jego popękany już wcześniej wyświetlacz.

– Wstawaj. Z rękami w górze.

I znowu wykonałem polecenie. Nóż nadal tkwił w mojej wewnętrznej kieszeni, ale nawet gdybym zdołał po niego sięgnąć, nie oberwawszy kulki, co potem? Nóż kuchenny w starciu ze strzelbą raczej nie miał wielkich szans. Równie dobrze mógłbym walczyć łyżeczką do herbaty.

– W sumie to się cieszę, że mnie znalazłeś – rzekł z uśmiechem Gabor. – Jesteś jedyną osobą, która wie o moim synu i interesie, jakim się paraliśmy.

Wpatrywałem się w niego bez słowa.

– Tylko że nie znasz wszystkich szczegółów, zgadza się? – Wzruszywszy ramionami, dodał: – Przykro mi, ale zginiesz, nie poznawszy całej historii.

Lufa strzelby zawisała na wysokości mojej twarzy.

Wyciągnąłem przed siebie dłoń, jakbym łudził się, że w ten sposób zdołam osłonić się przed strzałem.

– Gdzie jest Laura? Coś jej zrobił? Gdzie Oscar?

Gabor uśmiechnął się, o ile w ogóle taki grymas można nazwać uśmiechem – bardziej przypominał w tej chwili szczerzącego się krokodyla spoglądającego na antylopę gnu.

– Niech cię o nich głowa nie boli.

Złożył się do strzału. Wzdrygnąłem się, czekając na huk. On jednak zwlekał, jakby rozkoszując się tą chwilą. Czy zdołam zagrać na czas, skłonić go do rozmowy, zaczekać na dogodny moment, a wtedy wyrwać nóż z kieszeni i zaatakować go z zaskoczenia?

– Mam jeszcze jedno pytanie. Proszę.

Gabor skinął głową, ale nie opuścił strzelby.

Wziąłem głęboki oddech.

– Te zdjęcia... czy to była twoja robota? Kiedy je zrobiłeś? – W miarę jak mówiłem, moja dłoń sunęła powoli ku kieszeni.

Jeszcze jedno przytaknięcie.

– Kiedy pogranicznicy sprawdzali paszport Aliny. Zakradłem się wtedy do przedziału, zobaczyłem, że śpicie, i zrobiłem telefonem parę fotek. Przesłałem je synowi, żeby wiedział dokładnie, kogo ma szukać.

– Ale po co potem pokazałeś mi te fotografie?

Gabor wzruszył jednym ramieniem.

– Zależało mi na dopadnięciu Aliny. Sądziłem, że powiesz o zdjęciach swojej dziewczynie, a potem wspólnie domyślicie się, że Alina wróciła, i mimo woli zaprowadzicie mnie do niej.

Palcami muskałem już brzeg kieszeni.

– A po co usunąłeś potem fotki?

– Dla zabawy, Danielu.

Wyszarpnąłem nóż z kieszeni i spróbowałem dosięgnąć jego nogi. Gabor z łatwością uskoczył w bok. Wytrącił mi broń z ręki kopniakiem, nóż poleciał na bok. Mężczyzna się zaśmiał.

– Wielka szkoda, że nie możemy dłużej pogawędzić – oświadczył. – Słyszałem o pewnych sprawach, o których chętnie bym ci opowiedział.

Lufa znów zbliżyła się do mojej twarzy.

Zamknąłem oczy. Wiedziałem, że nadszedł moment mojej śmierci.
Najgorsza była świadomość, że zawiodłem Laurę i Oscara.

Nie zasługiwałem, by żyć.

ROZDZIAŁ 61

– Ściągnij mi but – poleciła Alina, gdy kroki starego mężczyzny na schodach ucichły. – Lewy.

Laura odłożyła śpiącego Oscara do łóżeczka, po czym zrobiła, o co prosiła Alina. But zsunął się łatwo z nogi, a Laura wróciła pamięcią do chwili, gdy ten sam but znaleźli na leśnej ścieżce.

– Teraz wyciągnij to... co jest w środku – instruowała Alina.

– Wkładkę?

Dziewczyna potwierdziła skinieniem głowy. Laura poszukała palcami krawędzi wkładki – wewnątrz buta nadal było ciepłe i wydzielало słaby nieprzyjemny zapaszek. Pociągnęła i dał się słyszeć dźwięk odrywanego materiału. Oscar poruszył się w łóżeczku, ale się nie obudził.

– Ostrożnie – odezwała się Alina. – Pod wkładką powinien być kawałek metalu.

Laura przechyliła delikatnie but i po chwili poczuła, jak coś spada jej na dłoń. Zanim zacisnęła palce, wyleciało jej z ręki i upadło na podłogę.

– Kurwa mać!

– Lauro, musisz to znaleźć, proszę.

Uklękła i zajrzała pod łóżko. Momentalnie zauważyła kawałek metalu. Z mocno bijącym sercem wyciągnęła rękę, próbując go dosięgnąć. Już po chwili wymacała zgubę i chwyciła ją palcem wskazującym i kciukiem.

– Mam.

Alina odetchnęła z ulgą.

– Co to takiego? – spytała Laura, stając prosto.

Przedmiot kształtem i wielkością przypominał nieduży klucz, tyle że pozbawiony ząbkowania. Miał owalny uchwyt i płaski trzonek.

– Nazywa się... nie znam angielskiego odpowiednika. My mówimy na to şaibă. Najpierw otwórz kajdanki na moich rękach. Chwyć za tę owalną część i wsuń do zamka kajdanek, tam gdzie znajdują się zęby.

Laura przyklęła na brzegu łóżka, nachyliła się nad Aliną. Chwyła kajdanki i wsunęła şaibă w otwór mechanizmu zapadkowego.

– Teraz zwiększ nacisk na zęby, tak jakbyś próbowała zacisnąć mocniej kajdanki. Równocześnie popchnij şaibă w tę samą stronę.

Laura postąpiła według wskazówek. I ku własnemu zaskoczeniu usłyszała kliknięcie zwalnianej zapadki.

– A teraz mi je ściągnij.

Zdjęła jedną obręcz kajdanek, uwalniając lewą rękę Aliny.

– Przygotowałam się – oceniła Laura, obchodząc łóżko.

– To pierwsza rzecz, jaką kupiłam po przybyciu do Londynu. Spędziłam kilka miesięcy przykuta do łóżka. Nie mogłam dopuścić, by spotkało mnie to ponownie.

– Przepraszam – odezwała się Laura łamiącym się głosem. – Myślałam... myśleliśmy, że zastrzelił cię po tym, jak uciekliśmy. Próbowaliśmy zgłosić sprawę na policję, ale...

– Wiem.

– Stary mężczyzna...

– Nazywa się Nicolae Gabor. Znalazłam dokumenty w tamtym domu, a w nich jego nazwisko. Były tam również personalia wszystkich jego ofiar. Wszystkich kobiet, które wspólnie z synem gwałcił i zamordował. One wszystkie są teraz tutaj, z nami. Popychają mnie do działania – wyjaśniła z błyskiem w oku.

Laura popatrzyła na dziewczynę, na powietrze okalające jej sylwetkę. Skinęła głową.

– Czuję, że tu są – potwierdziła.

– Zanotowałam też imiona wszystkich dzieci. Nazwiska rodzin, do których je sprzedali. Są w tylnej kieszeni moich spodni. Weź je.

Uniosła biodra, a Laura wyciągnęła z kieszeni jeansów Aliny zmiętą kartkę.

– Pilnuj tych informacji jak oka w głowie, Lauro. To jedyna szansa na sprawiedliwość dla tych dzieci. Obiecuj mi.

– Obiecuję. – Po chwili wahania dodała: – Tak bardzo żałuję, że cię wtedy zostawiliśmy, w tym domu. Z nim.

Alina wzruszyła ramionami.

– Jego syn był gorszy.

Laura pokręciła w zamyśleniu głową i skupiła się na majstrowaniu przy drugiej obręczy kajdanek. Z tą nie poszło jej tak łatwo.

– Cieszę się, że trafiłam do tamtego domu – odezwała się Alina.

Laura wytrzeszczyła na nią oczy.

– W przeciwnym razie oni nadal by to robili.

I wtedy zrozumiała: to przeznaczenie chciało, by znaleźli tamten dom. Mocowała się dalej z kajdankami.

– Niesamowite, jak mało brakowało, żebyśmy nigdy nie znaleźli domu. – Alina pokręciła głową. – Gabor zmył Dragoşowi głowę za to, że niemal schrzanił całą operację. Podśluchałam ich. Na początkowym etapie ułatwił im zadanie. Plan przewidywał, że Dragoş przechwyci nas na stacji. Miał udawać chętnego do pomocy miejscowego albo zagrozić nam bronią, tego nie wiem. Ale się strasznie guzdrał. Kiedy w końcu wyruszył z domu na stację, my szliśmy już wzdłuż torów w jego kierunku.

Druga obręcz kajdanek otworzyła się i Alina mogła teraz rozmasować oba obolałe nadgarstki. Laura podała jej şaibă, tak by sama mogła uwolnić swoje nogi.

Nie przerywając pracy, Alina stwierdziła:

– Gdybym nie weszła wtedy do lasu, Dragoş pewnie zaczekałby, aż podejdziemy bliżej domu, posuwając się wzdłuż torów, i zaatakował wtedy. W każdym razie popełnił pierwszy błąd. Chwycił mnie i zawlókł do domu... I o to Gabor miał do niego największe pretensje: jego zdaniem syn powinien był mnie zostawić związaną w lesie i wrócić po was. No ale chyba trochę poniosła go fantazja, zaczął zrywać ze mnie ciuchy,

opowiadał, co mi zrobi. Nigdy potem nie był taki rozmowny jak tamtej nocy.

Trzecia obręcz ustąpiła i Alina skupiła się na ostatniej.

– Był tak bardzo zaabsorbowany wygadywaniem świństw, że nie słyszał, jak ty i Daniel wchodzicie do domu. Wiesz, co stało się potem. Dragoș nie przyznał się ojcu, że byliście w środku i że uciekliście. Za bardzo się wstydził. Gabor wyobrażał sobie, że uznaliście, iż uciekłam. Nie domyślał się, że wiecie o istnieniu domu. Kiedy Dragoș w końcu przyznał mu się, jak było naprawdę, Gabor wpadł w szal. Słyszałam, jak spuszcza mu łomot. Wrzeszczał na syna, powtarzał, że ty i Daniel mogliście zawiadomić Interpol. Ale nie zrobiliście tego, prawda?

Laura, przytłoczona poczuciem winy, zamknęła oczy.

– Jednak mijały tygodnie, a policja się nie zjawiała. W końcu Gabor uznał, że niebezpieczeństwo minęło.

Po chwili, spoglądając Laurze głęboko w oczy, Alina stwierdziła:

– Mam przy sobie truciznę. Tabletki z cyjankiem.
– Na wypadek gdybyś chciała popełnić samobójstwo?
– Albo morderstwo. – Przez chwilę milczała. Przyglądała się Laurze z wielką uwagą. – Zamierzałam podać je tobie i Danielowi.

Laura wpatrywała się oniemiała w dziewczynę, która nadal majstrowała przy ostatniej obręczy kajdanek.

– Gabor miał rację: pragnęłam ukarać was za to, że mnie tam zostawiliście; że nie zawiadomiliście policji. Chodzi mi o prawdziwą policję. Nie tego dupka, Constantina. Poza tym... czułam się taka zhańbiona. Widzieliście na własne oczy, co mnie tam spotkało. A ja nie mogłam znieść świadomości, że ktoś o tym wie. I pomyślałam, że jeśli zlikwiduję jedyne osoby, które mnie tam widziały, nareszcie będę wolna. Będę mogła zacząć... od nowa. Narodzić się ponownie. Rozumiesz, prawda?

Spojrzenia obu kobiet spotkały się.

– Planowałam najpierw zabić ciebie i Daniela, a potem rozprawić się z Gaborem.

– Dlaczego tego nie zrobiłaś? – spytała drżącym głosem Laura.

Alina oswobodziła ostatnią nogę. Sięgnęła po but i naciągnęła go na stopę.

– Zamierzałam, dopóki nie zobaczyłam Gabora. W szpitalu.

– Co takiego?

– Szukał ciebie. Constantin powiedział mu, jak się nazywasz, prawda? Podejrzewam, że śledził cię, licząc, że prędzej czy później zaprowadzisz go do mnie.

Laura pokręciła z niedowierzaniem głową. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że Gabor – czy też diabeł, bo tak go wówczas nazywała – ją obserwuje. Przypomniała sobie dzień, gdy niemal wpadła pod nadjeżdżający pociąg metra. Czuła wtedy wyraźnie, że ktoś obserwuje ją na ulicy. Czy to Gabor ją wówczas popchnął? A może Alina? Nie miała teraz odwagi, by spytać.

– Wszyscy obserwowaliśmy się wzajemnie, krążyliśmy wokół siebie jak wilki – odezwała się Alina, jakby czytając jej w myślach. – Kiedy zobaczyłam Gabora, zafiksowałam się na zamordowaniu go. Uznałam, że dopóki będzie skupiony na śledzeniu ciebie, prędzej czy później nadarzy się okazja, bym go dopadła. Ale potem wmieszała się Camelia i wszystko schrzaniła.

Ponieważ, domyśliła się Laura, kiedy tamta kobieta ją porwała i próbowała wydobyć z niej informacje, Gabor nie mógł dłużej zwlekać, musiał przystąpić do działania. A kiedy odwiózł Laurę do domu, ostatecznie wywabił Alinę z kryjówki, na co zapewne liczył, i wykorzystał sytuację, by porwać je obie. A dziecko było dla niego darem od losu.

Otwierała usta, żeby coś powiedzieć, gdy wtem ciszę przeciął odległy huk. Wystrzał.

Alina zeskoczyła z łóżka i pędem ruszyła do drzwi. Zaczęła szarpać za klamkę, mimo że była niemal pewna, że to na nic. Podbiegła do okna i przez chwilę mocowała się z deskami. Żadna nie ustąpiła. Były porządnie przybite.

– Może to policja – zastanowiła się Laura. Głos jej się łamał. – Może przyszli nas uwolnić.

Alina puściła jej uwagę mimo uszu.

– Musimy się stąd wydostać. Może by tak podpalić te deski...

– Zwariowałaś?

Alina odwróciła się do niej.

– Owszem. Zresztą obie jesteśmy szalone, prawda?

Laura nie wiedziała, jak zareagować. Odetchnęła z ulgą, gdy Alina zrezygnowała z pomysłu wzniesienia pożaru i wróciła pod drzwi. Przez chwilę stała nieruchomo, wreszcie kopnęła prawą nogą, uderzając podeszwą w klamkę. Drzwi zadrżały w ościeżnicach.

– Stań za mną i trzymaj mnie mocno, żebym nie poleciała do tyłu – poinstruowała.

Laura wsunęła ramiona pod pachy dziewczyny, jedną nogę cofnęła, zapierając się nią dla zwiększenia równowagi. Po chwili Alina kopnęła drugi raz. Impet uderzenia był tak duży, że obie kobiety niemal upadły na podłogę. Laura przyłgnęła do pleców koleżanki, zapewniając jej w ten sposób większe wsparcie.

– Spróbuj teraz.

Alina uniosła nogę i uderzyła butem w drzwi, wkładając w to całą siłę.

ROZDZIAŁ 62

Gabor stał nade mną, z palcem na spuście, rozkoszując się moim przerażeniem. A więc stało się, byłem już żywym trupem. Za Gaborem na ziemi leżał Edward, nie ruszał się. Zacisnąłem powieki. Przeleciało mi przez głowę, że wielka szkoda, że nie wierzę w Boga i niebiosy ani że po śmierci przeniosę się do lepszego świata.

Nagle z wnętrza domu dobiegł jakiś trzask. Otworzyłem oczy akurat w momencie, gdy Gabor obejrzał się przez ramię, i w mig zrozumiałem, że lepszej okazji mieć już nie będę. Kiedy mężczyzna skierował znów wzrok na mnie, natychmiast rozległ się huk strzału. Chybił, wzbijając fontannę ziemi w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą leżałem. Przeklął głośno, przełamał strzelbę i zaczął szperać w kieszeni w poszukiwaniu amunicji.

Rzuciłem się na niego, chwyciłem za nogi i niczym wytrawny rugbista powaliłem na ziemię. Nie wypuścił wprawdzie broni z ręki, jednak strzelba nadal była przełamana, a naboje wypadły na ziemię. Zostałem poczęstowany z kolana w brodę, chwilę potem kolejne kopnięcie trafiło mnie w głowę. Padłem jak długi na ziemię, w mojej czaszce eksplodował oślepiający ból. Gabor tymczasem zerwał się na nogi, po czym schylił po rozsypane naboje. Mruczał coś pod nosem w swoim ojczystym języku.

Kiedy uniosłem głowę, dostrzegłem jakąś ubraną na czarno postać wyłaniającą się zza rogu budynku. W świetle księżyca była ledwo widoczna, jednak widziałem wyraźnie, że kieruje się w naszą stronę. Zamrugalem szybko – czyżby umysł płatał mi figle? Może od ciosów w głowę ucierpiał mój mózg? Ale już po chwili tajemnicza postać okazała się Aliną. Nie zwalniając kroku, podniosła coś z ziemi. W pewnym momencie nadepnęła gałązkę, trzask zaalarmował Gabora, który chwilę wcześniej uporał się z ładowaniem strzelby. Odwrócił się w stronę, z której

dobiegł hałas, akurat w momencie, gdy Alina była tuż za nim. Dopiero teraz zobaczyłem, że dziewczyna w ręku ściska kamień. Zamachnęła się i uderzyła z całej siły. Kamień w zetknięciu z czaszką Gabora wydał stłumiony, wilgotny odgłos.

Mężczyzna schylił się, zachwiał się na nogach, lecz nie upadł. Alina zamachnęła się znowu, jednak tym razem chwyciła już kamień oburącz. Uniosła go nad głową i po chwili dał się słyszeć wyraźny trzask pękającej czaszki. Gabor upadł na brzuch. Kiedy Alina nogą przewróciła go na plecy, wciąż żył. Próbował coś powiedzieć, ale z jego ust dobył się tylko niezrozumiały jęk.

– Chcesz dokończyć? – spytała, podając mi kamień.

Nad jej ramieniem ujrzałem Laurę. Szła powoli, z zawiniątkiem z koców na rękach. Po chwili z zawiniątka dobył się jakiś wysoki dźwięk i wtedy zrozumiałem, że to Oscar.

– Danielu? – odezwała się znów Alina. – Chcesz czy nie?

Pokręciłem głową.

– Twój wybór.

Uniosła trzymany oburącz kamień i opuściła go na twarz Gabora.

– Za nas – powiedziała.

Znów uniosła ręce i powtórzyła cios.

– Za nas – powtórzyła.

A potem jeszcze raz.

Uciekłem spojrzeniem w bok. Staralem się nie słyszeć przyprawiających o mdłości odgłosów pękania i gruchotania. Skoncentrowałem się na Laurze, która była coraz bliżej. Oczy miałem mokre od łez, łez ulgi. Oboje, Laura i dziecko, żyli. I ja też. Laura zatrzymała się przy szopie na węgiel i utkwiała we mnie wzrok. Było zbyt ciemno, bym rozpoznał wyraz jej twarzy. Widziałem tylko, że oczy lśnią jej od łez.

Alina opadła na kolana obok zwłok Gabora. Wyjęła strzelbę z jego bezwładnych dłoni. Nie wstając z klęczek, wyciągnęła ją do mnie, jakby chciała, żebym wziął broń. Jej twarz bieląła przede mną w księżycowym blasku.

- Zabiłam twojego przyjaciela.
- Przyjaciela. Chryste, on nie był moim...
- Jake'a. Zabiłam twojego przyjaciela, Jake'a.

Znowu wykonała ruch, jakby chciała mi oddać strzelbę. Tym razem, nie myśląc nawet, co robię, przyjąłem ją.

– Zepchnęłam go z mostu. Wiedziałaś, że opowiedziałeś mi o lesie, o tym, co mnie tam spotkało. Śledziłam cię. Planowałam cię zabić. Najpierw Gabora, potem ciebie, na końcu Laurę. Zostawiliście mnie tam, porzuciliście na pewną śmierć. Przyjechałam tu, żeby się zemścić. Jestem Mirela.

Zaniemówiłem. Mirela? Co ona plotła? Nie przejąłem się tym, że przybyła tu kierowana żądzą zemsty, że pragnęła zabić Laurę i mnie. Całą moją uwagę pochłonęła jedna myśl: to ona zamordowała Jake'a.

- Ale wy dwoje nie zasługujecie, by zginąć. Jesteście dobrymi ludźmi.

Laura, stojąca za jej plecami, ruszyła powoli w naszą stronę. Zwróciła się do Aliny po imieniu, ale ta nie reagowała.

– Znienawidziłam was za to, że zostawiliście mnie w tamtym domu. Ale teraz rozumiem już, dlaczego tak postąpiliście. I nie mam do was żalu. Zrobiliście to, co musieliście zrobić. A teraz pozostało jeszcze coś, czym musicie się zająć. – Wskazała strzelbę w moich rękach. – Chcę, żebyś mnie zabił.

- Nie – odezwała się Laura.

– To ja zabiłam Jake'a – ciągnęła Rumunka. – Czekałam na niego na moście, udawałam, że chcę skoczyć. Wspiął się na balustradę, żeby ściągnąć mnie na dół. Zaproponował, żebym skorzystała z jego telefonu, jeśli potrzebuję z kimś porozmawiać. W momencie, gdy podawał mi aparat, popchnęłam go. Patrzyłam, jak spada. I zaraz uciekłam, zostawiłam jego leżące u dołu pogruchotane ciało. Wiadomość o jego śmierci wysłałam do osoby, z którą ostatnio wymieniał się SMS-ami. – Po tych słowach spojrzała mi w oczy i oświadczyła: – I dlatego teraz musisz mnie zabić. Zasługuję na śmierć.

- Danielu, nie rób tego – powtórzyła Laura. Widziałem, że się trzęsie.

Oczami wyobraźni widziałem to, o czym opowiadała Alina. Z natury dobry Jake próbuje pomóc nieznajomej w potrzebie. Nie mógł wiedzieć, kim jest Alina. Wyobraziłem sobie jego zwłoki na jezdni pod mostem. Był moim najlepszym przyjacielem. Młodym mężczyzną, którego marzenia właśnie zaczynały się spełniać. A ta kobieta skradła mu przyszłość.

Drżącymi rękami uniosłem strzelbę, wycelowałem.

– Zrób to – popędzała Alina. Rozpostarła szeroko ramiona i czekała z uśmiechem. – Jestem gotowa dołączyć do moich sióstr.

Głos Laury dobiegał z daleka:

– Danielu, nie. Nie rób tego.

Mój palec na spuście zadrżał. Moja koszula z przodu była mokra od łez. Tuż obok leżało zmasakrowane ciało Gabora, jego głowa zamieniła się w ohydny miazgę krwi i pogruchotanych kości. Alina zamknęła oczy, uśmiechała się błogo, jak ktoś wystawiający twarz do słońca. Z oddali dobiegło zawodzenie policyjnych syren. Zapewne ktoś z miejscowych usłyszał huk strzałów i wezwał gliny. Wycie syren wzmagало się z każdą chwilą. Przytrzymałem nieruchomo lufę strzelby. Alina nie dość, że zabiła Jake'a, to jeszcze odpowiedzialna była za śmierć Edwarda.

Jej rozumowanie było dla mnie czytelne – kiedy umrze, nie będzie nikogo prócz nas, kto wie o tym, co wydarzyło się tamtej nocy w lesie, kto widział, co Laura i ja zrobiliśmy – i czego nie zrobiliśmy. Zostaniemy przy życiu jedynie Laura i ja. Ludzie, z którymi podzieliłem się opowieścią o tamtych wydarzeniach, byli już martwi. Ion nie był świadomy tego, co się stało po tym, jak zostaliśmy wyrzuceni z pociągu. Alina była ostatnią osobą, która wiedziała. Po jej śmierci będziemy znowu żyć normalnie, jak gdyby nic się nie stało.

Głos Laury, która powtarzała moje imię, zdawał się dobiegać z bardzo daleka. Syreny radiowozów były już blisko.

– Zrób to – popędzała Alina.

I w końcu nacisnąłem spust.

CZĘŚĆ SIÓDMA

LONDYN

STYCZEŃ 2014

ROZDZIAŁ 63

Zadzwoiłem do drzwi i zaczekałem, aż sekretarka otworzy je domofonem. Od Bożego Narodzenia padały ulewne deszcze. Teraz na szczęście ulewa ustała, a ja przypatrywałem się złowrogim czarnym chmurom sunącym po niebie niczym okręty wojenne.

W gruncie rzeczy nie przejmowałem się tą paskudną pogodą. Odzyskałem swoje życie, tylko to się liczyło.

Zaraz po tym, jak wszedłem do biura, Sophie uściskała mnie na powitanie.

– Widzę, że już po remoncie – oceniłem. Kiedy byłem tu ostatni raz, w biurze szalał pożar.

– Ano. Mój szef, sknera, obiecał nawet, że pozwoli mi kupić obrazy do powieszenia na tych gołych ścianach. – Dziewczyna cofnęła się i zmierzyła mnie wzrokiem. – Jak się masz?

– Dobrze.

– Cieszę się. A jak... Erin i Rob? Któregoś dnia minęłam się z nimi w parku. Prowadzili wózek z Oscarem. Rozpoznałam ich ze zdjęcia w prasie.

– Trzymają się, tak myślę. Nadal są w szoku po tym, co się stało. Ale oczywiście czują ulgę, że jest już po wszystkim – tłumaczyłem. Sophie podała mi szklanekę z wodą. – Nie rozmawiają ze mną. Ale i tak czeka mnie wizyta u nich, bo chcę pomóc Laurze w wyprowadzce.

– Co ty nie powiesz?

Uśmiechnąłem się promiennie.

– Zamierzamy znów zamieszkać razem.

Sophie klasnęła w ręce.

– Fantastycznie!

– Postanowiliśmy... to znaczy Laura postanowiła, że spróbujemy jeszcze raz. Ja zawsze chciałem, żebyśmy byli razem. Tak wiele wspólnie przeżyliśmy i nadal się kochamy. – Po chwili dodałem: – Chodzimy na terapię dla par. Zdaniem naszego terapeuty musimy zaakceptować, że to, co się stało, stanowi teraz część naszej wspólnej historii. Że to coś, przez co przeszliśmy razem. I że teraz, gdy jest już po wszystkim, musimy żyć dalej. Inna sprawa, że jeśli jeszcze raz użyje formułki o „zakończeniu pewnego etapu w życiu”, zatłukę go gołymi pięściami.

Sophie wybuchła śmiechem.

– No to teraz powiedz, jak on sobie radzi – poprosiłem.

Nie zdążyła otworzyć ust, bo ubiegł ją główny zainteresowany.

– Radzi sobie nieźle. Ale to nie twoja zasługa.

Edward stał w drzwiach swojego gabinetu. Z ulgą dostrzegłem błady uśmiezek na jego ustach. Kiedy zrobił krok w moją stronę, zauważyłem, że nadal porusza się niepewnie. Oberwał w lewą część klatki piersiowej, ale pocisk na szczęście przeszedł obok serca, uszkadzając zamiast tego więzadła ramienne. Poruszył się chwilę po tym, jak wypaliłem do zwłok Nicolae Gabora i rzuciłem strzelbę na ziemię. Koniec końców nie spełniłem prośby Aliny. Nie potrafiłem jej zabić.

Wkrótce przed dom zajechały dwa policyjne radiowozy i zahamowały z piskiem opon na dziedzińcu. Gliniarze, zanim przystąpili do akcji, potrzebowali paru chwil, żeby zorientować się w sytuacji. Karetki pogotowia zjawiły się parę minut po nich. To, co działo się potem, pamiętam jak przez mgłę: jazda na badania do szpitala, pytania policjantów, moja twarz na ekranie telewizora na szpitalnym oddziale.

Przez następne dni nasza historia była w centrum zainteresowania mediów. Opinia publiczna dowiedziała się, kim był Nicolae Gabor, poznała parę faktów z „mrocznej przeszłości Rumunii”, usłyszała historie o działających w Londynie handlarzach narkotyków ze wschodniej Europy, o niemowlętach na sprzedaż, o heroicznym prywatnym detektywie, który rozwiązał kryminalną zagadkę, a teraz walczy o życie w szpitalu z raną

postrzałową w piersi, o chłopaku porwanej dziewczyny, który nie zważając na ryzyko, podjął straceńczą próbę ratowania jej i zaginionego dziecka... Równocześnie prowadzona była operacja policyjna na terenie Rumunii – wokół domu w lesie policja znajdowała zakopane szczątki ofiar: kobiet i niemowląt. Miejscowe organy ścigania starały się również namierzyć dzieci, które zostały sprzedane, korzystając z listy przekazanej Laurze przez Alinę. W mediach, rumuńskich i międzynarodowych, rozgorzała dyskusja na temat tego, jakie kroki należy podjąć w tej sprawie. Część tych dzieci była obecnie dorosłymi ludźmi, a we wszystkich przypadkach ich biologiczne matki nie żyły. Jednakże pary, które kupiły te dzieci, złamały prawo... Wyjątkowo delikatna i zagmatwana sprawa.

Ale zarówno policja, jak i media znały tylko część historii.

Nie wiedziały o Alinie, która uciekła w głąb lasu, gdy ryk policyjnych syren się przybliżył.

W rozmowach z policją Laura wytłumaczyła, że zabrała Oscara do ogrodu, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, i wtedy dopadł ich Gabor. Powiedziała, jakie zamiary żywił względem niej i Oscara – że zamierzał ponownie, tym razem na terenie Anglii, uruchomić hodowlę dzieci. Przypisałem sobie zabicie Gabora. Twierdziłem, że chwyciłem kamień i uderzyłem go, gdy wycelował do mnie ze strzelby. I że potem tłukłem go jeszcze przez chwilę, a na koniec sięgnąłem po broń i strzeliłem, żeby upewnić się, że nie żyje.

Poszukałem sobie adwokata. Nie miałem wyjścia, ponieważ pojawiły się głosy o odpowiedzialności karnej. Debatowano, czy miałem prawo bronić się przy użyciu kamienia, czy można w jakikolwiek sposób uzasadnić użycie przez mnie broni palnej. Ostatecznie Koronna Służba Prokuratorska przychyliła się do głosów opinii publicznej: sądenie mnie za zamordowanie porywacza niemowląt i gwałciciela byłoby marnotrawieniem pieniędzy podatników.

Policja wiedziała o prowizorycznym schronieniu, jakie Alina urządziła sobie w szopce na narzędzia w ogrodzie przed domem Erin i Roba. Jednakże Laura zaprzeczyła, jakoby Alina była z nią tej nocy. Twierdziła, że nie widziała dziewczyny już od wielu dni. Z początku martwiłem się, że policja pobierze próbki DNA z wnętrza samochodu Gabora albo pokoju,

w którym przykuł Alinę do łóżka. Na szczęście w sytuacji, gdy sprawca nie żyje, Oscar trafił z powrotem do rodziców, a Laura trzymała się swojej wersji, gliniarze nie mieli powodu, by drążyć temat. Sprawa została uznana za zamkniętą.

– Odkąd wróciłem do roboty, telefon nie przestaje dzwonić – wyznał Edward.

– Jesteś bohaterem, czego się spodziewałeś?

– No nie wiem z tym bohaterem... – Gestem zachęcił mnie, żebym wszedł do jego gabinetu. Zajęliśmy miejsca po dwóch stronach biurka.

Chmury, które widziałem wcześniej, nadal zasłaniały słońce. Cały pokój pogrążony był w półmroku.

– Słyszałeś, co z Ionem? – zagadnąłem.

– Wrócił do ojczyzny. Został deportowany.

Pokiwałem powoli głową.

– To dobrze.

– On i ja leżeliśmy w tym samym szpitalu. Co prawda na różnych oddziałach, ale... Któregoś dnia przyszedł do mnie w odwiedziny. Widział migawki w telewizji i chciał pogadać na ten temat. Albo jest z niego świetny aktor, albo szczerze żałował tego, co się stało. Twierdził, że chodziło mu wyłącznie o pieniądze, że marzył o lepszym życiu. Odniosłem wrażenie, że wychował się w trudnych warunkach. No i nie jest zbyt bystry.

Parsknąłem. Jakoś nie byłem w stanie wybaczyć temu draniowi. Warunki materialne, w jakich spędził dzieciństwo, niewiele tu zmieniały.

– Powiedział coś, co wydało mi się bardzo ciekawe. Jego zdaniem Camelia miała jakieś konszachty z Gaborem. Uważa, że stary mężczyzna przekonał ją, że zdoła znaleźć narkotyki.

– A ona w zamian dała mu klucze do mojego mieszkania?

– Tak twierdzi Ion. Musisz przyznać, brzmi to sensownie. – Edward przez chwilę wpatrywał się w blat biurka. – A na koniec Gabor ją zabił. – Spojrzał w okno. – Alina nadal gdzieś tu jest, prawda?

– Może.

– Sądzisz, że ona też wróciła do ojczyzny?

Już wcześniej sporo się nad tym zastanawiałem. Z jednej strony chciałem wierzyć, że dziewczyna nadal jest w Anglii; czasami miałem dziwne poczucie, że ktoś mi się przygląda. Jednak gdy się odwracałem, nikogo tam nie było. Z drugiej strony zacząłem wyobrażać sobie, że wróciła do Rumunii i próbuje wieść normalne życie. A może znalazła nowy pomysł na siebie i zaczęła podróżować po świecie. Przecież mogła teraz naprawdę zacząć wszystko od nowa. Nikt nie miał pojęcia, że coś łączy ją z całą tą sprawą. Nikt nie wiedział, gdzie jest.

Kiedy Alina podała mi strzelbę i nalegała, żebym ją zabił, przed oczami stanęła mi twarz Jake'a. Czułem, jak buzują we mnie gniew i nienawiść. Naprawdę niewiele brakowało, bym nacisnął spust.

Powstrzymała mnie świadomość, że moje życie w ostatnim czasie i bez tego naznaczone było wieloma tragediami. Poza tym, mimo że Alina była winna zabicia mojego najlepszego przyjaciela i nienawidziłem jej za to, wycierpiała więcej, niż jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. I uratowała mi życie. Dlatego koniec końców wycelowałem w osobę, która naprawdę zasługiwała na śmierć. W chwili, gdy naciskałem spust, wyobrażałem sobie, że Gabor nadal żyje i błaga o litość. I wtedy bez skrępowań wypaliłem mu prosto w twarz.

Dlaczego nie próbowałem zatrzymać Aliny? Czemu nie powiedziałem o niej policji? Ze względu na Laurę. To ona błagała mnie, bym trzymał język za zębami. Twierdziła, że nie chce, żeby Alina została ukarana. Ale kierowało mną coś jeszcze – Alina doskonale wiedziała, co stało się w tamtym domu w rumuńskim lesie. Gdyby została przesłuchana przez policję, należało liczyć się z tym, że cała historia ujrzy światło dzienne, dowie się o niej opinia publiczna. A tego nie życzyło sobie żadne z nas. I właśnie dlatego, mimo że skrycie marzyłem, by Alinę spotkała kara za zabicie Jake'a, obiecałem Laurze, że pozwolę jej odejść. Ale równocześnie zapowiedziałem, że jeśli kiedykolwiek się pojawi, wówczas o wszystkim dowie się policja – koniec z sekretami i kłamstwami.

– Tak naprawdę to nie wiem, gdzie podziewa się Alina – wyznałem, odpowiadając na pytanie Edwarda.

Długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu, pogrążeni w zadumie.

– Słyszałem, że schodzisz się z Laurą? – zagadnął w końcu Edward. – Bardzo się cieszę.

– Dzięki.

– Szczęściarz z ciebie, Danielu. Ale dbaj o nią, dobra? Moja rada: jeśli dziewczyna chce podróżować pierwszą klasą, kup bilet na pierwszą klasę.

Nie umiałem opanować śmiechu.

– Nie martw się.

Edward też się roześmiał. Zaraz jednak się skrzywił dotykając klatki piersiowej.

– Cholera, dalej boli.

– Przydałyby ci się wakacje. – Zerknąłem na zegarek i powiedziałem: – Muszę lecieć. Cieszę się, że się spotkaliśmy. Jeszcze ci nie... Daj mi znać, ile jestem ci winien.

– Milion funtów.

– Cóż, jeśli uda mi się sprzedać nową aplikację, nad którą teraz pracuję...

– Wygłupiam się – odparł z uśmiechem. – Nie jesteś mi winien ani pensa. Lepiej kup Laurze jakiś ładny prezent.

– Dzięki, stary.

Widziałem, że coś jeszcze go gryzie.

– No, wyrzuć to z siebie.

– Ta cała sprawa z Gaborem, to, co zrobił, nie daje mi spokoju. Kiedyś nie wierzyłem, gdy ludzie mówili o złu, o tym, że niektórzy są nim przeżarci do szpiku kości. Zakładałem, że to etykietka, stosowana, gdy człowiek wzdraga się przed racjonalnym wytłumaczeniem jakiegoś odrażającego zachowania. Takie, no wiesz, pójście na łatwiznę. On jest zły. Ona jest zła. Jak ta pielęgniarka, o której rozpisywała się prasa. Ta skazana za zamordowanie wielu staruszków, którą potem wypuścili z więzienia z powodu błędów przy pobieraniu materiału genetycznego. Kiedyś słysząc, jak dziennikarze nazywali tę kobietę złą, przewracałem oczami. Ale teraz...

– Teraz doszedłeś do wniosku, że niektórzy tacy się rodzą.

– Nie wiem – odparł, wykrzywiając usta w grymasie. – Ale takie myśli spędzają mi sen z powiek.

Uścisnęliśmy dłonie i po chwili wyszedłem na zalaną deszczem ulicę.

ROZDZIAŁ 64

Po drodze do Erin i Roba byłem tak zatopiony w myślach, że nie zwracałem nawet uwagi na pogodę. Zdawałem sobie sprawę, że nie będzie łatwo naprawić mojej relacji z Laurą. Raczej mało prawdopodobne, żebyśmy przeszli do porządku dziennego nad tym, co się stało. Nie czeka nas z dnia na dzień idylliczna przyszłość, nie będziemy trzymać się za ręce, a wokół nas nie będzie rozbrzmiewać romantyczna i podniosła ścieżka dźwiękowa z filmu Disneya. Będziemy musieli ciężko pracować nad odbudowaniem naszego związku, nad znalezieniem się w punkcie, kiedy To, Co Się Wydarzyło nie będzie wiecznie towarzyszyć nam, niczym szczerzący kły demon czający się w pokoju za ścianą. Znałem pary, które nigdy nie pozbierały się po zdradzie jednego z partnerów. Mimo że strona, która zawiniła, bardzo się starała, strona pokrzywdzona nie potrafiła zapomnieć. Wiedziałem, że nie możemy dopuścić do sytuacji, gdy podzielimy ich los.

Drzwi otworzył Rob. Skinął sztywno głową na powitanie.

– Jak się miewa Laura? – spytał.

– Nieźle, dzięki. Jej ojciec też szybko wraca do sił.

– To dobrze.

Staliśmy w korytarzu, zapadło niezręczne milczenie. Kiedy byłem tu ostatnio, korytarz pełen był ludzi. Wtedy atmosfera strachu była niemal namacalna.

– A gdzie Erin?

– Poszła z Oscarem na zakupy. Wciąż nie może pozbierać się po tym wszystkim. Ani na sekundę nie spuszcza małego z oczu. Oscar śpi teraz

z nami w łóżku, a Erin budzi się cztery razy w ciągu nocy i sprawdza, czy jest na swoim miejscu.

– Przykro mi, Rob...

– Ale chyba powinienem podziękować ci za znalezienie go. Policjanci opowiadali, że Laura przez cały czas troszczyła się o niego, pilnowała, żeby nie zmarł.

– To prawda.

Rob westchnął ciężko.

– Dan, to nie tak, że cię nienawidzimy. Po prostu...

Położyłem mu dłoń na ramieniu.

– W porządku, stary. Nie musisz nic mówić.

Odchrząknąwszy, stwierdził:

– No dobra, wiesz, gdzie jest pokój Laury. Jak zamierzasz przetransportować jej rzeczy do waszego mieszkania? Chcesz, żebym cię podwiózł?

– Nie, wezwę taksówkę. Nie jest tego dużo.

– W takim razie nie będę ci przeszkadzać.

Poszedłem na górę, do pokoju Laury. Łóżko było niezaścielone, bo Laura wyszła w pośpiechu po tym, jak dostała wiadomość, że jej ojciec doznał zawału na polu golfowym. Wprawdzie lekarz twierdził, że było to tylko niegroźne zatrzymanie akcji serca, ale Laura uznała, że musi się niezwłocznie zobaczyć z tatą.

– To mimo wszystko moi rodzice – stwierdziła. – Może zdołam im jeszcze wytłumaczyć, jak fatalnie mnie traktowali i jak się przez to czułam. No i z największą przyjemnością wygłoszę ojcu wykład na temat konieczności zmiany zgubnych nawyków: musi zdrowiej się odżywiać, skończyć z cygarami i zacząć ćwiczyć.

Zanim pojechała na dworzec, zaproponowałem, że wybiorę się do Erin i Roba i spakuję jej rzeczy.

– Kiedy wrócisz, będzie już po przeprowadzce.

– Nie możesz... Nie musisz tego robić.

– Ale chcę.

– Nie wiem, czy życzę sobie, żebyś szperał w moich rzeczach.

– To znaczy?

– No wiesz, tam jest moja bielizna i w ogóle. A ty nie masz smykałki do pakowania... Narobisz wielkiego bałaganu.

Pocałowałem ją.

– Wcale nie jestem taki beznadziejny. I obiecuję, że nie będę myszkować w twojej bieliźnie. Po prostu powrzucam wszystko do toreb, a po powrocie poukładasz rzeczy, jak będziesz chciała. Zgoda?

Nadal nie wydawała się przekonana. Ale do odjazdu pociągu pozostała tylko godzina, nie było czasu na dyskusje. Przed wyjściem przytuliła się do mnie.

– Kocham cię – powiedziała. – I... dziękuję.

– Za co?

– Że nie powiedziałaś Edwardowi, co wydarzyło się w tamtym domu.

Odwzajemniłem jej uścisk.

– Nie musisz mi dziękować, Lauro. Każdy na moim miejscu postąpiłby tak samo.

– Nieprawda – odparła, kładąc mi dłoń na policzku. – I właśnie dlatego cię kocham.

– Lauro, twoje sekrety są bezpieczne. Wszystkie.

Zmarszczyła brwi, odsunęła się ode mnie. Nie wiedziałem, co myśleć o tej reakcji. Ale to nie był dobry moment, żeby się nad tym zastanawiać.



Rzeczy do spakowania było niewiele, głównie ubrania i kosmetyki, oprócz tego parę książek, suszarka do włosów, czytnik Kindle z ładowarką. W pokoju Laury znalazłem też parę butelek wina, ale postanowiłem, że nie będę ich zabierać. Odstawiłem na jakiś czas alkohol – chciałem, żeby wątroba zregenerowała się po wielomiesięcznym pijaństwie. Okazało się, że zachowanie abstynencji jest łatwiejsze, niż sądziłem.

Swój dobytek Laura przyniosła tu w torbach podróżnych, które leżały teraz poskładane pod łóżkiem. Wyciągnąłem je, położyłem na materacu i zacząłem pakowanie. Na dno szły cięższe rzeczy, ciuchy na wierzch. W szafie, przyklejone do drzwi, znalazłem nasze zdjęcie, uśmiechnąłem się na jego widok. Przytulaliśmy się policzkami, oczy mieliśmy zmrużone od prążącego słońca. Odkleiłem fotografię, położyłem na łóżku i na chwilę usiadłem obok niego. Wspominałem sobie nasz pijacki seks w tym pokoju.

Ponownie przespaliśmy się ze sobą dopiero po pogrzebie Jake'a, już w moim mieszkaniu – które wkrótce ponownie miało stać się naszym wspólnym domem. Nie mogliśmy się sobą nacieszyć, a pokój wokół nas zdawał się drżeć od wybuchu emocji, nagromadzonego stresu i cierpienia, jakie z siebie uwalnialiśmy. Był to intensywny, namiętny seks, ciągnący się przez całą noc, podobny do tego, jaki uprawialiśmy na początku naszej znajomości, gdy nasza miłość dopiero się rodziła.

Kremacja była na swój sposób wspianiałym doświadczeniem. Zjawili się wszyscy, którzy kochali Jake'a. Grała muzyka, przyszły tłumy ludzi. Rytuał spopielenia zwłok stał się okazją do uczczenia życia mojego przyjaciela. Ale równocześnie było to dla mnie wyjątkowo trudne przeżycie, jedno z najtrudniejszych, z jakimi kiedykolwiek przyszło mi się mierzyć. Kiedy ciało przyjaciela zniknęło za aksamitną zasłoną, szlochałem. Laura, blada jak ściana, siedziała obok mnie. Potem ogłoszono, że Universal wyda album z utworami, które Jake zdążył nagrać przed śmiercią. „Jake tego by właśnie sobie życzył”, powtarzali wszyscy. Gównie prawda, Jake pragnął żyć, stać na scenie i śpiewać te utwory dla publiczności, słyszeć na własne uszy oklaski. Jaki sens miała pośmiertna sława? Ale zachowałem te wątpliwości dla siebie. Milczałem.

Odepchnąłem myśli o Jake'u. Zależało mi, żeby dzisiejszy dzień był jak najbardziej pozytywny.

Opróżniłem komodę, posuwając się od najniższej szuflady ku najwyższej: T-shirty, kamizelki, dalej rajstopy, legginsy i jeansy. Na koniec dotarłem do szuflady z bielizną. Parsknąłem śmiechem, gdy przypomniałem sobie, jak Laura mówiła, że nie życzy sobie, żebym w niej myszkował. Przecież i tak widziałem już wiele razy jej majtki i staniki. Zarazem wiedziałem jednak, że Laura ceni prywatność. Należała do dziewczyn, które nie skorzystają z toalety, dopóki nie zostaną same.

Wziąłem z szuflady naręczne staników i majtek i zaniósłem na łóżko. W pewnym momencie coś, jakiś ciężki przedmiot, wysunął się ze sterty bielizny i upadł na podłogę. Odbił się od dywanu i wylądował pod komodą. Schyliłem się, żeby go podnieść. Był to iPhone.

Dziwne. Laura nigdy nie miała iPhone'a. Nie przepadała za produktami Apple'a, nieraz robiła mi pogadanki na temat wołającego o pomstę do nieba traktowania, z jakim spotykają się pracownicy fabryk Apple'a w Chinach. Co zatem iPhone robił w jej bieliźnie?

Wrzuciłem telefon do jednej z toreb podróży i nie zawracałem sobie nim więcej głowy. W pewnym momencie, mniej więcej w połowie pakowania, przedzwoniła Laura, żeby powiedzieć, że jest już w pociągu i wróci wcześniej, niż zakładała. Okazało się, że jej ojciec czuje się dużo lepiej. Laura chciała jak najszybciej znaleźć się w domu, ze mną.

Zamierzałem spytać ją o iPhone'a, ale nie zdążyłem, bo nas rozłączyło. Zapewne pociąg wjechał do tunelu i telefon stracił zasięg. Wzruszyłem ramionami. Trudno, pogadamy o tym, kiedy wróci do domu.

Uśmiechnąłem się do siebie. Dom. Nasz dom.

Najlepsze miejsce pod słońcem.

EPILOG

Laura siedziała na zamkniętym klozecie, starając się odepchnąć myśli o zupełnie innej podróży pociągiem. W dwóch palcach trzymała kawałek białego plastiku, ale nie miała odwagi, żeby na niego spojrzeć. To, że spóźniał jej się okres, mogło być spowodowane stresem, niepokojem, lękiem, w cieniu których upływało jej życie. Choć kto wie, może jej się poszczęści.

Może spotka ją szczęście, na które nie zasłużyła.

Po pogrzebie Jake'a razem z Danielem poszli do jego mieszkania. Wylądowali w łóżku. Laura niewiele pamiętała z tamtej nocy, wiedziała tylko, że rozpłakała się po seksie. Daniel trzymał ją w ramionach i powiedział, że dostali drugą szansę od losu. Słyszając to, rozszlochała się na całego. A wtedy przyznał się, że skłamał ze względu na nią.

– To znaczy? – spytała. Jej głos zabrzmiał donośnie w cichym pokoju.

– Kiedy opowiadałem Edwardowi o wydarzeniach w tamtym domu, pozmieniałem niektóre szczegóły.

Laura usiadła na łóżku, zakrywając piersi kołdrą.

– Ale... dlaczego? – wyrzuciła z siebie. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Żeby cię chronić, Lauro. Nie chciałem, żeby pomyślał źle o tobie. Nie chciałem, żebyś ty źle o sobie myślała. Byliśmy wtedy w szoku. W innych okolicznościach sprawy potoczyłyby się tak, jak mu to przedstawiłem. Zresztą uciekliśmy wtedy oboje, w wersji, jaką podałem Edwardowi, to się nie zmieniło.

– Co mu powiedziałaś?

– Że to ty wzięłaś dziecko. Że to ty nalegałaś, żeby zabrać dziecko z tamtego pokoju.

W miarę jak mówił, tamte chwile znów ożywały w jej pamięci.

Daniel zszedł po schodach, niosąc dziecko pod pachą, a w drugiej ręce ściskając świecznik. Laura posuwała się za nim. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, poruszała się jedynie siłą woli.

Błagała Daniela, żeby oddał dziecko Dragoşowi – żeby zrobił to, czego żądał ten przerażający mężczyzna z pistoletem. Daniel jednak przekazał jej dzieciaka, musiał mieć swobodę ruchów, żeby zaatakować Dragoşa.

– Opowiedziałem Edwardowi, że Dragoş cię chwycił. I że musiałem wybierać między tobą i dzieckiem.

– Ale przecież nie tak było!

Zacisnęła powieki, wszystko do niej wróciło. Przypominała już sobie, że mimo iż to ona nalegała, żeby weszli do domu, po odwiedzeniu pokoju na górze i zobaczeniu na własne oczy koszmaru, jaki w sobie krył, cała jej odwaga wyparowała. Wówczas to Daniel wszedł w rolę tego odważnego.

Kiedy mężczyźni szykowali się do walki, Laura spanikowała. Wepchnęła dziecko w ramiona Dragoşa, a sama rzuciła się do ucieczki. Wypadła za drzwi. Uciekała, żeby ratować życie. Daniel, nie mając innego wyboru, ruszył jej śladem, zostawiając z tyłu Alinę i niemowlę.

Po chwili dogonił ich huk wystrzałów.

A więc to wszystko jej wina. To ona ich porzuciła. Była tchórzem.

Świadomość tego, jak postąpiła, nie dawała jej potem spokoju. Laura, która całe swoje życie zawodowe poświęciła pomaganiu dzieciom, która sama miała trudne dzieciństwo, nie zdała najważniejszego egzaminu. Tamtych kilka chwil wystarczyło, by wyobrażenie o sobie, jakie budowała przez lata, legło w gruzach. Pewność siebie, wiara we własne siły – obrócone w nicość. Zzerana poczuciem winy, nie umiała dłużej żyć z Danielem, który przekonał się, jaka jest naprawdę. Był dla niej wyrozumiały, twierdził, że to, jak postąpiła, nie ma znaczenia, bo jej zachowanie było dyktowane przez strach. Przekonywał, że większość ludzi zareagowałaby tak samo jak ona. Jednak jego słowa trafiały w próżnię. We

własnych oczach Laura zawiodła. Zawiodła Alineę, tamto biedne dziecko oraz kobiety w pokoju na piętrze.

To dlatego błagała Daniela, żeby nie zgłaszał sprawy na policję. Wprawdzie Daniel zdawał sobie sprawę, że Constantinowi nie można ufać, ale chciał szukać pomocy u innych policjantów. Laura wymogła na nim, żeby tego nie robił. Twierdził potem, że to i tak bez znaczenia; że nikt nie będzie jej osądzać za to, co zrobiła, ale Daniel po prostu nie rozumiał. Wystarczyło, że ona sama się osądzała. I nie chciała, żeby ktokolwiek dowiedział się o tym, jak postąpiła.

Kiedy wspomniał jej, że omawia doświadczenia z Rumunii podczas terapii, poczuła się upokorzona. A co, jeśli opowie tej kobiecie o wszystkim?

Wkrótce jednak dom terapeutki spłonął w pożarze. A Laura poczuła wtedy, jakby to bogowie wzięli ją w opiekę.

Przez krótki czas sądziła, że jest bezpieczna – do momentu, gdy Daniel napisał jej, że rozmawiał z Jakiem. Laura była przerażona, wpadła w histerię. Odchodziła od zmysłów ze strachu. Nie miała nic na swoją obronę. Wyobrażała sobie, jak Daniel opowiada przyjacielowi o wszystkim, co zrobiła. Bała się, że Jake wie już o jej postępach, wie, że jest tchórzem i że przyłożyła rękę do morderstw. A co gorsze, Daniel nie mógł wybrać sobie gorszego powiernika – Jake słynął z tego, że uwielbia plotkować; jeśli historia była ciekawa, po prostu musiał się nią podzielić. O Jezu, a co jeśli napisze o tym piosenkę? Albo wspomni w wywiadzie?

Cały świat dowie się, jakim człowiekiem tak naprawdę jest Laura.

Tamtej nocy, po pogrzebie Jake'a, gdy Laura leżała przytulona do Daniela, tłumaczyła, że trzęsie się z zimna i nadmiaru emocji. Daniel był przeszczęśliwy tej nocy, fakt, że Laura wróciła do niego, wprawiał go w ekstatyczny nastrój. Był pewien, że Laura doceni, iż w rozmowie z Edwardem zmienił parę szczegółów.

– A co z Jakiem? – spytała, nie patrząc na niego.

– Niewiele zdążyłem mu opowiedzieć. Doszedłem tylko do momentu, gdy usłyszeliśmy płacz dziecka. Jake dostał telefon i szybko się zmył. Nie miałem możliwości powiedzieć mu nic więcej, bo krótko potem... zginął.

Ale gdybym mógł dokończyć historię, przedstawiłbym mu taką samą wersję jak Edwardowi. Mam nadzieję, że nie martwiłaś się o to.

W tamtej chwili Laura najchętniej nawrzeszczałaby na niego. Dlaczego nie powiedział jej wtedy? Dlaczego przez cały ten czas żyła w przekonaniu, że Jake o wszystkim wie? Nie mogła jednak krzyknąć, nie mogła nic powiedzieć.

Daniel nigdy nie może się dowiedzieć o tym, co zrobiła.



Niedługo po wiadomości od Daniela, że zamierza porozmawiać z Jakiem, Laura wyszła do ogrodu przed domem Erin i Roba. Między dwiema jabłonkami dostrzegła sylwetkę Aliny, częściowo skrytą w cieniu. Nie była duchem, Laura już to wiedziała. To zwyczajna kobieta z krwi i kości. Kobieta, która przybyła tu, żeby zemścić się za to, jak postąpili w stosunku do niej Laura i Daniel.

– Coś się stało – odezwała się Laura.

Opowiedziała Alinie o wiadomości od Daniela.

– Musisz spotkać się z tym chłopakiem – poradziła Alina. – Pogadaj z nim. Przekonaj, żeby trzymał język za zębami.

Ruszyła niezwłocznie. Spotkała go po drodze, na moście Thornberry. Jake szedł przed nią, kierując się w stronę swojego mieszkania. Dogoniła go, zawołała po imieniu. Jake zatrzymał się jak wryty. Zrobiło się już późno, oprócz nich na moście nie było żywej duszy.

– Laura? A co ty tu robisz?

– Cześć, Jake.

Chłopak chwiał się lekko na nogach, był pijany.

– Oj, jestem na lekkim rauszu – roześmiał się. – Piliśmy szampana. Dużo szampana! Lauro, wszystko wskazuje na to, że podpiszę kontrakt. Tyle lat czekania i wreszcie mi się uda.

Próbował ją objąć, ale się cofnęła.

– Chcesz mnie obejmować, po tym, czego się o mnie dowiedziałeś?

– To znaczy?

– Daniel opowiedział ci, co wydarzyło się w Rumunii.

Jake słaniał się na nogach, był taki pijany.

– Tak, Rumunia. Kurwa mać, Lauro. – Utkwił w niej wzrok. – Wiesz, co myślę. Uważam, że niezależnie od tego, co tam się stało, źle zrobiłaś, że uciekłaś. Daniel jest zupełnie zdruzgotany.

Jego słowa były niczym siarczysty policzek. Ale Jake miał rację. Swoimi działaniami wyrządziła tyle krzywd. A miała zamiar wyrządzić jeszcze więcej. Zanim Jake zdążył ją powstrzymać, wspięła się na balustradę. Spoglądała na auta mknące poniżej, zachodząc w głowę, ile czasu minie, nim ciało zderzy się z asfaltem.

– Co ty wyprawiasz, do cholery? – spytał Jake, gramoląc się za nią niezdarnie na balustradę. – O rany! – zawołał, kiedy jego spojrzenie ześlizgnęło się ku szosie.

Usiadł na występie ciągnącym się wzdłuż barierki, plecami zwrócony do drogi. Laura zajęła miejsce obok niego.

– Nie wolno ci tego nikomu powiedzieć – odezwała się. – Obiecuj mi, że nigdy nie powiesz.

Chłopak spoglądał na nią. Marnie wyglądał. O Boże, pewnie to na jej widok zbierało mu się na wymioty. W pewnym momencie podmuch wiatru sprawił, że oboje zakołysali się na barierce. W dole mknęły samochody, warkot silników niemal zagłuszał ich słowa.

– Lepiej zejdźmy, Lauro.

Ona jednak ani drgnęła.

– Lauro, proszę.

– Obiecuj mi.

– Obiecuję, będę trzymać gębę na kłódkę. Słowo harcerza.

Jego spojrzenie zdradziło go. Uciekał wzrokiem w bok jak osoba, która wyznaje miłość, lecz robi to nieszczercze. Laura zrozumiała wtedy, że nie może mieć pewności, czy Jake nie zdradzi jej sekretu, jej wielkiej hańby.

Wyciągnął telefon i powiedział, że przedzwoni do Daniela. Laura wyrwała mu z ręki aparat. Nie mogła dopuścić, żeby angażować w to teraz swojego byłego faceta. Przysporzyłaby mu tylko zmartwień. Wykluczone.

Jezdnia pod nimi była teraz pusta. Pewnie światła na pobliskim skrzyżowaniu zmieniły się na czerwone.

– Przysięgnij na życie swojej bratanicy. Przysięgnij, że nigdy nikomu o tym nie powiesz.

– Lauro, nie bądź śmieszna. To jakiś makabryczny pomysł. Nie mam zamiaru przysięgać na życie Cleo...

I wtedy go zepchnęła.

Popatrzyła na swoje dłonie. Potem wyrzała za balustradę, na szosę poniżej – leżało tam jego ciało. Jego, nie jej. Zbyt się bała, żeby też skoczyć. A ponieważ nie mogła znieść widoku tego, co zrobiła, w końcu odwróciła się i zeskoczyła z barierki na chodnik.

Była zabójczynią. Już wcześniej wiedziała, że jest tchórzem i kłamcą. Teraz na sumieniu miała też morderstwo.

Skóra, która odrosła, różniła się od tej, która pokrywała ją kiedyś. Przyoblekła się w nowe ciało – i teraz nie mogła już chować się za żadną uplecioną z pajęczyny ścianą.

On nikomu nie zdradzi już prawdy, pomyślała. Nikt nie dowie się, jaka jesteś naprawdę.

Rozejrzała się na wszystkie strony, żeby upewnić się, że nikt nie nadchodzi. Następnie drżącymi palcami wystukała na telefonie Jake'a wiadomość do jego siostry:

Nie mogę dłużej tego ciągnąć. Wszystko wydaje się bez sensu, niewarte tego, by o to walczyć. Przepraszam. Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za tchórza. Uściśnij ode mnie Cleo. Kocham cię. Jake XXX

Wysłała wiadomość, telefon wsunęła do kieszeni i poszła do domu. Wiedziała, że musi jak najszybciej pozbyć się aparatu. Gdyby ktoś go u niej znalazł, stanowiłby niezbity dowód, że była z Jakiem w chwili jego śmierci. Zarazem rozumiała też, że nie może go tak po prostu wyrzucić. Na aparacie były jej odciski palców. Postanowiła, że pozbędzie się go później. Na razie wystarczy, że go ukryje.

Teraz wiedziała już, że gdy Jake powiedział: „Źle zrobiłaś, że uciekłaś”, chodziło mu o to, że nie powinna była rozstawać się z Danielem. Ale niby skąd wtedy miała o tym wiedzieć? Dlaczego Jake nie wyraził się jaśniej? To

prawda, wyglądał, jakby miał się porzygać – ale dlatego, że za dużo wypił, a nie ponieważ Laura przyprawiała go o wymioty.

Wpatrywała się w test ciążowy, oczekując na wynik. Równocześnie starała się przypomnieć sobie, co zrobiła z telefonem Jake'a. Dni po jego śmierci pamiętała jak przez mgłę. Na jakiś czas postradała zmysły, jej obłąd trwał, dopóki Gabor nie uprowadził jej i Oscara.

Akurat w momencie, gdy ukazał się wynik testu, ktoś zaczął dobijać się do drzwi toalety. Laura z zapartym tchem wpatrywała się w kawałek plastiku.

Nie zasługuję, by mieć dziecko, myślała. Nie zasługuję na szczęście. Jestem tchórzem, kłamcą, morderczynią. Jaka będzie ze mnie matka?

– Długo jeszcze? – Rozległ się przeszywający głos kobiety stojącej pod drzwiami. Zalaatywał desperacją.

– Zaraz wychodzę, chwileczkę.

Laura spuściła wodę i otworzyła drzwi. Kiedy mijала kobietę, ta zrobiła nadąsaną minę, ale Laura zignorowała ją. W kieszeni niosła test ciążowy z wynikiem dodatnim – dwie kreski nie pozostawiały wątpliwości, że jest w ciąży. Zanim wróciła na swoje miejsce, podjęła decyzję.

Zostanie matką. Będzie musiała zostawić za sobą to, co się wydarzyło. Nigdy nie przyzna się Danielowi, co zrobiła. Kiedy Alina okłamała go, twierdząc, że to ona zamordowała Jake'a, podarowała Laurze wolność. Powinno to być dla niej lekcją, podobnie jak fakt, że Daniel również posunął się ze względu na nią do kłamstwa.

Nadszedł czas, by znów zrzuciła skórę – rozstała się ze skórą morderczyni i zaczęła wszystko od nowa.

Koniec z tchórzostwem, kłamstwami, strachem. Kiedy tylko wróci do domu, podzieli się z Danielem radosną nowiną o dziecku. Ich dziecku! Przecież tego właśnie pragnęli, nim zaczął się cały ten koszmar. Będzie taki szczęśliwy. Staną się prawdziwą rodziną. Złożyła przed sobą uroczyste przyrzeczenie – nigdy nie wyzna Danielowi prawdy. On nigdy nie może się dowiedzieć, co zrobiła.

Chwilę po tym, jak usiadła na fotelu, nadszedł konduktor i poprosił o bilet do kontroli. Wyciągnęła bilet z torebki, a kiedy mężczyzna oddawał

go jej po przystawieniu stempla, uśmiechnęła się do niego uroczo. Starła się przy tym nie zwracać uwagi na fakt, że powietrze wokół sylwetki konduktora dziwnie migocze. Szczelina w materii rzeczywistości, którą tak wielkim nakładem sił starała się załatać, znów się rozwierała. A czające się za nią zło próbowało wedrzeć się do jej świata. Laura zamknęła oczy, policzyła do trzech. Na próbę uchyliła jedno oko. Szczelina zniknęła.

Na razie.

Wiozła ze sobą jeszcze jedną tajemnicę – trzymała ją schowaną w torbie. Zjawiała się u niej parę dni temu, przyszła pocztą, z francuskim znaczkiem na kopercie. Był to ręcznie rysowany komiks zatytułowany Mirela, egzemplarz numer dwa. Krótki, liczący zaledwie trzydzieści dwie strony, opowiadał historię, którą dobrze znała: dwie pary spotykają się w pociągu, ubrana od stóp do głów na czarno dziewczyna zostaje uprowadzona i poddawana jest torturom. To również historia jej ucieczki, a ostatecznie też zemsty. Laura przekartkowała szybko komiks, aż dotarła do sceny, w której młody mężczyzna spada z mostu. Czytelnik nie widzi dłoni, które go popychają, Alina pokazała jedynie wyraz twarzy mężczyzny, gdy nagle uświadamia sobie, co go czeka.

Inny rysunek przedstawiał główną bohaterkę z niemowlęciem na rękach. Oboje spoglądają wyzywająco na czytelnika. Laura wyciągnęła teraz komiks i poszukała tej ilustracji. Przez chwilę przyglądała się dziecku, musnęła palcem jego twarzyczkę.

Położyła dłonie na brzuchu, a po policzku spłynęła jej łza. Zauważyła to siedząca naprzeciw niej kobieta i podała jej chusteczkę. Pod wpływem tego gestu bezinteresownej dobroci obcego człowieka Laura rozplakała się na dobre. Z początku łkała bezgłośnie, ale już po chwili szlochała, a w końcu zaczęła wyć na całe gardło. Swoim zachowaniem przyciągnęła uwagę wszystkich pasażerów w wagonie, niektórzy podeszli nawet i próbowali ją pocieszać. Pociąg mknął tymczasem przez nieświadomą niczego wiejską okolicę, po chwili wjechał w ciemny tunel. Laura zacisnęła powieki, przygotowując się na moment, gdy znów wynurzą się na zalany oślepiającym światłem świat. I właśnie w tym momencie, z gwałtownym, przyprawiającym o mdłości szarpnięciem, które nie miało nic wspólnego z ruchem rozpędzonego pociągu, przypomniała sobie, co zrobiła z telefonem Jake'a.

KONIEC

LIST OD AUTORA

Drogi Czytelniku,

dziękuję, że przeczytałeś *Zło pójdzie za tobą*. Uwielbiam, gdy czytelnicy dają mi znać, co sądzą o moim pisarstwie. Czekam na Ciebie na:

Facebook.com/markedwardsauthor;

Twitterze, moja nazwa użytkownika to: @mredwards.

Uwaga, dalsza część listu zawiera spoilery – jeśli nie przeczytałeś jeszcze książki, zajrzyj tu, kiedy już to zrobisz.

Pomysłu na niniejszą powieść, podobnie jak moje wcześniejsze książki: *The Magpies* oraz *Because She Loves Me*, dostarczyły wydarzenia z mojej młodości. Oczywiście musiałem je literacko doprawić, aby stały się wystarczająco straszne i atrakcyjne dla czytelników.

W wieku dziewiętnastu lat razem z moją ówczesną sympatią kupiliśmy za niewielkie pieniądze karnety Interrail, uprawniające do nielimitowanych przejazdów kolejowych na terenie całej Europy. Obmyślanie szczegółowego planu podróży zajęło nam kilka miesięcy – stanęło na tym, że nasz wielki wozaj po Starym Kontynencie potrwa całe lato i składać się będzie z wielu przystanków. Budżet podróży był co prawda dość skromny, ale i tak zamierzaliśmy się świetnie bawić.

Trzeciego dnia podróży, we Francji, złapaliśmy nocny pociąg jadący na południe, do Awinionu. Półżywi ze zmęczenia po całodziennym zwiedzaniu Paryża i bezsennej nocy na głośnym polu namiotowym, poszukaliśmy przedziału z kuszetkami i od razu zapadliśmy w sen. Po obudzeniu się czekała nas przykra niespodzianka – nasze saszetki podróżne na szyję, zawierające bilety kolejowe, paszporty i pieniądze, zniknęły. Zaczęliśmy w amoku biegać po pociągu w poszukiwaniu złodziei, ale oczywiście

dawno już się ulotnili. A kiedy o świcie dotarliśmy do Awinionu, zaczęliśmy uświadamiać sobie powagę sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Regulamin karnetów Interrail nie przewidywał wydawania duplikatów. Nasza wielka europejska przygoda dobiegła końca, zanim na dobre się rozpoczęła.

Autostopem dotarliśmy do Marsylii, gdzie zamierzaliśmy zdobyć dokumenty uprawniające do powrotu do Wielkiej Brytanii. Na miejscu zjawiliśmy się późnym wieczorem, noc spędziliśmy, śpiąc na podłodze dworca kolejowego. Zostaliśmy bez jedzenia, głód zabijaliśmy, napełniając żołądki wodą z kranu w dworcowej toalecie... (jeśli podejrzewasz, że próbuję teraz wzbudzić w Tobie współczucie, nie mylisz się). W pewnym momencie zagadnął nas podejrzanie wyglądający typek – zaproponował, że zafunduje nam gorący posiłek... Odmówiliśmy i poszliśmy się gdzieś schować.

Nazajutrz postanowiliśmy, że spróbujemy wykorzystać sytuację i drogę z Marsylii do Calais, liczącą około 1070 kilometrów, pokonamy autostopem. Przejazd zajął nam dwa tygodnie. Jeśli nie liczyć nocy spędzonych na poboczu autostrady, przejazdów z mężczyznami, co do których mieliśmy graniczące z pewnością podejrzenia, że są seryjnymi mordercami, a także pechowego wypadku ze środkami przeczyszczającymi na polu namiotowym niedaleko Dijon, był to wspaniały czas.

Po powrocie odkryliśmy, że angielska prasa rozpisuje się o francuskich bandziorach napadających na turystów podróżujących nocnymi pociągami. Ofiary były usypiane gazem, a złodzieje mogli wówczas do woli buszować w ich bagażach. Inna sprawa, że wysyp tego rodzaju historii mógł być jedynie przejawem typowej dla Brytyjczyków fobii przed Francuzami.

Pozostaje mi wierzyć, że moja książka nie zniechęci nikogo do odwiedzenia przepięknego kraju o bogatej historii, w którym częściowo rozgrywa się jej akcja. Opisane w niej czarne charaktery są równie fikcyjne jak wampiry zaludniające miejscowe legendy. Albo ujmując to nieco inaczej: potwory wcale nie muszą żyć w dalekich lasach. Równie dobrze mogą mieszkać po sąsiedzku, za ścianą.

Drogi Czytelniku, jeśli jednak kiedyś wsiądziesz do przedziału pociągu w obcym kraju, pamiętaj: pod żadnym pozorem nie zasypiaj. A jeżeli

napotkasz dziwny dom w mrocznym lesie, proszę, posłuchaj mojej rady.

Uciekaj.

Jeszcze raz wielkie dzięki za lekturę.

Pozdrawiam

Mark Edwards

PODZIĘKOWANIA

Mam się za wielkiego szczęściarza, bo pisząc i wydając książki, mogę zawsze liczyć na niezbyt liczny, acz doskonale zgrany zespół ludzi, którzy pomagają mi w pracy.

Najważniejsze miejsce wśród nich zajmuje moja piękna żona Sara, która również teraz wzięła na siebie najtrudniejszą część pracy (czyli opiekę nad naszymi dziećmi). Dzięki niej mogłem wyjechać i skupić się na pracy nad książką, a kiedy dzwoniła do mnie, żeby poinformować o chaosie panującym w naszym domu, mogłem zbywać ją formułkami w rodzaju „Nie pomogę, myślami jestem w rumuńskim lesie”. Sara była również pierwszą czytelniczką powieści i jak zawsze podzieliła się ze mną wnikliwymi uwagami.

To już czwarta książka, którą w Wielkiej Brytanii wydaję pod banderą Amazon Publishing. I znowu jestem niezmiernie wdzięczny zespołowi opiekujących się mną niestrudzonych, entuzjastycznie nastawionych fachowców, między innymi Emilie, Sanie i Neilowi. Dziękuję też mojemu redaktorowi Davidowi Downingowi za jego celne obserwacje, szczerść i błyskotliwość.

Wielkie dzięki dla mojego agenta, Sama Copelanda. Niech ktoś mu w końcu kupi konsolę PlayStation 4, o której tak marzy. Naprawdę na to zasługuje.

Dziękuję Louise Voss, która cierpliwie czekała, aż skończę pisać *Zło pójdzie za tobą*, mimo że w tym czasie mieliśmy pracować nad naszą kolejną wspólną książką.

Wiele zawdzięczam powieściopisarce Helen Fitzgerald – jej niesamowicie cenne rady towarzyszyły mi nieprzerwanie podczas pracy

nad niniejszą powieścią.

Dwie postaci zawdzięczają swoje imiona czytelniczkom, które zyskały ten wąpliwy przywilej, zwyciężając w Facebookowym konkursie: Sophie Carpenter oraz Alinie Ghinescu. Alina pomogła mi też, zapoznając się z rękopisem powieści i sprawdzając go pod kątem wierności rumuńskim realiom.

Dziękuję Jonathan Hill, która rozwiewała moje wąpliwości w zakresie farmaceutyki.

Jestem też winien podziękowania personelowi baru Latuske's w Wolverhampton. To wy dostarczaliście paliwa, dzięki któremu miałem siłę pisać. Wasze jajecznicę i kawa nie mają sobie równych w hrabstwie West Midlands (a być może też na całym świecie).

Wreszcie niechaj podziękowania raczą przyjąć ci, u których zaciągnąłem największy dług wdzięczności – moi czytelnicy, którzy na przestrzeni ostatnich kilku lat pisali do mnie maile, ślali wiadomości na Twitterze i Facebooku. To wy dawaliście mi motywację w chwilach, gdy wydawało mi się, że nigdy nie zdołam wydostać swoich bohaterów, i samego siebie, z tamtego ciemnego lasu...

- [1] R.M. Rilke, Elegie duinejskie, I, w. 4–5, [w:] tegoż, Poezje wybrane, tłum. M. Jastrun, Kraków 1964, s. 137.
- [2] R.M. Rilke, Elegie duinejskie, I, w. 7, [w:] tegoż, Poezje wybrane, tłum. M. Jastrun, Kraków 1964, s. 137.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz